

Kasey Michaels

Czekając na miłość

Melindzie McRae i Ronowi Henry'emu -
za wypłynięcie na czyste wody!

Niebawem się żenię - i jestem oczywiście tak nieszczęśliwy,
jak tylko może być człowiek szukający szczęścia.

- Lord Byron

1

Na teren Hyde Parku od strony Park Lane wkroczyli dwaj nieskazitelnie przyodziani dżentelmeni- Na głowach mieli zawiadacko przekrzywione cylindry o najmodniejszych rondach, w prawicach dzierżyli po eleganckiej lasce, co krok wywijając nią u boku leniwe półkole, obaj roztaczali wokół siebie aurę prawdziwie arystokratycznego zblazowania, na poły udawanego, na poły aż nazbyt autentycznego.

Jeden ciemny i przystojny. Drugi jasnowłosy, o płowej karnacji, i bardziej niż tylko przystojny; wręcz po kobiecemu ładny. Obaj utytułowani, obaj majątni, popularni, pewni siebie.

Błogo beztroscy i wolni od zobowiązań.

Zatrzymali się i przybrali wystudiowane pozy. Zdawali się przy tym chciwie łowić nozdrzami powietrze - w sposób, w jaki mógłby węszyć młody samiec, który usiłuje złapać trop samicy. Wymienili wymowne spojrzenia. Musnęli badawczym gestem nienagannie zawiązane krawatki i obciągnęli mankiety.

Po części w roli drapieźników. Po części ofiar.

Hyde Park był onegdaj terenem łowieckim, pełnym jeleni, dzików i zwanych bykami danieli. Przez wiele wieków, gdy poranne mgły pierzchały przed zaspanym słońcem, w cieniu tutejszych drzew toczono pojedynki. Później wznosiły się tu fortyfikacje, a gęsta trawa upstrzona była obozami wojskowymi.

Niegdyś ziemiami tymi władali zbójcy - do czasu, gdy Karol II zażyczył sobie, by cały teren otoczono wysokimi murami, William II zaś wpadł na szczęśliwy pomysł, by oznakować *route du roi* ponad trzystoma ukrytymi w ko-

narach drzew latarenkami. Duże, dekoracyjne jezioro o nazwie Serpentine, grzejące się w promieniach słońca, powstało z woli Karoliny, na której rozkaz wzniesiono na rzece Westbourne tamę, tak by królowa wraz z rodziną mogła zażywać relaksu na pokładzie jednego z dwóch jachtów, które kołysały się sennie na wodach jeziora.

Tak, Hyde Park był cudownym, spokojnym zakątkiem.

Niemniej, jak dobrze wiedzieli obaj mężczyźni, pozostał tym, czym był u swego zarania... terenem łowieckim.

- O, rzuć okiem w tamtym kierunku, Kippie - odezwał się ciemnowłosy mężczyzna, dyskretnie przechylając głowę w lewo. - Chociaż nie muszę ci chyba mówić, gdzie pa-trzeć. Taką desperację czuć z daleka.

Kipp Rutland spełnił prośbę przyjaciela. Obejrzał się niespiesznie, w samą porę jednak, by ujrzeć, jak wynajęty powóz bez mała porywa swego woźnicę, wiecznego pechowca i zubożałego arystokratę sir Alvine'a Clarke'a. Mężczyzna ubrał się najlepiej, jak to było możliwe, co oznaczało, iż kołnierzyk i mankiety koszuli nosił najpewniej nie pierwszy raz wywinięte na drugą stronę, by ukryć ich siepiące się brzegi. Widać było, że do powożenia ma dwie lewe ręce; wisiał na lejcach, jakby od tego zależało jego życie, bez powodzenia usiłując ściągnąć na siebie uwagę młodej debutantki i jej opiekuńczej mamy.

- Wiesz, Kippie, młody Clarke ma równe szanse wygrania Newmark na tej szkapie, jak zaciągnięcia panny Oliver do swojego mocno wyświechtanego łoża - skwitował ten 'widok Brady James, hrabia Singleton, nie bez odcienia litości w głosie. - Bogu dzięki poprzysiągłem sobie, że nigdy się nie ożenię, bo jak pomyślę, że to ja mógłbym teraz robić z siebie durnia... - Wzruszył ramionami z przyrodzoną elegancją.

- Jeśli ta uwaga ma w zawołany, pokrętny sposób dać mi do zrozumienia, że się nade mną litujesz, Brady - odpowiedział Kipp, baron Willoughby, idąc ścieżką u boku przyjaciela - to przyjmuję twoje współczucie z rado-

ścią, obydwoma rękami. A więc jak, masz coś na widoku dla twojego serdecznego druha?

- Ja? - Szeroki uśmiech Brady'ego stał się zdecydowanie przekorny. - Oczekujesz, żebym to ja wybrał dla ciebie żonę?

Kipp uchylił kapelusza na widok przejeżdżającego właśnie otwartego powozu, który zdawał się pękać w szwach, tyle wiózł chichoczących młodych panienek.

- Dlaczego by nie, Brady? Zawsze podziwiałem twój gust. Pomijając może tamtą satynową kamizelkę, w którą wystroiłeś się jakiś czas temu. Uwierz mi, powinieneś się był dobrze zastanowić, nim postanowiłeś pokazać się w niej publicznie.

- Jedwabną, nie satynową, poza tym mój służący dosłownie zaniemówił ze szczęścia, że mu ją sprezentowałem. Następnym razem dopilnuj, żebym słuchał się krawca, kiedy mam dobrze w czubie. Wróćmy jednak na chwilę do twojej propozycji, żebym to ja wybrał przyszłą baronową Willoughby, dobrze? Żebym zdążył odmówić przyjęcia tego zaszczytu, co chyba zrozumiesz.

- I ty mienisz się moim przyjacielem? - spytał Kipp z uśmiechem. - Zraniłeś mnie, Brady, dotknąłeś do żywego. Och, świetnie, skoro nie chcesz. Czy przynajmniej pomożesz mi dokonać przeglądu dam do wzięcia i nie poskąpisz swej światłej porady?

- Przeglądu? A jak niby miałbym go przeprowadzić? Poprosić je uprzejmie, żeby raczyły odchylić głowy i otworzyć usta, żebym mógł obejrzeć im zęby? Nie, nie sędzę. Ale mniejsza z tym, póki co chcę, żebyś mi jeszcze raz wytłumaczył, dlaczego uważasz za konieczne zaobraczkować się jeszcze przed końcem sezonu.

Kipp nie uśmiechał się już tak wesoło jak przed chwilą. Wcześniej podał Brady'emu jakiś bzdurny powód, który miał wyjaśniać powzięty przez niego zamiar zawarcia małżeństwa, coś o tym, że nuży go sypianie z kobietami, jeśli musi potem zrywać się z łóżka, ubierać i truchcikiem wracać do domu.

W tym, co powiedział Brady'emu, było trochę prawdy - matka przed śmiercią wymogła na nim obietnicę, że wejdzie w związek małżeński, nim skończy trzydziestkę, i że zadba o ciągłość rodu, zanim osiągnie dojrzały wiek trzydziestu pięciu lat.

Trzydziestkę skończył jakieś pół roku temu i od tamtej pory dane matce słowo ciążyło mu na sumieniu jak kamień. Osobiście guzik go obchodziło, czy nazwisko Rutland zniknie z powierzchni ziemi, a tytuł barona Willoughby przejdzie na jakiegoś niedowierzającego własnemu szczęściu dalekiego kuzyna w Surrey. Bądź co bądź, on by już tego nie oglądał, prawda?

Nie. Siedziałyby sobie na chmurce obok matki, błagając ją o wybaczenie, a ona szlochałaby cicho, kryjąc twarz w białych skrzydłach u ramion.

A więc ożeni się, żeby dotrzymać słowa danego nieboszczce baronowej. Prawdę powiedziawszy, istotnie był to jeden z powodów, które kryły się za jego dopiero co rozpoczętym „polowaniem na żonę”.

Jeden, ale nie jedyny, i raczej nie najważniejszy.

- Mówiłem ci, Brady, potrzebuję następcy - mruknął w końcu Kipp, przyglądając się kolejnym trzem otwartym powozom, z których każdy wiózł przydziałowy ładunek debutantek siłących się na wyniosłe miny, a mimo to wyglądających na równie zdesperowane jak chwilę wcześniej sir Alvin. - Traf chciał, że miałem okazję rzucić okiem na kuzynka z Surrey, przyjacielu, i drzę na myśl, że to cielę miałoby siedzieć w moim fotelu, siorbiąc moje wino. Czy też pojąć nim swoje wieprze, co wydaje się bardziej prawdopodobne.

- Dobrze, chcesz kłamać, to kłam - odparł hrabia przyjaźnie. - Mogę się z tym pogodzić. Ale czy na pewno życzysz sobie ślubu z tą, którą bym ci wybrał? Bo w Covent Garden jest taka apetyczna ruda tancerka...

- Pozycja, Brady - zaśmiał się Kipp. - Moja żona musi mieć odpowiednią pozycję. Społeczną, a nie notorycznie

horyzontalną. Z tymi od horyzontalnej umiem sobie poradzic i radzę sobie sam, dziękuję ci bardzo.

- Kobieta z pozycją. Moralna. O znośnej urodzie? Myślę sobie, że chciałabyś, żeby była przynajmniej znośna. I żeby ciągle nie siedziała ci w kieszeni ani nie uważała się za Bóg wie kogo, tak, Kipp? Bo wtedy miałyby własne zdanie, a Bóg świadkiem, że tego u żony nie szukasz. Sierota. Tak, dobrze wychowana, znośnie ładna sierota z pewną pozycją. Ze zdrowymi zębami, przez wzgląd na dzieci, rozumiesz? Nie ma nic gorszego, jak baronowa z zębami jak u osła.

- Ach, Brady - uśmiech Kippa wyrażał uznanie - wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. To co, bierzemy się do dzieła?

Panie bawiły w Hyde Parku od ponad dwóch kwadransów. Abigail Backworth-Maldon uprzytomniła sobie ten fakt dzięki ukradkowemu spojrzeniu rzuconemu na dużą kieszonkową „cebule”, którą upchnęła do torebki przed wyjściem z domu.

Jeszcze dwadzieścia pięć minut i poleci woźnicy odwieźć się na Half Moon Street, jako że zbyt długi pobyt w parku równałby się przybiciu do powozu tabliczki z napisem: „Panna bez posagu: chętnie wyjdzie za mąż dla pieniędzy”.

Chociaż nie można było powiedzieć, by jej obecna towarzyszka i bratanica jej męża narzekała na brak wielbicieli. W rzeczywistości pannę Edwardine Backworth-Maldon niemal zawsze otaczał wianuszek adoratorów, ilekroć Abby pozwoliła podopiecznej wyjść z domu.

Na tym właśnie polegał cały problem.

Jeśli debiutantka w ogóle może być zbyt piękna, Edwardine Backworth-Maldon stanowiła najlepszy przykład na to, że nadmierna uroda może zaszkodzić. Rozbrajająco filigranowa, lecz o pięknych, subtelnym kształtach, Edwardine wyróżniała się nieskazitelną cerą, różowymi niczym pączek róży usteczkami, sterczącym noskiem, świetlistymi błękitnymi oczami, wielkimi i okrągłymi jak spodki, oraz złocistą aureolą rozkosznych loczków.

Szekspir napisał kiedyś: „Od czasu do czasu umierali ludzie i zjadały ich robaki, ale to nie z miłości”*. Zdaniem Abby Will Szekspir był tak pewien swego tylko z tego powodu, że nie miał nigdy okazji poznać Edwardine Backworth-Maldon. Znaleźliby się bowiem mężczyźni gotowi dla Edwardine Backworth-Maldon choćby i umierać.

A ona byłaby rozanielona i na tyle tępa, by dygnąć, grzecznie im podziękować... i podać szpadę, żeby mieli się czym przebić.

Co przekładało się na fakt, iż zdolności umysłowe Edwardine, choć przesadą było stwierdzić, że nieistniejące, to jednak przez większość czasu siedziały, by tak rzec, pod strzechą złocistych loczków i wygodnie rozparte, z nogami na aksamitnych podnóżkach, sączyły lemoniadę.

Było z niej romantyczne, zwyczajne i prostoduszne duże dziecko, Abby zaś wiedziała, że nie ma stworzenia, któremu groziłoby więcej niebezpieczeństw niż obdarzonemu romantyczną duszą kobieciątku (wystarczy spojrzeć, w jakie tarapaty wpakowała się sama Abby!). Romantyczki patrzyły na życie przez różowe okulary, to samo dotyczyłoby zapewne i Edwardine, gdyby nie fakt, że z oślim uporem wzbraniała się przed noszeniem szkieł. Abby zaś żyła w ustawicznym lęku, że krótkowzroczna dziewczyna podejdzie pewnego pięknego dnia do posągu Zeusa w czyjejs sali balowej i rozpocznie ożywioną konwersację dotyczącą perfekcyjnego występu orkiestry.

Dlatego też - jeśli się pamięta o ograniczeniach młodej panny - nie powinien zaskakiwać fakt, iż Edwardine nie mogła się nadziwić, i to w pozytywnym sensie, że jej obecność w Hyde Parku czy w wypożyczalni, a właściwie gdziekolwiek, dokąd tylko się udawała, budziła takie rozkoszne

*William Szekspir, „Jak wam się podoba”, akt IV, scena 1, tłum. Leon Ulrich.

ożywienie wśród panów. Uważała, że jako debiutantka odniosła błyskotliwy sukces, tym większy że sezon rozpoczęła z opóźnieniem „dzięki” drogim wujom.

Wujowie, kolejny temat, w który Abby wolała się zbytnio nie zagłębiać w taki cudowny, słoneczny dzień. Wdowa Backworth-Maldon wzdrygnęła się nieznacznie, choć wiosenne powietrze było dość ciepłe, na samą myśl o starszawych szwagrach, upierających się, by tytułowała ich „wujaszkiem Baileyem” i „wujaszkiem Dagwoodem”.

Wujaszkwowie byli najstarszymi członkami ekscentrycznego rodu Backworth-Maldonów, a zarazem jego jedynymi obecnie pełnoletnimi męskimi przedstawicielami. Obaj zatwardziali starzy kawalerowie, czy to z wyboru, czy to dlatego, że w Anglii było więcej, niż to się powszechnie mniema, kobiet obdarzonych bodaj krztyną zdrowego rozsądku, przeżyli zarówno ojca Edwardine, jak i męża Abigail, który przyszedł na świat jakby po pewnym namyśle, piętnaście lat po trójce braci.

Można by przypuszczać, że w pięćdziesiątej piątej wiosnie życia oraz jako głowy - z tytułu - rodziny Backworth-Maldon panowie ci we wszystkim mają decydujący głos; starsi, stateczni, solidni przywódcy klanu. Można też twierdzić, że zięby potrafią śpiewać operowe arie albo też że katedrę świętego Pawła zbudowano w jedną noc. Nic z tego nie jest prawdą, niemniej jednak przypuszczać czy wierzyć w to można.

Abby udzieliła sobie w myślach porządnej reprimendy: dopiero teraz uświadomiła sobie, że Edwardine coś mówi. A to nigdy nie był dobry pomysł, pozwolić dziewczynie się odzywać.

Chociaż ulegało wątpliwości, czy olśnieni słuchacze zauważąliby cokolwiek, nawet gdyby z ust pięknej panny padła wypowiedź, którą człowiek przy zdrowych zmysłach musiałby zinterpretować jako wytwór umysłu przypominającego pudełko z kilkoma zawiniętymi w kolorowe sre-

berka pralinkami spowitymi przez sieć pajęczyn. Człowiek przy zdrowych zmysłach, ale nie ta zgraja oficerków, niemających młodszych synów i podstarzałych łowców fortun, tłoczących się wokół powozu, sępów, które nie zdążyły się jeszcze zorientować, jak dalece chybione były ich nadzieje na zdobycie więcej niż kilku pensów wraz z ręką pięknej Edwardine.

Zresztą czy ci dżentelmeni rzeczywiście spodziewali się dostać intelekt, urodę i pełną sakiewkę w osobie jednej i tej samej debiutantki? Jeśli tak, to byli głupszy od Edwardine.

A to już oznaczałoby bezbrzeżną głupotę.

- Ależ panie Pickworth - szczebiotała radośnie Edwardine, bez trudu przywołując na twarz wyraz ożywienia, a na jej alabastrowe policzki wypłynął uroczy rumieniec - jakże to wspaniale, przewspaniale z pańskiej strony, że mnie pan zaprasza. Oczywiście, że się zgadzam, by mi pan towarzyszył. Nigdy nie widziałam Vauxhall Gardens", wie pan. Abby powiada, że lata świetności tych ogrodów dawno już minęły i że wycieczki w tamte strony są dość niebezpieczne. Ale pan mnie obroni, jestem tego pewna.

- Edwardine - wtrąciła Abby, uśmiechając się do pana Pickwortha, radośnie suszącego zęby głupca. W tej chwili przypominał jej psa myśliwskiego, który właśnie złapał trop. - Odnoszę wrażenie, że pan Pickworth nieco się pośpieszył. Wszakże nie ma dzisiaj z nami twojej matki i opiekunki, Edwardine, skutkiem czego pozostaje mi zastąpić ją w tej roli, tak jak mnie o to prosiła. Panie Pickworth, możesz pan powtórzyć swoje zaproszenie, jeśli pan tak miły, tym razem kierując je do mnie, a ja zadecyduję, czy panna Backworth-Maldon będzie mogła wybrać się z panem do Vauxhall Gardens, czy też nie.

*Vauxhall Gardens, ogrody położone nad Tamizą po stronie Surrey, stanowiące miejsce wypoczynku za panowania Karola II.

- Och, tereferere - odezwała się na to Edwardine i nie całkiem znowu wdzięcznie klapnęła na obciążoną aksamitem ławkę w powozie. Wyglądała uroczo z naburmuszoną minką. - Zaraz się zrobisz oficjalna i z miejsca powiesz nie, może się myłę? Tak jak robisz zawsze, kiedy Iggy prosi cię o coś zupełnie niewinnego, sam mi opowiadał, a ty od razu zachowujesz się, jakby to było coś jeszcze gorszego niż wtedy, kiedy spytał, czy może skoczyć z dachu, żeby się przekonać, czy umie fruwać. Nigdy się nie zgodzisz, prawda, Abby?

- Nonsens - odparła Abby, odnotowując z ledwie skrywanym rozbawieniem, że pan Pickworth usiłuje poluzować palcem przyciasny nagle kołnierzyk. - Z radością spędzilibyśmy wieczór w Vauxhall. Twój wujowie, twój brat Ignatius, twoja matka, nieodłączny towarzysz twojej matki Pieszczuś i ja. Wyobrażam sobie, że wesołą stworzylibyśmy gromadkę, spacerując malowniczymi drózkami, wspólnie zasiadając do kolacji, a wszyscy jako goście pana Pickwortha. Nazbyt pan uprzejmy, panie Pickworth, zaiste nazbyt uprzejmy.

Twarz pana Pickwortha wyraźnie pobladła. W gruncie rzeczy gdyby natura obdarzyła go ogonem, ten zwieszałby się teraz do samej ziemi.

- Ehem... znaczy się... ja, oczywiście... ile to było osób? Sz... sześcioro?

- Nie licząc Pieszczusia - uściśliła Abby, z pewną satysfakcją przypominając nieszczęśnikowi o nieznośnym pudlu jej szwagierki. Zastanowiła się przelotnie, czy mężczyznom nie więcej niż dwudziestotrzyletnim przytrafiają się ataki apopleksji. Później jednak, z natury mając dobre serce, jeśli nawet towarzyszyło mu dość frywolne usposobienie, ucięła sprawę i - jeśli użyć dwóch metafor - pozwoliła panu Pickworthowi urwać się z haczyka i czmychnąć z podkulonym ogonem.

- Chyba że byłby to zbyt wielki kłopot? - spytała z nie najgorzej udanym zatroskaniem i dostrzegła natychmiast iskierkę nadziei w jego wylęknionych oczach. - Bądź co

bądź, sir - kontynuowała uprzejmie - stanowimy dość liczną rodzinę, nieprawdaż, i wyobrażam sobie, że koszt takiego wieczoru, jaki pan zaplanowałeś, mógłby nadmiernie obciążyć pański budżet. Zatem sprawa załatwiona. Sumienie mi na to nie pozwala. Nie, nie, panie Pickworth, proszę nie nalegać, naprawdę muszę odmówić. Nie mogłabym sobie spojrzeć w oczy, gdybym się zgodziła.

Pan Pickworth, który nie zdążył nawet otworzyć ust z ewentualnym protestem (doprawdy, Abby przez chwilę niepokoiła się nawet, czy nie połknął języka), niemal rozszlochał się z wdzięczności. Jego nadzieje na wyciągnięcie Edwardine na samotny spacer po Dark Walk* i skradzenie jej kilku całusów może i zostały zdruzgotane, ale za to oddaliła się wizja żywienia się zeschniętymi skórkami chleba do czasu, gdy spłynie następna miesięczna renta.

- W dodatku, łaskawi panowie - oświadczyła Abby, jako że przynajmniej trzech adoratorów Edwardine wpatrywało się w nią nieżyczliwie - odnoszę wrażenie, że najwyższa pora, byśmy z panną Backworth-Maldon wróciły na Half Moon Street. Ale chyba nam panowie wybaczycie?

- Który z nich to pan Pickworth? - spytała Edwardine ze zwykłą dla siebie, zakrawającą na tępotę naiwnością, skoro tylko powóz ruszył. Wierciła się na boki, a teraz, mrużąc oczy, usiłowała przyjrzeć się pozostałej w tyle grupce stojących przy drodze dżentelmenów. - To ten ubrany na niebiesko, Abby? Tak, sądzę, że to musi być ten w najjaśniejszym niebieskim ubraniu. Nie widziałam go za dobrze, ale głos miał najśliczniejszy. Jest zabójczo przystojny?

Abby przewróciła oczami.

- Ma kurzając wielkości guzika na samym czubku nosa i trzy zęby. Zielone. Fatalne połączenie, biorąc pod uwagę

*Jedna z mniejszych i bardziej ustronnych alejek na terenie Vauxhall Gardens, stanowiąca miejsce schadzek.

kolor surduta - poinformowała podopieczną, która wolała się nie spierać. - Przestań się wreszcie oglądać i siadź prosto, Edwardine, a ja jeszcze raz ci powtórzę, że osmielanie tych znakomitych, lecz biednych jak myszy kościelne dżentelmenów jest całkowicie bezowocne, bo przyjechałaś do Londynu po to, żeby złowić świetną partię. A z braku innych, lepszych zajęć podczas drogi powrotnej na Half Moon Street - bo widoków nie mogłabyś podziwiać nawet wtedy, gdybym ci je wskazywała palcem - spędzamy ten czas na omówienie różnicy między byciem adorowaną a uwiedzioną, zrujnowaną. Odnoszę wrażenie, że jeszcze tej subtelnej różnicy nie pojęłaś.

Pouczanie Edwardine na jakikolwiek temat o najmniejszym bodaj stopniu skomplikowania sprowadzało się, zdaniem Abby, do walenia głową o kamienny mur. Lepszym jednak rozwiązaniem było skoncentrowanie się na towarzyskiej edukacji Edwardine niż na wysokim, jasnowłosym młodym dżentelmenie, który taksował dziewczynę oczami, zbyt szybko z tym nie kryjąc, gdy powóz pań Backworth-Maldon wytaczał się z Hyde Parku.

Mężczyzna ten, jak łatwo się zorientować, człowiek za możny - do tego niewiarygodnie przystojny, o inteligentnym spojrzeniu, przechadzający się dostojnym, choć swobodnym krokiem - dokładnie odpowiadał wyobrażeniom Abby, gdy szło o najśmielsze plany matrymonialne, jakie mogą ulegnąć się w marzeniach młodej damy.

Tyle że po prostu nigdy wcześniej nie wstawiała do tego równania Edwardine.

Zmysłowa rudowłosa piękność przeciągnęła się, zamruczała jak kotka, po czym usiadła, przyciskając różowe satynowe prześcieradło do nagich piersi. Przyglądała się, jak Kipp krąży po skąpanej w blasku świec sypialni w poszukiwaniu fragmentów garderoby, które wcześniej z niego zdarła.

Wspaniałe było z niego zwierzę; opalona skóra lśniła

w migotliwym świetle, mięśnie naprężyły się, gdy wciągał bryczesy i narzucał koszulę. Równie przystojny nago, jak w stroju od najlepszego londyńskiego krawca.

Westchnęła ponownie, tym razem z żalem.

- Naprawdę musisz już iść, kochanie? Do świtu mamy jeszcze wiele, wiele godzin.

Kipp przyklepał fałdkę na krawatce i, przekrzywiwszy głowę, przestudiował swoje odbicie w lustrze.

Nie omieszkął też zerknąć na odbicie Roxanne. Przyjrzał się jej twarzy i w oczach wyczytał niejasną zapowiedź kłopotów. Na myśl natychmiast nasunęło mu się jedno słowo: zaborcza. Tak, wbrew wszystkim jej zapewnieniom, droga Roxanne stawała się zaborcza.

Jakaż nieatrakcyjna cecha u skądinąd atrakcyjnej kobiety.

Kipp włożył surdut, czując nagle, że musi wyrwać się z różowej, uperfumowanej- sypialni, zanim się udusi.

- Zdecydowanie wolę wychodzić frontowymi drzwiami, niż gramolić się po dachach, a więc owszem, Roxanne, naprawdę muszę już zmykać. A może zapomniałaś, co wydarzyło się ostatnim razem, gdy zapewniałaś mnie, że drogi sir Olney do bladego ranka nie oderwie się od karcianego stolika?

- Phi! - fuknęła lady Skelton, poprawiając dobre pół tuzina poduszek, nim ponownie się w nie zapadła. - Robi się z ciebie straszny nudziarz, Kippie - zbeształa go, po czym uśmiechnęła się, obnażając małe, ostre zęby. - Ale w łóżku jesteś cudowny. Po prostu cudowny.

Baron Willoughby - Kipp bowiem o wiele bardziej wyglądał na barona teraz, gdy ponownie miał na sobie wieczorową garderobę - odwrócił się i złożył pokłon lady Skelton i jej boskiej nagości.

- Cenię sobie twoje uznanie - odparł lekko. - Wolałbym jednak, by pozostało naszą słodką tajemnicą.

- Ha! Żeby cokolwiek powiedzieć, musiałabym znaleźć kogoś, kto jeszcze o tym nie wie. A uchowała się w Mayfair jakaś biedaczka, której nie zaciągnęłaś jeszcze do łóż-

ka? - zadrwiła lady Skelton. Jasnowłosy bóg, tak go opisywano i opis pasował do niego jak ulał. Wyższy niż przeciętnie, delikatnie umięśniony, o twarzy, która byłaby piękna jak twarz kobiety, gdyby nie lekko kanciasta dolna szczęka i dołek w mocno zarysowanym podbródku.

Kipp był jej kochankiem od niespełna pół roku, ale już zaczynał się wymykać jej z rąk. Czuła to czy raczej przeczuwała. Utrzymała go przy sobie dłużej niż większość jego kochanek, lecz teraz jej czas dobiegał końca i chciała zrozumieć dlaczego.

Była za stara? Nie tała przez nim wieku, wiedział, że jest młodsza od niego, trzydziestolatka, zaledwie o dwa lata. Wiedział, że jest żoną nudnego, nieurodzivego, lecz mającego sir Olneya Skeltona.

Ten fakt, jak podejrzewała, tylko dodawał jej w oczach Kippa uroku, słyszała przecież plotki, pogłoski. Baron Willoughby nie uważał się za stworzonego do małżeństwa i wyżej cenił sobie uwodzenie samotnych żon. Wszystkie, jak słyszała, były mu niezmiernie wdzięczne za okazaną uwagę i wypowiadały się o nim z najwyższą sympatią nawet wówczas, gdy nie już ich z nim nie łączyło.

Roxanne, choć wdała się w romans z Kippem bez zamiaru zakochania się w nim - i zakochana w nim nie była - zaczęła uważać się za wyjątek wśród notorycznie przelotnych miłostek Kippa. Więcej nawet, ostatnimi czasy zaczęły się jej marzyć akty rozwodowe i okrzyki „baronowa Willoughby”, anonsujące jej wejście do sali balowej.

A tu, proszę, obiekt jej ambicji zaczyna sposobić się do tego, by jak motyl wzbić się w powietrze, znaleźć następny kwiat i z innego pąka spić słodki nektar.

Łajdak.

- Zobaczmy się na balu u Selbourne'ów? - spytała Roxanne i skuliła się wewnątrz, słysząc, że do jej głosu wkrada się nuta desperacji. Nic dziwnego, że nie mógł się doczekać, kiedy się jej pozbędzie - jej zamiary były aż na-

zbyt czytelne. - Naturalnie niczego to nie zmienia, kochanie - poprawiła się szybko - ale skoro Olney wybiera się z wizytą do tego potwora, swojej matki, do Dorset, pomyślałam sobie, że może...

Pozwoliła, żeby sugestia dokończyła się sama - usiadła na szerokim łożu tak, by prześcieradło zsunęło się jej do pasa, i uniosła ramiona, by zebrać rozsypane na ramionach loki do góry. Czy istnieje taka ryba - zwłaszcza ryba płci męskiej, jako że samce są z natury leniwe - która dobrowolnie opierałaby się podobnej przynęcie? Nie chciałyby się przekonać, jakie rarytasy czekają na nią po drugiej stronie stawu?

Kipp pokusę odczuwał. Roxanne mu się podobała, i to bardzo. Była piękna i chętna, w dodatku mieli za sobą kilka całkiem inteligentnych rozmów, przeprowadzonych w ciągu ostatnich miesięcy.

Byłoby łatwo, tak łatwo, zrzucić się z siebie ubranie i wrócić do tego kuszącego więzienia z różowej satyny. Kipp zerknął nawet na stojący na półce nad kominkiem zegar, zanim nakazał sobie powrót do najrozsądniejszego, jak wiedział, planu - powolnego, lecz nieuniknionego rozluźniania znajomości z lady Skelton.

Jakkolwiek by na to patrzeć, miał niebawem wstąpić w związek małżeński. Kiedy tylko znajdzie odpowiednią kandydatkę...

- Wystawiasz mnie na ciężką próbę, Roxanne - wyznał szczerze, schylając się po laskę, która stała oparta o fotel. Następnie z wdziękiem wywinął nią łuk i zatknął ją pod ramię. - Ale jutro mam pracowity dzień i powinienem choć na chwilę przyłożyć głowę do własnej poduszki, zanim zapieje kogut.

Roxanne przygryzła wargę w uśmiechu, decydując się na śmielsze zachowanie, jeśli to miałyby sprowadzić Kippa z powrotem do jej łóżka.

- Odnoszę wrażenie, że ten dziarski ptak już dwukrotnie wyśpiewał zbliżanie się świtu, kochanie. Dwukrotnie.

Kipp zaśmiał się szczerze, niezbyt poruszony sugestią,

która kryła się za tą dwuznaczną uwagą, acz bez wątpienia pod wrażeniem podjętej przez Roxanne próby zabłyśnięcia ryzykownym dowcipem.

- Wstydź się, Roxanne - skarcił ją żartobliwie, obszedł łóżko i nachylił się, by ucałować jej gładkie białe czoło. - Coś mi się zdaje, że próbujesz mnie zdeprawować. Dobranoc, moja droga, śpij dobrze.

Pośpiesznie przetoczyła się na skraj łóżka i w ostatniej chwili powstrzymała się przed uczepieniem się jego rękawa.

- Do zobaczenia na balu u Selbourne'ów, Kipp?

Kipp nabrał powierza, zdławił westchnienie, które cisnęło mu się na usta, i posłał lady Skelton zniewalający uśmiech.

- Do zobaczenia na balu u Selbourne'ów, Roxanne - poddał się. Następnie wyszedł z sypialni, sięgnął do portfela po hojny napiwek dla odźwiernego czekającego cierpliwie w westybulu i wymknął się w mrok nocy.

2

Cocoa Tree Chocolate House, taką bowiem nazwę nosił lokal usytuowany pod numerem 64 St. James Street, powstał w siedemnastym wieku jako niewinna kawiarenka. Z czasem jednak jego charakter zmienił się diametralnie. Obecnie mieścił się w nim prywatny klub, słynący z mocnych trunków i stołów do hazardu, największą zaś jego zaletą w oczach Kippa był fakt, że do zachodu słońca miejsce to niemal zawsze świeciło pustkami.

Usiadł przy stoliku w głębi sali i przygarbiony oddał się kontemplacji wszechświata i swojego w nim miejsca - czy też raczej tej części wszechświata, którą można dojrzeć na dnie kieliszka.

- Taak, najzwyklejsza strata czasu, nie uważasz? Równie dobrze można było szukać wiatru w polu, tyle samo pożytku przyniosła nasza wczorajsza eskapada do Hyde Parku, a do najprzyjemniejszych nie należała. Chyba się nie zdobędę na ponowną wyprawę dzisiaj, Brady, właściwie to na pewno się nie zdobędę.

- Co prawda, to prawda, Kippie - odpowiedział Brady po chwili, kiwając mądrze głową ze swego miejsca po drugiej stronie małego, okrągłego stołu. - Sam nie widzę w tym sensu.

Następnie ruszył do natarcia - ostrożnie - ponieważ się przyjaźnili i ponieważ świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że Kipp cierpi.

- Ale coś mi się zdaje, że w ogóle się w to polowanie na żonę nie angażujesz, Kippie. Ciągłe daje o sobie znać to twoje złamane serce, co? Nie, nie, nic nie mówiłem, jeśli właśnie przemyślisz, czy nie rozkwasić mi nosa za moje wścibstwo. Zdaje ci się tylko, że coś przebąkiwałem. Nawet nie wymieniłem jej imienia, prawda?

- Prawdziwy z ciebie przyjaciel, Brady - burknął Kipp. Wiedział, do czego zmierza rozmowa, ale nie zamierzał dopomagać Brady'emu w sondowaniu swoich myśli i uczuć. - A teraz może byś tak wetknął swój szlachetny, arystokratyczny nos we własny kieliszek i dał mi się spokojnie napić?

- Załatwione, jedno i drugie - odparł Brady i mrugnął wesoło, by dodać natychmiast: - Niemniej i tak wprost uwielbiam obserwować cię i słuchać, jak chorobliwie rozwodzisz się nad swą nieszczęsną, ubolewania godną przeszłością. Na tej twojej aż nazbyt przystojnej gębie pojawia się wtedy niezwykle interesująca zmarszczka. Może kilka takich na tym gładkim czole zdołałoby cię trochę zeszpecić, co reszta Londynu, z wyjątkiem pań, przyjęłaby jako dar od bogów.

Kipp pociągnął kolejny łyk wina. Stracił już resztki nadziei na to, że zdoła wymigać się od tej rozmowy, widząc, że Brady ani myśli zarzucić temat.

- Merry i Jack są w Filadelfii, wiesz, mieszkają tam nie-

mal od roku - rzucił więc, gapiąc się w kieliszek. - Wesolutcy jak szczygiełki i nie kłopotczą się myślą o moim bólu. Nie - poprawił się uczciwie i potrząsnął głową - to nie tak. Merry teraz wie. Jack, mam wrażenie, wiedział od zawsze, nawet wtedy, kiedy jeszcze była z nas trójka dzieciaków. Boże, Brady, jaki ze mnie cholerny dżentelmen. Życzę im szczęścia i w miarę moich skromnych możliwości pomagam im to szczęście osiągnąć.

- Jack Coltrane to twój najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, Kippie - powiedział z naciskiem Brady. Znał już tę historię - co prawda słyszał ją tylko raz, kiedy Kipp zalał się w pestkę i zebrało mu się na szczerość - ale współczuł mu całym sercem. Mimo to uważał, że przyjaciel powinien ten jeden ostatni raz wrócić do przeszłości, żeby móc na poważnie zabrać się za szukanie żony i układanie sobie życia. - Powiedziałbym, że nie miałeś wyboru. Sam mi mówiłeś, że Merry świata za Jackiem nie wiedziała, od kiedy była w powijakach.

- W porządku, Brady. - Kipp opróżnił kieliszek. - Jeśli masz mnie męczyć, aż ci powiem, równie dobrze mogę wszystko z siebie wyrzucić za jednym posiedzeniem.

- Ja? Męczyć ciebie? No, no, jestem urażony, Kippie. Tak, zdecydowanie urażony. - Brady wyszczerzył zęby w uśmiechu, przyciągnął bliżej krzesło i oparł się łokciami o porysowany blat. Świece palące się na okrągłym żyrandolu tuż nad ich głowami rzucały złote refleksy na jego ciemnobrązowe włosy, ciemne oczy zdawały się niemal tańczyć. Przystojna, pociągła twarz o niezbyt regularnych rysach przybrała wyraz pełnego przebiegłości zadowolenia, jakie zdarza się widywać u kieszonkowca na Piccadilly Circus w momencie, gdy chowa do kieszeni najnowszy łup. - Proszę, mów dalej.

- Wiesz, Brady, jesteśmy siebie warci. Albo to, albo zdamę się z tobą, żeby samemu ukarać się za życie w grzechu, najczęściej dość przyjemnym.

- Ale przyznasz, że jesteśmy w tym całkiem nieźli, co? W grzeszeniu, znaczy się.

Kipp uśmiechnął się szeroko, niczym psotny archanioł rozbawiony dokazywaniem czarta.

- Pewnie tak. A teraz, jeśli zamkniesz się bodaj na chwilę, będę mógł ci opowiedzieć o liście od Jacka, który dostałem w zeszłym tygodniu. Szedł prawie trzy miesiące.

- Doprawdy? - Brady wziął kolejny łyk wina, widząc, że skóra wokół ust przyjaciela zbielała, tak mocno zacisnął usta. - Píše o miejscowej florze i faunie, interesujących ludziach, jakich poznali, o planach przywiezienia ci w darze kukurydzy, tytoniu i tkanych koców, które zamierzają złożyć u twych stóp po powrocie?

- Niekoniecznie. Proszę, żebym został ojcem chrzestnym ich pierworodnego. Dziecka, które zapewne przyszło już na ten świat, jako że w każdej chwili oczekiwali jego narodzin.

Brady syknął, jakby go coś zabiło, odchylił się w krzesło i czekał na dalszy ciąg opowieści Kippa.

- I zgodzę się. Dlatego, że życzę im obojgu szczęścia, na które zasługują. To nigdy nie ulegało wątpliwości, Brady. Uważam jednak, że zarówno Jack, jak i Merry będą o wiele szczęśliwsi, jeśli ożenią się przed ich powrotem z Ameryki, a zatem w ciągu najbliższego miesiąca czy dwóch. Musi ich krępować myśl, że usycham z żalu na moich włościach, zaledwie o rzut kamieniem od ich szczęśliwego domu, ja, wyzuta z egoizmu ofiara nieodwzajemnionej miłości. Ej - zawołał do kelnerki - jeszcze jedną butelkę, jeśli łaska!

Brady milczał, rozdarty między wyrzutami sumienia, że sprowokował Kippa do tak trudnej dla niego rozmowy, a zadowoleniem, że nareszcie udało mu się wyciągnąć zwierzenia ze skrytego zwykle przyjaciela.

- Czyli dostałem w końcu odpowiedź, którą znałem już wcześniej, a której mimo to nie spodziewałem się usłyszeć. Jakimikolwiek kłamstwami tak zręcznie do tej pory raczyłeś mnie i siebie samego, tak naprawdę szukasz żony, ponieważ Merry będzie szczęśliwsza, wierząc, że ty jesteś szczęśliwy.

- Coś w tym guście, Brady, owszem. A że przychodzi

mi do głowy tylko jedno rozwiązanie, nie pozostaje mi więcej niż kilka tygodni na znalezienie żony - przyznał Kipp, a następnie ponownie popadł w milczenie.

Brady wiedział, że nie musi niczego dodawać, że Kipp zaprzagnął w końcu, Bogu dzięki, odciąć się od przeszłości. Bądź co bądź się przyjaźnili.

Myśląc o tym wszystkim, spróbował rozładować ponurą atmosferę, jaka zawisła nad stolikiem.

- W takim razie, przyjacielu, wróćmy do tej malej blondyneczki którą wczoraj przelotnie widzieliśmy w Hyde Parku. Do tego aniołka z ogromnymi błękitnymi oczami. Zamierzam oddać ci wielką przysługę i dowiedzieć się, jak się nazywa, zrobić mały rekonesans. Co więcej, zdaje mi się, że przy odrobinie szczęścia powinniśmy ją zobaczyć jutro wieczorem na balu u Selbourne'ów. A nawet gdyby się tak nie stało, wiemy przynajmniej, że Sophie i Bram zafundują nam wieczór pełen wrażeń. Bram mówił mi niedawno, bodaj w ubiegłym tygodniu, że u nich w domu panoszy się kolejny zapchłony małąpizson - widać Giuseppe potrzebował towarzystwa.

- A tak, droga Sophie i jej menażeria. Dalej nie wiem, co ona widzi w naszym przyjacielu Bramie, a ty? Jak mu nieustannie powtarzam, całe szczęście, że ich córka jest podobna do Sophie. Ale mam szczerą nadzieję, że nie zmitręzysz zbyt wiele czasu, szukając stworzenia równie doskonałego jak nasza uroczą księżna, Brady. Osobiście nie sądzę, żeby istniała druga taka kobieta. Nie jestem zresztą przekonany, czy w ogóle chciałbym, żeby to była taka piękność, chociaż przyznaję, że z przyjemnością przyglądałem się temu słodkiemu jasnowłosemu cukiereczkowi z Hyde Parku.

- Ale zachodzi możliwość, że jest nazbyt ładna? To chcesz powiedzieć? Teraz to już zupełnie ciebie nie rozumiem, kolego. No dobrze, nie nazbyt ładna, skoro tak sobie życzysz. Ale ze zdrowymi zębami, pamiętaj - zastrzegł się Brady i wyszczerzył w uśmiechu własne, proste i tak białe, że aż lśniły. - Obawiam się, że w tym punkcie będę

musiał być nieustępliwy. Tylko czy jesteś absolutnie pewien, że oszałamiająca piękność bardziej by ci nie odpowiadała? No wiesz, skoro ci tak ci spieszo założyć obrączkę na palec, to czemu by nie?

- Ponieważ nie interesuje mnie następna Sophie czy Merry Coltrane, jeśli mam być zupełnie szczery. A już z całą pewnością nie szukam małżeństwa dla miłości czy choćby dla kobiecej urody. Po prostu chcę żony, która da mi następcę zgodnie z życzeniem mojej matki, a później zajmie się swoimi sprawami, a mnie pozostawi moje. Myślę, że to wystarczająco dobry powód, nie uważasz?

- Skoro tak mówisz, przyjacielu - mruknął Brady i niezwłocznie okrzyknął się w duchu jedynym człowiekiem w całej Anglii, który ma racjonalne przesłanki, by mniemać, iż uda mu się odegrać rolę Kupidyna wobec Kippa Rutlanda z jego pragmatycznymi poglądami na sprawy mariażu. Mogło mu się zdawać, że chce małżeństwa z rozsądku, że trzeba mu posłusznej, uległej, prawie że niewidzialnej małżonki, lecz Brady wiedział swoje.

A potrzebna mu była, jak uznał Brady, kobieta, która porządnie zalazłaby mu za skórę, umiała doprowadzić go na skraj obłędu i szaleńczo, namiętnie i bez ratunku rozkochała w sobie na przekór niemu samemu.

Teraz pozostawało mu jedynie ustalić tożsamość owej młodej blond piękności z parku, zająć Kippem jej najprawdopodobniej wolne serduszko, a przy okazji udowodnić jemu samemu, że szukał przyszłej żony w całkowicie nieodpowiednich ku temu miejscach - następnie rozgryźć, gdzie owo odpowiednie miejsce... odpowiednia młoda kobieta... w rzeczywistości się znajduje.

Z poczuciem, że wreszcie znalazł się na właściwym kursie, hrabia Singleton ujął w dłoń butelkę, którą przed chwilą przyniosła kelnerka, i napełnił puste kieliszki. Od tej chwili wszystko miało zmierzać w dobrym kierunku, ku przyszłości, w której Kipp - ze wsparciem Brady'ego, za-

wsze skorego, by służyć pomocą - znajdzie w końcu następną godną miłości kobietę. Bolesny temat Jacka i Mer-ry Coltrane'ów i ich szczęśliwego małżeńskiego pożycia miał odejść w niepamięć.

- Abby? Abby, skarbie, to ty? Pewnie, że ty. A któżby inny. Chyba że jakiś włamywacz, a w takim wypadku muszę cię ostrzec, panie włamywaczu, że nie ma w tym domu niczego, co daje się ukraść, a więcej jest warte niż parę pensów. Abby? Zajrzyj no tutaj, chodź, chodź! Twój wujasz-kowie wpadli właśnie na wyśmienity pomysł!

- O nie, błagam, tylko nie to. Uchowaj Bóg przed kolejnymi „wyśmienitymi pomysłami” wujaszków - smętnie mruknęła pod nosem Abby, podając pelisę i czepek zapominalskiej Edwardine, ta zaś tanecznym krokiem popędzi-ła na górę, by krótkowzrocznymi oczami przestudiować swoje odbicie w lustrze. - Ty tchórz! - zawołała bez przekonania w ślad za bratanicą męża, następnie przygładziła swoje gęste, jasne włosy, i tak niemiłosiernie już ściągnię-te w uroczysty kok przed przejażdżką na Bond Street, wyprostowała szczupłe plecy i weszła do niezbyt schludnej bawialni, którą, niestety, należało uznać za najokazalsze pomieszczenie w niewielkim domu wynajmowanym przez ich rodzinę na Half Moon Street.

Oczywiście, wujowie już czekali. Niemal stykali się głó-wami, na których ponad nierównymi, siwymi grzywkami odznaczała się coraz większa łysina, siedząc tuż obok siebie na strzępiącej się jaskrawo różowej narzucie, spod której wy-zierało wypłowiałe lawendowe obicie sofy. Siedzieli i gratu-lowali sobie wzajemnie najnowszego przebłysku geniuszu.

A także całkowicie ignorowali jej wejście, choć nie kto inny, a wuj Dagwood zawołał ją przed paroma sekundami.

Typowe. Bliźniacy Backworth-Maldon żyli we własnym, raczej osobliwym świecie, i stan ten trwał od zawsze. Abby powinna poczytywać sobie za szczęście - aczkolwiek

opinie w tej kwestii były podzielone - że w ogóle o jej istnieniu pamiętali.

Podczas gdy obaj panowie na zmianę szczerzyli zęby, chichotali i radośnie kończyli rozpoczęte przed brata i wygłaszane szeptem zdania, Abby opadła zrezygnowana na drugą sofę, lustrzane odbicie tej, na której prezydiowali wujowie, oddzielonej przekrzywionym okrągłym stolikiem. Nalała sobie filiżankę wystygłej herbaty i z czułością obserwowała szwagrów, na ich wyraźne żądanie nazywanych w rodzinie „wujaszkami”.

Oklepane powiedzenie „podobni jak dwie krople wody” nie przystawało idealnie do Dagwooda i Baileya Backworth-Maldonów, ale też i niewiele mijało się z prawdą.

Dobrze już po pięćdziesiątce, bliźniacy zawsze od stóp do głów odziewali się identycznie. Nieszczęśliwym zaś zbiegiem okoliczności gusta, co się tyczy garderoby, obaj mieli fatalne.

Łączyły ich potężne łysiny i rzadkie, szarawe włosy, zapuszczone w grzywkę na wzór mnisi, niewysoka postura (mierzyli zaledwie dwa cale więcej niż Abby, a ona miała pięć stóp i trzy cale wzrostu). Mieli smętnie wykoślawione palce u stóp, skłonność do kataru i słodkiego niemal do mdłości pachnidła, którego, jeśli wierzyć nosowi, dzień w dzień wylewali na siebie przynajmniej pokaźne wiadro.

Dagwood był cięższy o dobre czterdzieści funtów, co stanowiło jedyny powód, dla którego Abby umiała odróżnić braci od siebie z jakąkolwiek pewnością. Jakież to dziwne, żeby jeden z bliźniaków żywił namiętne upodobanie do słodocy, tymczasem drugi stanowczo przedkładał nad nie warzywa i, jak to nazywał, „pochwały godną dietę, korzystną dla jelit i pozbywania się złych humorów itepe”.

Jeden krępy, drugi chudy jak szczapa, nie tyle wyglądałi jak dwie monety o tym samym nominale, co, zdaniem Abby, stanowili żywą ilustrację starego powiedzenia „do grosza grosz, aż napełni się trzos”. Bailey był groszem, Dagwood pękatym trzosem.

Trzosem pełnym groszy, niestety, i taką właśnie realną, namacalną wartość miał majątek każdego z bliźniąt Backworth-Maldonów z osobna i całej rodziny Backworth-Maldon razem wziętej.

Backworth-Maldonowie, za najlepszych czasów nie dalej niż o włos od szlacheckiej biedy, w najcięższe tarapaty popadli cztery lata temu. Stało się to wkrótce po ślubie Abby z najmłodszym bratem bliźniaków, Harrym, mniej więcej w tym samym czasie, gdy ojciec Edwardine, Chester, zmarł na zapalenie płuc, w które przerodził najzwyklejszy katar, jakiego nabawił się owego deszczowego lata.

Harry ponosił winę za utratę niewielkiego majątku, jakim dysponowała niegdyś rodzina, Abby zaś od czterech lat - z których ponad trzy już jako wdowa - żyła w poczuciu, że musi wynagrodzić bliskim jego skrajną głupotę - i to poczucie stanowiło całą jej schedę po mężu.

Chociaż nawet gdyby chciała, nie miałyby dokąd pójść ani czym się zająć. Wdowy, którym stuknął dwudziesty trzeci rok życia, za wszystkich krewnych mające tych opisanych powyżej i bez widoków na przyszłość, tak w sensie matrymonialnym, jak i finansowym, skazane były, jak się zdaje, na pełnienie roli filaru w rodzinach równie niewydarzonych jak ta, w którą weszła Abby jako pełna wielkich nadziei i zaślepiona panna młoda.

Jakby tego było mało, Abby najzwyczajniej ich kochała. Wszystkich bez wyjątku: Edwardine, jej ustawicznie nękanego przez pech, niezaradnego brata Ignatiusa, Hermione, wdowę po Chesterze, szwagrów. Och, niech będzie, jeden wyjątek by się znalazł. Serdecznie nie znosiła należącego do Hermione pudła o imieniu Pieszczuś. Ale też nikt, kto ma bodaj odrobinę oleju w głowie, by się temu nie dziwił.

Abby pierwsza dostrzegła możliwość finansowego odrodzenia rodziny w osobie szybko dorastającej, czy raczej rozkwitającej, Edwardine. To dziecko mogło zrobić dobrą partię, i to bez wielkiego wysiłku. (Spraw, Panie, by to nie wy-

magało wysiłku, bo Edwardine ograniczała się do egzystowania na tym świecie raczej niż brania udziału w jego sprawach. I Boże broń, by musiała cokolwiek brać w swoje ręce).

Pomimo drobnych mankamentów plan był dobry i - Abby trzymała kciuki - do wykonania. Korzystny mariaż z człowiekiem szanowanym i obdarzonym równie godnym szacunku majątkiem pomógłby rodzinie Backworth-Maldonów ponownie napełnić pustą kiesę. To z kolei, przy odrobinie szczęścia, położyłoby kres czteroletniej kampanii Dagwooda i Bailey'a mającej na celu odzyskanie utraconej „fortuny”.

Fortuny, z powodu której - jeśli Abby znała szwagrów choć trochę - została przed chwilą wezwana do bawialni.

Odstawiła pustą filiżankę i chrząknęła dyskretnie, starając się zwrócić jakoś uwagę wujów.

Podobne subtelnosci zazwyczaj nie przynosiły skutku i nie inaczej stało się tym razem. Wujowie byli tak dalece pochłonięci rozmową, że obecność Abby po prostu im umknęła.

- Powiadam ci, Dagwoodzie, to się uda. Daję głowę. Dość intryg, dość planów, co pała się na panewce, wysiłków, żeby tego człeka na tyle zawstydzić, żeby postąpił jak należy. Zmasowany atak, oto czego trzeba.

- On zabrał...

- ... my odbierzemy.

- Nocą, szmatami owinie się kopyta, na twarzach maski...

- ... komu trzeba, w rękę wciśnie się monetę czy dwie, ktoś na chwilę odwróci głowę...

- ... najlepiej w stronę ściany, i wiesz co?

- ... rachuciachu, i już nas nie ma...

- ... byliśmy, ale się zmyśliśmy...

- ... cali i zdrowi...

- ... a o świecie dyndamy na szubienicy! - dokończyła Abby, w końcu skupiając na sobie uwagę szwagrów. - Czyście obaj oszaleli? Chcecie strugać bohaterów i wykraść tę swoją tak zwaną „fortunę” sir Thurstonowi? To dlatego zgo-

dziliście się na przyjazd do Londynu? To dlatego dosłownie zabijam się, żeby wydać za mąż waszą bratanicę, zanim ktoś nią przypadkiem potrząśnie i przekona się, że jej śliczna makówka jest tak pusta, że aż w niej coś grzechocze? Po to, żebyście mogli we dwóch ukraść byle konia?

- Nie „byle konia” - wymamrotał z urazą Bailey w wymiętą krawatę, stanowiącą namacalny dowód jego zwyczaju spożywania w porze obiadu talerza zupy marchewkowej. - Backworth's Prize to medalista, i nie zapominaj o tym, moja mała. Bracie, powiedz jej.

- Wygrał Newmarket, i to dwukrotnie! - podkreślił Dagwood, och, chyba po raz tysięczny w ciągu czterech ostatnich lat, choć to jedynie przybliżona liczba. Faktem było, że gdyby Abby zliczyła wszystkie te razy, gdy raczono ją opowieściami o chlubie Backworthów, gdyby zsumowała wszystkie te godziny, kiedy musiała wysłuchiwać niekończących się tyrad, okazując na dodatek należyte zainteresowanie, najpewniej targnęłaby się na swoje życie.

- Wygrał w pięknym stylu, bezkonkurencyjne - wpadł mu w słowo Bailey, a w jego wodnistych niebieskich oczach pojawił się blask. - Daliśmy go na reproduktora, oto cośmy zrobili, i dzięki niemu przez trzy lata mieliśmy co do gęby włożyć.

- Dopóki Harry...

- Tak, tak, wiem - odparła Abby z westchnieniem. - Dopóki mój zmarły mąż nie przegrał go do sir Thurstona Longhope'a, który waszym zdaniem oszukiwał przy kartach, choć oczywiście nie macie na to żadnych dowodów, jak pozwolę sobie przypomnieć.

- Mniejsza z tym. Harry opił się dżinu jak bąk, nie myślał trzeźwo, a Longhope to wykorzystał.

- Straszne, ale prawdziwe, Bailey - potaknął Dagwood. - Każdy wiedział, jaki z Harry'ego cholerny pijus - wybacz, Abby. A w ogóle to Backworth's Prize nie należał do Harry'ego, żeby mógł go sobie w karciochy przegrywać. Myśmy

mieli prawo, żeby go przegrać, jako najstarsi, a przecież myśmy do stołu z tamtym człowiekiem nie siadali, nieprawdaż?

- Choć sam Longhope wcale się tym nie przejmował, co to, to nie. Zakradł się do naszego domu jak złodziej, pozabawił nas fortuny, kiedy byliśmy zajęci pogrzebem Chestera, a Hermione doprowadzała nas niemal do obłędu swoimi spazmami i histerią, a przecież za życia Chester funta kłaków by za nią nie dał...

- ... a wszystko to właśnie wtedy, kiedy nauczyliśmy się żyć w cieniu niezliczonych plotek, jakie gruchnęły po śmierci biedaczyska Harry'ego, i to w tak krępujących okolicznościach. Nie zapominaj o tym.

- Straszne, ale prawdziwe, Bailey. Zadyndać na własnej krawatce jak kurak na sznurku, czmychając po rynnie z buduaru lady Stanton. Wyobraź sobie widok, jaki powitał dobrych ludzi z Mayfair następnego ranka: Harry kołyszący się na wietrze jak flaga, z językiem bez wątpienia fioletowym i wysadzonym na wierzch, bryczesami nadal do połowy wciągniętymi na maszt - dokończył za brata Dagwood, po czym z głupią miną łypnął na Abby. - Ale nie będziemy o tym wspominać, prawda?

- Nie, naturalnie, że nie - odparła Abby z wymuszonym uśmiechem. Nie umiała już odczuwać zażenowania wobec wyczynów zmarłego męża, jego przygnębiająco publicznego końca. Złościł ją tylko fakt, że jako wrażliwa dziesiętnastolatka była dość głupia, by uważać go za wspaniałego człowieka - do chwili, gdy przegrał jej niewielki posag i odkrył, że żona obchodzi go tyle, co szesťoroczny śnieg. - Nie będziemy o tym wspominać. Nadmienimy jednak, że kradzież ogiera rozródowego pierwszej klasy ze stajni sir Thurstona w Wimbletonie...

- Jak również wszelkiego potomstwa, jakiego nasz ogier dochował się w owych stajniach - przerwał Dagwood. - Wszystko to należy do nas, tytułem krwi. Przejazdka do Wimbletonu niedługa, poza tym nie ma komu nas zoba-

czyć, skoro Longhope koczuje tu na Berkeley Square przez cały sezon. W trzy miga dałoby się obrócić w tę i z powrotem, a potem do domu, do Syston, skoro świt.

Abby przyglądała się bliźniakom spokojnie, ale wyraz jej twarzy sprawił, że zamilkli.

- Jak już mówiłam - kontynuowała z uniesioną brodą i przez zaciśnięte zęby - nic z tego. Po pierwsze, to się wam nie uda. Po drugie, gdyby się nawet udało, sir Thurston od razu wiedziałby, kto okradł jego stajnię, prawda? Ukraść konia - konie - o północy, sprowadzić je tutaj, a w porze śniadania siedzieć już w areszcie. Tego właśnie chcecie? Chcecie udowodnić, że bijecie Harry'ego pod względem skrajnej głupoty?

- No i? Do Syston wyruszamy bezpośrednio z Wimbledonu, pod osłoną nocy, kierujemy się na północ...

- ... bułka z masłem. Dzięki, że podsunęłaś nam tę myśl, Abby, serdeczne dzięki. Zawsze mówiłem, że masz głowę na karku.

- I zamierzam dopilnować, by tam pozostała. Nie mówiąc już o trzymaniu tegoż karku z dala od wszelkiego rodzaju powrozów. - Dźgnęła powietrze palcem wymierzonym w jednego z wujów, następnie w drugiego, po czym dla większego efektu jeszcze nim pokiwała. - Powiedziałam nie. Nie ukradniecie tego konia. Proszę mi obiecać, że nie będziecie się dłużej nad tym zastanawiać i będziemy mogli skoncentrować się na całym majątku, jaki wam pozostał: Edwardine. Zgoda?

Bracia wymienili spojrzenia, które w ich mniemaniu bez wątpienia zaliczały się do konspiracyjnych oraz takich, których Abby przenigdy nie przechwyci, wzruszyli ramionami i przeprosili wylewnie.

- Zarzucimy ten plan, Abby, skarbie - przyrzekł następnie Dagwood, Bailey zaś pokiwał uroczyście głową. - Zarzucimy, nigdy nie weźmiemy się za następny i będziemy wzorcowymi wujaszkami, którzy przyjechali do miasta cieszyć się sezonem i wydać za mąż swoją ukochaną bratanicę.

- Akurat! Oczywiście, że nie odstąpicie od tej bzdury - zaperzyła się Abby i skoczyła na nogi, by móc z góry spiorunować ich wzrokiem - choć nie spodziewała się, by jej furia wywarła na nich jakiegokolwiek wrażenie. - Byłabym głupia, sądząc inaczej. Proszę jednak, abyście mi obiecali, że nie omieszkacie informować mnie o owocach waszego natchnienia, jak tylko się pojawią, dobrze? Dzięki temu reszta domowników będzie mogła cieszyć się luksusem, jakim jest wiedza, że przedstawiciele prawa zaczną niebawem dobijać się do naszych drzwi, żeby zakuć nas wszystkich w kajdanki, zanim to jeszcze nastąpi.

- Takie kochane dziewczuszysko...

- ... takie troskliwe, takie...

- ... wspaniałe. Otóż to, wspaniałe. Niemniej to byłaby taka wielka frajda...

- Nie - przerwała Abby z naciskiem.

- ... uczernić twarz, mknąć przez kraj o północy...

- ... zakraść się do stajni...

- Och, och, och...! Przestańcie.

- ... na paluszkach do środeczka, odszukać naszego konika...

- Powiedziałam nie, panowie! N-I-E, nie!

- Jak już mówiliśmy, takie kochane dziewczynisko...

- ... zawsze się troszczy o nasze dobro. Chodźże tu, Abby, ucałuj swoich wujaszków!

Abby pokręciła głową, uśmiechnęła się i pogodziła z tym, co nieuniknione. Cmoknęła jeden pyzaty policzek, drugi zapadnięty i pozwoliła, by wujowie zrewanżowali się tym samym. Następnie znów spoważniała. Bóg świadkiem, że ktoś tu musiał być poważny, inaczej cała rodzina dawno już poszłaby z torbami.

- A teraz, panowie, przypominacie sobie zapewne, że wszyscy jesteśmy zaproszeni na małą kolację dziś wieczorem. To nasze pierwsze i póki co jedyne zaproszenie, od kiedy przeprowadziliśmy się do miasta. Nie sądzę, bym musiała wam powtarzać, jak ważne jest, żebyśmy wywar-

li jak najlepsze wrażenie na hrabim Hundleyu i jego małżonce. Pozostaje jedynie trzymać kciuki, by to zaproszenie pociągnęło za sobą następne. To sprawa pierwszorzędna, panowie, jeśli mamy z powodzeniem wprowadzić Edwardine w towarzystwo.

- Hundley - chrząknął Dagwood. - Prawdopodobnie poprosi o zwrot tamtych stu funtów, które pożyczyłeś od niego rok temu. Człęk nie umie się zachować, nie zna czasu ani miejsca. Uważaj, bo będzie cię chciał zapędzić w kozzi róg. Wiesz...

- ... stać na palcach...

- ... i trzymać się blisko pań...

- ... czujnie, żeby w razie czego schować się za spódnicą Hermione, pojmujesz mnie?

Abby westchnęła, zastanawiając się, jakąż to wielką zbrodnię popełniła, że spotyka ją taka kara.

- Proszę was o trzy rzeczy, drodzy wujowie. Po pierwsze, bądźcie na czas gotowi do wyjazdu, żebyśmy nie musieli bardziej rujnować się na dorożkarza niż to konieczne. Po drugie, jeśli obecny będzie sir Thurston Longhope, a z całego serca modlę się, żeby tak się nie stało, niech żaden nie waży się nazwać go złodziejem prosto w twarz - czy za plecami! Mogę trzymać was za słowo?

Bailey, który nigdy nie mógł pretendować do tytułu eksperta, gdy w grę wchodziła matematyka, skinieniem głowy wyraził swoją zgodę.

Dagwood jednak zmarszczył brwi, po czym zapytał:

- Mówiłaś przecież, że będziesz miała trzy prośby, Abby. Chyba o czymś zapomniałaś?

Chciała jak najszybciej wyjść z bawialni, żeby popędzić na górę i zagnać Edwardine do kąpieli, ale uśmiechnęła się jeszcze.

- Ach, tak. To, co zwykle, wuju Dagwoodzie - powiedziała. - I o ile się nie mylę, dzisiaj wypada kolej Iggy'ego. Niech zamknie Pieszczusia w jakiejś szafce, żeby *mamu-*

sia nie zawlokła tego jazgotliwego czworonożnego lejka z nami na kolację.

3

Brady stał oparty o filar i patrzył, jak Kipp pochyla się nad dłonią piegowatej debutantki, która od dłuższego czasu przestępowała z nogi na nogę w kącie sali balowej Selbourne'ów.

Baron Willoughby, jak wiedział Brady, był typem gościa, o jakim marzy każda gospodyni. Majętny, towarzyski, dowcipny i chętnie zapraszający do tańca wszystkie te biedulki, które podpierały zwykle ściany albo przesiadywały beczynn timer na obrzeżach parkietu.

I to wcale nie dlatego, by starał się być miły czy uprzejmy. Kipp szczerze lubił londyńską socjetę, jej dziwactwa, rozrywki i słabostki, i od lat spędzał w metropolii tyle czasu, ile tylko się dało. Znano go wszędzie, uważano za znakomitego kompana, jeśli nawet niekiedy nieco postrzelonego, i gdyby skłonność do egzaltacji leżała w naturze Brady'ego, mógłby stwierdzić, że Kipp nie ma na tym świecie ani jednego wroga.

Dlaczego? To proste i Brady nie musiał się nad tym pytaniem długo zastanawiać. Kipp dawno już stwierdził, że jest o wiele szczęśliwszy, będąc szczęśliwym. W dodatku łatwiej było wybrać szczęście; niewątpliwie łatwiej niż wówczas, gdyby przyszedł na świat jako syn szczurołapa. Kipp bynajmniej nie krył swej wielkiej wdzięczności wobec losu, który obdarzył go majątkiem, wygodnymi posiadłościami, rezydencją na Grosvenor Square czy przyjemną aparycją.

W towarzystwie postrzegano go jako dobrze ubranego we-

solka, skorego do śmiechu i wolnego w gniewie. Urodzonego flirtarza, przechodzącego lekko od kobiety do kobiety, nigdy nie nawiązującego poważnego związku, ale też nie pozostawiającego za sobą łyzy w oku, gdy równie gładko odchodził od jednej, jak wpadał w wyczekujące ramiona następnej.

W skrócie rzecz biorąc, ludzie z towarzystwa postrzegali Kippa Rutlanda, barona Willoughby, dokładnie tak, jak tego sobie życzył.

Brady wiedział swoje, znał prawdziwego Kippa tak dobrze, jak tylko można było go poznać. Wiedział, że w rzeczywistości Kipp diametralnie różnił się od wizerunku, jaki stworzyli mu inni, czy nawet on sam. Owszem, był z gruntu pogodny, pełen wrodzonego optymizmu. Jednakże od urodzenia cechował się także sceptycyzmem i nigdy nie dał się wystrychnąć na dudka, jeśli nawet pozwalał czasem, by uważano inaczej.

I szczęśliwy, i smutny zarazem, żartobliwy, a zarazem poważny. Czasem nierozsądny, czasem zaś zgoła mędrzec. Umiał grać błazna, lecz i zmieniać się w filozofa. Interesował się ludźmi, a mimo to sam otwierał się rzadko i tylko w kontaktach z najbliższymi przyjaciółmi - a niekiedy nawet i wtedy nie.

Zaiste, myślał Brady, przykładając do oka monokl i szukając wzrokiem drobnej blondynki zauważonej w Hyde Parku, jego przyjaciela można by nazwać najbardziej skomplikowanym „nieskomplikowanym” człowiekiem, jaki kiedykolwiek zaszczycił swoją obecnością salę balową Selbourne’ów.

Oprócz samego Brady’ego, naturalnie...

Abby przez ostatnie pół godziny gratulowała sobie w duchu, że ani razu nie wlepiła oczu we wspaniały, wysoko sklepiony sufit sali balowej Selbourne’ów ze zdławionym okrzykiem: „Ach, jakie чудо!”

Gdy bowiem niewidoczna gołym okiem Abby - parwienuszką siedziała z rozdziawionymi z podziwu ustami, poże-

rając wzrokiem pokryty malowidłami sufit, kapiące od sztukaterii ściany, eleganckich lordów i damy przybierających dystyngowane pozy i stroszących piórka, ta przytomna, rozsądna, wręcz przebiegła Abby rozumiała dobrze, iż sala balowa stanowi najzwyczajsze targowisko matrymonialne i że wręcz prosi się o to, by wyeksponować w niej śliczną Edwardine.

Zaproszenie na bal u Selbourne'ów przyszło dopiero dziś rano, czy też raczej dostarczył je uśmiechnięty młody człowiek w doskonale skrojonej liberii, a towarzyszyły mu pisemne przeprosiny księżnej, że wysyła je tak późno.

Jak gdyby Abby mogła poczuć się urażona faktem, że nadarza się jej taka znakomita okazja.

Skromnej kolacji, w której uczestniczyli poprzedniego wieczoru Backworth-Maldonowie, nie sposób było uznać za udaną. Nie sposób, hrabia bowiem czynił aluzje do wysokich cen potraw, ilekroć któryś z gości odważył się włożyć do ust choćby jeden kąsek, później zaś słał zaszępione spojrzenia pod adresem wuja Bailey'a, dopytując się, czy jego marynarka to aby nie nowy nabytek.

Żenująca, oto jakim mianem należało określić ową kolację. W dodatku, jak nietrudno było zgadnąć, jedynym powodem, dla którego w ogóle zostali zaproszeni, było umożliwienie hrabiemu niestrudzonego dopominania się o zwrot tamtych przeklętych stu funtów.

Doprawdy przykra sprawa, uwzględnwszy fakt, iż zaproszenie od barona było jedynym wartym wzmianki, jakie zaszczyliło popękana marmurową półkę nad kominem w domu przy Half Moon Street.

Do czasu, rzecz jasna, gdy księżna Selbourne wezwała ich na swój bal.

Domek przy Half Moon Street zmienił się w istny dom wariatów. Abby dosłownie wpełznąła do wanny sparalizowaną z przejęcia Edwardine, wyszorowała tę jej złotą burzę loków, aż załśniły, po czym posłała ją na małą drzemkę. Sama tymczasem weszła w rolę pokojówki i wypraso-

wała najlepszą sukienkę małej, błagając wujów, bez powodzenia z resztą, by ubrali się w cokolwiek, byle nie te różowe satynowe marynarki i bryczesy.

Hermione z kolei udała się do łóżka na pełne dwie godziny, z ustami wydętymi jak u obrażonej dziewczynki, rozżalona na Abby, która z miejsca ucięła wszelkie dyskusje na temat, gdzie spędzi wieczór Pieszczuś.

Całe to bieganie z kąta w kąt, nerwowa krzątanina i próby zorganizowania wybitnie niezorganizowanej rodziny pozostawiły Abby niecałe pół godziny na własną kąpiel w mniej niż letniej wodzie. Jeszcze mniej czasu zostało jej na zamartwianie się myślą, że jej najlepsza suknia - trzyletnia, albo i lepiej - nadal spoczywała w jednym z kufrów i bez wątpienia strasznie się pogniotła.

Odziana już w niemodną, przyżółkłą i zdecydowanie wymiętoszoną suknię, z wilgotnymi jeszcze włosami upiętymi w kok, zdołała jakoś zgromadzić wszystkich na dziesięć minut przed czasem w westybulu, gdzie zaczęli na pojawienie się dorożki.

Po przybyciu wujowie z miejsca pognali do jednej z sal karcianych, bez wątpienia w nadziei pożyczania więcej pieniędzy od pierwszej lepszej, niczego nie przeczuwającej duszyczki, która nie słyszała o skandalu, w którego oparach panowie Backworth-Maldonowie utracili swą „fortunę”.

Na Ignatiusa, niestety, także nie można było liczyć. Pojawiał się i znikał, z wypomadowanymi włosami blond, wbity w zabójczo wąski w pasie wyjściowy surdut, podkreślający drobną, smukłą sylwetkę, drepcząc za co ładniejszymi pannami służącymi, krzątającymi się do rezydencji - wydawało się Z resztą, iż jego wybujałe romantyczne zapędy zawsze skłaniały się w kierunku służby.

Edwardine natomiast bawiła w najdalszym kącie sali ballowej, otoczona ciasnym wianuszkiem wielbicieli. Abby nie odczuwała szczególnej pokusy, by przedrzeć się przez ten tłumek, roztrącając łokcie i bąkając przez zaciśnięte

usta zdawkowe przeprosiny, by móc później w nagrodę wysłuchiwać oklepanych komplementów, którymi śliczna panna była już zapewne obsypana na wysokość dobrych trzech stóp od swoich nieprzyzwoicie wręcz drogich wsuwanych wieczorowych pantofli.

Owszem, oczywiście martwiła się, że Edwardine palnie coś głupiego i całkowicie niestosownego, ale też sądząc z min zebranych wokół niej panów, żaden nawet by tego nie zauważył. W dodatku wujowie zdążyli zrobić szybki rekonesans i zapewnili ją, że żaden z rozanielonych młodych amantów nie miał dość grosza przy duszy, by bodaj w żółwym tempie kierować myśli ku małżeństwie, a co dopiero przypuścić matrymonialną szarżę.

Co oznaczało, jak pozwalały mniemać rzucane szeptem przez wuja Dagwooda jego błyskotliwe przemyślenia, iż owych młodzieńców, zapewne wiedzących już, że rodzinie Backworth-Maldon daleko było do wypłacalności, interesowało ciało Edwardine, to fakt, ale niekoniecznie jej ręka.

- Pamiętam, że i ja nie byłem od tego za szczenięcych lat - wyznał wuj Dagwood, zionąc nie taką znów niemiłą wonią mięty i dżinu. - Te zdesperowane były zawsze takie chętne. Ale głowa do góry. Tutaj nic niestosownego stać się nie może, po prostu nie wypuszczaj jej na balkon, pojmujesz mnie?

Ze słowami wuja wciąż rozbrzmiewającymi jej w uszach i nieszczęśliwie nimi podniesiona na duchu, pogodziła się z myślą, że musi wziąć się w garść i sprawdzić, co u bratanicy. Nawet jeśli wołałaby zapomnieć na ten jeden jedyny wieczór, że przyszła na bal Selbourne'ów, by pilnować rodzinnej menażerii, a nie w roli debutantki.

Prawdę powiedziawszy, Abby nie zależało na tym, by bodaj minutę dłużej przesiadywać obok szwagierki, która raźnie uskarżała się na przeróżne bóle i dolegliwości, sącząc przy tym, jak się zarzekała, czystą wodę, która, o czym Abby świetnie wiedziała, była w rzeczywistości dżinem. Co prawda Hermione wżeniła się do rodziny Back-

worth-Maldonów, niemniej łączyła ją ze szwagrem Harrym pewna fatalna skłonność, objawiająca się w wyborze napojów orzeźwiających.

W najpiękniejszej karafie, podany w kryształach, pod nazwą Holland's czy też Geneva, jako Szewski Poncz czy Pokrzepiacz Serc, pozostawał tym samym - trunkiem ukochanym przez nieszczęśników wegetujących w obskurnych czeluściach Londynu. Ci, dla których los był mniej łaskawy, nazywali dżin Ostatnią Zmianą, Korbą, Raz a Dobrze czy nawet Golo i Wesoło, płacąc pół pensa za szklanicę. Mocny trunek, a Hermione zachowywała się tak, jakby istotnie piła wodę i, jak się zdawało, była równie niewrażliwa na jego działanie jak na niewygodę słoń, który przypadkowo usiadł na mrówce.

- Tęsknię za Pieszczusiem - oznajmiła Hermione, wydymając usta i wzdychając rozdzierająco. Westchnienie to uwolniło chmurę oparów dżinu, które owionęły Abby, tak że poczuła się zmuszona do rozłożenia wachlarza i zacieklego trzepotania nim tuż przed własnym nosem, szukając równocześnie w torebce jakiejś miętówki, którą mogłaby poczęstować Hermione.

- Pieszczuś jest w domu i ma się dobrze, Hermione - odparła Abby, dyskretnie wręczając jej cukierek.

- To ty tak uważasz. Osobiście nie rozumiem, dlaczego nie mógłby nam towarzyszyć dzisiejszego wieczoru. Taka słodka psinka, mój ukochany skarbeczek. Jestem przekonana, że lady... lady... ehm... cóż, jakkolwiek się tam nazywa, nie miałyby nic przeciwko temu.

- Naszymi gospodarzami są książę i księżna Selbourne, Hermione. Selbourne. *Sel* jak *seler*, którym będziemy się żywić, bo na nic innego nie będzie nas stać, jeśli nie uda się nam wydać Edwardine za mąż w ciągu kilku najbliższych tygodni, i *bourne* tak jak w słowie Melbourne, bo czasami tam właśnie chciałabym się znaleźć, tak bardzo daliście i nieustannie dajecie się mnie, biednej, we znaki. Proszę, że-

byś koniecznie zadała sobie wysiłek zapamiętania tego nazwiska. Nawiasem mówiąc, masz świętą rację - dodała po chwili Abby pokrzepiająco. - Najzupełniej rozumiem, dlaczego księżę i księżna mieliby czuć się uszczęśliwieni obecnością najdroższego Pieszcusia, który najpierw by ich pogryzł, a potem zrobił im pod nogami małą kałużę.

- Och, wstydziłabyś się, Abigail! Przecież wiesz, że nie nie poradzę na to, że Pieszczuś zapałał do ciebie taką niechęcią. Zwykle zachowuje się całkiem spokojnie. - Hermione zmrużyła oczy i zmierzyła Abby podejrzliwym spojrzeniem. - Ponoć psy wyczuwają charakter człowieka, słyszałam, jak ktoś tak powiedział. Słodkie stworzonka boże. Być może Pieszczuś wyczuwa w tobie coś podłego, Abigail, coś, czego my śmiertelni nie dostrzegamy.

Abby beznamytnie przyglądała się szwagierce, tej niewiarogodnie prząsnej z wyglądu kobiecie o końskiej twarzy, włosach nieciekawego szarawego koloru i malutkich, zbyt głęboko osadzonych, paciorkowatych brązowych oczach.

Edwardine odziedziczyła urodę po ojcu, tak jak intelekt, jakikolwiek był, po matce. Strach myśleć o katastrofie, jaką pociągnęłaby za sobą odwrotna kombinacja. Względnie inteligentna młoda dama o szczęce jak u zwierzęcia jucznego i z cerą, jaką jedynie miłośnicy nazwaliby ziemistą. I taką Edwardine mieliby wydać za mąż przed końcem sezonu!

Biedna Hermione. Jak Abby, poślubiona dla posagu, którym jej mąż chciał choć na krótko załatać dziury w budżecie rodziny Backworth-Maldonów. Urodziła dwoje wyjątkowo urodziwych dzieci, które obchodziła tyle co nic, i została bez męża, za całe pocieszenie mając butelkę i tę wredną, rachityczną kupkę futra, która kochała ją z całym psim oddaniem.

- Masz rację - powtórzyła po chwili Abby, ogarnięta współczuciem dla Hermione, kolejnej odsuniętej na boczny tor oblubienicy jakiegoś Backworth-Maldona. - Pieszczuś to dobry zwierzak. Słodki jak miód. Dobre, kochane pysko. To ja jestem zła, a Pieszczuś to wyczuwa. Przepra-

szam cię z całego serca, Hermione, i przyrzekam, że się poprawię i nie będę więcej grzeszyć. Zresztą od razu pójde sprawdzic, jak się ma twoja ukochana córka, jeśli pozwolisz, i przyłożę wszelkich starań, by się jakoś odkupić w surowych oczach Pieszczenia.

Hermione wytrzeszczyła na Abby swe małe, paciorkowate i nieco zamglone już oczy. Gdy Abby wstała, skinieniem głowy wyraziła swoją aprobatę, jeśli bowiem Abby mogła na cokolwiek na tym świecie liczyć, to tylko na to, że sarkazm nie sprawdza się w odniesieniu do jej rodziny.

- Dobrze. Tak zrób. I wiedz, że modłę się za ciebie, Abigail.

- Nie wierzę swojemu szczęściu - odrzekła Abby i pochyliła się nad upudrowanym policzkiem szwagierki, nim odwróciła się i przewróciła oczami. Następnie udała się w kierunku, w którym widziała ostatnio Edwardine, otoczoną przez dżentelmenów, którym nie była w stanie się przyjrzeć, niczym papuga powtarzającą słowa, których sensu nie rozumiała, a teraz zajęta najpewniej opowiadaniem o tym, jak to kiedyś proboszcz przyłapał ją z bratem Iggym podczas kąpieli w strumieniu, całkiem nago, prawda, jaka to przezabawna historia?

- Och, Boże, po co ja się w ogóle za to wzięłam? Musiałam być szalona - pomstowała pod nosem Abby, przechając się przez tłum ich lordowskich mości, zbitych w hermetyczne grupki i zerkających na nią pobłażliwie, kiedy prześlizgiwała obok nich.

Choć naturalnie nie mogła ich winić za to, że na nią patrzą, czy raczej patrzą *przez* nią, by zaklasyfikować ją jako kogoś bez znaczenia.

Abigail Backworth-Maldon wiedziała bowiem, że znaczenia nie ma. I to żadnego. Nie była majątna ani utytułowana, a już z pewnością nie była piękna. Postawiona obok Edwardine, która zdawała się wręcz absorbować światło, Abby plasowała się w głębokim cieniu.

Dawno już Abby przyjrzała się sobie, porównała z rozwitającą Edwardine, i nabyła niezłomnego przeświadczenia, iż jest raczej pospolita niż wyjątkowa.

Owszem, włosy miała gęste i długie, do tego w niebrzydkiem odcieniu niemal złotego blondu. Ale były proste jak pogrzebacz, a wszyscy szaleli na punkcie loczków. Oczy miała dość niezwykle, ciemnofiołkowe, tajemnicze, z wyraźną czarną otoczką wokół tęczówek.

Nikt jednak nie patrzył jej w oczy i znikły z nich figlarne isierki, błysk humoru, umiłowanie życia, które, gdyby tylko na to pozwoliła, eksplodowałyby w niej z siłą, którą należałoby uznać za niebezpieczną u wdowy liczącej sobie dwadzieścia trzy wiosny i siłą rzeczy będącej poza głównym nurtem życia.

Powinna raz na zawsze wbić się w babcine czepece, skończyć z marzeniami. Rozumiała to, ale bezlitośnie upchnęła wszystkie do szuflady i opuściła domek na wsi w przekonaniu, że skoro sezon ma spędzić w Londynie, może przynajmniej udawać, że istnieje jakaś szansa na to, by sama złapała męża.

I to był cały zysk, jaki przyniosły jej dwa ostatnie tygodnie, od kiedy zamieszkała przy Half Moon Street. Równie dobrze mogłaby paradować spowita w całun albo błąkać się po całym mieście zupełnie nago, gdziekolwiek bowiem pojawiała się Edwardine, ku niej kierowały się spojrzenia wszystkich, bezlitośnie przypominając Abby, kim jest - a wedle własnej miary nie była nikim szczególnym.

Abby, oficjalnie bardziej towarzyszka Edwardine niż przyzwoitka wyznaczona przez Hermione - niezdolną do upilnowania śpiącego susła, a co dopiero młodej głupiutkiej dziewczyny - miała przekonać się, że po przyjeździe do Londynu w niczym nie różniła się od tamtej kobiety z małej rezydencji pod Syston.

Kobiety solidnej. Odpowiedzialnej. Praktycznej. Nie rzucającej się w oczy. Przytomnej. Rozsądnej. Zrównoważonej.

I znudzonej do szpiku kości.

Krewni ze strony jej męża wierzyli, że ją znają, ale się mylili. Widzieli jedynie nerwową, zaniedbywaną żonę, nie-naturalnie młodą wdowę oraz, w ostatnim czasie, despotkę - z czystej konieczności - zarządzającą ich życiem, trzymającą rękę na rodzinnych finansach i z miłością, lecz niezłomnie wszystkich tyranizującą, by, na miłość boską, zachowywali się jak ludzie.

Lecz w duchu, w cichości serca, Abby była zupełnie inną osobą. Może nawet tuzinem różnych osób. Kobieta praktyczną, owszem. Żywiącą jednak upodobanie do absurdu, obdarzoną poczuciem humoru wręcz wyjątkowym i w dużej mierze opartym na żywej inteligencji oraz owym szczerym zamiłowaniu do purnonsensu i groteski.

Jak inaczej zdołałaby przeżyć rok, potem kolejny, w domu pełnym pustogłowych, egotycznych, aczkolwiek poczciwych Backworth-Maldonów?

Z drugiej strony, och, jakże marzyła o ucieczce! Zabezpieczyć przyszłość całej kochanej rodzinie, wiedzieć, że są szczęśliwi, spokojni i wypłacalni, potem zaś wyruszyć w rejs dookoła świata lub przynajmniej w te jego zakątki, które najbardziej przemawiały jej do wyobraźni.

Jakże tęskniła za przygodą, za rozkosznym dreszczem, jakiego doświadczała, dajmy na to, urodziwa Lucinda Pomeroy, bohaterka najnowszej powieści Araminthy Zane, uprowadzona przez piratów i oswobodzona przez najwspanialszego, najbardziej przystojnego ze wszystkich korsarzy na świecie.

Przystojny korsarz miał dla Abby twarz konkretnego mężczyzny, widzianego przelotnie w Hyde Parku, mężczyzny, którego nie potrafiła zapomnieć. Wysokiego, jasnowłosego, przystojnego jak najśłodszy z grzechów, pewnego siebie, o sylwetce jak wyjętej ze stron książki, uśmiechu anioła... z tym że uśmiechał się do Edwardine.

Abby zatrzymała się w pół kroku, wciąż jeszcze z gło-

wą w chmurach, lecz w błyskawicznym tempie wracając na ziemię, i uniosła rękę, by ukryć otwarte, o zgrozo, ze zdumienia usta.

Wianuszek wielbicieli Edwardine rozpierchł się, rozwiął jak dym.

I nic dziwnego.

Nawet najbardziej tępi oficerowie i drudzy w kolejności do tytułu synowie wiedzieli, kiedy zostają zdeklasowani, odsunięci w cień tak wyraźnie, jak Abby w promiennej obecności bratanicy męża.

Nad Edwardine pochylali się teraz dwaj tylko mężczyźni i Abby natychmiast rozpoznała w nich nieznanym z Hyde Parku.

Jeden wysoki, ciemny, po męsku przystojny, otoczony nimbem humoru i wielkopańskiego znużenia, którego nie sposób podrobić. Interesujący. Ale właściwie zupełnie nie w typie Abby, gdy mowa o herosach, w których mocy leżało powalenie ją na jej rozsądne z konieczności kolana.

Drugi równie wysoki, lecz jasnowłosy, upadły anioł, urzeczywistnione marzenie o mężczyźnie, tak piękny, iż wydawał się nierealny. I ten właśnie mężczyzna pochylał się teraz nad dłonią Edwardine, a ta głuptaska chichotała, uśmiechała się płochnie i desperacko usiłowała zogniskować spojrzenie rozszerzonych błękitnych oczu.

Abby westchnęła, wzruszyła ramionami i uprzytomniła sobie, że „przystojny” nie przekłada się na „inteligentny” - kto jak kto, ale Iggy dowodził tego niezbitie! Toteż powiedziała sobie w duchu, że ani trochę jej nie obchodzi, czy ten adonis o włosach blond upatrzył sobie Edwardine. Nie. Nie obchodzi jej to ani trochę.

Naprawdę nie.

To jednak nie oznaczało, że nie mogła do nich podejść, grzecznie przerwać rozmowę i przedstawić się jako towarzyska Edwardine.

- Pani Backworth-Maldon. Jestem oczarowany - odezwał się Kipp po kilku banałach wygłoszonych przez Edwardine w przerwach między chichotaniem.

Pochylił się nad dłonią młodej wdowy - bo o tym, że owdowiała, dowiedział się od panny Backworth-Maldon: dziewczynie dosłownie nie zamykała się buzia, skutkiem czego zdążyła w ciągu zaledwie pięciu minut ich znajomości wytrajkotać niemal wszystkie rodzinne tajemnice, które mógłby chcieć usłyszeć lub też obawiać się, że usłyszy.

Z ustami tuż nad obleczoną w rękawiczkę dłonią dyskretnie przyjrzał się kobiecie. Doszedł do wniosku, że pełniła funkcję przyzwoitki Edwardine, a to czyniło z niej kogoś, na kim z pewnością chciał zrobić dobre wrażenie, chociaż sama na nim szczególnego wrażenia nie wywarła. Wyłączając może jej suknię, najbrzydszą chyba, jaką w życiu widział. Biedulka.

- Czyżby, milordzie? Jest pan oczarowany? A czemuż to? - odpaliła Abby, szybko zabierając rękę, a Kipp natychmiast spojrział na nią znowu i dostrzegł w jej oczach błysk rozbawienia.

Interesująca.

Ale nie rozglądał się za wdową, choćby i interesującą.

- Ha! Tu cię ma, Kippie - wtrącił hrabia Singleton i poklepał go po plecach. - Wiesz, bezmyślnie powtarzamy te frazesy, ale cóż one naprawdę znaczą? Jesteś oczarowany, Kippie? Szczerze? Czy po prostu starałeś się być uprzejmy? Osobiście sędzę, że jesteś najzwyczajniej i przyziemnie uprzejmy. Ja natomiast jestem rozbawiony, i to z wielu powodów. Pani - skończył, unosząc jej dłoń do ust - jestem rozbawiony naszym spotkaniem.

- Milordzie - odrzekła Abby, nie odrywając wzroku od Kippa, któremu zaczęło nagle dokuczać nieprzyjemne wrażenie, że dama właśnie oceniła jego charakter i dostrzegła w nim jakieś braki... i jest nim potężnie rozczarowana.

Cóż, mniejsza o to. Interesowała go nieszkodliwa panna Backworth-Maldon, a nie myszowata z wyglądu, choć

plująca ogniem hetera, która jak nic przedwcześnie wpu-
dziła swojego mężulka do grobu.

Irytująca kobieta.

- Czy mam rozumieć, pani - kontynuował Kipp niezra-
żony, zerkając nad Edwardine (jej przepiękne błękitne
oczy wydawały się jakby rozmarzone, gdy spozierała na
niego, czy też mniej więcej w jego kierunku) - że jesteś
przyzwoitką panny Backworth-Maldon?

- Ja się za nią nie uważam, milordzie - odparła Abby zado-
wolona, że w końcu udało się jej uwolnić palce z uścisku lor-
da Singletona. Wciąż podenerwowana początkową wpadką,
odpowiedziała Kippowi szczerze, może aż nazbyt szczerze. -
Jej matka bawi w Londynie razem z nami. Ja jestem jej ciot-
ką i bardziej kimś w guście opiekunki. Prawda, Edwardine?

Mała zachichotała i żartobliwie pacnęła Abby w przedramię.

- Och, jesteś przekomiczna, Abby! Ojej, jasne, że jesteś
moją opiekunką. To okropne, ale zupełnie nie potrafię zaj-
mować się sama sobą. Wszyscy mi po to powtarzają. Prze-
cież chyba właśnie dlatego tutaj przyjechałaś, prawda, Ab-
by? Żebyśmy znaleźli kogoś innego, kto się będzie mną
opiekował, bo wtedy nie będziesz musiała czuć się jak...?

- Czyż ona nie jest rozkoszna? I to świetne poczucie hu-
moru! - wpadła jej w słowo Abby, gdyż Edwardine wyraż-
nie sposobiała się do tego, by - jak Kipp gotów był dać gło-
wę - powtórzyć za ciotką jej własną opinię, niewątpliwie
żenującą, że odgrywa w rodzinie rolę psa przewodnika.

Obserwował, jak pani Backworth-Maldon porywa kielis-
zek z tacy niesionej przez przechodzącego obok służącego.
Wprost wepchnęła go w różane i wydęte na kształt pączka
usteczka bratanicy - przy czym przez cały czas piorunowa-
ła wzrokiem obu dżentelmenów, którzy mieli przed chwilą
okazję usłyszeć, jak młoda piękność sama przyznaje, że szu-
ka obrońcy, co po prostu nie mieściło się w głowie.

- Chyba zaschło ci w gardle, poznaję po głosie, moje bie-
dactwo. Masz, wypij to. Do dna.

- Ale, Abby, to przecież...

Kipp zakrył usta ręką, nie wątpił bowiem, że nie może sobie pozwolić na śmiech, jeśli istotnie chce pokonać tego małego, lecz ognistego smoka płci żeńskiej i zbliżyć się do pięknej panny Backworth-Maldon.

- Mamy dziś wyjątkowy wieczór, Edwardine, skarbie - oznajmiła Abby sucho, z przykrością konstatując, że właśnie zachęca bratanicę męża do spróbowania po raz pierwszy w życiu czegoś mocniejszego niż lemoniada. Co też ona wyprawia? Zadaje nieuprzejme, kaśliwe pytania, sama wytyka niedoskonałości Edwardine, a przecież to niewinne dziecko nie zasłużyło sobie na podobne traktowanie.

Dlaczego tak łatwo wytrącił ją z równowagi i spokoju dotyk barona, tembr jego głosu, jego uśmiech? Czy to możliwe, by zazdrościła Edwardine jej urody, tego, że pięknego barona ciągnęło do niej jak pszczołę do miodu?

No tak, powinnam się wstydzić, dumiała smętnie Abby, ale i on powinien, skoro tutaj przyszedł, żebym mogła przez niego zrobić z siebie kompletną idiotkę.

Naprawdę była gotowa sobie wmówić, że ten mężczyzna ją pociąga? I to dlaczego? Przez tę jego przystojną twarz? Szczyt głupoty! Harry *był* przystojny - czyżby tak szybko o tym zapomniała? Jeśli nawet ten fakt istotnie wyleciał jej na chwilę z głowy, zadba to, by więcej się to nie powtórzyło, nie zapomni także, że jaśnie pan baron nie jest taki, jaki się wydaje, że to kolejny człowiek, który patrzy na nią, lecz naprawdę jej nie dostrzega.

I co też on teraz znowu wyrabia? Coś gorszego jeszcze od patrzenia przez nią, jakby była niewidzialna: uśmiechał się, wyśmiewał się z niej, śmiały się te jego ciepłe brązowe oczy, chociaż to Edwardine podawał rękę.

Irytujący człowiek.

- Można? - Kipp zręcznie wyjął dziewczynie kieliszek z palców i podał go Brady'emu, który posłusznie wychylił jego zawartość jednym dużym haustem. - Pani Backworth-

-Maldon, czy będzie pani łaskawa zgodzić się, by panna Backworth-Maldon partnerowała mi w tańcu?

- Och, idźcie, idźcie - odparła Abby, jedną ręką czyniąc takie gesty, jakby odganiała natrętnego owada, drugą pocierając czoło. Czuła zapowiedź zbliżającego się potwornego bólu głowy. - Ja tu sobie zostanę i postaram się zabawić lorda Singletona. Co pan na to, milordzie?

- Szczerze na to liczę - odpowiedział bezczelnie Brady. Z uśmiechem obserwował Kippa, który z kolei obserwował panią Backworth-Maldon. - Cóż, Kippie, zamierzasz sterceć tutaj przez cały wieczór, jakbyś się bał, że przerwócisz się przy pierwszym kroku? No już, proszę, idźcie oboje. Idźcie na parkiet i niech się już zaczną te „ochy” i „achy” na widok pary tak urodziwej i zgranej, że zblednie przy niej światło wszystkich świec w sali.

- Abby? Co on powiedział? - spytała Edwardine, a jej piękna twarz jeszcze wypiękniała, nabrawszy wyrazu dziecięcego zdumienia. - Czy milord mówił o mnie? On naprawdę uważa, że zaćmiewam blask świec? Powinnam mu podziękować?

Abby przekrzywiła głowę i spojrzała na Kippa pytająco. Czekwała, by się odezwał, poczynił jakąś uwagę lub chociaż ledwie zauważalnym grymasem dał do zrozumienia, iż zdążył się zorientować, że bratanica jej męża ma tyle rozumu co osesek. A może zależało mu tylko na urodzie, może nie potrzebował niczego więcej?

Kipp poskąpił jej tej satysfakcji, aczkolwiek wiedział już, że popełnił wielki błąd, łudząc się, że młodość i uroda wystarczą u kobiety, by okazała się znośną żoną. Teraz chciał przynajmniej, by jego wybranka umiała samodzielnie zliczyć do dziesięciu, nie przerywając co chwila, by poprosić go o pomoc. Ale gdzie tam, strzeliło mu do głowy, żeby pozwolić Brady'emu na wybranie kandydatki do tytułu baronowej Willoughby, no to ma za swoje.

Chociaż naturalnie nie znaczyło to, że kusiło go, by zastąpić głupią jak but *pannę* Backworth-Maldon złą jak osa

panią Backworth-Maldon, kobietą z wielkim talentem do za-
łożenia mu za skórę... zupełnie jak drzazga, uznał w duchu.

Nie, chciał jedynie jak najszybciej zatańczyć z młodą Edwardine, a następnie wyrwać się stąd i udać się gdziekolwiek, gdzie zdoła jakoś zapomnieć o idiotycznym pomysle, by z szukania żony uczynić swą życiową misję.

- Proszę ze mną, panno Backworth-Maldon - ponaglił, widząc, że Abby nie zamierza odpowiedzieć bratanicy. - Nie chcemy, by taniec rozpoczął się bez nas, prawda?

Abby pogratulowała sobie w duchu opanowania: nie skrzywiła się ani też nie pokazała języka baronowi, oddalającemu się majestatycznie u boku Edwardine.

4

- Musimy się panu wydawać żałosne, prawda? - spytała Abby lorda Singletona. Nie miała siły dłużej zdręzczać się myślą, że w oczach barona Willoughby wyszła na kompletną idiotkę, czy faktem, że Edwardine dosłownie przechodziła samą siebie, by wykazać głębię swego intelektu, którą zaledwie kilka cali dzieliło od zwykłej kałuży.

- Przeciwnie, pani Backworth-Maldon. Jestem zachwycony tak panią, jak i jej bratanicą - odparł Brady szczerze, pewny, że ta przenikliwa kobieta przejrzałaby każde najbardziej nawet niewinne kłamstewko.

Natomiast wierutne kłamstwa, błagi pełną gębą z rodzaju tych, których kolejka uformowała mu się teraz pod czaszką, przepychając się między sobą, byle szybciej trafić na język, rzadko bywały przez kogoś zdemaskowane... nawet przez jego przyjaciela Kippa.

Jakież cudowne figle płata los. Brady załatwił zaproszenia

na bal dla rodziny Backworth-Maldonów z tą tylko myślą, by raz na zawsze ukazać Kippowi irracjonalność jego postępowania, w nadziei, że Kipp nareszcie zrozumie, że piękna panna Backworth-Maldon i jej podobne nie są tym, czego szukał.

Nie spodziewał się jednak, że znajdzie przy okazji kobietę wprost idealnie odpowiadającą potrzebom przyjaciela - a już z pewnością nie w tej samej rodzinie, z której pochodziła chybiona kandydatka.

Niekiedy najlepsze pomysły człowiek zawdzięcza szczęśliwemu trafowi. Pozostawało jedynie wykorzystać dobry kwadrans, jaki dzielił go od końca tańca i powrotu Kippa, by upewnić się, czy pani Backworth-Maldon rzeczywiście stanowi odpowiedź na jego modły w raczej nieprzemysłowej intencji.

- Prawdę mówiąc - kontynuował - uważam, że w najmniejszym stopniu zasługujecie panie na to miano spośród wszystkich z tu obecnych. Bratanica pani, ponieważ sam fakt istnienia wydaje się czynić ją szczęśliwą, i ty, pani, ponieważ nie ulega dla mnie wątpliwości, iż jesteś kobietą wybitnie rozsądną. Chociaż należałoby chyba ostrzec, że w hermetycznym kręgu śmietanki towarzyskiej nadmiar zdrowego rozsądku bywa niebezpieczny.

Abby uśmiechnęła się, siląc się spokoj, choć jej jedynym marzeniem było natychmiast znaleźć się przy Hermione i ukryć za jej wachlarzem płonące policzki.

- Dziękuję za ostrzeżenie, milordzie - odparła po chwili, przekonana, że znowu w pełni nad sobą panuje. - Jestem dość przezorna, by zawsze otaczać się wystarczającą liczbą nieszkodliwych szaleńców dla zrównoważenia tej mojej uparcie tkwiącej na karku głowy. Uparcie, lecz, mam nadzieję, nie nazbyt sztywno, przesada bowiem nigdy nie jest wskazana, nawet przesada w zdrowym rozsądku.

- A, kobieta praktyczna.

- Nie bardziej niż jestem do tego zmuszona, milordzie.

- Na balu szukająca sposobności, by wepchnąć brata-

nicę w ramiona pierwszego nadarzającego się kawalera?

Czy powinni rozmawiać tak szczerze? Abby nie była tego pewna. Niemniej hrabia należał do *bon tonu*, czy więc niestosownością mogłoby okazać się pójście w jego ślady? Co prawda nie znalazła żadnej wzmianki o podobnym spoufalaniu się z płcią przeciwną, gdy wertowała książki zakupione z myślą o tym, by sprawdzić, jak Edwardine powinna się zachowywać w towarzystwie. Z drugiej strony wiedziała tyle, że równie dobrze mogło okazać się, że dla pospolitych, odstawionych na bocznych tor wdów istnieje odrębna lista zasad, nie mająca nic wspólnego z tymi dla debutantek o rozmarzonym spojrzeniu.

Patrzyła na Brady'ego ze spokojem, wiedząc już, że zdoła się na bezpośredniość.

- Czyż to nie zwykła praktyka?

- Ale bez żadnych nadziei dla siebie, pani Backworth-Maldon? Bez własnych marzeń?

Abby wyprostowała plecy. Może i nie znała wszystkich prawideł uprzejmej konwersacji, ale też nie spędziła ostatnich dwudziestu trzech lata zagrzebana na tak znowu głębokiej prowincji!

- Odnoszę wrażenie, że przeszliśmy od czezej paplani do wysoce osobistej inkwizycji, milordzie. Wolno mi zapytać dlaczego?

Brady podał jej ramię, oparła na nim dłoń i ruszyli spacerem wokół sali.

- Nie słynę z taktu, pani. Upraszam o wybaczenie. Lecz byłaś tak cudownie szczerą, mówiąc o swoich nadziejach wobec ślicznej bratanicy... proszę tylko spojrzeć, olśniewająco piękna z nich para, aż trzeba zmrużyć powieki, nieprawdaż? Pomyślałem sobie, że mogę zrewanżować się podobną szczerością, gdy idzie o moje nie tak znowu różne od twoich zamiary. Biorąc cię, pani, za kogoś w guście pokrewnej duszy, nic ponadto.

Abby, która od pewnego czasu obserwowała ukradkiem

Edwardine i barona, zamarzyło się, że to ona tańczy w jego ramionach, ale natychmiast zawstydziła się podobnych myśli.

- Przepraszam...? Obawiam się, że nie uważałam. Chyba źle usłyszałam to, co pan powiedział?

Brady uśmiechnął się w duchu, spostrzegł bowiem, że w oczach Abby pojawił się tęskny błysk. Jeszcze wcześniej w oczach Kippa, gdy patrzył na tę kobietę, widział jakby cień zmieszania. To może być całkiem zabawne. On przynajmniej świetnie się bawił, bez dwóch zdań.

- Jeśli zdawało się pani, iż przed chwilą wyznałem, że jestem tu dzisiaj w nadziei nakłonienia kogoś do małżeństwa, wówczas tak, pani Backworth-Maldon, dobrze mnie pani słyszała.

- Och. Siostry?

- Nie, pani, nie siostry - odparł Brady, zręcznie porywając z tacy dwa kieliszki wina i podając jeden Abby. - Pokusi się pani o jeszcze jeden strzał? Na początek proszę pomyśleć o pewnej jasnowłosej i wręcz nieobyčajnie przystojnej osobie.

- Przy... przystojnej? Nie pięknej? Chciałam powiedzieć, że Edwardine jest piękna. Ale żeby nazywać kobietę przystojną... cóż, zakładałam, że gdyby poważnie zamierzał pan dopomóc tej dziewczynie w znalezieniu męża, to... och. - Spojrzała hrabiemu prosto w oczy i dostrzegła w nich psotne iskierki; Brady przyglądał się wyrazowi jej twarzy, widząc, że zaczyna do niej docierać sens jego słów.

- Och - powtórzyła głucho. - Cóż za niecodzienna myśl, milordzie.

- Niech to będzie nasz mały sekret, pani Backworth-Maldon - rzucił na widok księżnej Selbourne, idącej ku niemu z rozłożonymi w powitalnym geście ramionami. Ujął drobne dłonie kobiety i najpierw jedną, potem drugą uniósł do ust. - Sophie, piękniejesz z dnia na dzień.

- Kłamca, z dnia na dzień pęcznieję, a ci wszyscy plotkarze strzępią sobie języki, że powinnam ukryć się na stry-

chu, jakby ciąży była jakąś straszną chorobą, być może nawet zaraźliwą - odparła wesoło księżna, wyswobodziwszy ręce, i czule objęła nimi swój wypukły brzuch. - Bram zaklina się, że wyglądam bardzo ładnie, ale mnie się zdaje, że raczej jakbym miała pęknąć w szwach, prawda?

Następnie zainteresowała się Abby, która dygnęła uprzejmie.

- Pani Backworth-Maldon, jeśli dobrze pamiętam z ceremonii powitania. Proszę mi wybaczyć moje wahanie, ale do witania gości znalazło się absurdalnie wręcz wielu chętnych i robili straszne zamieszanie. Ogromnie się z mężem cieszymy, że mogłaś, pani, przyjąć nasze nieuprzejme zaproszenie z ostatniej chwili i być z nami dzisiejszego wieczoru. Taki ze mnie głuptas, że dowiedziałam się o twoim przybyciu do miasta dopiero dziś rano. Ale wybaczysz mi, prawda?

- Nie ma czego wybaczać, milady. To dla nas zaszczyt, że nazwisko Backworth-Maldon w ogóle obiło ci się, milady, o uszy, nie mówiąc nawet o zapraszaniu nas na dzisiejsze przyjęcie.

Abby zaczynała się czuć jak wyjątkowo niepozorna kaczką wrzucona z nienacka do stawu pełnego łabędzi. Nie koniec na Edwardine. Nie koniec na baronie i hrabim. Czyżby wszyscy londyńczycy byli obdarzeni przez los równie uderzającą urodą?

Księżna bowiem była wprost przepiękna z tym swoim kształtnym ciałem i kwitnącym zdrowiem. Przy niej nawet sama Edwardine byłaby jedynie uroczym, nie w pełni jeszcze rozwiniętym brzydkim kaczątkiem.

Hrabia i księżna przekomarzali się i wymieniali żartobliwe uwagi, Abby zaś ukradkiem przyglądała się stojącemu przed nią zjawisku.

Tak, księżna była piękna jak marzenie, filigranowa w tych swoich połyskliwych jedwabiach, nieskazitelna, od burzy niesfornych loków poczynając, na drobnych stopach kończąc. Rozbrajające brązowe oczy o wejrzaniu

dziecka, ale też niezdolne ukryć przyrodzoną inteligencję. Wysoko na prawym policzku pojedynczy pieprzyk. Ciąży wydawała się przydawać jej urody raczej, niż ją gasić. Księżna była rozmarzona i dosłownie promieniała.

Abby pragnęła znieawidzić tę kobietę, lecz najwyczejniej nie potrafiła. Uśmiech księżnej był nazbyt szczery, obejście zbyt pełne wdzięku, zachowanie ujmująco bezceremonialne. Toteż raczej niż poczuć zazdrość zazdrości, Abby pomyślała sobie, że wspaniale byłoby mieć w niej przyjaciółkę. Nie ze względu na tytuł, ale dlatego, że wyczuwała, iż księżna nie może być nikim innym, jak wrażliwą, ciepłą osobą.

Księżna mrugnęła do hrabiego w odpowiedzi na coś, co przed chwilą szepnęła jej do ucha, i ponownie zwróciła się do Abby:

- Pani bratanica to takie śliczne dziecko. Pamiętam, jak się witałyśmy. Edwardine, jeśli się nie mylę?

- Nie myli się pani - odpowiedziała Abby i ponownie dygnęła z całym wdziękiem, na jaki mogła sobie pozwolić, nie zapominając, że dzierży w dłoni kieliszek. - I jeszcze raz dziękuję milady za jej wspaniałomyślne zaproszenie. Nie spodziewaliśmy się tyle serca.

- Wyobrażam sobie, czego się spodziewaliście, moja droga - szepnęła Sophie i nachyliła się bliżej, żartobliwym gestem nakazując Brady'emu, żeby się odsunął. - Mówić prosto z mostu, tak?

Abby czuła się oszołomiona, oszołomiona uśmiechem kobiety, jej pełnymi serdeczności brązowymi oczami, widoczną troską.

- Dobrze - skapitulowała, uważając, by w jej głosie nie zabrzmiała wzmożona czujność.

- Spodziewałaś się, moja kochana, że w najgorszym razie zostaniesz wyśmiana, a w najlepszym zignorowana przez większość tych świętoszków, od których aż roi się w Mayfair. Z powodu twojego zmarłego męża i jego dość publicznego końca? Więcej nawet, gdybyś nie miała na-

dziei na wyswatanie bratanicy, prawdopodobnie przenigdy nie odważyłabyś się na przyjazd do miasta, tak?

Abby spojrzała na hrabiego. Zastanawiała się, czy mógł słyszeć coś z prowadzonej szeptem rozmowy lub choć w przybliżeniu znał jej treść. Mężczyzna stał jednak spokojnie, uśmiechnięty, z miną nadal przebiegłą i zadowoloną z siebie, tak jak przed nadejściem księżnej.

Coś tu się ewidentnie święciło, jakby jakiś spisek zawiązał się między księżną a hrabim. Abby była o tym przekonana, choć nie znajdowała racjonalnych ku temu przesłanek.

A może wszystko sprowadzało się do tego, że ludzie z londyńskiej socjety uwielbiają napawać się własnym sprytem, a szczególną przyjemność czerpią z wygłaszania jak największej ilości bulwersujących uwag?

Ale jeśli nawet to prawda, to dlaczego, u nieba, uparli się na nią?

- Wszystko w porządku, pani Backworth-Maldon - powiedziała Sophie z otuchą w głosie i uściśnęła nadgarstek Abby. - Naprawdę. Wiem, co to skandal, zarówno mąż, jak i ja doświadczyliśmy go na własnej skórze. I zapewniam cię, pani, że szeptu ucichną, tylko głowa do góry i nie daj plotkarzom odczuć, że boją cię ich spojrzenia i uwagi. Właśnie dlatego powiedziałam Bramwellowi, no wiesz, księciu, że po prostu musimy zaprosić ciebie i twoją rodzinę na nasz bal, kiedy tylko usłyszałam, że jesteście w mieście.

- Naprawdę? - Abby nie znalazła innej odpowiedzi. Mimo to, kiedy spojrzała ponownie na hrabiego, z upodobaniem studiującego swoje paznokcie, zastanowiła się, w jaki sposób księżna dowiedziała się o jej przyjeździe do miasta.

Ale nie. To by się nie zgadzało. Skąd miałby wiedzieć o nim sam hrabia? A nawet gdyby wiedział, dlaczego miałoby go to obchodzić, nie mówiąc już o tym, by uznał za stosowne podzielić się swą wiedzą z księżną Selbourne?

Abby przemknęło przez myśl, czy aby nie wypiła za dużo wina. Albo to, albo nie wypiła go dość dużo.

- Och, tak, tak, jak najbardziej - zapewniała właśnie księżna z żarem, wytrącając Abby z zadumy. - My to dopiero wywołaliśmy skandal, kiedy się pobraliśmy, w dodatku musieliśmy ponownie przeżyć stary, wielce publiczny skandal związany z naszymi rodzicami, ale jakoś to przetrwaliśmy. Nie, zatryumfowaliśmy! Ku memu szczeremu rozbawieniu, jestem teraz bardziej popularna niż kiedykolwiek, a zaproszenie na mój bal gwarantuje wszystkim uczestnikom akceptację w towarzystwie. Zobaczysz pani. Po dzisiejszym wieczorze otworzą się przed tobą, pani, wszystkie drzwi. A tego właśnie chciałaś dla swojej bratanicy, czyż nie tak?

Abby coraz bardziej kręciło się w głowie. Nie miała zielonego pojęcia, o czym księżna szczebiotała tak wesoło, sama nigdy wcześniej nie wyjeżdżała ze wsi i nie miała w mieście żadnych koneksji, nie słyszała też o żadnym „starym, wielce publicznym skandalu” wokół nazwiska Selbourne.

Skoro jednak księżna twierdziła, że zaprosiła rodzinę Backworth-Maldon ze względu na skandaliczne okoliczności śmierci Harry'ego, cóż, był to pierwszy przypadek, by Harry uczynił cokolwiek, co bodaj w najmniejszym stopniu przysłużyłoby się rodzinie.

- Dziękuję ci, milady - odpowiedziała w końcu Abby. Nie była w stanie wydusić z siebie cokolwiek ponad to najprostsze zdanie.

- Sophie - poprawiła księżna i cmoknęła ją w policzek. - Wszyscy przyjaciele mówią mi Sophie. Choć przyznaję, jestem egoistką, że proponuję, abyśmy zwracały się do siebie po imieniu. Ale gdybyś się zgodziła, nie musiałabym łamać sobie języka na tym „Backworth-Maldon”, a to nie może okazać się niczym innym, jak czystym błogosławieństwem podczas naszego następnego spotkania, czyż nie tak?

Abby uśmiechnęła się i odprężyła wbrew sobie. Wiedziała, jakim wyróżnieniem była propozycja księżnej.

- Abby. Byłabym zaszczycona, Sophie, więcej nawet niż tyłko zaszczycona, gdybyś zechciała mówić do mnie po imieniu.

- Czy teraz mogę już przestać udawać, że jestem głuchy i ślepy, i włączyć się do rozmowy?

Abby zerknęła na hrabiego. Przypomniała sobie, że wcześniej zaczął mówić o czymś, czego najpewniej wołałaby nie słyszeć. A może raczej zbyt mocno chciała usłyszeć to, co próbował jej powiedzieć.

- Och, no dobrze - rzuciła i klepnęła go w ramię złożonym wachlarzem. Czuła się bardziej jak beztroska młoda dziewczyna niż jak wdowa i rodzinny pies przewodnik. - Jeśli obiecasz, mój panie, zachowywać się przyzwoicie, to dlaczego by nie.

- Nie, nie, Abby - zaprotestowała Sophie i mrugnęła figlarnie. - Może się do nas przyłączyć jedynie wówczas, gdy przyrzeknie, że będzie zachowywać się nieprzyzwoicie jak zwykle. Jesteś w swoim zwykłym nastroju, Brady? Bo taką właśnie miałeś minę, nim do was podeszłam. Ale teraz muszę znowu was porzucić, niestety - nie pozwoliła mu odpowiedzieć. - Pełnię honory domu, jak wiecie, i muszę z wdziękiem krążyć od grupy do grupy, dbając o to, by wszyscy dobrze się bawili. A potem usiądę sobie w fotelu, w gronie matron i wdów, i oprę obolałe stopy na podnóżku, tak jak to obiecałam Bramowi, zanim biedaczysko osiwieje z niepokoju.

Westchnęła, położyła rękę z boku brzucha i odezwała się raz jeszcze.

- Abby, droga przyjaciółko, nie wierz w nic, co powie ci ten człowiek, i obiecaj, że niebawem się zobaczymy. Brady, trzymam cię za słowo, masz przyprowadzić do mnie Abby, i to niedługo. Koniecznie niedługo - dodała, puszczając do nich oko - bo wydaje mi się, że rozwiązanie nastąpi, nim tydzień dobiegnie końca, może nawet wcześniej, niż skończy się ten wieczór. To byłoby miłe, gdyż zacznę już mieć serdecznie dość swojego profilu, gdy przypadkiem zobaczę się w lustrze.

- Sądzisiz... sądzisiz, że dziecko może być w drodze już teraz? - Abby spojrzała na hrabiego, który zaczął naresz-

cie wyglądać jak zwyczajny człowiek, w dodatku rozczulający w swojej bezradności.

- Och, nie bądź taka przerażona - zachichotała Sophie. - Dzieci potrzebują o wiele więcej czasu, by przyjść na ten świat, niż to się zwykle uważa. Dotrwam do końca balu, słowo. Lubisz dzieci, Abby? Bo ja wprost je uwielbiam i bardzo chciałabym pochwalić się obojgiem moich dzieci, kiedy Brady przyprowadzi cię z wizytą. Co ty na to? Ale ty nie mów Bramowi o moich domysłach, Brady, bo inaczej wyrzuci wszystkich na zbitą twarz, oflaguje dom i znowu zmieni się najbardziej podenerwowanego, rozczulającego głuptasa, jakiego widziałam od czasów narodzin Constance.

- Jeśli sama mu nie powiesz, Sophie - ostrzegł Brady - zmieni się w najbardziej rozzłoszczonego głuptasa, jakiego w życiu widziałas.

- Och, phi, Brady. Teraz zmykam. Brady, tylko nie zapomnij przyprowadzić do mnie Abby - dodała i uniosła się na palcach, by ucałować go w policzek. Następnie odsunęła się i mrugnęła do niego, stojąc tyłem do Abby. - I serdecznie ci dziękuję za przedstawienie mnie naszej nowej znajomej.

- Cóż za niesamowita i cudowna kobieta - zamyśliła się Abby, zapatrzona w oddalającą się sylwetkę księżnej, jej piękne włosy barwy miodu i jasnożółtą suknię, która mogłaby być dziełem wróżek. - W dodatku taka miła. Od dawna ją znasz, milordzie?

- Dość długo, by wiedzieć, że mój przyjaciel Bram najprawdopodobniej nie będzie wiedział, czy ją wycałować, czy udusić, nim wieczór dobiegnie końca - odparł Brady i pokręcił głową. Następnie ujął Abby pod rękę i poprowadził ją ku dwóm wolnym krzesłom tuż przy szeroko otwartych drzwiach balkonowych.

Z radością powitali powiew wieczornego powietrza; sala balowa szybko nagrzewała się od tańczących ciał, natłoku istot ludzkich, jaki w towarzystwie uważano za konieczny, by ocenić jakiegokolwiek wydarzenie towarzyskie jako sukces.

- Znam jej męża, księcia, od wielu lat - mówił dalej, gdy spoczęli. - Wspaniały człowiek. Ale małżeństwo z Sophie go odmieniło. Można ich czasem oglądać, jak z córeczką zażywają w Hyde Parku świeżego powietrza, istny obrazek rodzinnego szczęścia. To niemal przerażające, obserwować, jak człowiek się zmienia, niemniej wydaje się szczęśliwy. Czasem wręcz nieprzytomny ze szczęścia.

- Choć sam dla siebie nie chciałbyś pan takiego szczęścia - wtrąciła Abby. Zaczynała wierzyć, że potrafi go przejrzeć, a przynajmniej że jest tego bliska. - A mimo to takiego właśnie losu życzysz owej przystojnej osobie, o której rozmawialiśmy minutę temu?

- Jakże to ładnie z twojej strony, że nie zapomniłaś, pani, o czym dyskutowaliśmy, nim Sophie tak brutalnie nam przerwała. - Brady uśmiechnął się i uniósł kształtną brew. - Proszę mi jednak powiedzieć, pani Backworth-Maldon, czy wyobraża sobie pani naszego drogiego barona w Hyde Parku, pchającego przed sobą wózek ze swoją miniaturową kopią, z małżonką u boku, razem kłaniających się i rozsyłających uśmiechy na prawo i lewo?

Abby spojrzała w głąb parkietu; baron wciąż jeszcze brnął przez układ taneczny, pochłonięty prowadzeniem krótkowzrocznej Edwardine, która dryfowała co chwila ku całkowicie niewłaściwemu partnerowi.

Uprzejmy, jak zakładała Abby, w przeciwnym bowiem razie porzuciłby Edwardine przy pierwszej nadarzającej się sposobności i z krzykiem czmychnął z sali balowej. Bądź co bądź Edwardine była pięknym dzieckiem, do którego pociąg odczuwać mogło jedynie inne dziecko. A baron był mężczyzną, doświadczonym, starszym. Niemożliwe, by bawiła go bezsensowna paplanina Edwardine lub fakt, że przez wadę wzroku ustawicznie myli kroki.

Ale owszem, umiała go sobie wyobrazić na spacerze z dzieckiem w Hyde Parku. Z ich dzieckiem w Hyde Parku.

- Nie wiem, milordzie - odpowiedziała, zastanawiając

się nad każdym słowem, nad każdym ochronnym kłamstwem. - Z pewnością pan jako przyjaciel potrafi lepiej to osądzić? Obawiam się, że nie zastanawiałam się nad panem baronem... pod żadnym względem.

- Ależ, pani Backworth-Maldon - zmartwił się Brady. - A ja już sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi. Dobrze więc, podejmę rękawicę i powiem wprost, jaka myśl mi przyświeca, a zarazem położę kres tej przyjemnej, aczkolwiek nazbyt powolnej żonglerce słowami.

Boże drogi! Zmierzał do tego, czego się spodziewała!

- Proszę się nie fatygować z mojego powodu, milordzie - odrzekła szybko. - Już chyba wolałabym raczej powrócić do banalnej, grzecznościowej rozmowy, jeśli mam być szczerą. Z największą chęcią obszernie podyskutuję chociażby na temat pogody, doprawdy z największą chęcią.

- Kipp... baron Willoughby doszedł do wniosku, że powinien się ożenić - kontynuował Brady z uporem, wiedząc, że zyskał niepodzielną uwagę Abby. - Ponieważ przed paru laty doznał w miłości rozczarowania, nie szuka romantycznego ideału ze snów, ale po prostu żony. Kobiety, która urodzi mu dzieci i zajmie się własnymi sprawami, ściślej rzecz biorąc.

- Milordzie, doprawdy...

- Nie, nie, proszę nie przerywać, bardzo proszę. Jak już mówiłem, baron wyruszył na matrymonialne łowy. Jestem tutaj, ponieważ błagał, żebym mu pomógł. I jak chyba oboje widzimy, moja pomoc rzeczywiście jest mu niezbędną, skoro chociaż przez chwilę poważnie brał pod uwagę bratanicę pani jako kandydatkę do tego mariażu.

- To okrutne słowa - rzuciła Abby, odruchowo stając w obronie Edwardine. Samej powtarzać, że to biedne dziecko ma tyle rozumu co pchła, to jedno, ale pozwolić, by obrażał je nieznajomy, to już zupełnie co innego.

- Nie miałem na myśli niczego niepochlebnego pod adresem pani bratanicy, pani Backworth-Maldon... - zmitygował się natychmiast Brady.

- Och, proszę mi mówić po imieniu, milordzie, jeśli tylko ma pan na to ochotę. Może i stanowi to straszliwe naruszenie etykiety, niemniej jestem zdania, że nasza rozmowa potoczyła się w sposób, który zwalnia nas od obowiązku dbania o trywialne uprzejmości. Poza tym księżna nie bez kozery stwierdziła, że darowanie sobie konwenansów wszystko znakomicie ułatwia.

- Dziękuję i ufam, że mi się zrewanżujesz tym samym. Mamy przecież stać się współspiskowcami, jak również przyjaciółmi, na co liczę, w dodatku z niewątpliwą korzyścią dla ciebie, Abby, jeśli mnie rozumiesz - sondował Brady, skłonny zarzucić temat, który najbardziej leżał mu na sercu, byle tylko Abby Backworth-Maldon odprężyła się na tyle, by mógł przestać się obawiać, iż zaraz zerwie się z krzesła, spoliczkuje go i ucieknie ile sił w nogach.

Odwróciła się, by zmierzyć go uważnym spojrzeniem, w końcu zaś zapytała bez ogródek:

- Współspiskowcami, milordzie? I to z korzyścią dla mnie? Przecież twoim zdaniem Edwardine odpadła w przedbiegach, a niemożliwe, żebyś chciał powiedzieć, że to mnie widzisz jako ewentualną żonę dla barona Willoughby. Bo jeśli tak...

- To wzdragałabyś się na samą myśl? - przerwał brutalnie Brady i widząc, że Abby zrywa się z krzesła, złapał ją za rękę. - Zemdlałabyś przerażona taką perspektywą? Woląłabyś umrzeć, niż rozważyć możliwość stania się baronową, poślubienia kogoś, kto, jak jestem pewny, nawet w twoich surowych oczach pozostaje nieprzyzwoicie wręcz przystojnym mężczyzną, najbardziej przystojnym, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia. Och, w dodatku po uszy pławi się w swoim majątku, to na wypadek, gdybyś o tym nie wiedziała. No tak, naturalnie, małżeństwo z nim absolutnie nie wchodzi w rachubę. Co też ja sobie wyobrażałem?

Usiadła.

- Dobrze - Brady uśmiechnął się. - Tak też myślałem. A teraz, skoro taniec się skończył, a Kipp i twoja bratani-

ca zaraz do nas dołączą, dzisiejszego wieczora nie powrócimy już do tej pasjonującej rozmowy. Pozwól mi działać, jeśli łaska, a ja zaaranżuję na jutro spotkanie dla całej naszej czwórki i wtedy też ponownie sobie porozmawiamy.

5

Nazajutrz po balu Selbourne'ów Kipp obudził się w kiepskim humorze, tak kiepskim, iż nie potrafił tego faktu ukryć, co zirytowało go jeszcze bardziej, zawsze bowiem szczyił się swoją umiejętnością wywierania na innych wrażenia osoby z natury pogodnej.

Bo też i niemal zawsze był pogodny, do cholery!

Był również uprzejmy. Uprzejmy do przesady.

Co, niestety, tłumaczyło, dlaczego wczoraj pozwolił Brady'emu paplać niestrudzenie o tym, jak przemiło byłoby spotkać się z paniami Backworth-Maldon u Hatcharda.

Co z kolei niewątpliwie wyjaśniało jego kiepski, czy, gwoli ścisłości, fatalny humor, i pomysł, by wymówić się względnie niegroźnym „nagłym wypadkiem” w Willoughby Hall, który pozwoliłby mu zaszyć się na wsi.

Co też sobie wyobrażał, powtarzając sobie, że może wybrać pierwszą lepszą z tuzinów debiutantek stanowiących plon sezonu, trochę ją pouwodzić, a następnie ożenić się, dzielić z nią łożę, powierzyć jej zarząd nad swoimi siedzibami i wszystkimi sprawami domowymi - po czym błogo ją ignorować?

Tak naprawdę to wcale nie chciał zostać mężem. A już z pewnością nie widział się w roli piastuna.

A właśnie piastunką stała się pani Backworth-Maldon, jak się sama do tego przyznała, a on nie wątpił w konieczność otaczania panny Backworth-Maldon nieustanną opieką.

Ten dzieciak był... po prostu dzieckiem! Niezaradnym, nieobytym, rozchichotanym dzieckiem, które wciąż jeszcze miało mleko pod nosem, i niezdolnym do sięgnięcia myślami poza jego czubek. W dodatku o wiele dla niego za młodym.

Rządziłyby nią jego ochmistrzynie, a nie odwrotnie. Nie miałyby zielonego pojęcia o zestawianiu menu, pilnowaniu służby czy występowaniu w roli gospodyni balu. Chichotałyby głupawo, konwersowała w sposób zdolny szarżującego byka wtrącić w letarg, oczekując, na domiar złego, że będzie kochać się z mężem w długaśnej nocnej koszuli i pod stosem kołder.

Och, tak, to byłoby cudowne, nieprawdaż?

Mimo to, jak radośnie podkreślił Brady, kiedy błyskawicznie zmyli się z balu u Brama i Sophie, młoda i niewinna Edwardine Backworth-Maldon byłaby dokładnie taką żoną, jakiej zgodnie z własnymi deklaracjami życzył sobie Kipp, gdy zaczynał rozglądać się za odpowiednią kandydatką.

Gorzej nawet. Młode, wrażliwe panienki zwykle się zakochują. A kochają łązawo, wylewnie, zwłaszcza tego, z kim straciły wianek.

A to, jak świetnie wiedział, było ostatnim, czego wymagał od przyszłej żony.

Dlaczego zatem założył rękawiczki, wziął cylinder z rąk Gilletta (ignorując jego grymasy) i ruszył do Hatcharda, by spotkać się z paniami Backworth-Maldon i bez wątpienia wciąż podśmiewającym się z niego Bradym Jamesem?

Dlatego, że jest dobrym człowiekiem, otóż dlaczego. Dobrym i zacnym. I życzliwym. Dbającym o to, by nikt go nie ranić. Idiotą z dobrymi intencjami.

I desperatem.

Księgarnia Hatcharda mieściła się na Piccadilly pod numerem sto osiemdziesiątym siódmym. Cieszyła się szczególnie względami monarchy, co czyniło z tego przybytku miejsce niezwykle prestiżowe. Oznaczało to również,

że *zawsze* roiło się tam od wielkich państwa, którzy mogli co prawda nigdy nie wyjść poza okładkę kupionej tam książki, niemniej jednak cholernie skrupulatnie dbali o to, by kupić ją właśnie u Hatcharda.

W czytelni na tyłach odbyło się niegdyś inauguracyjne spotkanie Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego. Z czytelni korzystał także zapalony przeciwnik niewolnictwa, William Wilberforce, tam też odbywały się organizowane przez niego mityngi.

Właściciel William Hatchard był wyznawcą niezłomnej etyki chrześcijańskiej oraz wydawcą czasopisma „The Christian Observer”, jak również wielu publikacji Towarzystwa do spraw Polepszania Sytuacji Biednych, licznych pamfletów politycznych, a nawet wyboru książek dla dzieci.

Codziennie londyńskie gazety wykładano tu na stolikach przy kominkach, by mogli z nich skorzystać panowie, a nawet i panie. Służący towarzyszący państwu do księgarni Hatcharda cieszyli się przywilejem korzystania z ławek wystawionych przez pana Hatcharda przed księgarnią.

Czy z grubsza, czy ściśle biorąc, księgarnia Hatcharda była przybytkiem szacownym i renomowanym, zgoła ostoją moralności.

Była również, jak każdy niemal skrawek parku, sklepik czy sala balowa w Mayfair, kolejnym podstawowym terenem łowieckim dla wszystkich zainteresowanych mariażem dam i dżentelmenów z towarzystwa.

Sama ta myśl sprawiła, że włos zjeżył się Kippowi na głowie, gdy wchodził do budynku.

Wiedział bowiem, co mogło się zdarzyć i najpewniej istotnie się wydarzy. Jeśli będzie dalej chodził na bale, partnerował debiutantkom w tańcu częściej, niżli wynikało z chęci sprawienia przyjemności gospodyni, jeżeli będzie co dzień pokazywać się w miejscach powszechnie uważanych za matrymonialne tereny łowieckie z księgarnią Hatcharda na czele, wcześniej czy później ktoś niechybnie wy-

ciągnie jedyny słuszny wniosek, że baron Willoughby narzeczcie poszukuje żony.

A jeśli do tego dopuści, jeśli damy wydające przyjęcia i sprytnie matki zwierzą jego zamiary, będzie zgubiony. Zgubiony.

Nie. Musi szybko to załatwić. Miał już kandydatkę. Wybrał ją - okazała się nieodpowiednia, ale o to mniejsza - i tylko ją, spośród tłumu „odpowiednich” młodych dam krążących po Hyde Parku niczym szukające okrucichów gołębie. Nie zamierzał dłużej szukać, skoro tak czy inaczej cała ta sprawa nie miała dla niego zbyt dużego znaczenia. Potrzebował żony. Niczego więcej. Bądź co bądź musiał tylko poślubić którąś i dzielić z nią łożo. Nikt nie mówił, że będzie musiał jej słuchać.

Mimo to, choć zamierzał, nie przebijając w środkach, bronić się przed zgubą, omal się nie wzdygnął, gdy przy stoliku, na którym piętrzyły się tomiszczą poświęcone historii starożytnej Grecji, spostrzegł Brady'ego, który dziko machał na niego obiema rękami, po obu flankach mając panie Backworth-Maldon.

Z radością i nadzieją skazańca wiedzionego właśnie na szubienicę Kipp uśmiechnął się, pomachał mu w odpowiedzi i powlókł się w kierunku trzyosobowej grupy.

Przeciskając się między stolikami, a było ich niemało, zlustrował wzrokiem obie panie - z cichą nadzieją, że jego spojrzenie wyda się im nonszalanckie, a nie krytyczne - a przez cały ten czas starał się nie zauważać przebiegłego, zadowolonego uśmiechu na gębie Brady'ego.

Edwardine Backworth-Maldon wyglądała równie ślicznie jak na balu, jak wówczas, gdy zobaczył ją w Hyde Parku. Z tym że jej oczy nie wydały mu się już łagodne i rozmarzone. Po prostu młode i jakby puste.

Puste w tym samym stopniu, jak iskrzące się inteligencją oczy jej ciotki pełne były czegoś, co, jak sobie mówił, nie mogło przecież być zainteresowaniem jego osobą, jego

chodem, ubiorem, postawą, a tym bardziej już krytyczną oceną jego charakteru. Niezwykle niepokojące wrażenie.

„Boże, broń mnie przed inteligentnymi kobietami” - westchnął bezwiednie Kipp, po czym uzmysłowił sobie, że Bóg słuchał go ostatnio aż nazbyt uważnie, skoro postawił na jego drodze Edwardine Backworth-Maldon.

No dobrze, może rzeczywiście wolał inteligentną. Przypuśćmy, ale tylko przypuśćmy, że byłaby to kobieta niegłupia, która spełniałaby jego oczekiwania, a zarazem w wystarczającym stopniu interesowała się resztą świata i swoimi sprawami, by być dla niego idealną żoną. Kobieta wyzuta z romantyzmu, której nie przyszyłoby do głowy oddać mu swego wrażliwego serduszka w ładnym papierku i zawiązanego na kokardę.

Z tą myślą kołaczącą w głowie - której nie ufał już tak, jak czynił to ponad trzydzieści lat - zatrzymał się na chwilę, Z pozornym zainteresowaniem pochylił głowę nad atlasem geograficznym i zastanowił się nad Abigail Backworth-Maldon.

Inteligentna, owszem. Niezależna, jakże by inaczej. Samowystarczalna? A czy miała jakiś wybór, objuczona reputacją zmarłego męża, resztą rodzinnej menażerii i ładniutką, lecz tępą debiutantką bez posagu?

Poza tym pospolita. Bo była pospolita. Więcej nawet. O figurze nazbyt chłopięcej, wąskich biodrach, małych piersiach. Wypłowiałyich włosach i karnacji bladej jak księżyc. Jedyne te fiołkowe oczy miały w sobie cokolwiek niezwykłego, interesującego.

Chociaż postawę miała godną pochwały. I, odwołując się do kryterium Brady'ego, zdrowe zęby.

Gdyby tylko ta dama znośnie się ubierała...

Kipp porzucił atlas na stoliku, pełen niesmaku do samego siebie.

Sądził, że najlepiej mu będzie z niewinną debiutantką.

A teraz kierował wzrok ku wdowie o ciętym języku.

Czy w ogóle wiedział, czego chce? Czego potrzebuje?

Owszem. Wiedział. Chciał Merry. *Zawsze* pragnął Merry i zawsze wiedział, że nigdy nie będzie należała do niego.

A jeśli Merry mieć nie może - a tak właśnie było - cóż to w ogóle miało za znaczenie, kogo wybierze?

- Kippie? Nogi ci wrosły w ziemię? Chodź tu i przywitaj się z paniami.

Przywołał na twarz kolejny radosny, jak miał nadzieję, uśmiech, i zadziwiony głębią własnej hipokryzji podszedł do czekającej nań grupki, pochylił się nad dwiema obleczonymi w rękawiczki dłońmi i z trudem powstrzymał się przed wymierzeniem przyjacielowi kopniaka w piszczel.

- Czyżbym się spóźnił? - spytał. Wolał zignorować chichot Edwardine, która podniosła jakąś książkę, otworzyła ją i zaczęła przeglądać, niemalże przyklejając nos do każdej kolejnej stronicy.

- Po tysiąckroć upraszam o wybaczenie. A pani Backworth-Maldon zaraz zapyta - dodał szybko - czy naprawdę upraszam po tysiąckroć, chciałbym się zatem poprawić, jeśli łaska. Zwrot „po tysiąckroć” musi wydawać się grubą przesadą. Czy poprzestaniesz, pani, na jednych przeprosinach, jeśli zostaną złożone ze szczerego serca?

- Nie wybaczył mi pan mojego wczorajszego żartu, nieprawdaż, milordzie? - odparowała Abby. Mierzyła go uważnym spojrzeniem, wcale nie wyglądając na zakłopotaną jego słowami.

Kipp drgnął, gdyż uświadomił sobie, że "wśród wielu cech, które zdążył w niej zauważyć i które napawały go niechęcią, na pierwszy plan wybijał się niezwykle irytujący zwyczaj tej piekielnej kobiety odpowiadania pytaniami na jego pytania.

O nie, lepiej już pozostanie przy tej ładnej i głupiej. Wdówka mogłaby okazać się niebezpieczna, a nie tylko kłopotliwa. Postanowił sobie wybrać jedną z nich, nim tydzień dobiegnie końca, najpierw jednak chciał się upewnić,

z której strony grozi mu mniejsze niebezpieczeństwo. Nie wyobrażał sobie powodów, które mogłyby zmusić go rozpoczęcia polowania od nowa i handryczenia się ze stadem wiecznie zajętych swatami matek i ich ograniczonych córek. Gra niewarta świeczki i tyle.

- Abby! - zakrzyknęła Edwardine piskliwie i z trzaskiem zamknęła książkę, skupiając na sobie uwagę wszystkich w promieniu dwudziestu stóp, po czym rzuciła ją na blat stolika i wskazała palcem, jakby spośród jej kart wyskoczyła żmija. - Ci ludzie nie mają na sobie żadnego ubrania! Są nagusieńcy!

Trzej młodzi kawalerowie, którzy właśnie przechodzili obok stolika, zatrzymali się jak wryci, łypnęli po sobie z lissimi minami i bez mała wdali w bójkę, wyrывая sobie z rąk książkę, od której z oczami okrągłymi jak spodki odsuwała się Edwardine.

Brady, który widział, że Kipp przygląda się Abby, i baził się niemal tak dobrze, jak poprzedniego wieczoru - bądź co bądź z jego natchnionego pomysłu zrodził się najzupełniej wykonalny plan, przynajmniej jego skromnym zdaniem - uściśnął sobie w duchu rękę, nie mogąc nadziewić się swemu wrodzonemu geniuszowi. Z ładniutkiej Edwardine była zwykła gąska. Skończona gęś!

Abby zajęta była pocieszaniem bratanicy, toteż Kippo- wi pozostało jedynie przechwycić książkę, nim na dobre wpadnie komuś w ręce. Podał ją, zamkniętą, wdowie Backworth-Maldon, która przyjęła ją dość ochoczo, aczkolwiek z lekkim przepraszającym uśmiechem na twarzy.

- Dziękuję, milordzie. - Otworzyła książkę, czy też raczej album, przekartkowała go pobieżnie, następnie westchnęła, po czym wyjaśniła, z ubolewaniem kręcąc głową: - To rzeźby, Edwardine. Szkice w tym albumie przedstawiają greckie rzeźby. I owszem, wiele z nich przedstawionych jest bez ubrania. Wiele nie ma także rąk czy głów, jak mogłaś sama zauważyć. Innymi słowy, skarbie, to książka poświęcona sztuce antycznej.

Trójka młokosów wtopiła się w tłum, nie tając rozczarowania, Edwardine natomiast stała zupełnie nieruchomo z policzkami, które oblekały się różem, po czym zajrzała ciotce przez ramię.

- Och - odezwała w końcu, a Kipp nieświadomie nachylił się bliżej, wbrew sobie ciekaw, co jeszcze może palnąć głupiutka panna.

Nie rozczarowała go.

- Ależ, Abby, to przecież okropnie niemądre ze strony tych Greków. Jak mogli pamiętać o tym, żeby wyrzeźbić pierś, a zapomnieć o głowach i rękach?

Brady odwrócił głowę i zakasłał. Zakrztusił się także, raz czy dwa razy.

Abby przewróciła oczami, po części rozbawiona, po części zrezygnowana.

Kipp natomiast, oczyma duszy widząc siebie leżącego na stoliku, machającego nogami i wyjącego ze śmiechu, mężnie zaproponował, by we czworo opuścili duszną księgarnię i przespacerowali się po pobliskim Berkeley Square oraz zaszli do Guntera na lody.

6

Do herbaciarni Guntera na wschodnim skraju Berkeley Square dotarli po półgodzinie leniwego spaceru owego ciepłego, słonecznego dnia, który, jak się zdawało, skusił całe Mayfair do zażywania świeżego powietrza.

Pochód rozpoczynał Kipp z Edwardine, a dłoń młodej panny z rozczulającą ufnością spoczywała na jego łokciu. I sprawiała, że Kipp w o wiele większym stopniu czuł się jak starszy brat, ojciec nawet, niż starający.

Za nimi szli Abby i Brady, rozmyślnie trzymając się nieco w tyle, by móc pozwolić sobie na prywatną rozmowę.

- Byle nie nazbyt daleko, moja droga - ostrzegł żartobliwym tonem Brady, wskazując na przyjaciela. - Muszę mieć pewność, iż zdołam go powstrzymać, jeśli uzna, że jedynym rozwiązaniem dla człowieka przy zdrowych zmysłach jest rzucić się pod przejeżdżający powóz i w ten sposób zakończyć całą tę sprawę.

Abby pochyliła głowę i na próżno usiłowała powstrzymać się od śmiechu.

- Widziałeś, milordzie, wyraz jego twarzy, gdy Edwardine tak niewinnie wspomniała słowo „pies”? - zapytała. - Chociaż istotnie było to zabawne, prawda?

- Kiedyś uczyni kogoś bardzo szczęśliwym człowiekiem, Abby, o to się nie lękaj. Jeśli tylko ten ktoś będzie zamożny, szaleńczo zakochany i tak samo pozbawiony rozumu jak ona, naturalnie. A dżentelmenów podobnych do tego, jakim posłużyłem się dla przykładu, zawsze jest w Londynie na pęczki.

- Jakaż to pociecha dla mojej skołatanej głowy - odparła Abby, zastanawiając się, jak dyskretnie przejść do tematu, wokół którego krążyli wczorajszego wieczoru, a którego wspomnienie nie pozwoliło jej zasnąć do późna w nocy. - Ale nadal nie widzisz pan Edwardine w roli baronowej? Jako odpowiedzi na modły, które z taką zimną rozwagą wznośli baron, rozpoczynając matrymonialne łowy?

- Czyżbyś ty ją widziała, pani?

- To niewłaściwie postawione pytanie, milordzie. Bardzo słabo znam pana barona i trudno się chyba spodziewać, żebym orientowała się w jego upodobaniach, zgodzisz się pan chyba ze mną? Poza tymi głupstwami, które opowiadałeś mi wczoraj wieczorem, a które, jak jestem pewna, są grubo chybione, bo nie uwierzę, żeby był zainteresowany.

- Głupstwami? Zainteresowany? A! Mówisz pani o mo-

jej sugestii, że w tobie mój przyjaciel znalazłby żonę niemal doskonałą?

- Tak, tak - klepała Abby szybko, rozglądając się dookoła w obawie, że ktoś mógłby ich podsłuchać, chodniki bowiem przeżywały istne oblężenie. - Pozwól, że podsunę ci pewną myśl, milordzie. Może tak wdrapie się pan na szczyt katedry świętego Pawła i stamtąd wykrzyczy swoje sugestie? Ktoś mógł nie dosłyszeć.

- Niech droga pani mi wybaczy - odparł Brady i uściśnął czubki palców Abby, spoczywających na rękawie jego świetnie skrojonego surduta. - Tajemnica, rzecz oczywista, ma tu kluczowe znaczenie, nieprawdaż? Tym bardziej że ostatnim człowiekiem, który powinien usłyszeć o moim planie, jest sam Kipp. W mgnieniu oka czmychnąłby do Willoughby Hall, to znaczy zaraz po tym, jak rozwaliłby mi nos za wtrącanie go w nie swoje sprawy. Widzisz, pani, zdarzało mu się mówić, że chce mojej pomocy, ale nigdy szczerze. Mniejsza o to, zastanawiałaś się, pani, nad moją propozycją?

A jakże. Bez wątpienia. Prawie przez całą noc i większość ranka.

- Istotnie mam jeszcze parę pytań, milordzie, przyznaję.

- Dobrze, zatem nie odrzuciłaś z miejsca mojej koncepcji. Słucham.

Powtarzając w myślach te nieliczne wnioski, jakie zdołała wyciągnąć, zaczęła:

- Sophie... chciałam powiedzieć, księżna Selbourne wiedziała wszystko o moim zmarłym... o naszej rodzinie. Przypuszczam, że nie dowodziłoby nadmiernej naiwności z mojej strony, gdybym podejrzewała, że także i ty, milordzie, wszystko wiesz o naszych sprawach, nieprawdaż? Nie tylko znasz nieistotne strzępy informacji... ale wszystko? Że zarówno tobie, milordzie, jak i panu baronowi nieobce były szczegóły tego skandalu, zanim bodaj przedstawiliście się Edwardine wczoraj wieczorem?

- Taki już przeklęty los socjety, moja droga Abby - od-

powiedział Brady tak ciepło, jak potrafił. - W którymkolwiek kierunku człowiek zrobi dwa kroki, a zaraz gruchną plotki. Wyobrażam sobie, że powinienem w tej sytuacji poniewczasie złożyć ci, pani, kondolencje w związku ze śmiercią twojego męża.

Abby skwitowała to nieznacznym machnięciem ręki, milcząco przyjmując kondolencje Brady'ego, a zarazem je zbywając.

- A moi szwagrowie, reszta rodziny? O nich także wszystko obaj wiecie?

- O tyle, o ile, owszem. Chociaż rodzina Backworth-Maldon nie pokazywała się w mieście od kilku lat, pamiętam dość dużo, by żywić pewność, iż muszą być... interesujący - przyznał Brady. - Ale, jeśli mam być szczerzy, niewiele mnie to nie obchodziło, dopóki nie poznałem ciebie, Abby. Wcześniej główną moją troską było obmyślanie, jak podsunąć twoją bratanicę Kippowi pod sam nos, by dostrzegł błąd swego rozumowania, skoro wierzy, że zadowolony go młoda, niewinna żona.

- Jakież to wyrachowane.

- Wyrachowane? - Brady uśmiechał się do niej. - Wolę słowo „błyskotliwe”, lecz przypuszczam, że będę chyba musiał przystać także na to pierwsze. Ale wróćmy do tematu. Fakt, że młoda panna w sytuacji twojej bratanicy, pani, obydwiema rękami uczepiłaby się mężczyzny takiego jak baron Willoughby, nie pozostawał tajemnicą ani dla mnie, ani dla niego, rzecz jasna. Wydawała się idealna dla jego celów, a teraz szczęśliwie okazuje się, że doskonale odpowiada moim planom. Chociażby dlatego, że mój przyjaciel życzy sobie rychłego załatwienia sprawy, najchętniej w przeciągu tego tygodnia. Pamiętaj, moja droga, baron dopatruje się w całym tym projekcie transakcji handlowej, nie przyjemności.

- Doprawdy? Jakież to zimne postępowanie ze strony was obu, milordzie. Wie pan co? Nie lubię pana. Ani pańskiego

przyjaciela - sprecyzowała, prostując plecy. - Sądziłam, że mogłabym polubić, teraz jednak wiem, że byłam w błędzie.

- A to szkoda, bo ja się przekonałam, Abby, że lubię cię bardziej z każdym twoim słowem. Myślę, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

- Och, czyżby? Nie pochlebia mi twoja sympatia, milordzie, przeciwnie... Skoro już przyznałeś, że obaj wiedzieliście o mojej rodzinie i jej... słabościach... możesz mi zdradzić, czy miały one cokolwiek z faktem niespodziewanego otrzymania przez nas zaproszenia na bal u Selbourne'ów? To pańska sprawka, że księżna dowiedziała się o nas wszystkiego, że zaprosiła nas do siebie? Chociaż jestem pewna, że znam już odpowiedź na to pytanie. Zauważyłam, jak mrugnęła do ciebie, milordzie, gdybyś o tym nie wiedział.

- Rzucasz mi, pani, rękawicę?

- Raczej podejmuję tę mnie rzuconą - odparła Abby, piorunując go spojrzeniem.

- Dobrze więc, moja droga pani inkwizytor. Po pierwsze, pokuszę się o rekapitulację. Otóż my - Kipp i ja - ujrzeliśmy bratanicę pani w Hyde Parku, a mój przyjaciel baron, który mniej więcej w tym samym czasie postanowił rozpocząć poszukiwania przyszłej małżonki, postanowił się o nią starać. Jak na razie świadczy to o wyrachowaniu?

- Ja także widziałam panów w parku - przyznała się Abby. - I widziałam, jak baron strzelał oczami za Edwardine. Proszę mówić dalej.

- Nie pozostało wiele do opowiedzenia. Owszem, udałem się prosto do Sophie, gdy tylko poznałem nazwisko pani bratanicy, i ubłagałem ją, by zaprosiła panią i pani rodzinę na bal. Co nie było trudne, zważywszy że Sophie... no cóż, Sophie to Sophie. Najzaciejsza z zacnych, zawsze gotowa śpieszyć z pomocą. Tym bardziej kiedy opowiedziałem jej smutną historię pani rodziny.

- Wspominała już w rozmowie ze mną, że z osobami jej

i jej męża wiąże się cień skandalu, jeśli tego stara się pan nie powiedzieć.

- O wiele więcej niż cień, Abby, ale to już przeszłość, chociaż przyznam, że bezwstydnie przypominałem jej o skandalu, jakim okryła się rodzina Backworth-Maldonów, by pozyskać jej współczucie - i zaproszenie dla pani rodziny. Tak czy inaczej miałem nadzieję, że Kipp spotka się z twoją bratanicą, zatańczy z twoją bratanicą i znudzi się twoją bratanicą po same uszy, a wtedy zaczniesz słuchać mnie i moich poglądów na temat cech, jakie powinna posiadać jego żona.

- Ponieważ to ty, milordzie, masz mu wybrać żonę? Cóż to za bzdury!

- Być może - oparł, wzruszywszy ramionami. - Ale tylko na jego prośbę, Abby, tylko na jego prośbę, nawet jeśli sam nie traktował tej sprawy nazbyt poważnie. I tak oto przechodzimy do mojego najnowszego natchnionego pomysłu, tego, do którego czyniłem aluzje wczoraj. Jestem pewny, że nie zapomniałaś.

- Och, owszem, nie zapomniałam. Ile natchnionych pomysłów rodzi się w twojej głowie, milordzie, w ciągu jednego wieczoru?

- Brady. Prosiłem, żebyś zwracała się do mnie po imieniu. Nawet jeśli w tej chwili mnie nienawidzisz. - Wyszczerezył zęby w uśmiechu. - Przynajmniej trzy - swobodnie powrócił do poprzedniego wątku. - Widzisz, żywię pewne niewzruszone poglądy na temat cech, jakie powinna mieć żona mego dobrego, acz nie najbardziej przenikliwego przyjaciela, które kłócą się z jego zdaniem, chociaż zaczynam wierzyć, że jego opinie zaczęły być poddawane ciężkiej próbie. Ty jesteś wszystkim, czego dla niego szukałem, a czego on sam poprzysiągł unikać, co nie znaczy jednak, że prawda już do niego dotarła. Na razie zbyt szybko absorbuje go własne humory, użalanie się nad sobą i tym, co przestrzega jako swój nieszczęsny los. To doskonale!

- Doskonale - powtórzyła głucho Abby i pokręciła głową, myśląc, że cała sytuacja staje się absurdalna. - Milordzie... Brady, czy nie przyszło ci do głowy, że istnieje możliwość, że wczoraj wieczorem wypiliśmy zbyt dużo wina?

- Nie, nie, przeciwnie. Byłem, Bogu dzięki, najzupełniej trzeźwy, kiedy poraziło mnie natchnienie. Jesteś idealną kobietą dla Kippa. I wierzę, że uda mi się - czy też że tobie się uda - przekonać go, że jesteś dokładnie tą, której mu trzeba.

- Mnie... przekonać jego? Czyś ty oszalał? Przecież można o mnie wszystko powiedzieć oprócz tego, że jestem doskonała, i oboje o tym wiemy.

- No dobrze, Abby - zgodził się i poklepał ją po ręce. - Może nie doskonała, nie według kryteriów, według których mierzy się twoim zdaniem doskonałość w towarzystwie. Jesteś jednak doskonała pod względami, których jeszcze nie rozumiesz.

- I nigdy nie zrozumiem, zrozumieć nie chcę - powiedziała Abby, zabierając rękę z jego ramienia w chwili, gdy minęli kolejny zakręt w drodze na Berkeley Square. - Myślę, że dość już tej rozmowy, Brady, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Niemniej Brady nie zamierzał wypuścić sterów konwersacji ze swoich rąk czy też raczej nie zamierzał wypuścić z rąk Abby. Nie teraz, kiedy wiedział już, że intuicja dobrze mu podpowiadała.

- On nie chce twojej bratanicy, ale jeśli dostanie ciebie, Abby, i tak spadnie na niego cały klan Backworth-Maldonów. Wszyscy ci *interesujący* Backworth-Maldonowie. Pomyśl o tym, Abby. Miałyby pełne ręce roboty niezależnie od tego, co mu się teraz wydaje, wbrew swemu przekonaniu, że wszystkie jego problemy rozwiążą się same. Nie mógłby dalej żyć tak jak teraz, ślizgając się po powierzchni życia, ale naprawdę go nie przeżywając, naprawdę się nim nie ciesząc. Potrzebny mu wstrząs. Może nawet tak silny, jak nowa miłość.

- Miłość - powtórzyła Abby, *zwalniając* kroku i ponownie ujmując Brady'ego pod rękę. - Czy to możliwe?

Brady natychmiast zorientował się, że posunął się za daleko, że powiedział zbyt wiele i zbyt wiele marzeń rozbudził w sercu tej biednej kobiety.

- Wszystko jest możliwe, Abby. Chociaż on na początku nie będzie na to patrzył w ten sposób, to jasne. Zresztą ty, praktyczna duszo, nie życzysz sobie aż tyle, prawda?

- Prawda - powtórzyła Abby jak papuga. Czuła, że zaczyna się jej kręcić w głowie. - A jeśli nie uda ci się go przekonać, że jestem, hm, odpowiednia, poprzez podsuwanie mu mojej osoby pod sam nos, to proponujesz, żebym sama to zrobiła? Oświadczasz, że powinnam sama się oświadczyć? To właśnie chciałeś powiedzieć? Jak możesz uważać, że posunęłabym się do czegoś takiego?

- Abby, moja droga, droga pani Backworth-Maldon - rzekł Brady z szerokim uśmiechem i ujął jej ręce w swoje. - Może dopiero ciebie poznałem, ale wierzę, że umiałabyś samemu diabłu powiedzieć, jaką temperaturę powinien utrzymywać w piekle. Jeśli mi się zaraz nie zwierzysz, że oddałaś serce jakiemuś wiejskiemu szlachetce i naprawdę nie interesuje cię mój plan, owoc natchnionego geniuszu... - nie dokończył rozmyślnie, udając zainteresowanie przejeżdżającym obok czterokonnym powozem.

Przez dłuższy czas przyglądała mu się spokojnie.

- Twój geniusz. Twój plan, powiadasz? Plan, by wydać *mnie* za barona, ponieważ on potrzebuje żony, której nigdy nie pokocha, żeby dała mu dzieci, których sam pewnie nawet nie chce, oraz święty spokój, by mógł robić to, co robił przed ślubem. Na tym polega twój plan, milor... Brady?

Brady podrapał się po głowie. Aż skulił się, widząc jej śmiertelnie blade policzki. Czy to możliwe, że przed chwilą niepokoił się, iż roztacza zbyt kuszące wizje?

- Słyszac tak odważne postawienie sprawy, Abby, sędzę, że powinienem się za siebie wstydić. A przecież mój plan

wciąż jeszcze jest świeży, dopiero co się narodził i będę ci, pani, wdzięczny, jeśli nie poczujesz się nazbyt nim urażona, jako że w dużej mierze obmyślałem go teraz na głos. Wybacz mi, proszę.

- Nie zamartwiaj się, milordzie. Skórę mam z konieczności grubszą niż większość ludzi. Oprócz tego słyszałam, że szaleńcy często wypowiadają każdą swoją obłąkańczą, niespójną myśl w obecności tłumów i że powinno się wybaczać im ich uchybienia - odrzekła Abby, nieco już odprężona po jego przeprosinach, wciąż jednak zbyt ostrożna, by czuć się w pełni swobodnie.

- Och, jesteś doskonała, Abby. Doskonała! Skoro tyle już powiedziałem, obrażę cię ponownie, bo wolałbym omówić sprawę, póki patrzysz na mnie nieco łaskawszym okiem. Nie wspomniałaś o tym, iż jako niezbyt majątna wdowa możesz żywić nie większe nadzieje na korzystny mariaż niż pchła, Abby. Co oznacza, że pozostaje ci wizja roztaczania opieki nad pozostałymi krewnymi, kiedy wydasz już za mąż bratanicę. Przywiązana do nich jako ich niewolnica, opiekunka. A wy wszyscy nieustannie pogrążeni w długach.

- Ojej, ależ z ciebie niepoprawny figlarz, Brady. Zapewne nie zmrużę dziś oka, beztriosko wyliczając sobie wszystkie uśmiechy losu, w jakie obfituje moje życie, a na które ty właśnie zwróciłeś mi uwagę. Czy cały świat tyle samo wie o nas, o mnie?

- Nie wszyscy, Abby. Wyobrażam sobie, że jest kilka takich osób, które nadal żyją w błogiej ignorancji. Na przykład banda tych śliniących się młokosów, którzy kręcą się wokół twojej bratanicy, zbyt oszołomieni jej urodą, by zadawać sobie jakiegokolwiek istotne pytanie. Lecz tak, bardzo dobrze orientuję się w finansach Backworth-Maldonów, czy też raczej w ich braku, powinienem chyba powiedzieć. Widzisz, byłem przy tym, gdy twój zmarły mąż przegrał w karty wasz niewielki dom, swój powóz, nawet konie wierzcho-we. Gdyby nie stracił przytomności z nadmiaru trunków,

nim zdążył odejść od stolika, śmiał twierdzić, że w następnym rozdaniu postawiłby swojego osobistego służącego.

Abby uniosła dłoń, gestem nakazując Brady'emu milczenie, przyszło jej bowiem do głowy pewne pytanie. Palcho wujaszków, ale naprawdę czekała na cokolwiek, co pozwoliłoby jej uwierzyć w ich wersję.

- Byłeś tam? Byłeś przy tym, jak Harry przegrał wszystko do sir Thurstona Longhope'a? Słyszałeś, jak stawia swoje konie? *Wszystkie* konie należące do Backworth-Maldonów? To znaczy, czy Harry rzeczywiście powiedział, że stawia wszystkie nasze konie? Nie tylko te, które trzymał tu, w Londynie?

Brady zmarszczył czoło, nie w pełni rozumiejąc nagłe zainteresowanie Abby i nieoczekiwaną zmianę tematu, czując jednak, że jego odpowiedź jest dla niej ważna.

- Które dokładnie stawiał? Nie sądzę, żeby sprecyzował to dokładnie, Abby, prawdę mówiąc. Myślę, że wszyscy założyliśmy, że chodziło mu o te bezużyteczne, przesadnie przystrojone szkapy, które zaprzęgał do kariolki, i konie pod wierzch, te, które trzymał w mieście. Bądź co bądź wszystko, co postawił, związane było z jego rezydencją w mieście, tu w Londynie.

Brady poczuł, że nos zaczyna go podejrzanie swędzieć, i podrapał się machinalnie. Czyżby sir Thurston popełnił nadużycie i domagał się czegoś ponad swoją wygraną, więcej niż stawiał pijany Harry Backworth-Maldon? Czy to właśnie dlatego ich rodzinie brakowało funduszy na pojawianie się w mieście przez tych ostatnich kilka lat? Ciekawe.

- To dla ciebie z jakichś powodów ważne, prawda, Abby? Jeśli zapytam, powiesz mi?

- Nie - odpaliła Abby i potrząsnęła głową, myśląc o wujach i o tym, jak podziałałaby na nich ta informacja - Przeciwnie, jeśli zostanie mi bodaj kropla oleju w głowie, nigdy nie napomknę o tym, co przed chwilą powiedziałaś, i to nikomu.

Brady uważał, że różne rzeczy można mu zarzucić, lecz nie brak dobroduszości, toteż niezwykle dobrodusznie temat zarzucił, jeśli nawet nie wyrzucił go z pamięci, i poprowadził rozmowę w innym kierunku:

- Zatem, jako że dotarliśmy niemal do Guntera, powróćmy szybko do wcześniejszej kwestii. Jeśli pozwolisz, że bym w skrócie przedstawił moją sprawę?

- Gdybym powiedziała, że mnie to nie interesuje - wyjaśniła z westchnieniem - że bardziej jestem urażona niż zaintrygowana, wiedziałabyś, że to kłamstwo, równie dobrze możesz więc mówić, co ci się żywnie podoba.

- Szczerza i uczciwa, kiedy masz na to ochotę, nieprawdaż, Abby? Dobrze, to mi się podoba. W porządku, przyjrzyjmy się sytuacji raz jeszcze: mój przyjaciel potrzebuje żony. Ty postąpiłabyś rozsądnie, znajdując sobie męża. I, jeśli pozwolisz, bym pokusił się jeszcze o kilka domysłów, to nic nie dałoby ci więcej szczęścia, jak bezpieczeństwo płynące z zamęścia, rozkosz bycia wypłacalną, a na dodatek zwolnioną z obowiązku doglądania kogokolwiek przez dłuższy czas.

Abby westchnęła, tym razem ze smutkiem.

- To owszem...

- Otóż to. Żadne z was nie szuka związku z miłości, przyprawiającego o szybsze bicie serc, chyba że się mylę i masz romantyczne skłonności, których nie zdążyłem jeszcze odkryć, niezależne od twoich cudownie pragmatycznych poglądów na życie. W dodatku twoje pojawienie się w życiu Kippa - pojawienie się w nim całej twojej rodziny - działa jeszcze jeden niewielki cud. Wątpię, czy Merry by uwierzyła w to, że Kipp bierze sobie na głowę twoich krewnych, nie będą w tobie zakochanym do szaleństwa. To idealne rozwiązanie, dla was obojga.

- Merry? Jak przypuszczam, to ta kobieta, która odrzuciła Ki... twojego przyjacielem...

- Nie, to kobieta, z którą dorastał, w pełni rozumiejąc, że nigdy go nie pokocha, że świata nie widzi za jego naj-

lepszym przyjacielem. Ona i jej mąż, Jack Coltrane, mają niebawem wrócić z Ameryki i Kipp chce już wtedy nosić na palcu obrączkę. Jest przekonany, że bardziej się ucieszą, widząc go w roli szczęśliwego męża. Brzmi to trochę jak fragment romantycznej powieści, prawda?

- Araminthy Zane, mojej ulubionej pisarki. - Abby kiwnęła głową.

W tym momencie Brady mocno przygryzł wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- To twoja ulubienica? Doprawdy? Oto coś, na co nie liczyłem. Zatem w głębi serca istotnie jesteś romantyczką. Może to i dobrze.

Abby uznała, że za bardzo odkrywa się przed człowiekiem, który, jak się wydawało, widział w jej osobie rozwiązanie problemów barona, pionek w rozgrywanej przez siebie grze.

- Nie sądzę, by brak rozsądku i romantyczne usposobienie było konieczne do tego, by czytywać pannę Zane. Zawsze jest taka zabawna, z tymi jej komediami pomyłek i podszywaniem się postaci pod inne i tym podobnymi sprawami, których tak dużo w jej powieściach. Chociaż teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, zawsze pojawia się także dawka intryg, czasem nawet rozlewu krwi, razem z tymi romantycznymi... hm... bzdurami. Taka przyjemna lektura, inspiracja do marzeń, ale nie sądzę, bym była zadowolona, gdyby to mnie przydarzyło się coś podobnego.

- W moim planie nie dochodzi do rozlewu krwi, daję ci słowo. A zresztą usłyszałaś już, na czym zasadza się cała intryga. Ale jeśli dzięki temu masz poczuć się lepiej, możemy myśleć o naszym małym spisku jako o nieoczekiwanym zwrocie akcji w jednym z błyskotliwych dzieł Araminthy Zane. Wszystko, czego teraz potrzebujemy, to zapewnienie Kippowi twojego towarzystwa przez kilka najbliższych dni. Jeśli samodzielnie nie wpadnie na oczywiste rozwiązanie swoich problemów, to, ufam, sama mu tę myśl podsuniesz.

Spojrzał na Abby i uśmiechnął się.

- To jak, wchodzisz w to, Abby? Czy moja propozycja w ogóle cię interesuje? Bo musimy działać szybko, zanim - wybacz - Kipp zwieje z krzykiem, byle dalej od uroczego, acz otepiałego towarzystwa twojej bratanicy.

Abby zerknęła w kierunku barona i Edwardine; zatrzymali się właśnie przed herbaciarnią. Edwardine wyglądała promiennie, wręcz anielsko pięknie w swym zachwyceniu ciepłym, wiosennym dniem.

Baron natomiast, jak się wydawało, uśmiechał się tylko dlatego, że tak wypadało.

Czy mogłaby się na to zdobyć? Czy będzie umiała z zimną krwią osaczać barona Willoughby, obserwując, czatując na odpowiedni moment, by zaproponować zimne, bezosobowe rozwiązanie tak jego, jak i własnych problemów, tak jak to podpowiadał jej Brady?

Czy może nie robić nic, pozwolić mu odejść, zniknąć z jej życia, nim na dobre w nim zagościł?

Przepuścić szansę, by zostać baronową, mieć własny dom? Własne dzieci, własne życie? Czy znając siebie, mogłaby zdobyć to wszystko, nie ryzykując, że ceną będzie jej złamane serce?

Abby przyjrzała się baronowi. Kolejny raz uderzyło ją, jak bardzo jest przystojny. Uderzający był jednak także ledwie zauważalny wyraz znużenia, lekkie napięcie malujące się na jego twarzy. Jeśli tak zareagował na zwykły spacer z Edwardine, przypuszczała Abby, to istotnie z krzykiem uciekłby z Londynu, jak zgadywał Brady, po tygodniu zabawiania Edwardine czy jakiegokolwiek innej debutantki, których stadko plątało się teraz po mieście.

Czy może pozwolić, by się jej wymknął? Czy chce, żeby się jej wymknął? Ma w ogóle szansę go zdobyć?

Czy będzie umiała spojrzeć sobie w oczy, jeśli nawet nie spróbuje?

- Nie sądzę, byśmy mieli więcej niż dwa dni, Brady, góra trzy - szepnęła rzeczowo, kiedy podchodzili do drzwi

herbaciarni. - Ty aranżujesz spotkania, ale wszystko inne zostawiasz mnie. Zgadzasz się?

Brady odprężył się wewnętrznie, pełen zadowolenia, jakie ogarnia człowieka przekonanego o słuszności swego postępowania w chwili, gdy zabiera się do wywracania do góry nogami życia niczego nie przeczuwającego przyjaciela.

- Och, zgadzam się z największą chęcią, moja droga Abby. Mam do ciebie ogromne zaufanie, niemal takie jak do własnych osądów. A teraz, moja ty bohaterko z powieści Araminthy Zane - spytał ciepło - bierzemy się do dzieła?

7

Kipp lekkim krokiem zszedł po schodach rezydencji przy Grosvenor Square z uśmiechem na twarzy, pochłonięty sobie tylko wiadomymi myślami, które doprowadziły go do wniosku, którym zdecydowanie nie chciał się z nikim dzielić.

- Witaj, Brady, stary przyjacielu. Wspaniały dzień na piknik, nieprawdaż?

Brady stał w holu wejściowym, podpierając się o jedną z solidnych białych kolumn. Teraz zaszczycił gospodarza dość szpetnym spojrzeniem, po czym jęknął, jakby prosta czynność zmarszczenia brwi sprawiła, że pod jego czaszką rozpoczął się koncert na kowalskie młoty i kowadła.

- I jak ty wyglądasz - odezwał się. Odepchnął się od kolumny, by przyjąć bardziej spionizowaną pozycję. - Wesolutki, oczy świetliste, dosłownie okaz zdrowia. Czy to aby na pewno ty wysadziłeś mnie na Portman Square dzisiaj o czwartej nad ranem? Nie jestem pewny, mój stary, ale coś mi się zdaje, że mam powody, żeby cię wyzwać na ubitą ziemię.

Kipp przeszedł obok niego i wziął od kamerdynera rękawiczki, kapelusz oraz laskę.

- Dziękuję, Gilletcie.

- Milordzie - odparł Gillett i pokłonił się majestatycznie, a w kościach coś mu strzyknęło. Kamerdyner był wysokim mężczyzną, o wyprostowanych mimo wieku ramionach i szczupłej sylwetce, przyodzianym w dobrze skrojoną biało-czarną liberię. Miał gęste włosy, teraz białe jak śnieg, prezencję udzielnego księcia, wszystkie talenty znakomitego majordomusa oraz, na największym palcu lewej stopy, narośl, która zdawała się żyć własnym życiem. Choć wyglądał na dobrze utrzymanego sześćdziesięciolatka, od dawna już miał siedemdziesiątkę na karku. - Wracając do naszej rozmowy sprzed kilku dni... Milord jest niezwykle hojny, nie mniej nadal uważam, że...

Kipp westchnął i przerwał leciwemu mężczyźnie skinieniem ręki.

- Czy musimy, Gilletcie? Naprawdę się śpieszę. Pędzimy na spotkanie z damami i w ogóle. Może jutro? Albo w przyszłym tygodniu?

- Wedle pańskiego życzenia, milordzie - odparł kamerdyner, pokłonił się ponownie, by odwróciwszy się na pięcie odejść i pozostawić Kippowi niejasne wrażenie, że nie tyle on odprawił, co raczej został odprawiony.

- Co gryzie staruszka Gilletta? - spytał Brady, kiedy wyszli z Kippem z rezydencji i wsiadali do oznakowanego rowowymi herbami powozu czekającego na podjeździe.

- Chce odejść - burknął Kipp, moszcząc się na poduszkach. - Mówi, że jest za stary, że już go nie potrzebuję, że te nieliczne kilka dni, jakie mu pozostały, pragnie przeżyć w jakimś zapomnianym przez Boga zakątku Walii, jeśli dasz w to wiarę. W ubiegłym tygodniu podwoiłem mu pensję w nadziei, że może to skłoni go do ponownego przemyślenia sprawy, ale widzi mi się, że mój plan spełzył na niczym. Naiwnie wierzyłem, że tam, gdzie zawiodło czterdzieści lat

lojalności wobec rodziny, sprawę załatwi chciwość. Podejrzewam, że zgodzę się na jego odejście z końcem sezonu. Ale będzie mi go brakowało, nie wyobrażam sobie Londynu bez niego, przyznaję to szczerze.

Brady usiadł naprzeciwko Kippa, co nie było jego zamierzeniem, jako że żołądek nadal podchodził mu do gardła, a jazda plecami do kierunku jazdy sytuacji nie poprawiała.

- Wiesz co, Kippie? - powiedział, przekrzywiając głowę.
- Odnoszę wrażenie, że najzwyczajniej nie potrafisz pożegnać się z przeszłością, rozstać z kimkolwiek bądź czymkolwiek, co stanowi jej część. Pozwól człowiekowi odejść, na miłość boską. Chociaż masz rację co do tej Walii. Nie umiem sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby chcieć tam zamieszkać.

- Może przez wszystkie te lata miał tam na boku jakąś kobitkę - zasugerował Kipp ze znaczącym uśmiechem. - Nigdy nie wiadomo, prawda? Stary Gillett przez trzy tygodnie w roku w swoim miłosnym gniazdku, gruchający z jakąś dzikuską imieniem Blodwen czy Lilybet. Boże, Brady, to obraz, jaki wolałabym wymazać ze swojego umysłu.

- Zrozumiałe. Chociaż nie chce mi się wierzyć, by od kilku dni ta twoja mózgowica funkcjonowała w miarę normalnie. To nasze trzecie wyjście z tą beznadziejną panną Backworth-Maldon. Wiem, bo liczyłem. Niemożliwe chyba, żebyś zamierzał uczynić z niej panią baronową? Bo jeśli tak, to bądź łaskaw wytłumaczyć mi, dlaczego po każdym spotkaniu z nią ciągniesz mnie wieczorem gdziekolwiek, gdzie można wypłukać z mózgu wspomnienie tej słodkiej idiotki? Nie sądzę, żeby któryś z nas pamiętał, kiedy to wlelibyśmy w siebie tyle wina, od... cóż, od dawna.

- Od mojego powrotu ze wsi, dokąd udałem się, by świadkować Jackowi podczas ceremonii odnawiania jego zaślubin z Merry, jakby nie mogli uwierzyć, że jeden raz wystarczy? Tak, wiem. To zdumiewające, że sama myśl o szczęściu małżeńskim potrafi sprawić, by skądinąd

wstrzemięźliwy człowiek bez mała rzucał się na głowę do kadzi z winem, nieprawdaż?

- Czyli poważnie myślisz o tym małej idiot... to znaczy, o pannie Backworth-Maldon? Nie wierzę.

- To właśnie lubię w tobie najbardziej, Brady, przynajmniej tak mi się zdaje. Zawsze można liczyć na twoją przenikliwość. Oczywiście, że nie zamierzam przykuć się obręczką do tej malej. Bawiła mnie z początku, ale myślę, że chyba bym ją udusił, gdybym po dzisiejszym spotkaniu miał ponownie znaleźć się w jej towarzystwie - spotkaniu, pozwolę sobie dodać, z którego zaaranżowaniem osobiście nie miałem nic wspólnego, jak zapewne pamiętasz.

Brady przyszczypywał grzbiet swojego nosa, unikając wzroku Kippa. Ostrzegał Abby, że zostało jej niewiele czasu.

- Tak, ehem, kiedy to proponowałem, spotkanie z pannami Backworth-Maldon i urządzenie wspólnego pikniku wydawało mi się dobrym pomysłem. Wybacz, że ten pomysł strzelił mi do głowy i że nie zorientowałem się, że działał wbrew twoim życzeniom.

- Zamierzasz dalej brnąć w tę dziecinadę, co, Brady? Naturalnie nie widziałeś, że podskakuję za ich plecami jak piłka i ściskam się za gardło, jakbym chciał się udusić, byłeś tylko przestał bardzo, bardzo prosić, żeby zgodziły się zostać dziś naszymi gośćmi? Czy bardzo byś się obraził, gdybym powiedział, że ci nie wierzę? Czy naraziłbym na szwank naszą przyjaźń, wyznając, iż podejrzewam, że powziąłeś jakiś plan, który ma coś wspólnego z tą młodą damą, a ze mną wszystko?

- Cóż za intryga. Obmyślasz kolejną książkę, Aramintho, skarbie? - spytał bezczelnie Brady. Wjeżdżali właśnie na teren, na którym odbywały się pikniki, tuż za obrębem miasta, i powóz zaczął zwalniać. - Nieważne, wybacz, że w ogóle wspominałem o twoim sekretnym hobby. A otóż i jesteśmy na miejscu. Pięćset osób plus drugie tyle służby urządza sobie swojski piknik na wsi, w komplecie ze sto-

łami, wygodnymi krzesłami, stertami lnianych obrusów i srebrnej zastawy, do tego odrobina dobrej muzyki. Jakżeż uwielbiam wiejską sielanekę w wydaniu dam z mondu.

- Istotnie ci się ona podoba i sam o tym wiesz, idioto. - Kipp nie czekał, aż stangret otworzy drzwiczki: popchnął je z werwą i zeskoczył lekko na ziemię, patrząc na Brady'ego, który gramolił się za nim.

- Chyba cię już rozszyfrowałem, wiesz. Podsuwasz mi pod nos pannę Backworth-Maldon, wiedząc, że nie różni się zbyt wiele od większości marzycielskich debiutantek, jakie tu dziś zobaczymy, i masz nadzieję - jeśli tylko w międzyczasie nie oszaleję - że odzyskam zdrowy rozsądek i przestanę upierać się przy małżeństwie. Obwieszczę się zatwardziałym starym kawalerem, tak jak ty to zrobiłeś. O to ci chodzi, Brady? Bo jeśli tak, to nic z tego. Postanowiłem, że... och, psiakrew, Roxanne.

Brady obejrzał się w samą porę, by zobaczyć nacierającą na nich lady Skelton; głęboko wycięty gorset jej sukni w zielono-białe pasy groziłyby właścicielce poważnym poparzeniem słonecznym, gdyby nie to, że z trzepotem otworzyła parasolkę, i obnażając w drapieżnym uśmiechu drobne zęby, okrężną drogą zbliżała się ku swej zdobyczy.

- Sądziłem, że chciałeś ją sobie odpuścić - szepnął do Kippa Brady. - Jeśli tak, to nie wydaje mi się, by ta dama wychwyciła aluzję.

- Wiem. Ostatnio poważnie zastanawiam się nad celibatem, jeśli mam być szczery - odparł Kipp, po czym z przyklejonym do ust uśmiechem pochylił się nad obleczoną w rękawiczkę dłonią Roxanne. - Jakże cieszy mnie twój widok, lady Skelton. A jak ma się drogi małżonek, czy on także tu do nas dołączy?

Roxanne zerknęła w stronę Brady'ego, po czym wyduła wzgardliwie usta, najwyraźniej uznawszy go kogoś, kto zupełnie się nie liczy, albo też zakładając, że najpewniej nie będzie chciał szkodzić przyjacielowi.

- Olney? Tak, jest tutaj, *zdążył* odwiedzić mamusię w czasie zaiste rekordowym, niestety. Co gorsza, mamusia zobowiązała go do spłodzenia potomka, chociaż trudno uwierzyć, by jakakolwiek kochająca matka chciałaby dobrowolnie narazić własnego wnuka na życie z kopia Olneyowego podbródka, jeśli Olney w ogóle ma jakiś podbródek.

Podeszła bliżej i otarła się o Kippa biodrem.

- Potrzebujemy większej pensji, sam rozumiesz, przypuszczam więc, że będę musiała wypełnić wolę tej starej hetery i urodzić *czyjegoś* potomka. Zobaczymy się wieczorem, kochanie? Czuję się, jakbyśmy się nie widzieli całe lata.

- Tańczyliśmy na balu u Selbourne'ów, Roxanne, jeśliś o tym zapomniała - odpowiedział Kipp, śląc wściekłe spojrzenia pod adresem Brady'ego, który pokasywał dziwnie, ewidentnie śmiejąc się w kułak. - A teraz wybac, ale obawiam się, że hrabia i ja obiecaliśmy przyłączyć się do niewielkiej grupy, która, jak udało mi się zauważyć, właśnie tu zmierza.

- Znowu ta podfruwajka Backworth-Maldon, tak, Kipp? - modulowany zwykle głos lady Skelton niebezpiecznie upodobnił się do pomruku wilczycy, broniącej swoich młodych. - Jeżeli chcesz mnie zastąpić, znajdź na litość boską kogoś odpowiedniejszego niż to przesłodzone stworzenie o pustych oczach, z którym ostatnio widuje się ciebie na mieście. Nie możliwe, żeby miała więcej niż siedemnaście lat. To zniewaga. A może tak jak Olneyowi ktoś ci przykazał zapełnienie własnego pokoju dziecinnego. Jeśli tak, kochanie, to naprawdę uważam, że wszystko ci się pomyliło. Masz spłodzić niemowlę - a nie je poślubić.

Kipp obserwował oddalającą się Roxanne, jej kołyszące się kształtne biodra, które potrafiły działać jak czerwona płachta na byka - pod warunkiem, że byk był w odpowiednim nastroju. Następnie obrócił się twarzą do Brady'ego i posłał mu przepraszący uśmiech.

- Powinienem był pomyśleć o tym wiele miesięcy temu - odezwał się. - Powinienem był wiedzieć: uganiaj się za

debiutantką, obrazisz kochankę. Pomyśl tylko, Brady, przy odrobinie szczęścia mogę dostać za żonę dziewczátko o rozumie komara i nożem w plecy od odrzuconej kobiety, jedno i drugie w tym samym tygodniu. - Pokręcił głową z mniej już wesołym uśmiechem. - Nie miałem pojęcia, że małżeństwo to takie niebezpieczne przedsięwzięcie. Dziw, że ktokolwiek się na nie decyduje.

- Gdybym tak mógł pokusić się o pewną sugestię... - zaczął Brady. Doszedł do wniosku, że nie znajdzie lepszej chwili, by wtajemniczyć Kippa w swój plan. Bądź co bądź nie obiecywał Abby, że będzie trzymać język za zębami, prawda? Kipp może obruszyć się na jego wścibstwo, ale kiedy dostrzeże piękno tego planu, opamięta się. "Wystarczy, żeby Brady schodził mu potem z drogi, dopóki Kipp nie pochyli czoła wobec jego geniuszu.

- Nie teraz, Brady - rzucił Kipp i niechętnie postąpił krok do przodu w kierunku nadchodzących pań Backworth-Maldon. - Ach - zawołał, z łatwością wchodząc w zwykłą rolę czarującego i niezbyt poważnego dżentelmena - dopiero teraz naprawdę ukazało się słońce, moje panie, opromieniając urodę pań, wręcz o nią zazdrosne. Za pozwoleniem, znajdziemy wygodne krzesła, ale koniecznie w cieniu. W przeciwnym razie przyćmią panie światło dnia, które w obecności pań błędnie tak bardzo, że zdaje się całkiem niknąć.

- Co on chciał przez to powiedzieć, Abby? Świecimy jaśniej niż słońce? A to dopiero niemądre, przecież gdybyśmy świeciły tak jasno, zostałyby z nas popiół, prawda? - szepnęła Edwardine, której obce były niuanse pochlebstwa, jak też myśl, że szeptki powinny być o dobrą oktawę czy dwie cichsze, niż to miało miejsce w jej wydaniu.

Brady usiłował opanować kolejny atak kaszlu, Kipp wołał udawać, że niczego nie słyszał, Abby zaś ścisnęła dłoń bratanicy, tym ostrzegawczym gestem nakazując jej milczenie.

Był to czwarty dzień, jak to w skrytości ducha nazywała, ich znajomości, a z Abby zaczynało dziać się coś niepo-

jętego - z każdym kolejnym spotkaniem baron Willoughby jak za sprawą czarów stawał się coraz bardziej przystojny, coraz bardziej intrygujący. Czy to dlatego, że istotnie był nad wyraz pięknym mężczyzną, czy też dlatego, że, jak sugerował Brady, mogliby stworzyć udane, cywilizowane małżeństwo, nie umiała sobie powiedzieć, lecz dosłownie zalały ją wspomnienia jej własnego małżeńskiego łóża.

Harry w łóżku był cudowny. Musiał być, skoro zapraszano go do tak wielu. A już z pewnością był objawieniem dla Abby, której nie dotykał wcześniej żaden inny mężczyzna.

Nie sądziła też, by mogła minąć się z prawdą, zakładając, że sypialniane talenta pana barona powinny okazać się równie kształtujące. Nie wówczas, gdy widziała tamtą wysoką, rudowłosą kobietę, która patrzyła na niego z taką miną, jakby z trudem hamowała się, by nie zaciągnąć go w krzaki i błagać, by wziął ją tu i teraz.

- Jakież z pana pochlebca, milordzie - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby, zła na siebie za takie myśli, za obraz barona, bujnej zieleni dookoła i siebie samej wyciągniętej na słodkiej, chłodnej trawie.

Te żenujące myśli to wszystko jego sprawka i głupota byłoby sądzić inaczej.

- Obawiam się, że nie zdołam zmusić się do skosztowania ani jednego z tych wszystkich smakołyków, jakie widzieliśmy z bratanicą obchodząc tutejsze tereny. Doprawdy mam już serdecznie... w bród twoich łaskawych słów, panie.

- Auć - syknął Brady, jakby coś go zabolalo i, pochyłony w stronę Kippa, szepnął nie mniej teatralnie niż Edwardine: - Pani Backworth-Maldon potrafi w piękne piórka przystroić obelgę, nie uważasz? Powiedziała „w bród”, ale miała na myśli „doś...”

- Wiem, co pani miała na myśli, Brady - warknął na niego Kipp, piorunując wzrokiem Abby, która odwzajemniała się mu tym samym. Nie mogła bardziej różnić się od

bratanicy. Uznał ten fakt za największą zaletę złośliwej wdowy, być może jedyną.

Niemniej wciąż się jeszcze nie zdecydował. Co powiedział Will Szekspir? „Jeśli masz coś zrobić, zrób to szybko”. Może i poeta mówił o zamachu, lecz uczucia, z których zrodziła się ta sentencja, były szczególnie bliskie Kippowi, gdy przykładał je do swoich planów na dzisiejsze popołudnie.

- Pani Backworth-Maldon - powiedział, uczyniwszy krok do przodu i podając jej ramię - z największą chęcią pokazałbym ci, pani, prześliczny strumień nieopodal tego miejsca, który mogłaś przeoczyć, pierwszy raz spacerując po tej okolicy.

- Czyżby, milordzie? Jestem pewna, że moja bratanica będzie zachwycona.

- Ale kto wówczas, pani, znalazłby dla nas stół w takim ścisku? - zripostował Kipp gładko, odnosząc niejasne wrażenie, że ta przeklęta kobieta złośliwie udaje niedomyślność. - Nie zabawimy długo, masz pani moje słowo. Hrabia, jestem przekonany, będzie niezmiernie zachwycony, mogąc strzec panny Backworth-Maldon i przygotować wszystko do naszej małej biesiady. Wprost uwielbia takie zajęcia, jako że chlubi się swoimi talentami organizatorskimi. Nieprawdaż, Brady?

Abby spojrzała na Brady'ego, ten jednak uśmiechnął się tylko i pokręcił głową. Czy miało to oznaczać, że nie ma z tym nic wspólnego - zastanawiała się - że jak ona nie domyśla się, co planuje baron, cokolwiek by to było? Gorzej, jeśli baron zamierzał przyprzeć ją do muru, prosząc, by oceniła jego szanse, gdyby poprosił wujów o rękę Edwardine.

Dobry Boże, cóż za przygnębiająca myśl!

Widząc ponagląjące gesty Brady'ego, Abby niechętnie wzięła Kippa pod ramię i, po prozaicznym ostrzeżeniu pod adresem Edwardine, by patrzyła pod nogi - połączyć ziemi, na jakiej urządzano pikniki, pełniła zwykle rolę pastwiska - pozwoliła, by powiódł ją na ubocze.

Był to dopiero drugi raz, kiedy tego mężczyzny dotknęła, ale z każdym reagowała na jego fizyczną bliskość ze zdwojoną siłą; teraz, kiedy się do niej uśmiechnął, niemal ugięły się pod nią kolana.

Wrona u boku pawia, oto jak musieli jej zdaniem wyglądać, jak bez wątpienia widzieli ich spacerowicze. Dlaczego dopiero teraz zwróciła uwagę na to, że trzy czwarte jej skromnej garderoby miało odcień brązu? Brudnego brązu. Bezapelacyjnie szpetnego, niemodnego brązu o odcieniu błota. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Gdyby spowita była w najdelikatniejsze jedwabie i ugięła się pod ciężarem brylantów, nadal pozostałaby tą samą pospolitą Abigail Backworth-Maldon.

- Słyszałaś, pani, dobre wieści? - spytał Kipp, wyczuwając, że jego towarzyszka pograża się w nastroju dalekim od beztrioski.

Nie czuł się dotknięty jej jawnym brakiem entuzjazmu wobec tego sam na sam, dziwnie kolidującym ze zwykłymi kobiecymi reakcjami, którymi zdążył się serdecznie znudzić przez ostatnie lata. W gruncie rzeczy reagowała tak, jak miał na to nadzieję. Niezależna do przesady. Trzymająca dystans. Zdecydowanie nie z tych zaborczych. To znakomicie wszystko ułatwiało, jego zdaniem.

- Dobre wieści? - powtórzyła Abby, czekając, aż Kipp odciągnie nisko zwieszającą się gałąź, żeby mogła przejść przodem ze słonecznej polany wprost w chłodny cień drzew.

- Księżna Selbourne powiła pięknego, zdrowego syna rankiem po balu. Księżę nagryzmolił do mnie parę słów dziś skoro świt. Przepraszał, że nie zawiadomił mnie wcześniej, ale liczy na to, że zgodzimy się z Bradym zostać ojcami chrzestnymi jego następcy, dwoma z dobrego tuzina, jaki bez wątpienia będzie tłoczyć się wokół biednego malca przy chrzcielnicy. Brandona Winstead'a Cecila Seatona, już z wianuszkami pomniejszych tytułów, a pewnego pięknego dnia dziesiątego księcia Selbourne. Bram - księżę -

powiada, że wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po tych przeżyciach i że niezwykle trudno mu przekonać drogą małżonkę, żeby leżała w łóżku, co, jak niezłomnie wierzy, jest niezbędnie konieczne.

- Czyli rzeczywiście stało się tak, jak przewidywała? - Aby uśmiechnęła się ze szczerym zachwytem. - Uprzedzała, że to wielce prawdopodobne. Wspaniałe przyjęcie i narodziny dziecka tego samego dnia. Muszę zamienić słówko z Br... z panem hrabią, Sophie pytała, czy przyprowadzi mnie z wizytą, kiedy będzie się już mogła pochwalić obojgiem dzieci.

Spojrzała na Kippa pytająco.

- Może srebrną filiżankę? Czy to byłby odpowiedni upominek? I lalkę dla siostry, małej lady Constance? Tak, tak będzie dobrze, bo nie chciałabym, żeby dziewczynka sądziła, że wszyscy o niej zapomnieli, skoro tylko na scenie pojawił się jej braciszek.

- Bardzo to pięknie z pani strony - rzucił Kipp, odnotowując w pamięci jej przejęzyczenie, to, gdy chciała najwyraźniej nazwać jego przyjaciela Bradym. I to drugie, gdy tak swobodnie mówiła o Sophie, nie tytułując jej księżną.

Coś się tutaj działo, coś, w czym Brady siedział po same uszy, Kipp był tego najzupełniej pewien. To było do niego niepodobne, tyle przeoczyć, pozwolić, by bodaj cień intrygi uszedł jego uwagi.

Ów brak uwagi wiązał się zapewne z osobą panny Backworth-Maldon i koniecznością nieustannego wysiłania się, by powiedzieć cokolwiek, co mogłaby przypuszczalnie zrozumieć. Polityka odpada. Malarstwo też. Podobnie literatura. I konie, i teatr, i nawet najbardziej nawet neutralne plotki.

Prawdę powiedziawszy, jego ostatnia rozmowa z dziewczyną sprowadzała się do tego, że przez ponad kwadrans wysłuchiwał, oszołomiony, opowieści o tym, jak razem z matką odwiedziła wszystkie, ale to wszystkie londyńskie sklepy, żeby znaleźć niebieską wstążkę o odpowiednim odcieniu, pasującą do świeżo zakupionego kapelusika. Po

dziesięciu minutach tego monologu zaczął dla rozrywki wyobrazać sobie, że *zrywa* dziewczynie kapelusik z głowy i wpycha go jej do gardła.

I on sądził, że mógłby poślubić kogoś takiego, jedną z wielu młodziutek i naiwnych do bólu tegorocznych debiutantek, a potem zająć się własnymi sprawami? Najwyraźniej brakowało mu wtedy piątej klepki.

Na szczęście nie był to permanentny brak, dzięki czemu podązał teraz za przyjaźniej już nastawioną i spokojniejszą panią Abigail Backworth-Maldon, układając w myślach mowę, formułując propozycję, którą miał jej niebawem złożyć.

8

Abby zatrzymała się, poddając się pieszczocie słońca, zaledwie tylko wyszła z cienia drzew wprost na nasłoneczniony, porośły trawą brzeg niewielkiego strumienia, i zakrzyknęła:

- Och, jakież on piękny, milordzie. Jak pan go znalazłeś?

Kipp rozejrzał się po malej polance. Aż nazbyt dobrze pamiętał, jak odkrył to miejsce, i kobietę, którą tu przyprowadził. Ile to czasu już upłynęło, od kiedy pożegnał słodką Alicję i zajął się lady Fairchild? Nie, nie Sheila. Sheila była po Belindzie Masters, a przed... Boże, czy to nie wszystko jedno?

Miał ochotę solidnie sobą potrząsnąć. Wpadł w zły humor, co zdarzało mu się nieczęsto, i nie chciał, by ten humor przerodził się w nastrój kompletnie już pod psem, wiedział bowiem, że trudno było o mniej stosowną chwilę na uleganie słabości.

- Jak znalazłem ten zakątek, pani? - powtórzył, zdjął rękawiczki i wepchnął je do kieszeni. Zmierzył Abby uważ-

nym spojrzeniem, jakby chciał ocenić, czy będzie umiała dochować tajemnicy. - Nie wiem, czy zdobędę się na śmiałość...

Jego psotna mina nie uszła uwagi Abby. Odprężyła się. Usiadła na trawie przy skupisku malutkich polnych kwiatów i zerwała kilka. Lepsze to, niż zemdleć, a czuła, że kolana wyprawiając pod nią coraz dziwniejsze harce.

- Wyobrażam sobie, milordzie - podniosła na niego wzrok - że masz dość śmiałości, by zdobyć się na lepsze rzeczy. Proszę mówić dalej. Obiecuję, że wszelkie tajemnice, jakie mi pan wyjawisz, zabiorę ze sobą do grobu. A może powinnam najpierw unieść dwa palce i przysięgnąć na króliczą łapkę?

Kipp roześmiał się, szczerze ubawiony. Cóż za wspaniała, bezpretensjonalna kobieta, jeśli nawet okazała mu, nie raz i nie dwa, że uważa go za bezużytecznego firyka, którego nigdy nie zdołałaby polubić. To stanowiło największą z jej zalet, to i oczywisty fakt, że nie darzyła go zbytnią sympatią.

- Przysięgnąć na króliczą łapkę? Nie słyszałem tego wyrażenia od... cóż, od bardzo dawna. Dobrze więc, pani, zaufam ci.

- Poczytuję to sobie za największe szczęście - odparła lekko Abby; zrywała kolejne kwiatki, modląc się, by nie zauważył drżenia jej rąk. - A teraz, jeśli tylko poczekaasz, milordzie, aż znajdę w torebce skrawek papieru i ołówkę, bym nie uroniła ani słówka, pisząc mój ekscytujący artykuł do londyńskich gazet...

Kipp zaśmiał się, pełen uznania dla jej dowcipu i z każdą chwilą coraz bardziej zadowolony z podjętej decyzji. Może i nie była żadną pięknoscią, ale przynajmniej dawało się z nią porozmawiać. Rozsiadł się na trawie, nie troszcząc się zbyt o to, że będzie później paradować w poplamionych na zielono spodniach.

- Dawno, dawno temu... - zaczął.

- A - przerwała Abby - to będzie bajka.

- To słyszałaś już pani tę historię? - Udał zaskoczenie. - Tę o krasnoludkach?

- Niech pan nie będzie niemądry - zaśmiała się Abby i uderzyła go w ramię bukiecikiem. Zawsze łatwo się zaprzyjaźniała, tak z mężczyznami, jak i kobietami, kiedy jeszcze wystarczało jej czasu na życie towarzyskie. Niemniej nie mogła się nadziwić, że tak szybko opuszcza ją napięcie i że tak swobodnie czuje się w towarzystwie barona, swobodniej, niżby się kiedykolwiek tego spodziewała.

Co znakomicie się składało, zważywszy na to, że postanowiła właśnie dziś złożyć mu swoją propozycję. Nie pozostało jej inne wyjście, skoro nabrała pewności, iż Brady'emu nie uda się ponownie wmanewrować barona w kolejne spotkanie z coraz bardziej niechętną mu Edwardine.

- Pani pozwoli - Kipp wyjął bukiecik z jej uległych palców. - Umie pani pleść wianki ze stokrotek? - Splatał pojedyncze łodyżki tak, by kwiaty ułożyły się w równy rząd. - Uważam swoje umiejętności w tym polu za jedno z mych największych osiągnięć.

- Albo oceniasz osobiste osiągnięcia niezwykle skromną miarką, milordzie, albo też zbyt długo żyłeś pod kloszem - odparła Abby zupełnie szczerze i przygryzła wargę, zła na siebie za tę szczerość. To miał być sposób na stworzenie właściwej atmosfery ku temu, by mogła wyrwać się ze swoją niewyobrażalnie zuchwałą propozycją, obrażanie go przy każdej okazji? - Proszę mi wybaczyć, milordzie. Zdaje mi się, niestety, że wydobywasz ze mnie to, co najgorsze, a nie raz słyszałam, że choć zdarza mi się ponoć błysnąć dowcipem, mój język prawie zawsze jest nazbyt szybki. Może gdybym wiedziała, po co milord przyprowadził mnie tutaj...

Kipp pochylił się nad kwiatami. Starannie połączył ze sobą końce wianka, następnie jednym ruchem rozwiązał kokardę, na jaką zawiązany był szkaradny słomiany kapełusz Abby, obsyty czymś w rodzaju sflaczałej falbanki. Przyglądała mu się przez cały czas i nie mógł nie zauważyć, po raz kolejny zresztą, jak niezwykle odciśnięte mają jej poogromniałe nagle fiołkowe oczy. Układając wianek na

jej bezlitośnie ściągniętych do tyłu włosów, dał sobie ostatnią szansę, by opamiętać się (i rzucić do ucieczki), po czym spalił za sobą wszystkie mosty.

- Postanowiłem się ożenić - oznajmił i czekał na reakcję. Nie kazała mu czekać długo.

- Nie - wykrztusiła z trudem Abby, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Nie, nie wierzę. Nie chciałam w to uwierzyć. Powtarzałam sobie, no dobrze, Abby, *jest* przystojny. Ale to nie znaczy, że od razu niemądry. Jego oczy mają nazbyt inteligentny wyraz, to po pierwsze, jego dowcip też nie jest przecież dziełem przypadku, za bardzo mu zależy na tym, by uchodzić za jednego z tych bogatych, utytułowanych paniczków z towarzystwa, gdzie pięknych twarzy jest na pęczki, ale intelektu ze świecą by szukać. I pomyśleć tylko, że chciałam...

Ze zgrozą przycisnęła do ust obie dłonie, jakby pragnęła na powrót wepchnąć sobie te słowa do gardła. Czy naprawdę to powiedziała? Naprawdę wypowiedziała na głos te straszne, wszystko mówiące słowa, które zdawały się wisieć teraz między nimi?

- Milordzie - wstała chwiejnie, otrzepując ręką spódnice, której odrobina koloru mogła jedynie pomóc, nawet jeśli była to tylko plama z trawy. - Będzie pan musiał zwrócić się do moich wujów, to nie zależy ode mnie. Mimo to jestem pewna, że Edwardine będzie uszczęśliwiona, dowiadując się, że tak wysoce pan ją sobie ceni...

Edwardine uważa, że jesteś dla niej przynajmniej o połowę za stary - dodała w duchu, z sercem nie tyle złamanym, co dość posiniaczonym. Nie, to nie serce ucierpiało, lecz duma. Cztery dni. Cztery dni i cztery noce wysiłków Brady'ego, by baron się nią zainteresował, a ten nawet jej nie widzi, nie dociera do niego, że ona w ogóle jest kobietą.

I co też ona sobie wyobrażała? Że sprowadził ją w taki śliczny zakątek, z dala od ludzi, żeby z nią porozmawiać, by ją poznać... okazać swoje zainteresowanie?

Czy do szczętu oszalała?

Kipp także się podniósł i złapał ją za rękę w chwili, gdy odwracała się, gotowa uciec między drzewa.

- Nie zrozumiałeś mnie, pani. Chcę się ożenić, ale to nie pani bratanicę jest moją wybranką.

Nie zdołał powściągnąć nieznacznego, krzywego uśmiešku.

- W istocie rzeczy, chociaż nieuprzejmie jest czynić podobne uwagi, zakładam, że szczerść pani sprzed chwili upoważnia mnie do tego, by zauważyć, że śliczna bratanica pani jest ostatnią osobą, którą bym wybrał.

Abby znalazła się w kropce. Ulżyło jej, że baron nie żywi do niej urazy za tak niestosowny wybuch emocji, z drugiej jednak strony powinna go chyba zbesztać za tak zimny i pogardliwy stosunek do Edwardine.

Zapewne powinna także porządnie ugryźć się w język. Może dzięki temu niemądry uśmiech nareszcie znikłby jej z twarzy.

Bo już na pewno przydałoby się zapytać tego irytującego człowieka, czego w takim razie od niej chce. Bo przecież nie przypuszczał chyba, że lepiej będzie za jej pośrednictwem przekazać tragiczne wieści Edwardine, żeby biedne romantyczne dziecko nie załamało się, utraciwszy jego względy? Ha! Nie dość że „biedne romantyczne dziecko” uważało go za starucha, to jeszcze za największego nudziarza pod słońcem, od czasu gdy uprzejmie odmówił zabrania jej na obwoźną wystawę figur woskowych madame Tussaud.

- A więc - kontynuował Kipp, któremu zdawało się, że słyszy odgłos małych trybików obracających się w głowie Abby - sądzisz pani zapewne, że przyprowadziłem cię tutaj, by przekonywać ją o tym, że nie miałem złych zamiarów, okazując pannie Backworth-Maldon tak szczególne atencje przez kilka ostatnich dni. Chociaż rozumiem, że mogłem rozbudzić nadzieje nie tylko w niej, lecz i w całej pani rodzinie, i za to najmocniej przepraszam.

- Dlaczego zatem tak usilnie zabiegał pan o jej wzglę-

dy, milordzie? - nie mogła zrozumieć Abby. Świetnie wiedziała, że fortele Brady'ego, by doprowadzić do spotkania we czworo, na nic by się nie zdały, gdyby baron ich sobie nie życzył z sobie tylko wiadomych powodów. Poza tym wolała nie ryzykować, że kiedyś jako siwa jak gołąbek starszka będzie przesiadywać w swoim pokoiku na strychu podupadającej siedziby Backworth-Maldonów, łamiąc sobie głowę nad odpowiedzią na to pytanie.

- Mam powiedzieć prawdę? - spytał, pociągając ją z powrotem na chłodną trawę. Chciał spokojnie posiedzieć z nią i porozmawiać, a ponadto móc ją przytrzymać w wypadku, gdyby próbowała uciec, gdy on sam zbierze się w końcu na odwagę.

- A może niewinne kłamstewko, jeśli miałyby mniej mnie zboleć? Mam przecucie, że jesteś pan wytrawnym kłamcą - rzuciła Abby, zdarła z głowy wianek i cisnęła go do strumienia. Wianek popłynął z nurtem, by niemal natychmiast zatrzymać się na wystającym kamieniu.

I wtedy coś ją tknęło. Jej życie utożsamiał w tej chwili nieszczęsny wianek ze stokrotek - ugrzęzły w martwym punkcie, szybko więdnący, zmierzający donikąd.

Ponieważ wbrew temu, co postanowiła zaledwie kilka chwil wcześniej, definitywnie postawiła krzyżyk na planie Brady'ego: przedłożyć czysto handlową propozycję małżeństwa mężczyźnie, z którego obrazem pod powieką zasypiała nad rankiem. Po prostu nie znajdowała w sobie dość odwagi. Nie żeby on miał kiedykolwiek dowiedzieć się, jak mało brakowało, by polały się jej niemądre, babskie łzy.

Kipp obserwował Abby, usiłował rozszyfrować wyraz jej twarzy, a z niejasnego powodu odnosił wrażenie, że nie ma na swoje obserwacje zbyt wiele czasu, i uzmysłowił sobie, że jest rozbawiony. Być może dlatego, że Abigail nawet nie drgnęła, nie mrugnęła okiem, nie dała po sobie niczego poznać. Przyjmowała to, co miał jej do powiedzenia, cokolwiek by to było, i najzwyczajniej w świecie odbijała piłeczkę.

Podrapał się po uchu. Szukał słów, dzięki którym jego wyznanie stałoby się żartobliwe, intencje bez troskie. Nie, niemożliwe było i pierwsze, i drugie. Zatem, choć nie było to po jego myśli, zdecydował się na nagą prawdę. Bez żartów, bez uśmiechów. Naga prawda, nawet jeśli nagrodą za jego prawdomówność i starania będzie policzek.

- Jak już wspominałem, pani, z powodów, które zachowam dla siebie, jestem od pewnego czasu poważnie zainteresowany ożenkiem. Zapewne zdaje sobie pani sprawę, że nie podyktował tego kroku głos serca, a czego nie dyktował, nie może dyktować i teraz. To gwoli ścisłości. Niemniej nadal uważam, że nadszedł czas, bym się ustatkował, pomyślał o następcy, tak jak to uczynił mój przyjaciel książę.

Zabrzmiało to strasznie sucho nawet w jego uszach, postanowił więc nadać wypowiedzi cieplejszy ton i uderzył w nutę absurdu - było to pole, w którym czuł się najswobodniej.

- Zacząłem od bratanicy pani, wierząc, że wszystkie debiutantki są do siebie podobne, a po trzech dniach okazania jej uwagi doszedłem do wniosku, że jeśli wszystkie debiutantki są do siebie podobne, nie najgorzej bym na tym wyszedł, gdybym rozdał swoje ziemie, pieniądze i czmychnął bosą na jakiś wysoki azjatycki szczyt, by marznąć tam w samej bieliźnie i kontemplować bezsens życia.

- Interesująco pan to ujął, milordzie - przerwała Abby. Podniosła z ziemi obły kamyk i rzuciła go w poprzek strumienia tuż nad samą wodą, obserwując, jak parokrotnie odbija się od tafl. - Ale sądzę, że wiem, co pan miał na myśli. Gdybym uwierzyła, że wszyscy mężczyźni są jak mój zmarły mąż, Harry, z radością dołączyłabym do pana na tym szczycie, gdzie śpiewałabym pieśni i zapuszczała włosy tak długo, aż mogłabym utkać z nich ciepły koc.

- Ale opium byśmy nie zażywali, tylko kapkę wina na rozgrzewkę - odparł Kipp, myśląc o wszystkich opowieściach, jakie w życiu przeczytał, jakie napisał jako Aramintha Zane. Abby bowiem niemal zacytowała jego słowa, mó-

wiąc o tkaniu koca z własnych włosów. Dziwne. Nie wyglądała na miłośniczkę romantycznych powieści.

Ale też dopiero dziś zauważył jej niebrzydkie oczy i bijącą z nich inteligencję.

Popatrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. Brzydka suknia, spod której rąbka wystawały praktyczne buty o nijakim fasonie. Włosy ściągnięte do tyłu tak mocno, że linia czoła wydawała się nieregularna. Za to skórę miała piękną: gładką, świetlistą, bez skazy, bez jednego choćby piega na drobnym, acz pospolitym nosie.

Podobnie owal twarzy, o wysokich, wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, podbródek świadczący o zdecydowaniu i braku egzaltacji. Proste białe zęby, którym nawet Brady niczego by nie zarzucił. Nie za duże, równe. Być może przyjemny, jeśli nie zapierający dech w piersi widok pod tą bezkształtną suknią?

Boże, teraz to on żąda, ma nadzieję na więcej, niż mu do szczęścia potrzebne. Szukał żony, nie kochanki. Zimne to, wiedział, ale prawdziwe.

- Tak, hm... - mruknął Kipp, nakazując sobie powrót do sprawy najistotniejszej: do propozycji, jaką miał zaraz złożyć kobiecie, za której największy atut uważał umiejętność kierowania własnym życiem bez pomocy.

- Tak, hm? - powtórzyła złośliwym tonem i podniosła następny kamyk. Pocierała go między palcem wskazującym a kciukiem. - Mówił pan, że interesuje go ożenek i że moja bratanica odpadła w przedbiegach. Nie myłę się? Czemu więc przyprowadził mnie pan tutaj? Zakładam, że chce mnie pan prosić, abym delikatnie rozwiąta nadzieje Edwardine, musi bowiem nie posiadać się ze szczęścia na myśl o zostaniu pańską żoną. Cóż, proszę się niepotrzebnie nie zamartwiać, milordzie, wszystkim się zajmę.

Rzuciła kamykiem w stronę strumienia; nie tyle zrzęcznie, co ze złością.

- Poza tym - znowu nie zdążyła ugryźć się w język - je-

śli wolno mi zrewanżować się szczerością za szczerość, to najprawdopodobniej spadnie jej kamień z serca. Uważa, że jest pan dla niej o wiele zbyt sędziwy.

- Sędziwy, powiada pani? - roześmiał się Kipp. - Jestem zdruzgotany, pani, dosłownie zbity z nóg, powalony na kolana. Myśli pani, że niebawem dokonam smętnego żywota, uschnę? To może już lepiej podrepczę teraz do domu, wspierając się ciężko na lasce, by później mleć kleik bezzębnymi dżiastami, niecierpliwie czekając, aż o ósmej zapakują mnie do łózka.

- Pan się poczuł urażony - szczerze zdumiała się Abby. Zwróciła się przodem do niego, przyglądając się z uwagą. - Mam rację, prawda? Bo zauważyłam to, milordzie. Zauważyłam, że zachowuje się pan najbardziej beztrosko w chwilach, gdy czuje się pan szczególnie odsłonięty. Ja na przykład się robię dość paskudna, kiedy czuję się zagrożona. Może pański sposób jest lepszy?

Kipp przechylił głowę, zmrużył oczy tak, jak czynił to jego starty korepetytor, gdy usłyszał z ust ucznia coś nagannego.

- Czyżbym stał się zupełnie przezroczysty, łaskawa pani, że twierdzisz, jakobyś tak łatwo umiała mnie przejrzeć?

- A teraz chce mnie pan przestraszyć - odparła całkiem już odprężona - żebym przeprosiła za słowo prawdy. Choć mówię to z wielkim bólem, milordzie, na nic się to panu nie zda. Nie robi to na mnie najmniejszego wrażenia.

Prawdę mówiąc, niewiele brakowało do tego, by zaczęła trząść się jak osika, przerażona swoim prowokacyjnym zachowaniem. Coś jednak podpowiadało jej, że jaśnie wielmożny pan baron wolałby, żeby dalej wytaczała swe najcięższe dżiasta, że z niezrozumiałych powodów chciał, by w ten właśnie sposób się zachowywała.

I rzeczywiście, grymas na twarzy Kippa przerodził się w kolejny szeroki uśmiech.

- Punkt dla pani, pani Backworth-Maldon. Punkt dla pani.

Dziwne, nieprawdaż, dumiała Abby, całą swoją uwagę kierując na wypatrywanie odpowiedniego kamyka. Była już na „ty” z hrabią Singleton. Jeszcze mniej czasu zajęło jej przejście na „ty” z tak ważną figurą, jaką była księżna Selbourne. Lecz, nie wiedzieć dlaczego, nieszczególnie się jej spieszyło do tego, by zaproponować baronowi, z którym siedzieli sobie na zielonej trawce jak para przyjaciół z dzieciństwa, aby rozważył przejście do tak poufałych, swobodnych kontaktów.

To ją powinno zapewne przekonać - gdyby już się o tym nie przekonała - że ostatnim, co powinno chodzić jej po głowie, była myśl, żeby usiąść sobie obok tego mężczyzny, wyłożyć karty na stół i powiedzieć mu, że pozbawione miłości małżeństwo między nimi dwojgiem byłoby nie tylko wygodne, ale i wysoce logiczne.

- ... to gwoli wyjaśnienia, pani Backworth-Maldon, i proszę mnie dobrze zrozumieć. Byłoby to wyjątkowo rozsądne, cywilizowane małżeństwo, wynikające ze wspólnoty potrzeb, wygody i oczekiwań obu stron, między innymi konieczności powołania kiedyś na ten świat mojego następcy. Byłbym zatem zaszczycony, gdyby zgodziła się pani zostać moją żoną. **Skan Anula43, przerobienie pona.**

Kamyk wypadł Abby z bezwładnych palców. Powoli obróciła głowę, spojrzała na barona, powtórzyła w myślach jego słowa. Kilka puściła mimo uszu, ale i tak wydawało się jej, że słyszała dość, by rozumieć, co mówił, co proponował.

- Pani Backworth-Maldon? - ponaglił Kipp. Widział jej poblądłe policzki i zastanawiał się, czy aby nie na wyrost ocenił charakter tej kobiety. Zachodziła poważna obawa, że skończy się to histerią i omdleniem. - Słyszała mnie pani?

- Tak - odparła Abby przez ściśnięte gardło, po czym chrząknęła i powtórzyła na tyle głośno, by zagłuszyć nagły szum w uszach i usłyszeć własny głos: - Tak, tak. Słyszałam pana. Ale czy w tych okolicznościach, milordzie, nie powinien pan zwracać się do mnie po imieniu?

9

Dziwne. Świat nie zadrżał w posiadach. Oświadczył się kobiecie, której prawie nie znał, kobiecie, która prawie nie znała jego - a ona ogranicza się do propozycji, by zwracał się do niej mniej oficjalnie?

Kipp patrzył na Abigail Backworth-Maldon przez ładnych parę chwil, usiłując - bez powodzenia - w ogóle ją zrozumieć. Nie dostała ataku hysterii. Nie padła zemdlona u jego stóp. Nie Spoliczkowała go, nie rozpłakała się, nie spytała go nawet, czy oszalał.

Właściwie to nijak nie zareagowała.

Fakt, wybrał ją głównie dlatego, że nie uważał jej za histeryczkę. Przeciwnie, za kobietę obdarzoną zdrowym rozsądkiem, chłodną, powściągliwą w obejściu. Niezależną, niezaborczą kobietę. Ale spodziewał się, że jego oświadczenia wywrą na niej jakieś wrażenie.

Cóż, no to się przeliczył.

- A ja będę mówić ci Kipp, tak jak robi to hrabia, dobrze? Czy nie uważasz, że tak będzie najlepiej?

Jej uprzejmy, rzeczowy ton niepokojąco przypominał głos jego matki, gdy wzywała go do siebie na rozmowę, by zakomunikować, że drogi syn z pewnością będzie w przyszłości zachowywał się lepiej, musi tylko przestać tak brzydko podierać się łokciami o stół czy wdrapywać się na drzewa. Bez krzyku, dama w każdym calu. Troskliwa i kochająca, owszem, ale jej obecność nieodmiennie sprawiała, że czuł się tak mały i nikczemny, iż bał się, że lada chwila skurczy się tak bardzo, że najzwyczajniej zniknie.

Dopiero wówczas w mózgu Kippa zapaliło się czerwone światełko. Gdzieś w zakamarkach umysłu załęgła się niepokojąca myśl, czy aby nie wziął kęsa tak dużego, że się nim udławi. Widać nie docenił tej szarej myszki o oczach pełnych tajemnic. Była silną kobietą, kobietą, która nie toleruje głupoty. Ich dzieci wyrosną na ludzi dzielnych i porządnym, kochających matkę, lecz zawsze czujących przed nią respekt.

Boże, po tyloma względami była doskonała.

Jeżeli pewnego pięknego dnia nie postanowi objąć swoimi rękami także i jego, należałoby dodać. Zmarszczył brwi i ponownie zastanowił się nad swoim planem.

Nie ufał swojemu głosowi, ograniczył się zatem do rozłożenia rąk i pokiwania głową na znak, że zgadza się z tym, co właśnie powiedziała, cokolwiek to było. A tak, proponowała, by mówił jej po imieniu. Jakaż ona łaskawa.

- To dobrze - oznajmiła. Wstała, otrzepała spódnicę i zaczęła krążyć w tę i z powrotem. - A zatem, mi... Kippie, jeśli dobrze słyszałam, właśnie zaproponowałeś mi coś, co można by nazwać małżeństwem z rozsądku? Czy tak?

Kipp nie ruszył się z miejsca. Obserwował.

- Chyba zaczynam żałować pewnych moich sformułowań, ale tak, dokładnie to proponuję. Choć nie dostałem odpowiedzi, ośmielę się zauważyć. Jeśli mam twoje pozwolenie, by kontynuować?

Abby była zdumiona, że nogi nie odmówiły jej postuśczeństwa, że nadal niosły ją wolnym, miarowym krokiem, nie ugięły się kolanach ani też nie poniosły jej biegiem między drzewa.

- A to nie wszystko? - spytała. Zatrzymała się, obróciła na pięcie i spojrzała na niego. - Sądziłam, że jasno postawiłeś sprawę. Może i mieszkałam na prowincji, ale w pełni zdaję sobie sprawę z tego, na czym zasadza się małżeństwo z rozsądku. W arystokracji ciągle się takie zawiera, dla prestiżu, pieniędzy czy z innych względów.

- Okropna z nas zgraja, z nas arystokratów - zgodził się

Kipp, pocierając kark. - Interesowna, z upodobaniem dusząca się we własnym sosie, egoistyczna. Niemniej ten system sprawdza się od wieków, chociaż, jakby się nad tym lepiej zastanowić, Prinny* zapewne nie rekomendowałaby tej praktyki nazbyt usilnie.

- Wielce to zachęcające. W takim razie pozwól, że podziękuję się z tobą poglądami na temat małżeństwa z rozsądku, twoich powodów, by je proponować, i moich, by je rozważyć. Przekonajmy się, czy dojdziemy do wspólnych wniosków.

- Nadstawiam ucha, Abby, żeby nie stracić ani jednego słowa - odparł, zaczynał bowiem żałować, że nie ma pod ręką kartki i ołówka, tak jak ona żartem wspomniała o tym przed chwilą, żeby nie uronić ani joty z jej pompatycznej, bezczelnej tyrady. Bądź co bądź pewnego dnia zdoła może dopatrzeć się w jej wywodach jakiegoś humoru.

- Teraz to ty sobie dworujesz. Chcesz znaleźć sobie żonę, żeby dała ci następcę, to chyba najbardziej rozpowszechniona motywacja. Kobieta, która będzie umiała zająć się sama sobą, żebyś mógł dalej żyć, jak ci się żywnie podoba. *Rozsądnego* małżeństwa. Wszystko to dlatego, że przyjrzałeś się Edwardine i doszedłeś do wniosku, że ani ona, ani inne w jej wieku i jej pokroju nie są ku temu odpowiednie, po czym twój wzrok padł na mnie i pomyślałeś sobie: o raju, ta będzie jak znalazł. Raczej samowystarczalna jak na przedstawicielkę słabej płci. Z wyglądu na tyle pospolita, żeby wtopić się w tło, dość młoda, by mieć dzieci, i dość biedna, aby myśleć, że nawet małżeństwo z rozsądku to więcej, niż mogłoby się jej zamarzyć w najśmielszych marzeniach. A na dodatek kobieta, która przenigdy ci nie odmówi, byle tylko znaleźć się jak najdalej od swojej nadopratywnej rodzinie. Póki co trafiłam? A może coś przeczytałam? Co tu można jeszcze dodać?

"„Prinny" - przezwisko używane za plecami księcia regenta z racji jego niskiego wzrostu.

Kipp wstał i wyciągnął ręce, jakby chciał zahamować lawinę domysłów Abby... i oczywistych prawd, których nie wahała się wypowiedzieć tak mężnie, że zaczynał się czuć jak ostatni łotr. Szubrawiec. Wręcz oportunistą. Na pewno człowiek bez serca, bez uczuć. Jak w lustrze ukazała mu jego własne plany i to, co zobaczył, nie przypadło mu do gustu. Nic dziwnego, że przez moment przypominała mu matkę. Matka byłaby zbulwersowana jego bezdusnością, egoizmem. Nikczemnymi pobudkami.

- Wybacz mi, pani... Abby. Proszę. Cofam moją propozycję i błagam o wybaczenie.

- O nie - rzuciła Abby, idąc w jego stronę i modląc się, by w jej głosie brzmiała rozważa, a nie desperacja. - Nie, nie i nie. Złożyłeś mi, panie, propozycję i teraz ode mnie tylko zależy, czy ją przyjmę, czy też odrzucę. A ja ją przyjmuję.

- Przy... przyjmujesz? - Kipp chciał się uśmiechnąć, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. Zmrużył oczy i spojrział na nią badawczo. Jak to się stało, że zaabsorbowanie własną osobą, poczucie, że oświadczając się, czyni jej niebywale wręcz wielką łaskę, przerodziło się w ulgę, gdy przyjęła jego oświadczenia? - Do diaska, kobieto, dlaczego niby miałabyś chcieć tak postąpić?

- Dlaczego miałabym chcieć? - Abby wsparła się rękami o biodra, przechyliła głowę i odwzajemniła jego spojrzenie. - Wiesz chyba, że jesteś baronem, prawda?

Słuchając jej szczerzej odpowiedzi poczuł się tak, jakby ktoś wraził mu drzazgę pod paznokieć. Roześmiał się ostentacyjnie.

- Cóż, zatem nici z moich nadziei, że zakochałaś się we mnie na zabój przez tych kilka dni, tak?

- A chciałbyś, żebym była zakochana?

- Boże broń! To ostatnie, czego chcę. Zresztą co to byłoby za małżeństwo z rozsądku, przyznasz sama, gdyby pojawił się w nim równie kłopotliwy element jak miłość.

Abby skubała końce wstążeczek, którymi na wysokości piersi obszyty był stan jej sukni.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli się o to martwić, mi... mój Kippie. Bądź co bądź nie szukasz w małżeństwie miłości, to najzupełniej jasne. Wyobrażam sobie, że doznałeś rozczarowania w sprawach sercowych i teraz patrzysz na nie przez pryzmat własnego rozgoryczenia. Co brzmi wielce romantycznie, lecz musiało zapewne być wówczas ogromnie bolesne. Co do mnie, to także zdążyłam wyciągnąć nauczkę, smutną zresztą, że miłość dalece różni się od tych bezmyślnych, rzewnych bzdur, za które uważają ją ci, co o niej piszą. Jeśli będzie ci to pocieszeniem, mogę przynajmniej powiedzieć, że miłość nieodwzajemniona nie rozkwita, nie jest w stanie przetrwać.

- Twój zmarły mąż - domyślił się Kipp i z dezaprobatą pokiwał głową. Wstydział się za cały ród męski, a jednocześnie kulił się wewnątrz na myśl o swojej nieodwzajemnionej miłości do Merry. Nie powinno go dziwić praktyczne, pragmatyczne rozumowanie Abby. Przecież odzwierciedlało jego własne poglądy. Zaskoczył go jedynie fakt, że tak szybko go przejrzała, odgadła, dlaczego w ogóle zdecydował się na małżeństwo bez miłości, choć nie zamierzał naturalnie się przyznawać, ile prawdy tkwiło w jej domysłach.

- Tak. Harry - przyznała Abby i spuściła wzrok. Skręcała wstążki, których końce zaczynały się strzępić, i obserwowała własne palce, skubiące siepiące się nitki. - Otóż to. Kto się raz sparzył, ten na zimne dmucha, czyż nie tak się mówi?

Z trudem zostawiła wstążki w spokoju i spojrzała w twarz Kippa. Całe dni, całe dni i noce zastanawiała się, jak zwrócić się do tego człowieka, zaoferować samą siebie w obopólnie korzystnej transakcji. Co prawda nie wiedział o tym, wystarczało jednak, że ona wiedziała i że zdążyła dojść do paru wniosków przez tych kilka dni, a może raczej podczas ciągnących się w nieskończoność bezsennych nocy. Patrząc mu prosto w oczy, zrobiła głęboki wdech.

- Teraz, kiedy odrobinę lepiej rozumiemy się nawzajem, czy mogę zaproponować kilka - nie zastrzeżeń czy zasad, oczywiście - ale kilka spraw do omówienia? Jeśli zamierzamy urzeczywistnić nasz plan, rzecz jasna.

- Nie wiem, Abby - odparł swobodnie Kipp, rozbawiony świadomością, że sytuacja nadal wydaje mu się, z grubszą biorąc, zabawna. - Jakich to spraw?

Znowu nabrała powietrza do płuc i wypuściła je powoli.

- Wolałabym, milordzie, żebyś nie miał kochanek. Przyjmijmy najmniej nie tak, żeby ktokolwiek zauważył.

- Przez wzgląd na Harry'ego.

- Przez wzgląd na mnie, sir. Wystarczająco wielu ludzi rozpuści języki, gubiąc się w domysłach, dlatego, u nieba, wybrałeś mnie ponad Edwardine, ponad wszystkie kobiety w Londynie. Miałabym wziąć z tobą ślub, a potem przyglądać się, jak afiszujesz się na mieście z inną? Nie, nie zniosłabym tego. Naprawdę bym tego nie zniosła. Nie mam zbyt wiele dumy, ale trochę mi jej pozostało.

- Rozumiem twój punkt widzenia - odrzekł Kipp szczerze. - Zgoda. Żadnego afiszowania się z kochankami, jeśli kiedyś postanowię wziąć sobie jakąś. Chociaż - zastrzegł się natychmiast - nie oznacza to, że masz podstawy, by oczekiwać, że będę ci się spowiadał, ilekroć przyjdzie mi ochota wyjść z domu, podkreślam to, bo chcę być pewny, że dotrzymuję swojej części umowy. Oboje zachowujemy niezależność, Abby. To jeden z ważniejszych punktów, które proponuję wraz z małżeństwem.

- Zgoda. - Z poczuciem, że postawiła pod znakiem zapytania jego, jak była pewna, wrodzone dobre maniery, pośpiesznie wyłożyła kawę na ławę, zaczynała się bowiem obawiać, że zaraz straci tupet: - A więc małżeństwo nasze byłoby związkciem z rozsądku, owszem, niemniej umowa obejmuje dzieci, skoro będziesz potrzebował następcy. Wspomniałeś już o tym, a ja na to przystaję. Sądziłam już, że macierzyństwo nie będzie mi dane, i cieszę się na myśl,

że będę trzymać w ramionach własne dziecko. Dlatego też, w rewanzu za twoją obietnicę nieobnoszenia się z kochankami, chciałabym wspomnieć o kilku rzeczach, jakie mogę zaoferować ci w podzięce za twoje... hm... poświęcenie.

- Aa, targujemy się? Tak szybko? I jak to jest, że my, mężczyźni, nie przestajemy się dziwić zmyślności kobiet?

- Puszczę ten komentarz mimo uszu, bo odpowiedź jest aż nazbyt oczywista - powiedziała z naciskiem Abby, uśmiechając się szeroko, by ukryć podenerwowanie. Mało brakowało, a sama by się zdradziła się przez tę wzmiankę o nieodwzajemnionym uczuciu, jakim Kipp darzył niegdyś inną kobietę. Gdyby się zorientował, ile zdążyła się o nim dowiedzieć, jaką rolę odegrał w sprawie Brady, równie dobrze mogłaby od razu naciągnąć na uszy babciny czepek, wrócić na wieś i zacząć się zastanawiać nad założeniem hodowli kotów... i żywniem się nimi, jeśli ukochana rodzinka nie wymyśliłi jakiegoś sposobu na napełnienie pustych kieszeni.

Własny dom. Dzieci. Zabezpieczenie. Wolność. Tak wiele powodów, by poślubić barona. I tak ogromny wstrząs, że sam dostrzegął w tym małżeństwie pewne korzyści dla siebie...

Zamrugała rzęsami, czy raczej mrugnęła, i wbiła w Kippa rzeczowe spojrzenie, zdecydowana na całkowitą szczerość.

- Wracając do tematu. Po pierwsze, nie jestem dziewczcą, a to może być tylko zaletą, wiem bowiem, czego spodziewać się po małżeństwie, po małżeńskim łożu. Nie ucieknę przed tobą z krzykiem ani nie wmówię sobie, że musisz być we mnie zakochany, żeby czerpać przyjemność z obcowania ze mną. Rozumiem to, że mężczyźni mają... potrzeby. Ja mam je także, nie tylko z chęci posiadania własnych dzieci. Poza tym nie masz łba jak sagan ani jesteś taki znowu szpetny, rozumiesz chyba. Nie byłoby dla mnie szczególnie wielkim poświęceniem pozwolić, żebyś... hm... kochał się ze mną.

- Abby, zaczynam sądzić, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry - przerwał Kipp i ująwszy ją pod rękę, poprowadził w powrotnym kierunku.

- Żartujesz sobie, bo wprawiłam cię w zakłopotanie, prawda? Bardzo mi przykro, ale naprawdę uważam, że powinniśmy o tym porozmawiać teraz. Otwarcie. Szczerze. Podjąć rękawicę, jak to ktoś nazwał. No trudno, narobię sobie wstydu i ten jeden jedyny raz będę okropnie bezpośrednia. Widzisz, jako była mężatka mogę ci powiedzieć, że szczerze lubię... sam akt. Harry był w tym całkiem niezły, a przynajmniej wydawało się, iż kilka tuzinów innych kobiet jest zadowolonych z jego występów pozamałżeńskich.

- Mogę jedynie żywić nadzieję, że sprostam twoim oczekiwaniom - odparł przeciągle Kipp, unosząc gałąź, by mogła przejść. Równocześnie zastanawiał się, ile miał lat wówczas, kiedy ostatnio poczuł, że się czerwieni. Dawno temu, tego był pewien.

Puścił jej rękę, czekając, aż przejdzie przodem, a sam niemalże deptał jej po piętach, żeby skłonić ją do przyśpieszenia kroku. Chciał jak najszybciej znaleźć się przy stoliku, miał bowiem cichą nadzieję, że Brady zamówił ze dwie butelki wina. Bądź co bądź zniósł tyle szczerości, ile musi znieść mężczyzna, by czuć się w pełni usprawiedliwionym, sięgając po łyk czegoś mocniejszego.

- Nie martwię się zbyttnio o twoje niebywałe zapewne umiejętności do amatorów, milordzie - kontynuowała Abby. Przyłapała się na tym, że z niejasnych powodów nie jest w stanie wymówić jego imienia czy tytułować go „sirem”. W odniesieniu do niego taka poufałość zdawała się jej czymś nazbyt intymnym, nawet jeśli nie czuła się znowu tak bardzo skrępowana, prowadząc poufałą konwersację z Bradym. Jakie to dziwne, wręcz niesamowite. I zdecydowanie idiotyczne, biorąc pod uwagę fakt, jak intymny był temat ich rozmowy czy też raczej przedmiot jej monologu.

Jednakże, ponieważ czuła się jak we śnie od chwili, gdy się oświadczył, może nie powinna walczyć z tym wrażeniem? W snach zawsze była bardziej śmiała. Poza tym najgorsze miała już za sobą i mogła teraz skoncentrować się na

bardziej przyziemnych, za to mniej żenujących sprawach.

Kipp przyglądał się idącej przed nim Abby. Wciąż jeszcze nie mógł nadziwić się temu, co przed chwilą zrobił, wszystkiemu, co powiedziała ona, wszystkim sprawom, które skłoniły go do tego posunięcia. Szła zdecydowanym krokiem, głos miała spokojny i wiedział, że sam jest w równym stopniu wytracony z równowagi, co ona, jak się wydawało, chłodna i opanowana.

Dotarli prawie na skraj ścieżki, gdy Abby zatrzymała się w miejscu dość szerokim, by mogli stanąć obok siebie.

- Nie pojmuję, dlaczego pozwoliłam, żebyś z powrotem mnie tu zagnał, skoro mamy jeszcze tyle do omówienia. A może byłam zbyt bezpośrednia? Wycofujesz się ze swojej propozycji?

- Ja? - Kipp obie dłonie przycisnął do piersi, szeroko rozkładając palce. - Wycofuję się? Cóż za myśl?! Teraz to chyba najzwyczajniej bałbym się wykręcać sianem. Spotykałem się w większymi napadami hysterii wśród roślin doniczkowych, a to każe mi wierzyć, że jakimś cudem odnalazłem jedyną w całej Anglii rozsądną, zrównoważoną kobietę, która odpowiada moim planom. Wątpię, czy w takiej chwili byłbym zdolny odmówić ci czegokolwiek.

- A to cudownie, milordzie. Czy wspomniałam o pieniądzech? - spytała Abby. Kąciki ust łaskotały ją od z trudem powstrzymanego uśmiechu. O rajusiu, ależ miała ubaw teraz, gdy skończyło najgorsze! Zupełnie jak dziecko przez dwadzieścia trzy lata trzymane pod kluczem w szkolnej sali, któremu pozwolono w końcu w końcu wyjść na dwór się pobawić. - Naprawdę powinniśmy o tym pomówić, nie sądzisz?

- O pieniądzech - powtórzył głucho Kipp. - Z sypialni do skarbcza szybciej niż w mgnieniu oka. Pani, nie życzysz sobie chyba, żebym *ciebie* uważał za swoją kochankę?

Abby podniosła na niego wzrok, wstrząśnięta, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Ojej. Nie pomyślałam o tym. Rzeczywiście byłabym kimś w guście twojej kochanki, prawda? To tak przyjemnie traci zepsuciem. - Uśmiezek stał się zdecydowanie wyraźniejszy. - No i pięknie, zatem porozmawiajmy teraz o warunkach, dobrze?

- Koniecznie. - Kipp stał z rozłożonymi szeroko rękami. - Mam Zacząć?

- Koniecznie - zawtórowała Abby, niemalże tańcząc. Żyła. Jak nigdy czuła, że żyje!

- Przyznam ci pensyjkę. Wielce hojną pensyjkę. Choć ty - dodał, puszczając oko - możesz myśleć o tym jako o wynagrodzeniu za usługę, jeśli tak wolisz, odnoszę bowiem wrażenie, że bawi cię odgrywanie roli osoby nieco występnej.

- To aż tak widoczne, milordzie? Powinnam się wstydzić. Lecz pomimo tego, że zamierzam cieszyć się przyznaną pensją - nie masz pojęcia, jak nudne może być życie, gdy się jej nie ma - będę potrzebowała również innych funduszy. Sumka dla moich wujów - to znaczy szwagrów - żeby zarówno oni, jak i matka Edwardine nie musieli obawiać się, że przyjdzie im żyć w skrajnej nędzy. Posąg dla Edwardine wynika zupełnie naturalnie, do tego może jakieś małe przyjęcie na jej cześć lub coś w tym duchu, żeby mogła wybrać sobie odpowiedniego męża. Pensja dla Ignatiusa, ale niewielka, bo ten chłopak pakuje się w dość kłopotów tak, jak jest.

- To wszystko? Na tym koniec?

Abby przygryzła wargę, przebiegając w myślach listę warunków, które przyszły jej do głowy podczas długich nocnych godzin, podczas których chciała się jakoś przekonać, że istniały rzeczy, na których baron mógłby wyjść gorzej niż na ślubie z nią.

- Cóż, gdybyśmy tak mogli zatrudnić opiekuna lub kogoś takiego dla wujów? Widzisz, milordzie, skoro mam zajmować się twoim domem, być gospodynią i wszystko mieć na oku, naprawdę zabraknie mi czasu na zamartwianie się

o rodzinę. Są zupełnie niezaradni, sam rozumiesz. Więc pomagając im, w gruncie rzeczy pomagasz sobie. - Zerknęła mu w twarz i zmarszczyła czoło. - Nadażasz chyba za moim rozumowaniem, prawda?

- Tak mi się zdaje, Abby. Chcesz, żeby rodzinka przestała ci się plątać pod nogami. Nie winię cię za to.

Poczuła, jak fala gorąca oblewa jej policzki. Zarumieniła się po raz pierwszy, od kiedy rozpoczęli tę dziwną rozmowę.

- Kocham ich gorąco, milordzie, proszę mi wierzyć. - Wzruszyła ramionami i z westchnieniem zamknęła oczy. - Ale, och, jakże marzę o tym, by rozpiąć skrzydła, cieszyć się życiem. - Otworzyła oczy i znowu spojrzała na niego. - Czy to takie egoistyczne pragnienie?

- Nie bardziej niż moja chęć znalezienia żony, założenia rodziny, w nic się nie wikłając, przypuszczam - odparł szczerze.

Abby omiotła wzrokiem łąkę, setki dam i dżentelmenów, zajętych ploteczkami, flirtem i opychaniem się w najlepsze. Ich świetne suknie, eleganckie surduty, poczucie własnej wartości, pewność siebie.

Może stać się jedną z nich. Stanie się jedną z nich.

Musi tylko poślubić tego człowieka i nie zakochać się w nim.

Uda się jej to. Na pewno się uda.

Weszła na świeżo skoszoną trawę i wsunęła dłoń pod ramię Kippa.

- Dobrana z nas para, milordzie, nieprawdaż? Wydaje się wręcz logiczne, że trafiliśmy na siebie. Myślę, że zostaniemy bardzo dobrymi przyjaciółmi - powiedziała, widząc Edwardine i Brady'ego, którzy machaniem usiłowali zwrócić na siebie ich uwagę.

Edwardine wesolutko kiwała smukłą dłonią w przybliżonym kierunku, z którego się spodziewała ich nadejścia, bez wątplenia nawet nich nie widząc. Brady wymachiwał ręką uniesioną wysoko ponad głowę w sposób, w jaki czyni to rozbitek, widząc na horyzoncie statek.

- Teraz jednak - dodała, z trudem ukrywając wesołość - jak mi się zdaje, wielmożny pan hrabia życzyłby sobie, byśmy ponownie do niego dołączyli, jako że wystarczająco długo zabawiał naszą Edwardine.

- A jak się w ogóle do tego zabrać, Abby, do zabawiania twojej małej bratanicy? - spytał Kipp. - Trudno mi uwierzyć, by Brady przyszedł tu dziś z kieszeniami pełnymi nakręcanych bąków i pudełkiem, z którego na sprężynie wyskakuje diabełek, pod pachą.

- Biedna Edwardine - westchnęła Abby, czując desperację Brady'ego. - Powinam była wiedzieć, że szesnaście lat to za mało na udany debiut. Ale na swoją obronę dodam, że nie stać nas było na to, by poczekać jeszcze jeden rok. Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo cię zniechęci do wszystkich kobiet z wyjątkiem szarych myszek, które nie mają pstro w głowie, za to niezależność mają we krwi. Co powiemy panu hrabiemu, by wyjaśnić naszą długą nieobecność?

Kipp zatrzymał się, Abby siłą rzeczy poszła w jego ślady, on zaś poddał niebywale drobiazgowym oględzinom podeszwę swojego buta.

- Wdepnąłeś w coś? - spytała z nagłym zainteresowaniem.

- Jeszcze nie, droga pani - odparł w chwili, gdy spojrzała w dół i zobaczyła, że spód jego buta jest czysty. - Udaję tylko, żeby zyskać dla nas chwilę i żebym mógł wdepnąć w coś zupełnie innego, czy też raczej o coś innego zahaczyć. Tym czymś, Abby, jest pewien warunek, o którym wcześniej nie pomyślałem. Będę chciał, żebyśmy uchodzili przed światem za zakochaną parę, jeśli czujesz się na siłach, by temu podołać. To bardzo ułatwi sprawę z Bradym, jeśli mnie rozumiesz.

Abby przeniosła wzrok z Kippa na Brady'ego, jedyne go poza nimi dwojgiem człowieka, który, jak wiedziała, będzie świetnie rozumiał, jakie pobudki kierują „zakochanymi”. Dlatego Kipp chciał, by nawet jego bliski przyjaciel myślał co innego, skoro wcześniej właściwie to sam mu zle-

cił znalezienie dla siebie wygodnej żony? Cóż to zresztą miało za znaczenie?

A potem, poniewczasie, jakaś zapadka zaskoczyła jej w mózgu i wszystko stało się dla niej najzupełniej jasne. Kippa wcale nie obchodziło, co pomyśli Brady, co uzna ktokolwiek z towarzystwa. Troszczył się o jedną jedyną osobę. O Merry. Kobietę zaślubioną jego najlepszemu przyjacielowi z dzieciństwa.

Abby miała być nie tylko „wygodną” żoną, instrumentem, dzięki któremu baron Willoughby zyska pożądanego dziedzica. Miała być wybiegiem, tarczą, parawanem dla uczuć Kippa i gwarantką spokoju Merry.

Jak, u nieba, mogła o tym zapomnieć? I dlaczego świadomość ta sprawiała jej ból? Czemu na tę myśl w piersi odzywało się ledwie odczuwalne ukłucie żalu?

- Tak... tak zapewne byłoby najlepiej, milordzie - odezwała się w końcu, zdecydowana spełnić jego prośbę.

- To dobrze. - Kipp nareszcie mógł się odprężyć. Wiedział, że najgorsze już minęło.

Przyszedł właściwy moment, by trochę się zabawić kosztem Abby. Na powrót umieścił jej dłoń na swoim przedramieniu i podprowadził ją bliżej.

- Och, byłbym zapomniiał. Dyspensę uzyskam jeszcze dziś. Już wcześniej zorientowałem się, *co* i jak, i będziemy mogli się pobrać z końcem tygodnia. Ściśle biorąc, w piątek.

Abby zamarła i szarpnięciem za rękaw zmusiła go, by się zatrzymał.

- Z końcem tygodnia? Z końcem *tego* tygodnia? Za pięć dni od dziś? Nie mówisz chyba poważnie? Niemożliwe, żebyś mówił poważnie!

- Unikam tego jak ognia, Abby, mówiono mi bowiem, że mój brak powagi jest wyjątkowo rozbrajający. Jednakże stwierdzam z przykrością, że teraz mówię śmiertelnie serio. Zaplanowałem już dość duże przyjęcie... och, no dobrze, bal... przy Grosvenor Square w piątkowy wieczór. Jak

co roku i takie tam, wszyscy nie mogą się doczekać. Pomyślałem sobie więc, dlaczego nie mielibyśmy pobrać się po południu i ogłosić to później na balu? Cóż prostszego?

Abby czuła się tak, jakby wewnątrz niej eksplodowała nagła, wszechogarniająca panika.

- Co prostszego? Twój mózg, jeśli rzeczywiście wiesz, że mogę przygotować się do ślubu w ciągu pięciu dni. Oto co może być prostsze - niemal wypluła te słowa.

Nie czekała na odpowiedź. Cały jej takt, wszystko, co bodaj mgliście przypominało kobiecą delikatność, poszło z dymem, gdy mówiła, a raczej zastanawiała się na głos:

- Nie mam sukni, nie mam butów. A moje koszule nocne? Dobry Boże, jakże mogłabym przyjść do niego w jednej z tych koszmarnych... nieważne - urwała nagle i zaciśnęła usta, uprzytomniając sobie, co właśnie powiedziała.

- W piątek, Abby - uciął dyskusję Kipp. Przyszło mu do głowy, że najpewniej pójdzie do piekła za myśli, które krążyły mu teraz po głowie, za te niezbyt porywające obrazy, jakie usłużnie podsuwała mu wyobraźnia. Abigail Backworth-Maldon w starej nocnej koszulinie, jak nic zakrywającej ją od czubka nosa po czubki palców. Abigail Backworth-Maldon w cienkim jak mgiełka białym jedwabnym peniuarze.

Czy naprawdę sądziła, że to sprawiałoby mu jakąkolwiek różnicę?

Ograniczył się do najszczerzego stwierdzenia, jakie poczynił od rana.

- Ani o dzień później, moja droga, inaczej oboje zapewne stracimy odwagę. Poza tym nie wolno ci zapominać, że jestem w tobie tak gruntownie rozkochany, że nie mogę się doczekać, by zaciągnąć cię przed ołtarz. A przynajmniej w towarzystwie nie muszą wiedzieć nic więcej.

Abby z westchnieniem przyznała mu w duchu rację i niechętnie skinęła głową.

- Pomyśleć tylko - odezwała cię z cicha - że jeszcze pół roku temu myślałam, iż moje życie będzie jak jedno dłu-

gie, przeciągłe ziewnięcie, przerywane jedynie okazjonalnymi, acz absorbującymi napadami backworth-maldonowskiej głupoty. Tylko dlaczego to zupełnie zwyczajne życie wydaje mi się nagle tak kuszące?

10

Białe słońce nadal świeciło gdzieś nad Londynem, nie fatygowało się jednak, by przeniknąć wąskie, uwalane szarymi okna niechlujnej bawialni w wynajętym domu przy Half Moon Street.

Może to i lepiej, pomyślała z roztargnieniem Abby. Biegała z kąta w kąt, owinięta w za duży fartuch, osłaniający drugą co do świetności suknię. Odkurzała porysowane stoły i co chwila wzbijała w powietrze kolejny tuman kurzu, poprawiając i puszczając dekoracyjne w zamysle poduszki leżące na bliźniaczych kanapach.

Ustawiła wazon pełen nadwiędłych, wypłonionych kwiatów, które odkryła w niewielkim ogródku za domem, na samym środku niskiego stolika stojącego między kanapami. Cofnęła się. Przechyliła głowę. Przymknęła oczy z ciłą nadzieją, że jakoś to pomoże.

Nie pomogło. Poderwała wazon, który i tak zajmował zbyt wiele miejsca - co oznaczało, że nie miałyby gdzie postawić serwisu, gdyby komuś przyszła chęć na herbatę - i dzierżąc go pewnie w rękach, obeszyła bawialnię, desperacko szukając jakiegoś miejsca, w którym nie wyglądałby tak rażąco. Czy załóżnie.

Półka nad kominkiem. Tak, to jest pomysł. Postawiła wazon na środku, zasłaniając większą część przynębiają-

cego obrazu wyobrażającego beagle'a o czerwonych ślepiach, trzymającego w pysku jakieś ptasie truchełko.

Przyciągnęła mały podnózek przed jedyny w pokoju fotel i precyzyjnie ulokowała go na miejscu, w którym dywan wytarty był do gołej osnowy. Potem odsunęła się o krok, odgarnęła niesforne pasemko włosów za lewe ucho i otaksowała wzrokiem swe dzieło.

- Cóż - mruknęła, postukując się pięściami w biodra - jeśli to nie każe baronowi ponownie zastanowić się nad moimi umiejętnościami prowadzenia domu, to nie wyobrażam sobie, co zdołałoby go do tego skłonić. Mogłabym się założyć, że cele dłużników w Newgate urządzone są z większym przepychem i w zdecydowanie lepszym guście.

Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła Z niej zegarek, dużą, staroświecką „cebule”. Zerknęła na cyferblat i zmarszczyła czoło. Zbyt wiele cennego czasu zmarnowała na przygotowanie wujów - starając się unikać przy tym używania wyrazów dłuższych niż dwusylabowe - do tego, co miało niechybnie tu nastąpić za niecałe pół godziny.

- Zajdzie do nas baron Willoughby zamienić z tobą słówko, wuju Dagwoodzie - zaczęła, gdy zdołała cudem zagnać ich do bawialni. - Wuju Baileyu, słuchasz mnie? Z tobą także będzie chciał się zobaczyć, jeśli nawet wuj Dagwood jest o pięć minut starszy. Proszę, bądźcie łaskawi zostawić na chwilę ten bałagan i posłuchać mnie uważnie. O, dziękuję. No więc jak, wuju Baileyu, słyszałeś, co przed chwilą mówiłam?

- Jaki znowu bałagan, moja mała? Wypraszam to sobie. - Bailey Backworth-Maldon posłał swojej tabakierze ostatnie, tęskne spojrzenie, po czym odłożył mały lejek, którego używał do napełniania jej własnoręcznie sporządzaną tabaką. Zamaszyście strzepnął ubranie, prosząc brunatnym proszkiem na wszystkie strony świata, kichnął dubeltowo i łypnął na Abby z po mistrzowsku odegraną miną urażonego niewiniątka. - I naturalnie, że słuchałem, moje dziecko. Słuchałem z wielką uwagą. Słyszałem każde słowo, *spijałem* każde słowo.

wo z twoich ust. - Teatralnie puścił oko do brata. - Ale nie żałuj sobie, powtórz wszystko, jeśli cię to uspokaja.

- Powiedziałam - zagrzmiała Abby, patrząc prosto w jego wodniste, niebieskawe oczy - że dom się pali. Dach już się zawalił, ale możliwe, że zostało nam dość czasu, żebyście napełnili swoje tabakierki, zanim płomień z trzaskiem sięgną schodów i nas pochłona.

- A gdzie tam - zaprotestował Bailey i wydał dolną wargę. - Paplałaś coś o jakimś lobby. Nieprawdaż, Dagwoodzie?

- O Willoughbym - poprawił bliźniak, plując na róg dużej chustki do nosa i pocierając nią pomarańczową plamę na krawacie. - Że też próbujesz kręcić, bracie. Ona zawsze człowieka nakryje na kłamstwie. Szczwana z niej bestyjka, z tej naszej Abby, kiedy jej na czymś zależy.

- Dziękuję, wuju Dagwoodzie, za ten, jak nie wątpię, komplement. - Abby szarpnęła się do przodu, zręcznie umieściła tabakierę, lejek i garnuszek z tabaką poza zasięgiem rąk Baileya. - Mam tylko nadzieję, że nie uznasz za konieczne, by przedstawić mnie w tak pochlebnym świetle baronowi Willoughby, gdy tu zajedzie.

- Baronowi? - powtórzył Bailey i spojrzał na Dagwooda. - Willoughby? Baronowi Willoughby? - Pacnął plecami w oparcie fotela i wyszczerzył zęby w uśmiechu tak szerokim, że Abby dałaby sobie głowę uciąć, że widzi wszystkie jego trzonowce. - Niech skonam, Dagwoodzie, tośmy się spisali! Wydaliśmy Edwardine za jakiegoś barona. Wiesz, co to oznacza?

- Nie będzie już potrzebowała nowych sukienek, świecidełek i fidrygałów, które kosztowały nas krocie...

- ... nie będzie wечно włazić pod nogi, zamęczać głupimi pytaniami...

- ... nie słuchając nigdy odpowiedzi, uważasz sobie. Zabierze do siebie Iggy'ego, jak myślisz? To już byłby prawdziwy dar od Boga. I tak chłopaka nigdy tutaj nie ma, a kiedy już jest, to ciągle łązi za człowiekiem z wyciągniętą ręką.

- I Hermione...

- ... i Pieszczusia.

Abby niezwykle starannie zasłoniła usta dłonią, by ukryć potężne ziewnięcie. Świetnie wiedziała, że przerywanie wujom i próba ponownego zainteresowania ich właściwym tematem przedłużyłyby jedynie *jej* mękę. Poza tym sprawa wydawała się już przesądzona. Jeszcze kilka zdań, które jeden zacznie, a drugi dokończy, i bez wątpienia myśli bliźniaków popłyną ku ich największej pasji.

Wujowie jej nie rozczarowali.

- Bracie, ależ mi serce zabiło! A skroniach aż mi tętni. Tak, tak, bez dwóch zdań, w skroniach tętni mi jak, jak...

- Kopyta Backworth's Prize na Derby? Bracie? Myślisz? Czy to w ogóle do pomyślenia?

- Tak, tak, mógłby pomóc, nieprawdaż? Zaprosić do siebie, posadzić obok sir Thurstona, umożliwić nam przebywanie w jego towarzystwie, a my tymczasem poszukalibyśmy jego słabej strony, jego najczulszego punktu. Hazard, jak sądzisz? Może wist?

- Dwóch przeciwko jednemu, z baronem trzech. Według naszego starego planu wygrać w karty to, co Harry w karty przegrał. Przebić go...

- ... pokonać. Rozłożyć na łopatki...

- ... a wtedy zaproponować ostatnią rozgrywkę, szansę, żeby się odegrał. Niech tylko postawi Backworth's Prize...

- ... wszelkie *jego* potomstwo, jakiego Thurston mógł dochować się w stajniach...

- ... abrakadabra! I odzyskaliśmy naszą fortunę!

Umęczona Abby dotrwała w milczeniu do samego końca z założonymi na piersi rękami, tupiąc o wyliniały dywan.

- Skończyliście wreszcie, wujaszkwowie? - spytała niecierpliwie, kiedy się już zmęczyli. - A jeśli tak, to czy będę niegrzeczna, jeśli przypomnę, że jedyne zwycięstwa w waszych doświadczeniach z grami hazardowymi, czy to w partyjce wista, czy w zwykłej zabawie w ciuciubabkę,

odniosłam ja? To dlatego odstąpiliście od tego planu, pamiętacie?

- Najprawdziwsza prawda...

- ... ma rację dziewczynisko.

- Niebawem coś wymyślimy, Dagwoodzie, daję ci słowo. Coś błyskotliwego.

- To świetnie - przerwała te *wywody* Abby i podeszła do nich, żeby jednemu zasłonić widok na drugiego. - A zatem, jak już mówiłam, baron będzie tu lada chwila, żeby z wami porozmawiać i, miejmy nadzieję, otrzymać wasze błogosławieństwo. Innymi słowy, przyjdzie prosić o moją rękę.

- *Twoją* rękę?

- *Jej* rękę?

Dagwood i Bailey gruchnęli śmiechem. Dławili się, chrząkali, parskali. Klepali się po kolanach, porykując z uciechy. Ocierali zażawione oczy identycznymi chusteczkami - z tym że na chustce Dagwooda nie widniały plamy zupy marchewkowej.

Abby stała nieruchomo, wpatrzona w ścianę nad drzwiami prowadzącymi do miniaturowego holu wejściowego. Koniec końców wujowie uspokoili się, radosne rechotanie wyraźnie przycichło i po kilku piskliwych chichotach, jakby na deser, wreszcie umilkło zupełnie. Wuj Bailey głośno czknął.

- Ach, Abby, dziewczyno, prawdziwe z ciebie cudo! - wykrztusił, pociągając nosem, z którego zaczynało właśnie kapać. - Nie przestajesz podnosić nas na duchu. Prosić o *twoją* rękę? Nie przeczę, że kobiątka z ciebie na schwał, moja droga, ale... skąd taka myśl?

- Taa, przecież przyjechaliśmy tutaj po to, żeby wydać za mąż głuptaka?

- Edwardine nie jest żadnym głuptakiem, wuju Dagwoodzie!

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Po prostu nie jest zbyt mądra. Zupełnie jak jej matka. Czyli chciałaś wtrynić baronowi Edwardine, a on zamiast niej wybrał ciebie? To chcesz powiedzieć? Hm, niech skonam.

- Skonasz, i to niechybnie, jeśli coś zepsujesz, wuju - ostrzegła Abby, a następnie wbiła swoje najgroźniejsze spojrzenie w wuja Baileya.

Teraz już słuchali. Możliwe nawet, że coś do nich dotarło. Później czmychnęli na górę, by wyklócać się o to, który z kupowanych po dwie sztuki strojów najlepiej pasuje do roli opiekunów wdowy w wieku dojrzałym, kobiety, której ich pozwolenie na zawarcie małżeństwa było równie potrzebne jak kolejna dziura w podeszwie jej wieczorowych pantofli.

Edwardine i Hermione wysłała z jakąś sprawą na Bond Street, Iggy'emu dała pięcioletni banknot, który odkładała na czarną godzinę, i patrzyła, jak zmywa się błyskawicznie, żeby zdążyć na kogucią walkę. Wiedziała, że jak na jeden dzień wielmożnemu panu baronowi wystarczą sami wujowie. Zbyt wielu Backworth-Maldonów za jednym podejściem i biedny człowiek biegiem puści się w kierunku najwyższego górskiego szczytu w Azji!

Odezwała się kołatka przy drzwiach wejściowych, a Abby omal nie wyskoczyła ze skóry.

Na troczkach szlafroka zrobił się supeł i ledwie zdołała zedrzeć z siebie to cholerstwo przez głowę, niszcząc przy okazji to, co pozostało z jej surowego uczesania.

Przesunęła dłońmi po przodzie burej sukni, wzięła głęboki wdech i udała się do holu, żałując, że nie stać ich na lokaja, który by ją tym w tym wyręczył. Niechlujna kobiecina, którą zatrudnili do gotowania i sprzątanego, nie pofatygowalaby się otworzyć drzwi, nawet jeśli ktoś przystąpiłby do ich wyważania taranem.

Z drugiej strony, cóż to miało za znaczenie? Baron wiedział o ich przejściowych kłopotach. Więcej nawet, wydawało się, że właśnie te kłopoty stanowiły jeden z jej największych atutów, gdy zastanawiał się nad nią w roli swojej żony.

Tylko w roli. Mądrze zrobiłaby, nigdy o tym nie zapominając.

Trzymając rękę na skoblu, znowu głęboko odetchnęła,

by się uspokoić. Skuliła się wyraźnie, gdy kołatanie rozległo się ponownie. Zmówiła w myślach ostatnią krótką, acz żarliwą modlitwę, by nie wydarzyło się nic, co skłoniłoby Kippa do zmiany zdania, otworzyła gwałtownie drzwi i zatrzepotała rękami, oślepiąca przez zachodzące słońce, które odnalazło w końcu drogę nad dachy Half Moon Street.

- Milordzie? - spytała, mrużąc oczy, nie widząc właściwie niczego poza czyjąś wysoką sylwetką, fragmentem świetnego stroju i modnym cylindrem rzucającym cień na twarz gościa.

- Abby - odparł hrabia Singleton przyjaźnie i wyminął ją, żeby wejść do holu. - Masz sadzę na policzku, moja droga - zauważył uprzejmie, ściągnął rękawiczki i podał je oniemiałej Abby. Następnie ujął ją za podbródek i otarł jej twarz nieskazitelnie białą chustką. - Od razu lepiej. To jak, będziemy tu stać jak dwa posągi czy zaprosisz mnie do środka?

-Ja... ja... oczywiście. Oczywiście, że możesz wejść. - Abby wskazała ręką wąskie wejście do ciasnej bawialni. Brady nawet nie drgnął.

- Panie przodem - rzekł z ukłonem. - Ale nie ma się czym przejmować. Jestem pewny, że nauczysz się takich drobiazków, nim się obejrzysz, skoro Kipp ma uczynić z ciebie panią baronową. Mówiłem ci już, że jestem z ciebie niebywale dumny? Jak mi to pochlebia, że nie pomyliłem się, pokładając w tobie tyle zaufania?

- Ja mu się nie oświadczyłam, Brady - sprostowała Abby, przysiadając na brzeжку jednej z kanap i wypychając porzucony fartuch pod poduszki.

Znieruchomiał z rękami wygiętymi do tyłu i dzierżącymi w górze poły płaszcz w chwili, w której miał usiąść naprzeciw Abby. W tej osobliwej pozycji, z uniesionymi polami niczym ptasie skrzydła, spytał zdumiony:

- Nie oświadczyłaś się mu? Jak więc...? - Opadł ciężko na kanapę, aż jęknęła. - A niech mnie diabli...

- Diabli porwą, i to nas oboje, jeśli kiedykolwiek wydasz

się przy nim, że wtajemniczyłeś mnie w jego plan poślubienia Edwardine czy jakiegokolwiek innej młodej kobiety, która, jak sobie wyobrażał, nie byłaby nadto kłopotliwa. Jeśli mu kiedykolwiek powiesz, że rozmyślnie podsuwałeś mu pod nos zarówno Edwardine, jak i mnie przez tych kilka dni. Jeśli ci się kiedykolwiek wymknie, że cokolwiek wiem o Merry. Jeśli kiedykolwiek piśniesz chociaż jednym jedynym słówkiem. Ponieważ on myśli, że całe to małżeństwo, jak powiada, z rozsądku, to wyłącznie jego pomysł.

- O żesz ty... - rzucił bezgłośnie Brady, ale natychmiast się zmiłgował i przeprosił. Potarł usta i zacisnął kurczowo powieki, usiłując zebrać myśli. Po pewnym czasie uśmiechnął się. - Ale i tak miałem rację, nieprawdaż?

Abby westchnęła jak ktoś, kto przez całe lata zajmował się utwierdzaniem w dobrym samopoczuciu ludzi nie cechujących się szczególnym darem do wychwytywania niuansów w sytuacjach, które choćby w przybliżeniu zasługiwały na miano poważnych.

- Tak, Brady, miałeś rację. Wręcz błysnąłeś geniuszem. A teraz pozostaje się nam tylko przekonać, czy potrafisz trzymać usta na kłódkę i napawać się swym geniuszem w roztropnym milczeniu.

Następnie wstała na znak, że i on powinien się podnieść.

- A teraz idź już, proszę, zanim dotrze tu jaśnie pan baron i zaczniesz zastanawiać się, co tutaj robisz, dobrze? Nie sądzę, żebym znalazła jakieś wyjaśnienie, a ty wyglądasz na o wiele za bardzo zadowolonego z siebie, żebym czuła się swobodnie. Odprowadzę cię do...

- Bill Lobby! To ty, chłopcze?

- Och, Boże, co ja Ci takiego zrobiłam... - jęknęła Abby. Ręce jej opadły, gdy do pokoju wpadł sprężyste wujaszek Dagwood i natarł na nich z otwartymi ramionami oraz uśmiechem tak szerokim, jak jego imponująca talia.

- Żaden Bill Lobby, Dagwoodzie, a *Willoughby*. Czy ty w ogóle słuchasz tej dziewczuszki? - poprawił wuj Bailey, po-

chrupując jabłko i wchodząc za bratem do bawialni. Następnie zasiadł na kanapie. - Szybki jest, co? Widać pili go, żeby się z nami rozmówić, pojmujesz mnie?

Abby marzyła, by podłoga rozstała się pod nią i pochłonęła ją ze szczętem. Zachwycona mina Brady'ego także nie poprawiła jej humoru, wiedziała bowiem, że musiał myśleć dokładnie to samo co ona. Jak też baron Willoughby zareaguje na podobną scenkę rodzajową?

Dając drapaka tak szybko i daleko, jak tylko zdołała, zastanowiła się, czy nie zdążyłaby jeszcze odurzyć obu wujów laudanum, zawinąć w dywan i zamknąć na klucz w jakiejś szafce. Na pociechę pozostawał fakt, nawet jeśli to niewiele, że zaczynała dostrzegać korzystną stronę wydania się za barona Willoughby, zanim ten zdąży lepiej poznać jej rodzinę.

- Poznajcie barona Singleton, wuju Dagwoodzie, wuju Baileyu - wycedziła przez zaciśnięte zęby czy raczej wykrztusiła słowo po słowie. Patrząc na nią, Brady uniósł zabawnie brwi, podszedł do braci i dokończył aktu oficjalnej prezentacji.

- Jestem zachwycony, mogąc poznać was, panowie - powiedział, nie mijając się przy tym z prawdą. Zdążył się już zorientować, że niemożliwością było odprawić ich i mieć nadzieję, że wykażą się zdrowym rozsądkiem i odejdą. Och, tak. Kipp w nagrodę za swoje wysiłki dostanie nie tylko nieuciązliwą połówicę. Dostanie także całą jej rodzinę z wszystkimi jej wariactwami i dziwactwami. I dobrze mu tak, wmawiał sobie, że może po prostu wybrać odpowiednią kobietę, ożenić się z nią i wrócić do swojego dotychczasowego życia, jakby małżeństwo mogło w niczym nie zmącić biegu jego dni. Przez resztę życia wzdychać do Merry Coltrane? Ha! Nie po tym, jak przykuje się do Abby i jej krewniaków. Nie starczy mu czasu na użalanie się nad sobą!

- Singleton? - powtórzył wuj Bailey i od góry do dołu omiół go spojrzeniem. - Nie Willoughby? Hm, a czego pan tu chcesz? Wygląda o wiele zbyt szykownie, żeby występować w imieniu tamtego, nie, Dagwood?

- Kto to wie. Kto to wie. - Dagwood wpatrywał się w hrabiego, jakby usiłował ocenić jego intelektualne walory. - Niemniej gdyby udało się nam wyswatać obie w tym samym sezonie...

- Pani Backworth-Maldon? - Lewa brew Brady'ego zdążyła unieść się tak wysoko, że dotykała niemal linii włosów. - Czy mogę z panią zamienić słówko na osobności? Panowie - dodał i pokłonił się, modląc się w duchu, by udało mu się powściągnąć wybuch wesołości jeszcze przez kilka sekund - była to nadzwyczajna przyjemność.

Abby dosłownie pognała do holu wejściowego, skrupulatnie zamknęła drzwi do bawialni, po czym podała Brady'emu jego rękawiczki i kapelusz.

- Musisz natychmiast stąd wyjść, Brady - wysapała. Nie mogła się doczekać, żeby Brady przestał opierać się o ścianę, nie dowierzając swoim kolanom, i zaśmiewać się jak wariat. - Brady, proszę cię. - Pomknęła ku drzwiom i otworzyła je na oścież. - Gdyby baron zobaczył cię tutaj, najpewniej...

- Hm, może się mylę, ale prawdopodobnie powiedziałby: „Witaj, Brady, co, do diabła ciężkiego, tutaj robisz?” - zagrział Kipp, wchodząc do holu.

Abby puściła klamkę i usiadła na niskim taborecie, który, choć mały, na tle mikrej ściany zdawał się nabierać potężnych rozmiarów. Usiadła czy też raczej ciężko na niego opadła.

- Mam koszmarne sen, prawda? To wszystko nie dzieje się naprawdę. Jestem u siebie w Syston, śpię we własnym łóżku i dręcą mnie senne koszmary. To coś w rodzaju ostrzeżenia z góry, żebym przenigdy nie myślała nawet o zabranii Edwardine do Londynu.

- Rozumiem, dlaczego po uszy zakochałeś się w naszej drogiej pani Backworth-Maldon - mruknął Brady, wciągając rękawiczki. Może i stracił część powodów do napawania się własną błyskotliwością, ale to nie znaczyło, by nie mógł się trochę zabawić. - Jest absolutnie niepowtarzalna niczym orzeźwiający powiew szczerości w naszym zatę-

chłym mieście. Kobieta, której obce są fortele i wybiegi, bez żadnych ukrytych motywów. Ależ z was będzie para, tak bardzo jesteście do siebie podobni. Dwie bratnie dusze, które połączyła prawdziwa miłość. Jakże żałuję, że nie mogę dłużej z wami zostać, Kippie, posłuchać, jak stawiasz czoło czarującym wujom swej wybranki, zwierzasz się im ze swego wielkiego uczucia i szacunku dla tej damy, błągasz, by łaskawie zgodzili się na...

- Brady! - zakrzyknęli Abby i Kipp jednym głosem.

- Mhm? - spytał niewyraźnie Brady ze zmarszczonym czołem, choć nadal silił się na rozbawioną minę. Niemal z powodzeniem. Niemal.

Kipp łypnął spod oka na swoją świeżo upieczoną narzeczoną, następnie zwrócił się do przyjaciela:

- Oboje nie wiemy, jak ci dziękować, serdeczny druhu, za wszystkie twoje dobre słowa. - Następnie, wskazując otwarte drzwi lekkim przechyleniem głowy, dokończył: - Ale zdaje się, że musisz już iść?

- A tak. Tak, właśnie zbierałem się do wyjścia, nieprawdaż? Wychodzę - przytaknął szybko Brady. - Wpadłem jedynie, by prosić panią Backworth-Maldon o przyjęcie mojej pomocy w znalezieniu dobrej krawcowej. Wiesz, jaki ze mnie znawca w tej dziedzinie, Kippie, stary przyjacielu. Jutro o dziesiątej, tak, pani Backworth-Maldon? Tak, jestem pewny, że tak właśnie się umawialiśmy. Cóż, zatem biegnę już.

- A ja porozmawiam z tobą później - ostrzegł go cicho Kipp i odsunął się, by Brady mógł przejść. - Masz to jak w banku, stary przyjacielu.

- Och, daruj sobie - odezwała się Abby, która odzyskała tymczasem nieco ze swojej ciężko doświadczonej pewności siebie. Wstała i zamknęła, czy niemal zatrzasnęła, drzwi tuż za plecami Brady'ego. - Przyszedł tu tylko po to, żeby przekonać mnie, iż koniecznie potrzebuję nowej sukni na twój piątkowy bal. A może sądzisz, że chciał błągać mnie o to, bym zastanowiła się jeszcze nad małżeństwem

z tobą, kornie upraszać, żebym to za niego się wydała? Może zamierzamy wymknąć się do Gretna Green jeszcze dzisiejszej nocy?

Kipp z namaszczeniem, palec po palcu, zsunął z dłoni rękawiczki i położył je na stoliku obok laski i cylindra.

- No to mamy dylemat - mruknął przeciągle, obserwując Abby, a ona obserwowała jego. Był dziwnie pewny, że z największą ochotą złapałaby mosiężną figurkę konia, jedyny bibelot, jaki stał na stoliku, i palnęła go nim w głowę. Czyż to nie dziwne, że tak bardzo bawiły go jej wysiłki, by go nie udusić na miejscu?

- Jeśli powiem: „Owszem, myślę, że Brady złożył ci tę popołudniową wizytę, by błagać, żebyś z nim uciekła”, to powinienem później zażądać satysfakcji od bliskiego mi człowieka, wyzwąć go na pojedynek. Nieprzyjemna sprawa te pojedynki. Wstać przed świtem, łązić po mokrej trawie, możliwe, że dać sobie przestrzelić dziurę w nowym płaszczu. Ale jeśli powiem: „Nie, bardzo wątpię w to, że mojego przyjaciela przywiodły tu zachody miłosne”, poważnie obrażę swoją narzeczoną, sugerując, jakoby nie była najbardziej oszałamiającym stworzeniem pod słońcem, zdolnym przekreślić lojalność Brady’ego, powolnego tęsknotom swego czułego, porażonego miłością serca, wobec mojej osoby.

Abby nie poruszyła się nawet. Mierzyła Kippa wzrokiem z bezpiecznej odległości, oddzielona od niego stolikiem, który bronił go przed nią, a może odwrotnie - sama nie była pewna.

- Skończyłeś już? - spytała w końcu, stojąc z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. Zaciskała je w pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się jej w skórę. - Jeśli tak, to wujowie czekają na ciebie w bawialni. Pięć minut z nimi powinno wystarczyć, żeby zmasać ci ten wzdrgliwy uśmiezek z twarzy.

- Bez wątpienia, moja droga. Bardziej gotów już nie będę. Prowadź. O, i nie jestem do końca przekonany, czy podobają mi się twoja nowa fryzura, choć i to z pewnością ja-

kaś poprawa w porównaniu z tym przylizanym kokiem, w jakim wydajesz się gustować.

Obydwoma rękami przygładziła włosy, odgarniając do tyłu pasma prostych jak pogrzebacz włosów, którym udało się jakoś wysmyknąć.

- To na nic, milordzie - powiedziała wreszcie, gdy oparła się już plecami o drzwi bawialni. - Nie sądzę, żebyśmy się polubili.

- Wprost przeciwnie. - Kipp przesunął jej za ucho ostatni niesforny kosmyk. - Bardzo cię lubię i myślę, że ty lubisz mnie także. Ale nie zachwyca mnie myśl, by Brady miał podzielać mój pogląd.

- Zazdrosny, milordzie? - spytała Abby zbyt wstrząśnięta, by spierać się z nim o to, czy go lubi, czy też nie. - Nie wyglądałeś mi na zazdrośnika.

- I nim nie jestem, Abby. Poza tym miałaś mówić mi po imieniu.

- Och, naprawdę? - odparowała coraz bardziej rozzłoszczona. Wystarczająco rozzłoszczona, żeby wszystko odwołać, jakkolwiek bolesna byłaby to myśl. - Niechże się upewnię, czy w pełni cię rozumiem, *milordzie*. Tak wiele spraw omówiliśmy dziś po południu, że mogę mylić się w kilku punktach. Ty mógłbyś, jeśli byś tak zechciał, dyskretnie utrzymywać kochankę, ale mnie nie wolno wziąć sobie kochanka? Czy w tym rzecz? Czy tej części umowy nie dopowiedziałeś? Uważasz, że to uczciwe?

- Uczciwe? - Kipp cofnął się o krok, myśląc nad jej słowami, ważąc je. - Nie, raczej chyba nie, jeśli nawet przypominał sobie, że to od ciebie wyszła taka propozycja. Mężczyźni od zawsze żyją tak, jak żyją, biorą sobie kochanki, to reguła stara jak świat i prawdę powiedziawszy, nigdy nie widziałem w tym niczego złego. Do teraz. No i mówiłaś przecież, że bardzo chętnie staniesz ze mną do łóżkowych potyczek, prawda? Wspominałem już, jak bardzo pochlebiają mi twoje szczere wysiłki, by uspokoić mnie w tym względzie?

- Boże Ty mój, ależ ty potrafisz być niezdolny! Nie mogę uwierzyć, że w ogóle wdaliśmy się w tę rozmowę. - Abby najchętniej zakleiłaby sobie czymś usta, bo, jak się wydawało, ten mężczyzna wydobywał z niej coraz to nowe pokłady utajonego ognia, który usiłowała przez ostatnie lata jakoś w sobie zdławić. Kipp mógł doprowadzać ją do szaleń, ale też sprawiał, iż całą sobą czuła, że wreszcie żyje.

- Niezdolny? Owszem, zawsze uważałem niezdolny charakter za jedną ze swoich szlachetniejszych cech. Jednakowoż przyznaję ci rację. Załącznik do naszej umowy byłby ze wszelkich miar wskazany.

Teatralnym gestem lewą dłoń położył na sercu, prawą uniosł jak do uroczystej przysięgi.

- Niniejszym ślubuję, iż nie wezmę sobie kochanki, a w zamian proszę tylko, byś zrewanżowała mi się tym samym. Będziesz jednak mogła flirtować, ile dusza zapagnie, jako że i ja nie zamierzam sobie tego odmawiać. Mam flirt za przyjemną rozrywkę, a siebie za nie najgorszego flirtarza.

- Tak długo, jak będziemy pamiętać o tym, by obnosić się przed światem z naszą miłością - uściśliła Abby i pokręciła głową. - Nadal myślę, że to wszystko na nic, milordzie, nie zgodzisz się ze mną? Jesteś pewny, że dobrze to sobie przemyślałeś? Możesz stracić więcej, niż zyskasz.

Kipp aż nazbyt dobrze wiedział, co zyska - planował użyć Abby jako tarczy, za którą będzie mógł ukryć zbolełe serce przed Merry i Jackiem Coltrane'ami - i to właśnie skłoniło go do renegocjacji warunków. W dodatku czy warto byłoby ponownie zadawać sobie kłopot poszukiwania kobiety, której mógłby zaufać, która zrozumiałaby założenia małżeństwa z rozsądku? Abigail Backworth-Maldon wpadła mu w ręce jak dojrzała śliwka, ale czy mógł liczyć, że szczęście uśmiechnie się do niego po raz drugi?

- Żadnego flirtowania - zgodził się smętnie i potrząsnął głową. - Boże, kobieto, jesteśmy narzeczeństwem od zaledwie kilku godzin, a już się czuję jak człowiek żonaty. Do-

prawdy, dotrzymujesz swojej części umowy ze skrupulatnością, która zakrawa na zemstę.

- Staram się jedynie chronić siebie samą, ale i ciebie, mi-lordzie.

- To znaczy? - spytał i rzucił jej spojrzenie spod przy-mrużonych powiek.

Abby skrzywiła się nieznacznie. Uzmysłowała sobie, iż być może niepotrzebnie martwi się, czy Brady będzie trzymał język za zębami, czy nie powie za dużo. Sama była na najlepszej drodze.

- To znaczy - zaczęła, choć nie wymyśliła jeszcze, jak wybrnąć z tej przeklętej gafy - że masz swoje powody, by zawrzeć to małżeństwo, ja także, i choćbym nie wiadomo jak pragnęła, by świat uznał, że jestem twoją wybranką, a nie dogodnym narzędziem, którego wydajesz się potrzebować... oraz wierząc, że masz bardzo dobry powód, by chcieć, aby świat tak samo myślał o tobie, ja...

Omam nie przewróciła się na plecy, kiedy drzwi do bawialni otworzyły się gwałtownie, a do holu wtoczyli wujowie. Trajkotali jak nakręceni jeszcze wtedy, gdy wyhamowali w ciasnym holiku, zbyt zatłoczonym, by mogli przedrzeć się do schodów.

- ... a jeśli zatrzymamy się w mieście, przy wszystkich tych koneksjach, jakie zdobędziemy dzięki Abby...

- ... pewnością będziemy nadziewać się na tego szubrawca na każdym kroku!

- Z ust żeś mi to wyjął, Bailey. A teraz wszystko, czego nam trzeba, to nowy plan, błyskotliwa intryga...

- ... może jeszcze poćwiczyć trochę z kartami, rozgryźć, co to takiego to atu. A ten to co za jeden, powiadam?

Wuj Bailey łypnął na Kippa, który był od braci wyższy o dobre pół stopy, jeśli nie "więcej.

- Lobby, tak? Bill Lobby? To ty? Dobrze. Chcesz naszą Abby, tak? No to ją masz! A teraz, wybac, ale mamy coś do zrobienia...

- ... zaplanowania. - Ponieważ wuj Dagwood zamachał właśnie rękami, jakby przeganiał stadko gęsi, Abby cofnęła się i zrobiła mu przejście.

- Gustowny płaszcz - zauważył na odchodnym wuj Bailey, przechodząc Kippowi niemal pod samym nosem.

Później błyskawicznie ulotnili się z holu, by, plotąc trzy po trzy, pomaszerować schodami na górę.

Abby patrzyła na Kippa przez kilka dłuższych chwil, po czym posłała mu krzywy grymas.

- Moim szwagrowie, wujowie Dagwood i Bailey Backworth-Maldon. Czy teraz pragniesz się wycofać, milordzie?

- Inaczej - kąciki ust zadrgały mu od z trudem powściąganego uśmiechu - czy ty jesteś pewna, że chcesz zadać to pytanie? I nigdy już nie będę zastanawiał się, dlaczego tak ochoczo zgodziłaś się na moją propozycję.

Abby westchnęła, czy też raczej westchnąć zamierzała, skończyło się to bowiem mimowolnym chichotem.

- Oj, niedobrze. Musisz sobie teraz wyobrazić, że jesteś odpowiedzią na wszystkie moje modlitwy.

- A nie jestem? - odparował Kipp z niedowierzaniem, przekrzywiając na jasnych włosach cylinder pod zawadziackim kątem. - Mogę jedynie gubić się w domysłach, o co prosisz w żarliwych modłach, gdy wieczorem kłękasz przy łóżku. Będę zgadywał, jeśli pozwolisz? O silny wiatr i mocny statek, jedno i drugie zmierzające na drugi koniec świata?

- Dla mnie, milordzie - zaśmiała się Abby - czy dla wujów?

- Punkt dla ciebie. Jak sama dziś powiedziałaś, Abby - mówił, zakładając rękawiczki i kręcąc elegancką laską, najpierw do góry, potem zamaszystym gestem w bok, nim zatknął ją pod pachę - myślę, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. A zatem do jutra?

- Zatem do jutra, milordzie - przytaknęła, otworzyła drzwi frontowe i patrzyła, jak mężczyzna lekko zbiega po schodach do ulicy.

Potem zamknęła za sobą drzwi, oparła się o mocne drewno i powoli policzyła do dziesięciu, nim zadarła spódnice i rzuciła się ku schodom w holu, wołając:

- Wujowie! Mogę was prosić na słowo?

11

- Jaśnie pan prosił, bym państwu przekazał, iż musiał z konieczności pozostać na mieście dłużej, niżli by sobie tego życzył, i polecił mi przed swoim powrotem podać państwu napoje.

- Dziękuję, Gillett. - Brady wziął pelisę, którą zdążyła właśnie zsunąć z ramion Abby, po czym podał ją kamerdynerowi. - Widzę, że twój okrutny pan nadal trzyma cię tu pod kluczem wbrew twojej woli. Powiedz mi, myślałeś kiedyś, żeby najzwyczajniej uciec?

Gillett wyprostował się bardziej niż zwykle i spojrzał na Brady'ego w sposób, którego nie zdarzało się hrabiemu czuć na sobie od czasu, gdy wezwano go do gabinetu dyrektora za to, że zaraz po porannym nabożeństwie rzucił w Williego Wilkinsa dziennikiem i rozwalił temu idiocie nos. Nigdy nie wybaczył Kwękającemu Williemu tego, że nie miał dość rozsądku, żeby zrobić unik, nawet jeśli był teraz markizem.

- Zapomnij, że o tym wspomniałem, staruszk. Powiniennem być ograniczyć się do „dziękuję”, jak rozumiem.

Abby, która oglądała tymczasem wysokie sklepienie pomieszczenia, olbrzymi, migotliwy żyrandol na środku kapiącego od ozdobnych sztukaterii sufitu pomalowanego w różnych odcieniach kolorów gołębiego i starego złota, wróciła do rzeczywistości.

- A tak, naturalnie, dziękuję. Może byśmy się napili herbaty?

- Wedle pani życzenia - odparł Gillett z ukłonem, następnie poprowadził ich ku rzeźbionym drewnianym drzwiom o skrzydłach pomalowanych na chłodny odcień kości słoniowej. Otworzył je energicznie, po czym odsunął się, by goście mogli przejść. - A właśnie, raczy pani wybaczyć. Jasnie pan kazał mi również zaproponować towarzystwo pani Harris, gdyby państwo życzyli sobie obejrzeć posiadłość.

- Aha - tyle tylko zdołała wykrztusić Abby, zamarła bowiem na progu, rozglądając się po gigantycznej bawialni. Kiedy udało się jej ruszyć z miejsca, starała się ogarnąć wzrokiem wszystkie detale, wiedziała jednak, że było to niemożliwością.

Nigdy w życiu nie widziała tak wysokiego sufitu czy tyłu malowanych sztukaterii. Fantazyjne esy-floresy, mgiełka listków, rzeźbione ażurowe gzymсы, zbity w gromadkę rój cherubinków tańczących nad jej głową na czystym błękitnym niebie, po którym płynęły puszyste białe obłoczki.

I żyrandole. Żyrandole na całym suficie.

I kolumny. Marmurowe kolumny o złotym żyłkowaniu wzdłuż trzech pokrytych *papier-mache* ścian, tworzące zaiste królewskie *ramy* dla obrazów tak wielkich, że postaci, które przedstawiały, były naturalnego wzrostu i niemal wydały się żywe.

Czyżby zadzierały te swoje arystokratyczne nosy, spoglądając na nią?

Kominek, który mógłby ogrzać cały dom Backworth-Maldonów w Syston, stał pod ścianą w głębi. Front i część kominowa sięgające niemal do sufitu pomalowane były na ten sam jedwabisty odcień kości słoniowej, a misternie rzeźbiona całość do złudzenia przypominała ukwieconą altanę.

Pół tuzina okien wychodzących na ulicę rozpościerało się na całą wysokość ściany, nad nimi zaś głęboko w mur wciśnięte były zakratowane świetliki. Wpuszczały światło, słońce, stwarzały wrażenie przestrzeni, nieograniczonej przestrzeni.

Sprawiając, że Abby poczuła się malutka.

Gobelin w kolorze starego złota z wzorem, na który składały się soczyście zielone kwadratowe altany, złączone na rogach delikatnymi pomarańczowymi kwiatami, rozpościerał się niemal od ściany do ściany. Dywan, wedle jej oceny, przynajmniej mila na milę. Znalazła się na granicy innego świata, do którego nie prowadził żaden bezpieczny most, skazana na szok, jakiego doznaje człowiek bez ostrzeżenia przeniesiony do nieznannej krainy.

Prawdę mówiąc, pomieszczenie to można było śmiało nazwać ogrodem. Bawialnia niczego nie przypominała bardziej niż właśnie ogromnego, zamkniętego pod dachem ogrodu. Abby zaś czuła się w nim równie pożądana jak ślimak, którego ogrodnik znajduje ukrytego wśród róż.

Co, u nieba, ona tu robi?

Rozmiary pomieszczenia był tak znaczne, że ustawione w trzech skupiskach fotele i sofy, stoły, a nawet szezlongi, pozostawiały dość miejsca na dwa karciane stoliki wraz z krzesłami, kilka delikatnych drewnianych komódek, parę połączonych stolików o blatach w kształcie półksiężyca, ustawionych w dużej odległości od siebie pod ścianą z oknami, oraz gigantyczną komodę o przeszklonych drzwiach, dwukrotnie wyższą od Abby i jeszcze o połowę od tego szerszą, pełną chińskiej porcelany wartęj wszystkich skarbów tego świata - a i to byłoby chyba za mało.

Piękne. Tylko tak można było określić owo pomieszczenie. A było to jedno z wielu w tej rezydencji. Tej ogromnej rezydencji, która tchnęła bogactwem przekraczającym pojęcie Abby i która aż nadto zdolna była intruza pochłonać, połknąć, sprawić, by znikł na zawsze. Skazywała na niebyt, zaćmiewała, dominowała, pogrążała w swej otchłani.

Lodowata panika chwyciła Abby za gardło. Narastała.

Nie potrafię tutaj żyć, pomyślała.

Zaczęła się wycofywać ku drzwiom prowadzącym do holu, unosząc ręce, jakby chciała odepchnąć od siebie to, co na nią napierało.

- Nie - powiedziała słabo, potrząsając głową. - Nie mogę, Brady. Naprawdę nie. To miejsce nie dla mnie. Boże, Brady, czy to miejsce dla kogokolwiek?

- Trochę wystraszona, co, Abby? - domyślił się Brady, opierając dłoń na jej plecach i popychając ją do wnętrza bawialni, poza zasięg uszu Gilletta. - A ja myślałem, że niczego się nie boisz, moja droga. Na pewno nie Kippa, nie małżeństwa z człowiekiem, którego prawie nie znasz, siania srogich spojrzeń madame Lucille, gdy odważyła się wymienić oburzającą cenę za tamten różowy tiul. Przypuszczam, że ta kobieta leży teraz w łóżku, cała przerażona, że mogłaby ci przyjść ochota ponownie odwiedzić jej salon.

- To nie jest zabawne, Brady. - Abby obróciła się jak fryga. - Gdzie też ja miałam głowę? Ja się do tego nie nadaję. Wdowa, córka nieżyjącego szlachetki, kobieta bez pozycji. Nie mam zaplecza, wiedzy i... och, Brady, co ja mam robić?

- To tylko dom, Abby. - Brady ujął ją za ręce i poprowadził do najbliższej kanapy, by spoczęła. - Podłogi, ściany, sufity...

- Nie - wpadła mu w słowo, żałując, że nie umie ukryć drżenia rąk i przerażona możliwością, odległą, niemniej wciąż realną, iż ze zdenerwowania zwymiotuje zaraz na bezcenny gobelin. - To o wiele więcej niż dom, Brady. Wszystko to uzmysławia, jakim człowiekiem jest baron i jaka powinna być jego żona. Patrzysz na Abigail Backworth-Maldon, Brady. Nasza służba domowa w Syston to kucharka, dwie pokojówki i ogrodnik starszy niż ziemia, w której grzebie, udając, że pracuje. Tutejsza służba będzie traktować mnie jak popychadło, słusznie zresztą, bo nie mam bladego pojęcia, co i jak odbywa się w takim pałacu.

Zerwała się na nogi i zaczęła krążyć w tę i z powrotem.

- Własnoręcznie poleruję srebra i zajmuje mi to jedno krótkie popołudnie. A w tym jednym pokoju jest dość sreber, żeby pół tuzina służby miało co robić przez tydzień!

Brady oparł się wygodniej i założył nogę na nogę.

- No i po krzyku. Każesz połowie tuzina służących przez tydzień polerować srebra. Widzisz, jak dobrze sobie radzisz?

- Nie o to chodzi! - Zaciśnęła kurczowo dłonie. - Z tym srebrem to był tylko przykład, Brady, i świetnie o tym wiesz. Ja mam tutaj, w posiadłościach jaśnie pana, *zarządzać*, ułatwiać mu życie, dawać z siebie coś, co usprawiedliwiłoby moją pozycję. Nie mogę tylko publicznie wodzić za nim cielecym spojrzeniem, rodzić dzieci, a później mówić: „Och, tak, dotrzymuję warunków naszej umowy, milordzie, a teraz proszę, wybierzmy się na lato do Włoch”.

Panikowała, i to nie bez powodu. Nie oznaczało to jednak, by Brady zamierzał pomóc jej wybrnąć z tarapatów. Nie wówczas, gdy w głębi serca wiedział, że ta rozbijająca, oryginalna młoda kobieta uczyni z jego przyjaciela zupełnie nowego człowieka.

Brady obrał strategię.

Zdjął z kolana jakiś paproch, który osiadł właśnie na jego nienagannie skrojonych spodniach.

- Przyznaję się do tego, że nie znam cię zbyt dobrze, Abby, ale przez całą naszą krótką znajomość nie przypuszczałem nigdy, że jesteś tchórzem. Teraz jednak mnie rozczarowałaś.

Abby przestała maszerować, obróciła się powoli i spojrzała na niego z góry pałającym wzrokiem.

- Nie powinienes aby stać, jeśli dama stoi? Ale nie trudź się, proszę, bo ostatnie, czego bym sobie życzyła, to robić ci jakąkolwiek fatygę, kiedy w oczywisty sposób tak znakomicie bawisz się moim kosztem. Bo bawisz się kosztem moim i barona, od kiedy się poznaliśmy. I nie uwłaczaj mi, oczekując, iż uwierzę w to, że podołam temu, czemu podołać niepodobna. A może ty rzeczywiście wyobrażasz sobie, że nie wiem, co próbujesz zrobić? Ja, która miliony razy stosowałam podobne chwytły na swojej rodzinie.

- Wybacz mi, Abby. Może faktycznie nadal napawam

się własną błyskotliwością i nie zastanawiałem się nad wszystkim z twojego punktu widzenia. Co mam zrobić, jakie są twoje życzenia?

Abby westchnęła i rozłożyła ręce, po czym opuściła je z rezygnacją.

- Bądź mi przyjacielem, myślę. Bądź mi przyjacielem i pomóż!

- Och, jeśli tylko tyle.... - powiedział i odwrócił się w kierunku drzwi, przez które Gillett wtaczał właśnie barek z napojami, obładowany, Boże, zmiłuj się, kolejnym stołem sreber. - Gilletcie? Pani Backworth-Maldon ma poślubić jaśnie pana w najbliższy piątek, wiedziałeś o tym? Zostanie baronową, zamieszka u was, będzie tu gospodynią, panią tego domu. Wrócą wszystkie te przeurocze rzeczy, za jakimi musieliście wszyscy tęsknić od śmierci matki jaśnie pana. Cieszysz się?

- *Bra-dy*... - Abby marzyła o tym, by go uciszyć, powstrzymać przed udzielaniem jej „pomocy”.

Kamerdyner zablokował kółka i strzepnął obleczone w rękawiczki dłonie.

- Tak, milordzie. Wszyscy jesteśmy świadomi tego faktu, aczkolwiek nie byłem świadom tego, iż miałem wydawać się go świadomy, jeśli mnie pan rozumie. Jednakże teraz z radością składam ci, pani, najlepsze życzenia w imieniu własnym i całej służby. Będzie dla nas wielkim zaszczytem służyć pani.

Brady uśmiechnął się do Abby, która opadła na kanapę tuż obok niego, pojękując z cicha.

- A to świetnie, Gillett, świetnie! Widzisz, jaki z ciebie szczęściarz? Nie będziesz musiał zbyt długo czekać, by móc usłużyć kolejnej baronowej. Prawda, moja droga?

- Mogłabym cię zamordować ze śpiewem na ustach, wiesz - odszepnęła Abby, następnie uśmiechnęła się do kamerdynera obdarzonego prezencją nie tyle sługi, co pana na włościach.

Mimo to wyglądał także na kogoś, z kim potrafiłaby się zaprzyjaźnić. Zawieranie przyjaźni nigdy nie nastęczało jej trudności. Dlaczego miałyby to się zmienić, kiedy będzie baronową? I dlaczego służący nie mieliby stać się zarazem jej przyjaciółmi? Jeśli nie było to przyjęte w towarzystwie, wcale jej to nie obchodziło. Nie wtedy, gdy cała jej przyszłość zależała od zdrowego instynktu, od jej początkowych posunięć.

- Gilletcie - zaczęła oficjalnym tonem - dziękuję ci za dobre słowa. Szczerze. Jednakże pan hrabia ma słuszość, nawet jeśli jest jedynym, który w pełni rozumie to, co sam przed chwilą powiedział. Obawiam się, że nie mam pojęcia, jak postępować z domostwem tak ogromnych rozmiarów. Zielonego pojęcia. Dlatego też - zawiesiła głos i spojrzała na Brady'ego, który kiwnął potakująco - chciałabym zdać się na twoje miłosierdzie, Gilletcie, twoje i wszystkich służących w nadziei, że będziecie mogli mnie wspomóc, nauczyć mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć, by nie zakłócić absolutnie nieskazitelnego, jak widzę, sposobu, w jaki prowadzony jest dom pana barona.

- Co ty na to, Gilletcie, staruszkę? - spytał Brady, gdy mężczyzna skończył nalewać herbaty do dwóch filiżanek; dłoń, która nie drgnęła od ponad pięćdziesięciu lat, drżała teraz leciutko pod wpływem nagłych emocji. - Nadal chcesz uciekać? Nie, nie sądzę. A teraz spocznij tu sobie - o, tutaj - napij się orzeźwiającej herbaty i utnij sobie miłą pogawędkę z przyszlą panią baronową, ja tymczasem pomyszkuję w barku i poszukam czegoś, do czego moje podniebienie bardziej przywykło.

- Miałbym usiąść, sir? Tak się nie godzi!

Abby wyczuła, że oto nadarza się jej szansa, jedna jedyna szansa, by z zasadniczego, nobliwego kamerdynera uczynić swojego sprzymierzeńca; niepowtarzalna szansa, by zyskać pozycję pani tej rezydencji, zdobywając zarazem pomoc i szacunek oraz przyjaźń domowników.

I skorzystała z niej.

- Gilletcie - powiedziała, wstając i przejmując w swoje ręce stery rozmowy, ster swego życia, by mogło stać się takie, jakiego pragnęła. - Mogę nie wiedzieć wiele, pociesza mnie jednak myśl, że obecny tu lord Singleton wydaje się wiedzieć jeszcze mniej niż ja. Czy mogę prosić, by ktoś oprowadził mnie po domu, jak to "wcześniej proponowałeś? Pani Harris, czy tak? Przypuszczam, że powinienam zacząć od kuchni, serca i duszy każdego dobrego domu. I, jak w każdej dobrej kuchni, z pewnością gotuje się coś smakowitego? Pan hrabia znajdzie sobie jakieś miłe zajęcie pod naszą nieobecność.

- Tak, jak najbardziej, pani, z pewnością się gotuje, pan hrabia z pewnością sobie znajdzie - przytaknął Gillett, niemal, choć nie całkiem, się uśmiechając. Cofnął się i gestem zaprosił Abby, by pierwsza weszła do westybulu, a potem zbliżyła się do obitych rysem drzwi, które widziała, wchodząc do rezydencji.

Nie minął kwadrans, a siedziała już przy dużym blacie roboczym z sosnowego drewna, popijając herbatę i częstując się świeżymi drożdżówkami w towarzystwie najważniejszego człowieka w rezydencji przy Grosvenor Square - wliczając w to samego barona.

Nim minęło pół godziny, zdążyła poznać wszystkich służących, starannie powtarzając w duchu ich imiona, by dobrze je sobie zapamiętać. Wszystkich częstowała drożdżówkami, rogalikami, chlebem z masłem i grubymi plastrami szynki, wszelkimi smakołykami, jakie zdumiona i mile połączona kucharka postawiła na stół do spróbowania.

Nim minęła godzina, cała służba jadła jej z ręki, tak dosłownie, jak i w przenośni.

Nie mogła uwierzyć, że tak niedawno czuła się jak ostatni tchórz, była przerażona, gotowa czmychnąć gdzie pieprz rośnie, wyrzec się marzeń.

Gdyby trzeba było później rozstrzygnąć, kto rządzi w siedzibie barona, sprawa okaże się prosta: władzę dzier-

żyła Abby wraz z całą służbą, on sam zaś będzie musiał po prostu jakoś się w tej sytuacji odnaleźć, próbując nie zapominać, że ma to, co chciał.

Ta myśl sprawiła, że na twarzy Abby wykwitł błogi uśmiech.

Z dyspensą w kieszeni, zdobytą po długim poranku przypochlebiania się i wznoszenia niemal błagalnych prośb, Kipp przekroczył progi rezydencji przy Grosvenor Square i zapytał młodego chłopaka „do wszystkiego”, gdzie czekają goście.

- Jaśnie pan hrabia, za przeproszeniem, przyucza Henry'ego do hazardu w sali bilardowej, pan Gillett kazał powiedzieć. A ta miła młoda dama jest gdzieś na górze z paniom Harris i chmarom pokojowych. Przed chwilom słyszałem, jak coś tam skrobiom. Se myślę, że coś wydziwiająm z meblami na piętrze, za przeproszeniem jaśnie pana.

Kipp patrzył w przyszczatą twarz chłopaka przez dłuższą chwilę, dość długo, by zniknąć z niej uśmiech.

- Dobrze, George, dziękuję.

- Nie szkodzi, jaśnie panie. Znaczą się, przyjemność jest cała jaśnie pańska... to jest, cała moja... To jest...

Kipp machnął ręką i minął czerwonego jak burak młokosa, który, jak pamiętał, pracował tu od niedawna, odsłużwszy dwa ostatnie lata jako podkuchenny w Willoughby Hall. Gillett poczynił w przygotowaniu George'a do jego obowiązków wielkie postępy, nadal jednak w obejściu chłopaka dostrzegało się pewne niedoskonałości, które należałoby wypełnić. A Gillett akurat chce odejść. Jak może?

Kipp w pierwszej kolejności chciał znaleźć Brady'ego. Wołał nie myśleć, co może dziać się na górze teraz, gdy energiczna pani Backworth-Maldon znajdowała się w jego domu. Przestawia meble, tak? Rzeczywiście nie zasypia kobieta gruszek w popiele. Naturalnie spodziewał się, że całe jego domostwo znajdzie się wkrótce w jej rękach, ale nie przypuszczał, że narzeczona tak szybko wskoczy w swoją rolę, i to obydwoma nogami.

Obecna sala bilardowa była niegdyś prywatnym gabinetem jego matki, pokojem, do którego udawała się, ilekroć chciała zaplanować menu, sporządzić listę gości, skonsultować się w sprawach finansowych, kaligrafować listy to przyjaciół. Jej obecność odciskała się na nim wówczas wyraźnym piętnem - od lekkich, kwiecistych zasłon na wysokich oknach po chińskie tapety z ręcznie malowanego akwarelami jedwabiu, różanej barwy kanapy i delikatne białe meble.

Otworzył drzwi i cicho wszedł do środka, przez najkrótszą z chwil pragnąc ujrzeć na ścianach tamte jedwabne, zdobne w malowidła tapety, tamten delikatny biało-złoty sekretarzyk matki.

Gabinet pomalowano później na kolor ciemnozielonej trawy, podłogę ogołoco z dywanów, do ścian przykręcono stelaże na kije i postawiono w nim olbrzymi, obciągnięty zielonym filcem stół do bilardu, pochłaniający większość wolnej przestrzeni. Idealna kryjówka dla majątnego kawalera.

Rozebrany do koszuli hrabia Singleton stał pochylony nad stołem, lewą ręką ustawiając podpórkę, prawą balansując kijem, zezując przy tym na ustawione na zielonym filcu kule bilardowe. Prawą stopę trzymał dziwacznie uniesioną, zapewne dla równowagi, na czoło zaś zsunął mu się kosmyk ciemnych włosów, częściowo przesłaniając pole widzenia.

- Brady? - zagadnął Kipp, rozbawiony tym widokiem. - Jak tam na wojnie?

- Nie teraz, chłopie. Zaraz pošlę do łuzu tę śliczną pomarańczową bilę i wygram pięć milionów funtów. Prawda, Henry?

- Święta prawda, milordzie - odparł lokaj. - W dodatku powinno wystarczyć, żeby prawie był remis, wedle moich słupeków.

- Ha! Twój antytalent do najprostszej gry pod słońcem nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, Brady. I nie tę pomarańczową, ty idioto. Wal w niebieską. Tę przynajmniej masz szansę wbić do łuzu.

Brady cofnął kij i mocno uderzył jego czubkiem w białą, po czym zaklął, widząc, jak pod wpływem siły uderzenia pomarańczowa podskakuje do góry niby wystrzelona z procy i wylatuje poza stół. Kilkakrotnie odbiła się od podłogi i łupnęła w róg, nim rozbawiony Henry zdołał ją złapać.

- Ki czort - warknął Brady. Wyprostował się, nie odrywając od stołu podejrzliwego spojrzenia; zastanawiał się, czy nie maczała w tym palców jakaś nieczysta siła i czy to aby nie jej zawdzięcza nieustającego pecha do gry. Podpórki i kij wręczył Henry'emu, który przyjął także wepchnięty mu w rękę pięcioletni banknot i wyszedł z sali.

- No cóż, Kippie. W tylu innych dziedzinach moje umiejętności stanowią wręcz wzór do naśladowania. To nawet dobrze, że istnieje na tym świecie jeden jedyny nieistotny drobiazg, któremu jeszcze nie dałem rady. W innym razie mógłbym się znudzić, nie uważasz?

- Za umiejętność gry w bilard oddałbyś wszystkie siekaczki, Brady - zaśmiał się Kipp, podchodząc do barka. Nalał wina dla siebie i Brady'ego, wręczył mu kieliszek, a następnie oparł się biodrem o krawędź stołu. - Jak minął ci ranek z panią Backworth-Maldon?

Brady skończył wciskać się w swój płaszcz, połknął wino jednym haustem, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Pozwoliła, bym mówił jej „Abby”, z czego bardzo się cieszę. A ranek minął mi rozkosznie... gdzieś w Londynie. Niestety, nie na Bond Street, ale dzięki, że pytasz. Natomiast zupełnie nieszczególnie udała się poranna wizyta u madame Lucille, dokąd poleciłeś mi zabrać Abby, by mogła wybrać odpowiednią suknię na piątek. Nie, u madame Lucille zupełnie nieszczególnie, choć pewnie i tak przyśle ci rachunek.

Podstawił pusty kieliszek, poczekał, aż Kipp ponownie go napełni, i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Na twoim miejscu bym zapłacił.

Kipp wysączył swoje wino i kolejny raz napełnił oba kieliszki. Już wiedział. Zanim jeszcze spytał Brady'ego, już

wiedział. Nie rozumiał, skąd brała się ta wiedza, ale nie miało to znowu takiego znaczenia. Znaczenie miał fakt, że jego plan zafundowania sobie nieuciążliwej żony, która uprzejmie trzymałaby się w tle, pozwalając mu spokojnie robić swoje, zaczynał raptownie przypominać plan zbudowania zamku na ruchomych piaskach.

Jego początkowe wrażenia wydawały się tak logiczne... Ci-cha szara myszka, wdowa z dobrej, acz nie nadzwyczajnej rodziny. O zdrowym rozsądku, zdolna bez mrugnięcia powieką rządzić tabunem niechętnie poddających się jakimś rządóm domowników. Uczciwa, bezpośrednia i dość zdesperowana, by przystać na jego przedstawioną z czystego wyrachowania propozycję. Nie nafaszerowana bzdurnymi wyobrażeniami na temat wieczystej miłości, której on nie mógłby odwzajemnić, i nie budząca obaw, że mogłaby uciec z innym mężczyzną, powalonym na kolana przez jej uderzającą urodę.

Choć czuł się jak łotr - motywy jego postępowania i wnioski, jakie wyciągnął, nawet jego samego wprawiały czasem w zakłopotanie - nadal wierzył, że pod tak wieloma względami była doskonała.

Tak czy inaczej sprawy zaszły zbyt daleko, by mógł się wycofać, nawet jeśli obudziły się w nim wątpliwości. Użył dyspensę, która umożliwiła ślub. Sam napisał i doręczył tekst anonsu, który ukaże się we wszystkich piątkowych gazetach. W pamięci miał też ostatni liścik od Roxanne, pełen błagań, żeby odwiedził ją dziś wieczorem, to „porozmawiają”, choć natychmiast po przeczytaniu spalił go w komin-ku w swoim gabinecie.

Poza tym nie chciał się wycofywać, odwoływać ślubu, wykręcać się z danego słowa. Naprawdę nie chciał. Ponieważ oznaczałoby to, że będzie musiał zacząć od początku - wrócić na targowisko żon, znosić głupawe rozmowy z debiutantkami o cielecych oczach, przebrnąć przez całą gamę swatających córunie „mateczek”, gotowych podstawić mu nogę, gdy będzie przechodził obok... wyglądając na za-

łośnie samotnego i niekochanego po powrocie Merry i Jac-ka z Ameryki za kilka krótkich tygodni, góra za miesiąc.

- A co takiego stało się u Lucille? - spytał więc, gestem nakazując Brady'emu przejść z sali bilardowej do bawialni. - Wszystko, o co cię prosiłem, to żebyś skierował uwagę Abby na odpowiednią suknię, którąkolwiek z tych trzech, które, jak osobiście zapewniała mnie Lucille, będzie można dopasować i podszyć w sam czas na ceremonię i bal. Czy to takie trudne?

Brady opadł ciężko na kanapę, postawił sobie kieliszek na kolanie i, delikatnie obracając go dłońią, tak balansował nogą, by nie spadł na podłogę.

- Trudne? Nic łatwiejszego, ale tylko wówczas, gdyby twoja narzeczona była pazurem lisicą, ostrzącą sobie zębki na twój majątek. Jak się okazuje, małe biedactwo ma skrupuły. Pa-skudna rzecz te skrupuły; osobiście staram się unikać ich za wszelką cenę. Kategorycznie odmówiła choćby oglądania czegokolwiek, zanim Lucille nie obieca jej, że rachunek przyjdzie prosto do niej - nie żeby istniała taka potrzeba, wzięła bowiem wszystkie swoje fundusze ze sobą, przygotowana, by zapłacić na miejscu. Dwanaście funtów sześć szylingów, ściśle biorąc. Cały majątek, jaki Abby ma przy duszy.

- O Boże! - jęknął Kipp. Nie mógł dłużej tego słuchać.

- A tak, zdaje mi się, że i Jego madame Lucille wzywiała na pomoc w pewnym momencie. „*Mon Dieu, madame! Alors!*”^{*} - informował go usłużnie Brady, bawiąc się setnie. - W każdym razie udało się nam wbić Abby w prze-szliczną suknię, ale potem zaczęła wypytywać się o ceny...

- Nie mów mi.

- Och, ależ muszę. Proszę, to zbyt zabawne, bym chciał to zachować dla siebie. A mogę ci powiedzieć, przyjacielu, że ranek miał się już porządnie z górki, a twoja droga

^{*}Franc. „Mój Boże, proszę pani! Tak nie można!”.

narzeczona nadal jeszcze podnosiła krzyk, że rabunek pozostaje rabunkiem, choćby nie wiadomo jak usilnie owijać prawdę w bawełnę, czy, w tym przypadku, dość kosztowny biały jedwab. Tak, po pewnym zastanowieniu przypuszczam, że powinieneś się spodziewać od madame Lucille jakiegoś rachunku. Och, a czy wiedziałeś, że nasza droga madame Lucille niezwykle płynnie posługuje się cockneyem*, gdy jest wzburzona?

Kipp zignorował żartobliwy wywód przyjaciela, koncentrując się na sednie sprawy.

- Czyli nie ma sukni? To mi próbujesz powiedzieć, tak? Ani sukni, ani wieczorowych pantofli. Ani szala, ani wachlarza, ani rękawiczek. Czy naprawdę zamierza powitać naszych gości w piątek wieczorem ubrana w jeden z tych bitych worków, których aż nazbyt wiele miałem okazję oglądać w ostatnim czasie? Nie, nie odpowiadaj mi. Już znam odpowiedź. Boże, Brady, oni ją połkną.

- A tak, zwróciłem jej na to uwagę. I wiesz co? Myślę, że wcale jej to nie obeszło, przynajmniej nie w wystarczającym stopniu, by przyjęła równie osobisty prezent jak ubrania od człowieka, który nie jest jeszcze jej mężem. Znow te paskudne skrupuły. Potrafi najeżyć się jak kaktus, kiedy się postara.

- Nawet kiedy się nie stara - dodał smętnie Kipp, po czym zatrzymał się nagle i spojrzał na sufit, w górze bowiem rozległ się głuchy łoskot. - A teraz, wedle moich źródeł, jest na piętrze i z powodów, których nie chcę chyba rozumieć, przepycha meble z kąta w kąt. Chryste, Brady, w co ja się wpakowałem?

- Cóż, stary przyjacielu, gdybym był dość łatwowierny, żeby uwierzyć w bajeczki, jakimi zamierzasz karmić świat,

*Cockney - dialekt warstw niewykształconych Londynu (zwł. wschodniego).

powiedziałbym, że zakochałeś się w tej miłej dziewczynie po same uszy.

- Nic dziwnego, że wielu twoich „przyjaciół” nadal marzy o tym, żeby rozkwasić ci nos - skwitował ten przytyk Kipp. Nerwowo przegarnął ręką włosy, obojętny wobec myśli, że może do reszty zrujnować uczesanie, które i tak wydawało się bardziej dziełem wiatru niż fryzjera. - Rozumiem, że to twój sposób, by mi powiedzieć, że zdecydowanie się pośpieszyłem z zawarciem umowy o małżeństwie, że powinienem być pozwolić, żebyś to ty wybrała dla mnie żonę, tak, albo że przynajmniej powinienem skonsultować się z tobą, zanim oświadczyłem się pani Backworth-Maldon... Abby. Naprawdę uważasz, że mógłbyś dokonać lepszego wyboru?

Brady uciekł wzrokiem i zakasłał, mocno przyciskając pięść do ust.

- Udawałbyś przynajmniej, że rozumiesz, iż najbezpieczniejszą rzeczą, jaką możesz zrobić, kiedy przyznaje się, jaki ze mnie idiota, jest zachować milczenie - powiedział Kipp z wyrzutem.

Do bawialni wszedł właśnie Gillett i uprzejmie zapytał, czy może porozmawiać z jaśnie panem w prywatnej sprawie.

- Och, błagam, nie teraz, Gillett - jęknął Kipp, czując się zbyt mocno przytłoczony jak na kogoś, kto zaledwie dzień wcześniej wierzył, że z powodzeniem rozwiązał wszystkie swoje kłopoty. - Nie sądzę, żebym podołał kolejnej starannie przygotowanej mowie, punkt po punkcie przedstawiającej wszystkie powody, które twoim zdaniem usprawiedliwiają twą dezercję. Za trzy dni biorę ślub, wydaję bal tego samego dnia wieczorem i ani mi się śni brnąć przez jedno i drugie bez ciebie. Jeśli darzysz mnie bodaj krztyną sympatii, to czy możemy odłożyć to na później?

- Przepraszam, milordzie, lecz czuję się w obowiązku poruszyć tę sprawę. Chciałbym anulować moją prośbę o pańskie pozwolenie na wycofanie się ze służby, milordzie - oświadczył Gillett, a Brady Zakrztusił się winem. -

Poznawszy tę młodą damę i w pełni ją aprobując, mogę jedynie uznać to za gest należyty nieboszczce pańskiej matce, gdybym mógł służyć jakkolwiek i wszelką możliwą pomocą przyszłej pani baronowej tak długo, jak uzna to za stosowne. Sir?

- Taak, no i proszę, Kippie. Gillett to aprobuje. Nie można chyba chcieć więcej?

Kipp przeniósł wzrok z kamerdynera na przyjaciela. Na przyjaciela, który miał teraz taką minę, jakby obśmiewał się w duchu z dla siebie tylko zrozumiałego żartu.

Coś się tutaj szykowało. Kipp nie uważał się za szczególnie błyskotliwego człowieka, ale też na pewno nie tak tępego, by nie wyniuchać spisku, mając go pod samym nosem.

I wtedy doznał olśnienia. Skoro Abigail Backworth-Maldon radziła sobie z ekscentrycznymi szwagrami, pustogłową bratanicą męża i jej jakoby trudnym do ujarznienia, choć póki co szczęśliwie nie oglądanym na oczy bratem, niewyraźnie wyglądającą kobietą, jaką była jej szwagierka... to uporanie się z jego domem, służącymi, przyjaciółmi - może nawet z całą Anglią i częściami Walii i Szkocji - nie mogłoby okazać się dla niej zbyt trudne?

Między innymi dlatego właśnie ją wybrał, cokolwiek by tu mówić.

Ale Abby była kobietą i jako kobieta nie ograniczy się do „radzenia sobie” z nimi. Postara się ich zawojować. Byłoby jednak lepiej, żeby, do cholery, nie próbowała zawojować jego.

Ta kobieta gromadziła sprzymierzeńców, otóż co robiła. Brady, Gillett, pewnie wszyscy z dołu, od najlichszej pokojówki po ochmistrzynię. Starła się zająć taką pozycję, by niemożliwością było obejść się bez niej, jeśli nawet nigdy nie odczuwał szczególnego zapotrzebowania na jej rządy, zanim wtargnęła na scenę.

Zamierzała zadbać o to - a zabrała się do tego z marszu - że jak już zostanie baronową, to będzie nią nawet wówczas, gdyby on sam zmienił zdanie.

Zamierzała dać mu wszystko to, czego od niej oczekiwał. I, będąc kobietą inteligentną, zwerbowała jego przyjaciela, żeby pomógł jej uwieńczyć dzieło, nawet zdrając Gilletta owinęła sobie wokół małego palca. Wyglądała jego, Kippa, życie, równocześnie sama podstępnie wdzierając się w każdy jego fragmencik.

Czy to dobrze? Czy to źle? Czy małżeństwo z Abby ułatwi mu życie, jak na to liczył? A jeśli tak, bo nadal był co do tego pewny - żywił przynajmniej taką nadzieję - dlaczego czuł się tak nieswojo? Taki zagrożony. Wręcz bezbronny.

Ale, koniec końców, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

- Lepiej, żebym nie wiedział, co się tu szykuje, czyż nie tak, Brady? - spytał w końcu, czując, że łupie mu w skroniach.

- Tak, mój przyjacielu, tak właśnie sędzę - odparł Brady i zachichotał. - O, jeszcze jedno... Gilletcie, masz na surducie parę okruchów - skończył, po czym roześmiał się na całe gardło, gdy nadzwyczaj zasadniczy i nadzwyczaj wstrząśnięty kamerdyner strzepnął ślady po zaimprovizowanym posiłku z Abby, skłonił się i szybko wyszedł.

Prawdę powiedziawszy, Brady nie przestał się śmiać nawet wówczas, gdy Kipp wypadł z pokoju i pomknął po schodach, zgrzytając zębami. A zgrzytał zębami, bo zdążył uprzytomnić sobie, że nie pozostawało mu nic innego, jak tylko pochwalić Abby za spustoszenia, jakie siała w jego życiu w imię niesienia mu pomocy.

Zamarł z nogą na drugim schodku od góry, nagle bowiem zdał sobie sprawę, że jest najzwyczajniej zły na Mer-ry za to, że wpakowała go w taki bałagan.

12

Moja droga pani Backworth-Maldon!

Dzień dobry. Znajdziesz, pani, wśród innych paczek, suknie, które winnaś założyć na popołudniową ceremonię oraz bal dziś wieczorem, a także odpowiednie do nich dodatki. Jeśli wolno mi zasugerować to, co oczywiste - różową na wieczór, kość słoniową na ceremonię. Którąkolwiek wybierzesz, bądź pani łaskawa zabrać ze sobą tę drugą, jadąc na Grosvenor Square, jako że w żadnym razie na Half Moon Street nie powrócisz.

Nie muszę, mniemam, przytaczać tu warunków naszej umowy czy też obszerniej wyjaśniać mego usprawiedliwionego żądania, byś była ubrana, pani, stosownie do twej nowej pozycji społecznej. Nie sądzę także, bym potrzebował ci tłumaczyć, iż twój wygląd przekłada się na opinie, jakie zostaną w towarzystwie powzięte na temat mojego stosunku do ciebie.

Koszt wyżej wspomnianych zostanie potrącony od twej pierwszej kwartalnej pensji, jako że rozumiem, iż troszczysz się o pozory. Po ceremonii będziesz, pani, miała święte prawo przyssać się do mnie jak pijawka i cieszyć się nowo nabytą swobodą finansową - w granicach swojej pensji.

Mój powóz będzie do dyspozycji rodziny pani o drugiej po południu.

Spiesz się, pani, abyśmy mogli przebrnąć przez konieczne formalności jak najszybciej.

Twój uniżony sługa

Willoughby

Abby przeczytała ten krótki liścik dwukrotnie, rozdarta między pragnieniem, by powiesić, a następnie poćwiartować jego autora... a chęcią, by najzwyczajniej go powiesić i mieć ze wszystkim święty spokój. Z pewnością ani jej się śniło obłąpać go za szyję i obsypywać pocałunkami w podziękę za jego uprzejmość. Nie wówczas, gdy owa uprzejmość wynikała z troski o własną osobę, pozory jego stosunku do niej, o to, co by o nim mówiono, gdyby pokazała się na balu w którejkolwiek z dwóch najznośniejszych sukni, w których już widziano ją w towarzystwie.

Następnie uzmysłowiła sobie pewną rzecz. Coś, co dotyczyło jej samej, a co wcale jej nie zachwycało. Była to coraz większa łatwość, z jaką przychodziło jej przystawanie na plany jego lordowskiej mości, oraz coraz większa niecierpliwość, z jaką wypatrywała chwili, gdy będzie mogła „przyssać się do niego jak pijawka”, trwoniąc beztrudnie wyznaczoną pensję. Naturalnie nie powinna czuć się tak bardzo znowu zaskoczona. Zbyt wiele lat odkładała grosz do grosza i tak twardą ręką trzymała kiesę, że aż w niej coś piszczało, by mogła nie dostrzec, jakie wiele korzyści wynikało dla niej z planu, którego zarysy nakreślił Brady, z propozycji, jaką raczył jej złożyć pan baron.

Było to zupełnie tak, jakby ją kupił, kupił, bo tak mu się spodobało, i uczucie to nieustannie ciążyło jej na sercu. To i myśl, że nieświadomie zachowywał się zgodnie z planem jej i Brady'ego.

Otóż i coś, o czym nigdy nie wolno mu się dowiedzieć, jeśli bliska jej była własna skóra!

Jaka szkoda, że nie była w tym człowieku zakochana. Czułaby się o wiele mniej winna, kochając go.

Albo winna jeszcze większej zbrodni.

- Och, popatrz, Abby, są po prostu niebiańskie! Czyż baron nie jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie? A ty największą szczęściarą?

Abby spojrzała na Edwardine i usiadła na łóżku obok

otwartych pudeł, z których wylewała się kaskada bibuły sięgająca do samej podłogi. Bratanica podziwiała właśnie dwie z sukien, które Abby przymierzyła w idiotycznie droгим salonie madame Lucille przy Bond Street.

- I halki. I buciki. Pończoszki. I, zobacz, Abby, wachlarz. Uwielbiasz wachlarze. Ależ ten baron musi cię kochać!

Abby łypnęła na liścik, przeczytała go po raz ostatni i zmięta go w dłoni.

- Och, tak, Edwardine - powiedziała powściągliwie, cisząc papierową kulkę do kominka. - On mnie po prostu uwielbia, to fakt.

Potem zaś siedziała nieruchomo, rozpamiętując fragment liściku - że nie wróci już na Half Moon Street. No tak, chyba rzeczywiście nie będzie już powodów do powrotu. Zresztą zbytnio nad tym nie ubolewała, nie darzyła bowiem tego domu szczególnym przywiązaniem.

Tyle tylko, że czuła się w nim o wiele bezpieczniej niż w rezydencji przy Grosvenor Square.

Założyła tę w kolorze kości słoniowej.

Skromny fason tej sukni przypadł jej do gustu już w chwili, gdy zobaczyła ją po raz pierwszy u madame Lucille. Cała z najdelikatniejszego perkalu, o wysokim kołnierzyku, z potrójną falbaną na ramionach i o długich, przylegających rękawach wykończonych lamówką i zwieńczonych mankietami, które, obszyte dla dekoracji splecionymi z materiału warkoczami, sięgały niemal po czubki palców.

Poza ciemnozieloną, aksamitną wstążką w odcieniu mchu, którą była mocno, ściągnięta tuż poniżej piersi, suknia wolna była właściwie od innych ozdób. Z przodu dość wąska, z tyłu wyposażona w dopełniający całość dobry tuzin materiałowych warkoczy, które podłapano jedynie na ramionach opadały swobodnie ku ziemi, tworząc krótki tren.

Na tym się jednak nie kończyło. Jedwabne pończochy w odcieniu kości słoniowej, miękkie jak puch ciemnozielono-

ne pantofle, które leżały jak ulał, oraz rękawiczki z safianu w odcieniu kości słoniowej, bardziej nawet od pantofli miękkie i prawie jak na Abby uszyte. Mała torebka, czy raczej ażurowy prostokąt, na który składały się zmyślnie splecione paski zielonego aksamitu i perkalu w odcieniu kości słoniowej, zawieszony na cienkim złotym łańcuszku.

Abby wyglądała na posiadaczkę zdecydowanie większej sumy niż dwunastu funtów i sześciu szylingów.

Jedynie włosy, świeżo umyte, proste i płowe jak zawsze, zawiodły jej nadzieje. Poniosła srogą klęskę, usiłując je zakręcić, ułożyć ciężkie pasma w cokolwiek innego, byle nie w zwykły, ciasno upięty kok.

Niemniej i tak odczuwała satysfakcję na myśl, że baron przysłał jej suknię, obie suknie. Nie tylko dlatego, że *bon ton* tak łatwo by go przejrzał, gdyby upierał się, że z miłości poślubia pospolitą, nieurodziwą wdowę, ale dlatego, że czuła się teraz lepiej uzbrojona, by spotkać się z nim, stanąć u jego boku, powtórzyć słowa przysięgi.

W dodatku nie brakowało jej wsparcia ze strony rodziny. Wujowie Dagwood i Bailey, w identycznych strojach z zielonej jak trawa satyny, pamiętających zamierzchłe dzieje - surdut Dagwooda niemalże rozłaził się w szwach - osłaniali jej flanki. Hermione i Pieszczuś oraz mała srebrna piersiówka należąca do szwagierki, nieodmiennie utknęła w jej torebce, maszerowały tuż za nimi.

Edwardine zaś, prowadzona przez brata Ignatiusa, stanowiła wraz z nim straż tylną. Po przybyciu do rezydencji Edwardine rozejrzała się na swój zwykły sposób krótkowidza ze słowami:

- To kościół? Wygląda jak kościół.

- Witaj, pani - rzekł Gillett, kłaniając się całej rodzinie Backworth-Maldonów zebranych w obszernym westybulu. - Ośmielę się zauważyć, jak pięknie pani dziś wygląda. Pan baron oczekuje na panią w bawialni.

- Dziękuję ci, Gilletcie - odparła Abby, po czym wzdry-

gnęła się, słysząc własny głos, który niewiele różnił się od ochrypłego szeptu. - Czy jest tam również pastor albo ktośkolwiek inny?

- Tak, pani, a prócz pastora pan hrabia Singleton. Raczy pani pójść za mną...

Abby posłusznie podreptała za kamerdynerem, ponieważ zabrakło jej pomysłu na dalsze pytania, które odwlekłyby to, co nieuniknione. Drugim powodem była nieistotna sprzeczka, jaka wywiązała się między wujami, dotycząca tego, czy to Dagwood miał na sobie jeden z butów Bailey'a, czy też może raczej to Bailey założył jeden z... cóż, był to spór, którego wynik można było spokojnie obstawiać bez obawy przegranej.

Ignatius, nieznacznie jedynie bardziej męska kopia siostry, chyłkiem podkradł się do Abby, z uśmiechem szerokim i zdobywczym, i częściowo tylko ukrytym za uperfumowaną, koronkową chustką, którą trzymał przy ustach.

- Poczekaj no chwilę, Gillett, tylko zamienię słówko z cioteczką. Dzięki, staruszkule. Niech mnie, cioteczko - zawsze nazywał ją „cioteczką Abby”, choć był od niej młodszy tylko o dwa lata - naprawdę będziesz tutaj mieszkać? Ładnie żeś się z żartu urządziła. Moje gratulacje. Nie sądziłem, że cię na to stać.

- Dziękuję ci, Iggy - odparła ze słodyczą, wiedząc, że szczerzej już mówić bratanek Harry'ego nie potrafił. Poza tym świetnie zdawała sobie sprawę z tego, co zaraz usłyszy.

Nie rozczarował jej. Iggy nigdy nie rozczarowywał, jeśli tylko zastanowić się dobrze, pomyśleć o najgorszej możliwej rzeczy, jaką można by w danej sytuacji powiedzieć lub zrobić, a następnie stanąć z boku i poczekać, aż on to powie lub zrobi.

- Toteż zastanawiałem się, cioteczko - kontynuował, a jego błękitne jak niebo oczy wyzute były z wszelkiej obłądki jak oczy dziecka, które to mylące wrażenie Abby dawno już nauczyła się ignorować. - Będąc takim dobrym bra-

tankiem, kochającym itepe, i biorąc pod uwagę to, że będzie zapewne chciała mi jakoś wynagrodzić konieczność przejścia sterów, do czego zostaję zmuszony, zaopiekowania się idiotami z naszej rodziny...

- Chcesz, żebym przyznała ci pensję, prawda, Iggy? - spytała, gdy zawiesił głos, uniósł brwi i wpatrzył się w nią wyczekująco. - Nic z tego.

- Ależ cioteczko, nie bądź niemiła. Najpewniej nie spodoba ci się to, co nastąpi, jeśli będziesz niemiła dla swojego ulubionego bratanka.

Abby gestem poleciła Gillettowi, by odsunął się od drzwi do bawialni i jeszcze ich nie otwierał. Następnie złapała szczerzącego się radośnie Iggy'ego za łokieć i wciągnęła go w róg westybulu.

- Grozisz mi, Iggy? Nie chciałabym myśleć, że mi grozisz.

- Grozić ci, cioteczko? Co ty opowiadasz? Miałbym być tak podły, tak nikczemny, żeby ci *grozić*? - Jego uśmiezek doprowadzał ją do furii. - Cóż, prawdę mówiąc, to chyba masz rację, skoro już o tym wspomniałaś. No i co ty na to?

Abby zachowała milczenie. Wiedziała, że wcześniej czy później Iggy przejdzie do sedna sprawy.

- Przypominasz sobie ten dzień, kiedy to razem z Edwardine wybrałyście się na piknik, cioteczko? - spytał po chwili, gdy skończył gmerać przy swoich opadających koronkowych mankietach i poklepywać się po idiotycznie długim żabocie koszuli. - Ja także się tam wybrałem, wiesz? Dokazywaliśmy sobie z koleżkami, zażywaliśmy świeżego powietrza, docenialiśmy urodę dam, tak jak od nas, młodych, jurnych dżentelmenów się tego oczekuje.

Abby nie mrugnęła okiem, nie drgnęła jej powieka, choć głowę miała zaprzątniętą domysłami, jaka może być następna wypowiedź Iggy'ego.

I dopiero wtedy rozczarował ją, ogarnęła ją bowiem głupia nadzieja, że może choć ten jeden jedyny raz chłopak zachowa się tak, jak sugerowałyby to jego anielska aparycja.

- Jako jedyny mężczyzna z rodziny tam obecny - jako jedyny prawdziwy mężczyzna w rodzinie, dodam po głębszym zastanowieniu - i widząc, jak chyłkiem wymykacie się z baronem tylko we dwoje, uznałem za swój obowiązek was śledzić. Nie mogłem przecie dopuścić, by moją cioteczkę skompromitowano lub by spotkało ją coś jeszcze paskudniejszego, prawdaż? Znalazłem sobie przytulny kącik przy strumieniu, zmieniłem się w słuch, by nie stracić ni słówka, by w razie konieczności móc ruszyć ci na ratunek. Ale tobie ratunek nie był potrzebny, prawda, cioteczko?

- Słyszałeś? - W żołądku się jej przewracało.

- Każde cudowne, cudownie nikczemne słówko. - Rozeźmiał się na całe gardło. Następnie nachylił się w jej stronę i ściszył głos do szeptu. - Jak to szło? A tak. Coś mniej więcej takiego: „Nie jestem dziewicą, ale to może być tylko zaleta”. O to pytasz, cioteczko? Mam mówić dalej, wysilić mózgownicę i podać więcej przykładów? A potrafisz sobie wyobrazić, tylko wyobrazić, jakim pośmiewiskiem stałby się baron... gdybym wytężył głowę publicznie?

- A jeślibym wspomniała o tym baronowi...? - zasugerowała Abby dość ryzykownie, zastanawiając się, jak wielkim afrontem wobec Gilletta byłoby złapać Iggy'ego za uszy i targać go za nie tak długo, aż zaczęłyby kwiczeć jak zarzynane prosię.

Musiała, acz niechętnie, oddać Iggy'emu honor. Czekał, czyhał na stosowną okazję, po czym wybrał idealny moment, by się do niej zwrócić. Nie mogła wytargać go za uszy, spoliczkować, poinstruować Gilletta, by kazał dwóm lokajów wyrzucić jej bratanka z domu i zostawić w rynsztoku.

Była bezsilna.

I Iggy o tym wiedział.

- Mogłabyś napomknąć o tym jego lordowskiej mości, tak przypuszczam, gdybyś w ogóle była tego człowieka pewna. Ale nie jesteś, więc nic nie powiesz. Chce, żebyś ułatwiła mu życie, cioteczko, a nie zrujnowała jego reputację.

A zatem dyskusję dotyczącą konkretnej sumy odłożymy na później - wysokość pensji, parę drobnostek, o jakie mogę cię prosić od czasu do czasu. Bądź co bądź nie chcesz chyba, żeby pan młody musiał na ciebie czekać, prawda?

- Wiedz, że zemszczę się na tobie - powiedziała beznamiętnie Abby, podciągając za luźne rękawiczki. - Nie wiem kiedy, nie wiem jak, ale pewnego pięknego dnia dostaniesz za swoje. Obiecuję ci to.

- Już trzęsę portkami, cioteczko. Było nie było ty i twoja oszałamiająca uroda - jak też chętką, by wskoczyć jego lordowskiej mości do łóżka - mogą rozmiękczyć jego serce tak dalece, że zadeklaruje ci miłość poza grób. A wtedy, cioteczko, będziesz zapewne mogła wyznać, jak to skomplikowałaś mu życie, zamiast je ułatwić, i napawać się swoją zemstą - odparował i pochylił się, by cmoknąć ją w policzek, a potem podprowadził ją do grupki oczekujących w holu.

Gdy Gillett otwierał na oścież drzwi, by ukazać bawialnię w całej okazałości, i anonsował ich przybycie, Iggy nie zdołał powstrzymać się przed czymś, co brzmiało zupełnie jak złośliwy chichot.

- Aczkolwiek jestem przekonany - poinformował Abby z cicha - że do tego czasu, latami czekając na chwilę, gdy podbijesz serce jego lordowskiej mości, będę bardzo, ale to bardzo dobrze się bawić.

Abby nie odezwała się słowem. Po prostu okręciła się na pięcie, upewniwszy się najpierw, że lewy obcas mocno wbił się Iggy'emu w śródstopie, po czym zostawiła go tam, gdzie stał, i weszła do bawialni.

Kipp, który czekał na zapowiedź z ust Gilletta z równym entuzjazmem, z jakim okrutnie cierpiący człowiek wita nadejście dentysty, który ma mu wyrwać ząb - tak czy owak, czeka go sporo bólu - podszedł do wejścia, by powitać gości.

- Dobrze wyglądasz, moja droga - powiedział Abby, ujmując ją za rękę i ciągnąc w głąb pomieszczenia. Równo-

cześnie starał się uściskać jej palce w sposób, jak miał nadzieję, dodający otuchy. - Widzę, że otrzymałaś mój liścik.

- Właściwie to nie, milordzie - warknęła rozżłoszczona jak żmija, na którą ktoś niebacznie nastąpił. - Musiał być dość suchy, bo rozsypał mi się w palcach, zanim zdążyłam odczytać choć jedno słowo.

Kipp poczuł, że szczęki same mu się zaciskają. Wiedział, że list był zwięzły, lecz i tak był niewątpliwie najlepszy spośród trzech, jakie napisał. Po prostu brakowało mu doświadczenia w kontaktach z narzeczonymi, które bardziej przypominały partnerki handlowe, kobietami, które miały niebawem rodzić jego dzieci, choć nie było mowy o miłości czy nawet choćby o złudzeniu, że łączy ich jakiegokolwiek uczucie. - Pozwól, proszę, bym wszystkich przedstawił. Zaczniemy od wielebnego Peake'a?

Dzięki latom żeglugi po wodach etykiety towarzyskiej Kipp zdołał przebrnąć przez wzajemne prezentacje, znaleźć właściwe słowa, ubrać twarz w odpowiednie uśmiechy, a wszystko to, poddając przyszłą połowicę dokładnym oględzinom.

Ta suknia to był dobry wybór. Powściągliwa, ale nie bez wyrazu. Madame Lucille nie myliła się; w dniu, w którym pojawiła się w jej zakładzie Abby, wzięła dość dokładną miarę, by suknię można było wykończyć bez kolejnej przymiarki.

Za to włosy? Psiakrew. Jego oblubienica mogła być odpowiednio ubrana, by odegrać rolę młodej londyńskiej matrony, ale jej włosy, w połączeniu z wyprostowaną, niemal sztywną postawą nadal przywodziły mu na myśl nianię, guwernantkę albo dyrektorkę pensji dla panien.

Czy ta masa lśniących, jasnych włosów otuliłaby jej ramiona burzą loczków, gdyby uwolnić ją spod tyranii surowej fryzury? Czy spłynęłaby kaskadą na piersi, piersi, które, jak mógł tylko żywić nadzieję, były równie kremowobiałe jak jej cera? Czy ta kobieta w ogóle miała jakieś piersi? Sam z pewnością niewiele widział na to dowodów, nie w tych suk-

niach, które wcześniej nosiła, i nie w tej, którą teraz miała na sobie: obszyty falbankami stan mógł skrywać istne cuda albo maskować mizerne w rzeczywistości kształty.

Dlaczego obiecał wyrzec się kochanek? Był wtedy szalony? Czy najwyuczajniej na tyle przyparty do mury, by chcieć jak najszybciej ukryć się bezpiecznie za małżeństwem i mieć większość kłopotów zdjętych z głowy przed powrotem Jacka i Merry z Ameryki-

- Abby, moja słodka, wyglądasz cudownie - oznajmił hrabia Singleton, stając przed nią, i uniósł jej dłoń do pocałunku. - Ale jeszcze nie jest zbyt późno, żebyś się wycofała, wiesz? On nie jest ciebie wart.

Abby uchwyciła się rąk Brady'ego, całą siłę woli angażując w to, by przystąpić do realizowania planu, do czego zgodnie z jej własnymi i barona deklaracjami oboje byli przygotowani.

- Och, nie mogłabym, Brady - odparła z uniesioną brodą i uśmiechem, który początkowo był bledziutki, lecz z każdą chwilą stawał się bardziej zdecydowany, tak jak zdecydowanie narastało w jej duszy, umacniało się na kamień. - Za bardzo go kocham, zrozum.

Kipp obejrzał się raptownie na swoją narzeczoną. Zdumiał go jej spokojny głos, zdziwiła zdecydowana deklaracja uczuć. A potem przypomniało mu się, dlaczego w ogóle ją wybrał, ależ tak, to miało, do czorta, szansę się powieść. Pani Abigail Backworth-Maldon była nieporuszona. Praktyczna. Silna. Niezależna. I, jak widać, dość obyta z kłamstewkami.

Gdyby jeszcze miała piersi...

- Wasza lordowska mość?

- Hmm? - warknął Kipp i zmarszczył czoło, niezadowolony, że mu ktoś przerywa rozważania nad tym, czy jest najnikczemniejszym, najbardziej samolubnym człowiekiem w całym Londynie, gdzie istniała ogromna konkurencja do tego niechlubnego tytułu.

- Właśnie mówiłem, milordzie - tłumaczył wielebny

Peake ze zbolałą miną - że wszystko to wynikło doprawdy w ostatniej chwili i mam niewiele ponad kilka minut, nim będę musiał śpieszyć na pogrzeb lady Haver, gdzie mam odprawić nabożeństwo. Gdybyśmy zatem mogli przystąpić do ceremonii, jeśli wasza lordowska mość tak uprzejmy...?

- Jeśli wielebny obieca, że nie pomylą mu się słowa towarzyszące obu obrzędom, jakie ma zaplanowane na dzisiejsze popołudnie - usłyszał swój głos Kipp, po czym uśmiechnął się, gdy zarówno Abby, jak i Brady - czy raczej jedynie Abby i Brady - zaśmiali się z uznaniem dla jego żartu.

Hermione Backworth-Maldon tymczasem kryła się za potężną rośliną doniczkową, niestety, nie wystarczająco wysoką, by nie było widać, jak właśnie odchyła głowę, pociągając z małej srebrnej flaszeczki.

Mały pies o białej sierści i wrednych czarnych ślepiach stał u jej stóp, zadzierając chudą nogę i na psią modłę Z upodobaniem tę samą roślinę „podlewał”.

Edwardine Backworth-Maldon, zaiste prześliczna dziewczyna, nawet jeśli błysk w jej oczach nie miał nigdy być czymkolwiek innym niż zwykłym refleksem światła, siedziała na jednej z kanap, zdoławszy jakoś, wysypać sobie na podółek cały talerz owoców w cukrze - a teraz była w najlepsze zajęta usuwaniem powstałego bałaganu, pakując sobie owoce kolejno do ust.

Wujowie Backworth-Maldon stali tuż obok siebie na samym środku wielkiego pomieszczenia, bez mała trzymając się za ręce, i z lekko rozdziawionymi ustami chłonęli jego pełen przepychu wystrój. Kippowi przypominali dwóch zakonników bez habitów, łysawi i z grzywkami w strąkach - oraz bohaterów jednego ze sprzedawanych za pensa rysunków, przedstawiającego na ich pierwszym londyńskim przyjęciu parę chłopków roztropków, u których stóp siedzą jak zwierzątka domowe ich ulubione kurczaki o dziwacznych imionach.

Bratanek - bodajże Ignatius...? - ten dopiero musiał być dobry, uznał Kipp, obserwując, jak młodzieniec niespiesznie

okraża bawialnię, szacując, jak się wydawało, wartość każdego mebla, jakby szykował się do licytowania ich na aukcji. Spacerował i długimi, smukłymi palcami wodził po blatach stołów i stolików, zwalniał, by pieściwym gestem musnąć każdą statuetkę, poklepać każdy element srebrnej zastawy. Ubrany zgodnie z ostatnim krzykiem mody - krzykliwie, afektowanie i dandysowato, do czego sam Kipp nigdy nie aspirował - chłopak był wysoki, szczupły, równie urodziwy jak siostra i o wyglądzie niemal jak ona kobiecym.

Jedyną znaczącą różnicą między tą jasnowłosą, błękitnooką dwójką była żywa inteligencja, bijąca z oczu Ignatiusa Backworth-Maldon. Inteligencja, szczerze okraszona przebiegłością.

Może warto byłoby mieć tego chłopaka na oku.

- Zadzwoń na Gilletta, żeby wezwał służbę - zaproponował Brady, przerywając Kippowi inwentaryzację dość dziwacznej rodzinki, która miała lada chwila stać się jego rodziną. - Mówiłeś chyba, że chcesz, żeby przy tym byli jako świadkowie?

- Owszem, tak mówiłem. To sugestia Gilletta, zresztą rozsądna - odpowiedział Kipp i wziął Abby za rękę. Oboje podążyli za pastorem, kierując się ku olbrzymiemu, ozdobionemu sztukaterią kominkowi, przed którym miała się odbyć ceremonia.

- Zdenerwowany, milordzie? - odważyła się zapytać Abby i niespodzianie, bez przyczyny, którą zdołałaby czy choćby szczególnie pragnęłaby pojąć, poczuła się zupełnie spokojna. Śmiertelnie spokojna. Zupełnie jak więzień, który stracił resztki nadziei na ratunek i w końcu pogodził się z losem.

- Sparaliżowany - odparł uczciwie Kipp, gdy wielebny Peake uniósł małą, oprawną w czarną skórę książeczkę i zaczął ją kartkować. - Ty za to wydajesz się dość spokojna. Za każdym podejściem jest coraz łatwiej, przypuszczam?

- Jak już cię pochowam i po raz trzeci stanę na ślubnym

kobiercu, milordzie, dam ci znać - rzuciła, a nagrodził ją zdławiony chichot Kippa i kolejny uścisk dłoni.

W tej samej chwili do bawialni weszli służący z Gillettem na czele i zajęli pozycje w dwóch rzędach wzdłuż okien.

Brady podszedł i stanął przy Kippie, gotowy podać mu obrączkę przekazywaną w rodzie Willoughbych z pokolenia na pokolenie, tę samą, którą Kipp zsunął matce z palca w dniu jej śmierci, tego samego dnia, gdy złożył jej obietnicę, że ożeni się i spłodzi następcę. Tego samego, gdy obiecał jej, że przestanie spoglądać wstecz, łudzić się, że spełnią się stare marzenia.

Nigdy nie wspomniał matce o swoich uczuciach dla Merry, dziecka, z którym dorastał, z którym zdarzało mu się mieszkać pod jednym dachem. Ale ona wiedziała. W niewiadomy sposób jego matka zawsze wiedziała.

Zastanawiał się, czy mu się teraz przygląda, czy zaaprobowałaby jego decyzję. Wolał wierzyć w to pierwsze i nie wnikać w to drugie.

Przy pierwszych słowach wielebnego Peake'a Hermione wydobyla z torebki chusteczkę i zaczęła szlochać o tyle gwałtownie, co i dźwięcznie.

- Czy bierzesz sobie tę kobietę za...

Słowa te zawirowały w powietrzu, wznosząc się i opadając, przerywane podobnym do czkawki łkaniem Hermione, szepcącą Edwardine: „odsuń się, Iggy, bo nie widzę” i warknięciem Iggy'ego „i tak nie widzisz nawet własnego nosa, Eddy”.

Do tego doszedł szmer ściszonej paplaniny wujów Dagwooda i Baileya, która miała coś wspólnego z planami i fortunami. Koniec końców rozległo się jeszcze kilka krótkich, acz zajadłych warknięć Pieszczusia pod adresem lokaja, któremu Gillett polecił wydrzeć jakoś małą, obszytą jedwabnymi frędzelkami poduszkę z zaciśniętych psych szcęk przed wyprowadzeniem pudła z pokoju.

A potem było już po wszystkim. Dziesięć minut, a Kipp wiedział już, że jego życie zmieniło się na zawsze.

Pastor Peake ogłosił ich małżeństwem, a niepoprawny Brady zasugerował, by Kipp pocałował pannę młodą.

- Och, to nie jest konieczne! - wybuchła Abby, nim zdołała się powstrzymać.

- Owszem, jest - odrzekł Kipp. Wiedział, do czego zmierzają Brady, dlaczego namawia do tego pocałunku. Brady chciał, by przyjaciel zainicjował pierwszy fizyczny kontakt z Abby, co - nawet w przypadku, gdyby państwo młodzi nie w pełni jeszcze uświadamiali sobie powagę powziętego przed chwilą kroku - powinno rozwiązać wszelkie ich wątpliwości.

Byli małżeństwem. W bogactwie i niedostatku, na dobre i na złe, niezależnie od motywów, wypowiedzianych czy nie, jakie nimi kierowały, byli małżeństwem.

Podczas gdy wielebny przestępował z nogi na nogę, wyraźnie zainteresowany tym, by jak najszybciej znaleźć się na ceremonii pogrzebowej lady Haver - w nadziei, że po nabożeństwie zostanie zaproszony na sutą stypę - Kipp zwrócił się ku swojej oblubienicy. Uśmiechnął się do niej. Zastanowił się, czy oblubienica aby nie zemdleje.

- Milady Willoughby - rzekł i lekko uniósł jej podbródek. Patrzył, jak jej piękne, wyraziste fiołkowe oczy ogromnieją na tle spopielałej nagle twarzy i zamykają się w trzępcie rzęs.

- Milordzie - szepnęła tak cicho, że bardziej odgadł te słowa, niż je usłyszał.

Usta miała ciepłe, tak niewiarygodnie uległe, z ochotą poddające się jego wargom. Kobieta, która znała smak pocałunków. Kobieta, która witała je z radością, odpowiadała instynktownie, wolna od dziewiczego wstydu i potrzeby udawania, że nie rozumie, co się dzieje.

Abby gorączkowo nakazywała sobie dalej oddychać, stać nieruchomo. Nie uciekać. Nie osuwać się na ziemię, nie wpadać mu w ramiona, nie przyciągać go do siebie, nie obejmować z całej siły.

Ileż to wody upłynęło od chwili, gdy ktoś ją całował,

gdy jeszcze wierzyła, że jest w Harrym zakochana i tęskniła do jego pocałunków?

To musiała być zwykła żądza, ten żar odżywający teraz jej ciele, ogień, który zbyt długo trzymany w ryzach wystrzelił wielkim płomieniem w chwili, gdy dotyk tego mężczyzny dostarczył mu najmniejszej pożywki.

Ich ciała się nie stykały i jedyne, czym mógłby ją zatrzymać, gdyby chciała się odsunąć, była ciepła opuszka palca, nadal spoczywająca na jej podbródku. Pocałował ją mocno. Poczował, jak jej usta rozchylają się, nie broniąc mu niczego. Odpłacają pięknym za nadobne.

Abby może i zapomniała, lecz nie jej ciało. Ono pamiętało i reagowało spontanicznie. Stopniało jak wosk, gdy koniuszkiem języka musnął jej język. Odpowiedziała tym samym. Tak rozpoczął się swoisty pojedynek, w którym żaden z przeciwników nie ustępował drugiemu.

Za sobą, poprzez nieoczekiwany szum w uszach, Kipp usłyszał w końcu śmiech Brady'ego, jego niemal kpiący aplauz, i odsunął się, usiłując odzyskać równowagę.

Przyglądał się, jak Abby - jak jego *żona* - dziękuje pastorowi, po czym przyjmuje łzawe uściski od Edwardine, spokojnie poleca Hermione wstrzymać oddech i policzyć do dziesięciu, kręci głową i uśmiecha się do wujów.

W jednej chwili rozpalona, w drugiej zimna, a wszystko to bez mrugnięcia okiem. Taka spokojna. Taka rzeczowa. Taka opanowana, gdy on opanować się nie potrafił w obliczu zdrady, jaką popełniło jego ciało, ciało mężczyzny, wobec rzekomo racjonalnego, obojętnego umysłu.

Cudo nie kobieta. Urodzony generał w spódnicy, a zarazem pełna dobrowolnej uległości kochanka, która wie, co lubi, a lubi pocałunki.

Czy to możliwe, że uważał kiedyś jej usta za nieciekawe? Czy możliwe, że za nieciekawą uważał samą Abby?

A teraz, gdy rozumiał już, że dotychczas mierzył nie siły na zamiary, a zamiary na siły, co miał, na Boga, z nią teraz począć?

13

Sypialnia składała się z trzech przylegających do siebie pomieszczeń różniących się wielkością. Ogromny jak pieczara pokój sypialny. Mniejsza garderoba. Pokoik wielkości króliczej nory przeznaczony dla pokojówki.

Pomieszczenie, w którym stały biało-złote meble, ściągnięte zapewne z Francji - Abby mogła się jedynie domyślać, nie mniej ilość złocień i przeróżnych esów-floresów nasuwała jej przypuszczenie, że komplet był francuski - zajmowała niegdyś matka barona i jej osobowość wciąż jeszcze przepajała jego atmosferę.

Niezwykle kobieca, ceniąca sobie piękno. Dostojeństwo. Ład. Porządek. Pani Harris zwróciła wcześniej uwagę nowej lady Willoughby na naturalnej wielkości portret w bawialni, na którym Abby natychmiast rozpoznała migdałowe, brązowe oczy, ciemnobrązowe, wyraźnie zarysowane brwi, ten sam odcień włosów co u barona. Brakowało jedynie łagodności w rysunku ust. Nie, pełne wargi i mocny podbródek baron miał po zmarłym ojcu, którego portret wisiał tuż obok podobizny małżonki.

Woląc nie myśleć o ustach świeżo upieczonego męża, czy też o swojej wcześniejszej na nie reakcji, Abby rozjezrzała się i rozpoczęła drugą, bardziej gruntowną inspekcję nowej sypialni.

Na ścianach ręcznie malowane różane jedwabne tapety. Wysoki sufit upstrzony pierzastymi chmurkami i pызatymi cherubinkami. Trzy kobierce rozrzucone na wyłożonej

parkietem podłódze niczym pobladłe ogrody pełne rózu, żółci i prześlicznej ciemnej zieleni.

Biała satynowa kapa, a na niej przynajmniej dwa tuziny poduszek różnych rozmiarów i kolorów. Cieniutkie białe firanki na oknach sięgających od ziemi do sufitu. Wazony i figurki, i kruche czary. Finezyjnie rzeźbiony, ozdobiony białą sztukaterią kominek, podobny do tego w bawialni.

I drzwi do sypialni barona.

Także i o tym nie zamierzała teraz myśleć.

Abby czuła się jak królowa. Siedziała w malowanej wannie przed kominkiem, rozkoszując się drugą owego dnia kąpielą, zanurzona po szyję w pianie, zamiast jak zwykle spieszyć się z myciem w letniej wodzie głębokiej na dwa cale, żeby starczyło dla wszystkich domowników.

To pani Harris przyprowadziła ją na górę. Wcześniej Abby pożegnała się z rodziną i odesłała ją do domu, z powrotem na Half Moon Street, a sama mogła zająć się przygotowaniem do balu. Musiała prawie że odlepić od siebie rozhisteryzowaną Edwardine, obiecując, że tak, oczywiście, zawsze znajdzie czas na rozmowę z bratanicą, dopomoże, gdyby ta miała jakiś problem, jakikolwiek problem. Drzwi jej domu, drzwi rezydencji przy Grosvenor Square, zawsze będą stały dla niej otworem.

Edwardine szlochała i zasypywała ją podziękowaniami, po czym Abby została nareszcie uwolniona od jej towarzysstwa, zastanawiając się w duchu, kiedy to zdarzyło się Edwardine w ogóle przeżywać jakiś problem. Z pewnością żaden, o którym Abby by pamiętała, chyba żeby Edwardine uważała za problem fakt bycia córką Hermione.

Abby wiedziała, że dla niej byłby to problem: być córką Hermione i dzięki Hermione oraz jej wskazówkom przetrwać resztę sezonu. Nawet histeria nie oddawałaby choćby ułamek jej odczuć wobec takiego losu.

Nie podejrzewała jednak Edwardine o taką głębię. Ta dziewczyna zawsze tak dobrze sobie radziła, przez różowe

szkła patrząc na świat swoimi krótkowzrocznymi oczami, nie dostrzegając otoczenia, nieświadoma, jak się zdawało, topniejących finansów, całkowicie wolna od refleksji równie przyziemnych, jak zastanawianie się, skąd wzięłyby się jej następny posiłek, gdyby ktoś taki jak Abby nie liczył każdego pensa.

Później jednak, gdy Backworth-Maldonowie wychodili, Abby dostrzegła przelotnie Iggy'ego, zauważyła błysk w jego oczach i zaczęła się zastanawiać, czy to aby nie on przyprawił siostrę o atak hysterii. Umyślnie ją przeraził? A jeśli tak, to w jakim celu?

W jaki sposób zdenerwowanie Edwardine mogłoby pomóc Iggy'emu? Bo to chłopaczysko nigdy nie robiło niczego, co nie byłoby mu w jakiś sposób na rękę.

O tym także nie miała zamiaru myśleć. Zbyt wiele rzeczy trzeba było zrobić przed balem, przed towarzyskim debiutem w roli baronowej Willoughby.

Nie wspominając nawet o powrocie do sypialni po balu...

Sallyann, nowa pokojówka Abby - jedyna, jaką Abby kiedykolwiek miała wyłącznie do swojej dyspozycji - dołała wiadro ciepłej, przyjemnie pachnącej wody do głębokiej, bogato zdobionej wanny. Abby patrzyła, jak podnosi się para, i pozwoliła swym zmartwieniom rozpuścić się w niej. Oparła się wygodnie, pławiąc się w tym, co można było jedynie określić jako szczyt dekadencji.

Z przyjemnością i łatwością mogłaby się do dekadencji przyzwyczaić.

- Dziękuję, Sallyann - zwróciła się do młodej pokojówki, niskiego, pulchnego rudzielca z tendencją do zanoszenia się chichotem, ilekroć Abby się odzywała. - Jest cudownie.

- Tak, psze pani - odpowiedziała Sallyann i zachichotała, zasłaniając ręką usta, a jej piegowata twarz oblekła się intensywnym, nie do końca wdzięcznym rumieńcem. Przyniosła ze stolika niebieski szklany flakon i pokazała go Abby. - Pani życzy sobie umyć teraz włosy, psze pani?

Abby dotknęła najbardziej irytującego elementu swej

aparycji, gęstej grzywy prostych jak drut jasnych włosów, związanych teraz szeroką wstążką, żeby się nie zmoczyły.

- Och, chyba nie, Sallyann. Wątpię, czy wyschłyby na czas, gdybyśmy je umyły.

Nieznacznie przekręciła się w głębokiej wannie i podniosła wzrok na pokojówkę, której rozwichrzone rude loki naturalnie kręciły się tak mocno, iż zdawały się żyć własnym życiem. Abby oddałaby rok swojego życia za podobne loki, za jakiegokolwiek loki.

- Sallyann? Wiesz cokolwiek o układaniu włosów? Byłabym niezmiernie wdzięczna za twoją pomoc, za jakąkolwiek pomoc, jakiej jesteś w stanie mi udzielić.

- Jego lordowska mość już zarządził dla pani wizytę fryzjera - powiedziała Sallyann. - Powinien zaraz tu być, psze pani, więc lepiej, żeby już pani wyszła z wanny. Proszę. Ciepły ręcznik, podgrzany.

Abby przez chwilę napawała się myślą, że fryzurę ułoży jej specjalista, i tylko przez chwilę, do jej mózgu bowiem dotarły słowa Sallyann.

- Jego lordowska mość zamówił dla mnie fryzjera? Jakże to... niebywale łaskawie z jego strony.

Sallyann kiwnęła głową, zachichotała i ponownie zaczerwieniła się jak piwonia.

- O tak, psze pani, święta prawda, bardzo łaskawie. Alfie - jeden z lokajów, spotykam się z nim od kilku tygodni, pani rozumie - cóż, wszystko mi opowiedział. Jak to jego lordowska mość powiedział, że nie dopuści, żeby pani pokazała się dziś na balu z włosami ściągniętymi do tyłu jak stara panna, co uczy dzieci. Alfie osobiście zaniósł bilecik do mesje Parfaita z samego rana.

- Z samego rana, co ty powiesz - wycodziła Abby przez zaciśnięte zęby, w duchu śląc Kippa w miejsce znane z odoru siarki za to, że pozwolił, by jego służba - *ich* służba - usłyszała podobny komentarz. - Aż trudno to sobie wyobrazić. - Wstała i natychmiast poczuła chłód na rozgrzanej skórze,

więc pozwoliła się owinać dużym, ciepłym ręcznikiem. Wyszła z wanny i zaczęła się wycierać, trąc skórę ze zrodzoną ze złości energią, dzięki czemu chwilę później była już zupełnie sucha.

Tym, co najbardziej jej przeszkadzało, uznała w końcu, był fakt, że Kipp wydawał się traktować ją jak rozpoczęty projekt, a nie jak swoją żonę.

Którą nie była, nie w pełnym znaczeniu tego słowa.

Ta myśl nadspodziewanie ją zasmuciła, co, naturalnym biegiem rzeczy, jeszcze bardziej ją rozzłościło. Rozzłościło irracjonalnie, bo rozumiała, że powinna mu raczej podziękować. Bądź co bądź próbował jedynie być uprzejmy. Może zatem nie była tak naprawdę zła. Może raczej zabolęła ją serce, któremu ciężkie razy zadała myśl, że tak wiele potrzebowała zachodu, by się jako tako prezentować, i że Kipp to wiedział.

Sama nie była pewna, co właściwie czuje, poza tym, że nie czuje się już szczęśliwa czy bosko dekadentka, czy niezależna. A tak ważne było dla niej, by zachować niezależność chociażby tylko w najbłaższych sprawach. Potrzebowała jakiegoś przypomnienia, że nadal jest człowiekiem, który ma swoje prawa, a nie sprzętem, który Kipp doprowadzał teraz do porządku w sposób, w jaki zleca się remont starego powozu - wszystko w zamian za pensję i całą resztę.

Machnięciem ręki zbyła Sallyann, która chciała jej pomóc, i szybko nałożyła bieliznę - sama, tak jak to czyniła od dwudziestu trzech lat, następnie zamaszystym gestem wsunęła ręce w rękawy starej podomki, przywiezionej na Grosvenor Square z resztą jej mizernej garderoby.

- Sallyann?

- Tak, psze pani? - Pokojówka, która zebrała ręczniki i przewiesiła je sobie przez rękę, w drugiej zaś wciąż jeszcze dzierżyła szklany flakon, odwróciła się, dygnęła i błysnęła zębami w uśmiechu. Jakaż z niej była radosna dziewczyna. Otwarta, rozmowna, rozbrajająco uprzejma i nieafektowa-

na. Abby zaś najchętniej wysłałaby ją na księżyc, najchętniej na tę jego stronę, której nie widać z ziemi. W ten sposób zostałaby sama i mogłaby krzyczeć, wrzeszczeć - ciskać przedmiotami. *Zarządził* dla niej wizytę fryzjera? Zamyślał ubierać ją i stroić, jakby była lalką, którą sobie kupił, jak gdyby nie miała pojęcia, jak zająć się tymi sprawami samodzielnie?

Niedoczekanie jego, do licha!

- W moim kufrze, na samym dnie, jeśli dobrze pamiętam, znajdziesz czekoladową suknię z tafty z długimi rękawami i prostym białym kołnierzykiem. Byłabym wdzięczna, gdybyś mi ją przyniosła.

Czoło dziewczyny zmarszczyło się.

- Teraz, psze pani? Ale ja właśnie miałam iść odprasować tę różową. Myślałam, że się pani na chwilkę położy, nim przyjdzie mesje Parfait. Wie pani, tę, którą ją pani przywiozła w dużym białym pudle? Prawdziwe cudencko. A potem przyniosę talerzyk z kanapkami, bo później na balu najpewniej będzie pani w takich nerwach, że nic nie przełknie, tak przynajmniej twierdzi pani Harris.

Abby zaciągnęła poły podomki i przewiązała się paskiem, a dokładniej rzecz biorąc, ściągnęła się nim tak mocno, że zaparło jej dech w piersi.

- Naprawdę nie wydaje mi się, bym potrzebowała drzemki, Sallyann. Mam jednak życzenie zamienić słowo z jego lor... z moim małżonkiem, a jako że jest zbyt wcześnie, żebym przebrała się w nową suknię, brązowa mi najzupełniej wystarczy - wyjaśniła Abby ze słodyczą. - Poza tym powinienam mieć na sobie coś konkretniejszego niż podomka, skoro spodziewamy się wizyty monsieur Parfaita, prawda?

Pokojówka rozdziawiła usta i natychmiast je zamknęła. Zmarszczyła brwi. Wzruszyła ramionami, potrząsnęła chmarą rudych loczków.

- Ale... ale... tak, psze pani.

Dwadzieścia minut później, słysząc przez zamknięte drzwi wesołe pogwizdywanie - uchyliła je odrobinę, żeby upewnić się, czy to na pewno jej mąż i czy na pewno jest sam - zastukała, czy raczej trzykrotnie zabębniła knykciami o drewno, a następnie jak burza wpadła do mężowskiej sypialni.

Już wcześniej ją widziała, wtedy, gdy po rezydencji oprowadzała ją pani Harris, wiedziała także, że przypomina jej własną pod względem rozkładu pomieszczeń, jeśli nie wystroju.

W komnacie sypialnej barona dominowało ciemne wiśniowe drewno. Z niego zrobione były potężne meble pasujące do masywnego wiśniowego kominka, który przyjemnie kontrastował z tłoczoną tapetą w odcieniu kości słoniowej, całość zaś uzupełniały ciemne zasłony w odcieniu burgunda. Przed kominkiem stała lśniąca płytka wanna z brązu, a przez jej krawędź przewieszonych było kilka wilgotnych ręczników.

Gęste, tej samej barwy co tapeta dywany w stylizowane złote lilie zakrywały całą podłogę. Olbrzymie łoże z baldachimem, czy raczej kaskadą aksamitu w odcieniu burgunda, i pościel niczym morze satyny w identycznym kolorze. Trzy gigantyczne szafy, pękające od ubrań jego lordowskiej mości, klimat zaś całej sypialni najpełniej oddawały ciemne portrety i potężna ilość wielkich lichtarzy z brązu.

Było to pomieszczenie, które mogło ją połknąć, pochłonać, jakkolwiek podziwiała mocne kolory, ostre kontrasty. O wiele chętniej przyjmowałaby barona u siebie, onieśmiałonego jak większość mężczyzn w otoczeniu tchnącym kobiecością, pełnym koronek, satyny, delikatnych mebli.

Ale nie teraz. Teraz najchętniej oglądałaby go w Hadesie, osmolonego po same brwi.

Jej małżonek relaksował się w jednym z dwóch identycznych foteli obitych skórą w kolorze burgunda, stojącym przed kominkiem. Siedział nisko w nim zsunięty, z nogami opartymi wygodnie o skórzany podnózek, owi-

nięty granatowo-burgundowym szlafrokiem od samej szyi po obleczone w skarpetki stopy. Gruby kosmyk wilgotnych jasnych włosów zwieszał się na leniwie przymrużone oczy. Rękę trzymał wysuniętą poza poręcz fotela, w dwóch palcach dźrzył opróżniony do połowy kieliszek czerwonego wina i kołysał nim powoli.

Gdyby nigdy nie była mężatka, gdyby nigdy nie widziała mężczyzny w szlafroku i skarpetach, mogłaby poczuć się onieśmielona. Gwoli ścisłości, istotnie czuła się onieśmielona.

Co sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej rozżłoszczona, bardziej zdeterminowana.

- Rozleniwiony? A może rozanielony? Dumny i zadowolony z siebie? - pytała Abby, widząc, że nie zauważył jej wejścia. Zatrzasnęła drzwi łączące sypialnie z hukiem zwielokrotnionym przez echo.

Kipp omal nie upuścił kieliszka. Zaklął, zerwał się na nogi i spojrzał na osobę, która zakłóca mu spokój.

Była w jednej z tych cholernych brązowych kiecek, tak grubej, że materiał prawie się nie poruszał, gdy szła - nie, gdy maszerowała - do środka. Drobne plecy miała wojowniczo wyprostowane, z oczu pozostały wąskie szparki, a kształtny podbródek trzymała uniesiony tak wysoko, jakby szykowała się do wykonania salta w tył. Włosy nadal upięte były w idiotyczny ulizany kok, co pozwalało się domyślić, iż monsieur Parfait jeszcze się nie pojawił, by uczynić coś, co - jak Kipp miał szczerą nadzieję - okaże się cudem.

A jej mina? Cóż, ogromnie przypominała wyraz twarzy jego starej niani, tej, którą w skrytości ducha nazywał Żelaznym Zadkiem. Babsztyla lubującego się w biciu go po palcach, kiedy nie udawało mu się zapiąć koszuli jak należy, a szczególnie już w powtarzaniu mu, żeby się lepiej postarał albo z puddingu nici.

Toteż, naturalnie, wspomnienie to poważnie go zaniepokoiło, choć nie w większym stopniu niż ten cholerny zadarty pod sufit podbródek, ostrzegający, że zaraz rozlegnie

się tyrada, od której uszy mu spuchną, jeśli nie zdoła jakoś rozbroić Abby czy chociażby na inny obiekt przekierować jej jawnej złości.

- Żono - powiedział przeciągle, kłaniając się niedbale. - Ale ładnie wyglądasz. Przyszłaś wyszorować po mnie wannę?

Nieznaczne, niemal niezauważalnie potknęła się, z determinacją sunąc w głąb sypialni, lecz twarz nawet jej nie drgnęła, nie mrugnęła okiem. W dalszym ciągu nacierała na niego jak furia z wyciągniętą przed siebie ręką i oskarżycielsko wyprostowanym palcem wskazującym.

- Zawarliśmy pakt, milordzie. Pobieramy się dla obopólnych korzyści, mamy ze sobą dzieci, zostawiamy się w spokoju. Przypominasz to sobie?

- Jak przez mgłę - odparł Kipp, rozsiadając się ponownie. Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. - Może powinniśmy byli pomyśleć o tym, żeby wszystko to spisać, zachować dla potomności? Zapewne pamiętałaś wóczas, że prosiłem, byś była tak miła, przez wzgląd na moją wyjątkowo cienką skórę i wybujałą, niestety, dumę, i pomogła mi zaprezentować przed towarzystwem szczęśliwą parę, szczęśliwe małżeństwo. Waham się, czy o tym wspomnieć, ale w tej chwili na szczęśliwą nie wyglądasz.

- Co wspólnego ma publiczne manifestowanie dozgonnej miłości z moją fryzurą? Czy sukniami? Chcesz powiedzieć, że jesteś tak płytki, że nikt nie dałby wiary, że pokochałeś mnie taką, jaka jestem? Za takiego człowieka ma cię socjeta?

Kipp udawał, że się nad tym zastanawia, wiedząc, że nie może pozwolić sobie na całkowitą szczerłość. Wszak wszystko inne, co powiedział jej do tej pory, stanowiło jedynie sieć wygodnych, względnie wiarygodnych kłamstw, że w rzeczywistości ożenił się z nią dlatego, że nie mógł mieć Merry, a zatem było wszystko jedno, z kim się zwiąże. Jedynie to, by Merry uwierzyła, że ożenił się z miłości, miało znaczenie. Ale nie zamierzał tą właśnie prawdą dzielić się teraz ze swoją świeżo upieczoną małżonką.

- Cóż, owszem - przywołał na twarz irytujący, jak miał nadzieję, uśmiech - skoro już o tym wspominasz. - Istotnie sądzę, że jestem człowiekiem płytkim, że słusznie za takiego uważa się mnie w towarzystwie. To przykre, ale niczego to nie zmienia, skoro doznałaś olśnienia, które tłumaczy twoje obecne wzburzenie, o kilka godzin za późno, bo *po* ceremonii.

Abby ugryzła się w język, by nie zdradzić się, że zna prawdę, zna prawdziwe powody jego propozycji, która szczęśliwie ocaliła ją przed życiem w ustawicznej niepewności, co przyniesie jutro, acz, szczerze powiedziawszy, także najwycyzajniej nudnym.

Musiała pielęgnować w sobie złość na niego, żeby nie współczuć mu dlatego, że doznał w miłości zawodu - ale serce się jej ścisnęło.

- I teraz oczekujesz, żebym pozwoliła się ubierać i stroić, i wystawiać *na pokaz*? Że będziesz mnie *oprowadzać* ludziom przed nosem? Jak ulubionego konia?

- O rany, aleś mnie przejrzała - sarknął. Wstał i gestem zaprosił Abby, by zajęła fotel naprzeciwko, ale rozmyślnie to zignorowała. Uśmiech spełzył mu z twarzy, gdy spojrzął na jej usta, przypomniał sobie ich pocałunek po ceremonii dwie godziny wcześniej. - Niemniej rozumiem ten pokaz niezależności. Jestem pod wrażeniem, naprawdę. Przepraszam, że ośmieliłem się przypuszczać, iż zechcesz uciec się do kobiecych sztuczek. Padam na kolana - w przenośni, oczywiście - by błagać cię o przebaczenie za to, że naiwnie podejrzewałem, iż mogłabyś zechcieć skorzystać z usług fryzjera czy założyć klejnoty, które przekazałem Gilletto- wi parę minut temu w nadziei, że cię w nich dziś zobaczę.

- Klejnoty? - powtórzyła Abby, po czym natychmiast skarciła się w duchu za słabość charakteru. Ale był z niego łotr, tak ją kusić, zupełnie jakby wiedział, że cała biżuteria, jaka do niej należała (pierścionek z granatami i pasujący naszyjnik, które Harry podarował jej w dniu ich ślubu), poszła na spłatę męzkowskich długów hazardowych parę lat temu.

- Tak, klejnoty. Prawdziwe cacka, jeśli nawet starożytne. Od pokoleń przekazywane pannie młodej. Skoro jednak uważasz, że twoja niezależność ucierpiałyby, gdybyś miała je założyć, nie będę się z tobą spierał. Zrobisz, jak uważasz, żono. A skoro już mi sama o tym przypomniałaś, to obiecaliśmy sobie chyba nie mieszać się nawzajem do swojego życia, nieprawdaż?

Poddawał się? Cóż on wyprawia? Miał się nie poddawać. Miał walczyć o swoje prośbą i może nawet groźbą, a później przeprosić - żeby mogła z wdziękiem przyjąć jego przeprosiny - i suknię, i usługi monsieur Parfaita. I klejnoty. Broń Boże, żeby miała zapomnieć wzmiankę o biżuterii jego matki, bez mała wymachuje jej tymi kosztownościami przed nosem, uśmiechnięty i zadowolony z siebie.

Był tak uprzejmy, a ona tak irracjonalnie niewdzięczna za całą jego uprzejmość.

A niech go diabli!

Abby uciekła oczami w lewo, potem w prawo. Wbiła wzrok w swoje pantofle. Przejrzał jej blef w grze, którą sama rozpoczęła, odwrócił sytuację i sprawił, że to ona wyszła na niemądrą, płytką i niewdzięczną. Niemniej natarła na niego jeszcze jeden, ostatni raz, po to tylko, by się przekonać, czy uda mu się dalej kryć za fasadą uśmiechu.

- Zatem nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym zeszła na bal w swojej własnej sukni, wyglądając jak teraz? Gdybym powiedziała ci, że uważam, że jedynym, co może mi pozwolić zachować bodaj pozory niezależności, jest samodzielne decydowanie o wyborze sukni, fryzury, poleganie na własnym osądzie w kwestii stroju?

- Czy miałbym coś przeciwko temu? Skądże znowu - odparł Kipp ze spokojem, łząc jak z nut. Gdyby przedstawił Abby jako swoją małżonkę w jej obecnym stroju, już na zajutrz oboje byłiby pośmiewiskiem całego Mayfair. Nie przejmował się tym, nie przejmował sobą, lecz ta dziwna kobietka zostałaaby zniszczona. O czym dobrze wiedziała.

A wszystko to podyktowane nad wyraz chwalebna, godną polecenia, acz w tym przypadku fatalnie rozumianą dumą.

- Kłamiesz - oznajmiła Abby i ponownie zadarła podbródek, choć czuła, że w żołądku jej się ścisza. Nie mogła zejść na dół w takim stroju. Nie minęłyby nawet dwie minuty, a już któryś z gości podałyby jej płaszcz i polecił go powiesić albo jakaś dama poprosiła o zaprowadzenie jej do sali wypoczynkowej dla pań.

Nie odpowiedział, natarła więc ostrzej.

- Stanąbyś u mojego boku i przedstawił mnie jako swoją żonę?

Kipp podszedł do niej, pochylił się i pieszczotliwym tonem szepnął jej wprost do ucha:

- Sprawdź to sama. - Mówiąc to, trącił palcem jej kok, po czym odsunął się. Po kolejnej chwili, jako że nie był z natury człowiekiem złośliwym, sam podsunął jej wyjście z sytuacji: - Chociaż uważam, że gdybyś założyła suknię, którą zamówiłem, i skorzystała z usług monsieur Parfaita, brylanty mojej matki byłyby korzystniej wyeksponowane. Zauważyłaś może jej portret w bawialni? Namalowany na zlecenie w dniu jej ślubu? Miała je na sobie, gdy do niego pozowała. Bardzo bym się ucieszył, gdybyś włożyła je dziś wieczorem, Abby, ku jej pamięci.

- Brylanty? - Abby wydała nie tyle pełnowartościowe słowo, co raczej piśnięcie, przypomniała bowiem sobie właśnie wspaniały naszyjnik, który widziała na portrecie, i wiedziała już, że została pokonana. A myślała, że to perły. Naprawdę lubiła perły.

Ale brylanty dosłownie uwielbiała, choć takie skarby nigdy nie znalazły się w jej posiadaniu. Czy aż tak bardzo pożądała pięknych przedmiotów, ukazania się dziś w jak najkorzystniejszym świetle, gdy po raz pierwszy stawi czoło towarzystwu jako żona Kippa, że gotowa była narazić na szwank swoje zasady dla kilku błyszczących kamyków?

Naturalnie, że pożądała, naturalnie, że była gotowa je narazić.

Czy już tego nie uczyniła, poślubiając Kippa dla własnej wygody i, tak, również dla jego wielkiego majątku?

Oczywiście, że tak, i oboje to wiedzieli.

W istocie rzeczy teraz, kiedy spokojnie się nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że zareagowała równie idiotycznie jak większość kobiet - obiema rękami biorąc wszystko, co miał jej do zaoferowania, a później uskarżając się, że w pewnym sensie w tej jego hojności gubi samą siebie. Nie tego od niej chciał. A doprawdy nie chciał wiele.

Być może, pomyślała, a żołądku coś jej wywinęło kozła, to ona chciała od niego więcej? Nie sukni, nie biżuterii. Po prostu *więcej*. Więcej jego uśmiechów, więcej uwagi, więcej niego samego.

A to, jak wiedziała, było nie tylko głupie, ale i niemożliwe! Nic dziwnego, że tak się na niego rozzłościła. Wolała to, niż być zła na siebie. Gardząc w duchu własną głupotą, szybko przyjęła pozę nieuciążliwej żony i dogodnej towarzyszki, tak jak tego od niej tego chciał - i tylko tego.

Wyjęła Kippowi kieliszek z ręki, usiadła na fotelu, na którym siedział przed chwilą, i przywołała na twarz szeroki uśmiech. Włożyła w to całą siłę woli, ale jakoś się udało.

- Cóż, a zatem sprawa załatwiona, milordzie - powiedziała, unosząc kieliszek w geście toastu, po czym opróżniła połowę jego zawartości. - Przyjmuję twoje podarunki.

- Wygrałem nasz spór? Jakież to satysfakcjonujące.

- I jakże nieprawdziwe. Niczego nie wygrałeś, milordzie Willoughby. Po prostu zmieniłam zdanie, to wszystko. Wolno mi chyba to zrobić, gdy słyszę przekonujący argument, prawda? To kwestia rozsądku. W dodatku nie chciałabym, żebyś pomyślał, że jestem uparta i obstaję przy czymś na własną niekorzyść.

- No tak, naturalnie - zgodził się Kipp, pełen uznania dla jej logiki, aczkolwiek wydała się mu dość pokrętna.

Abby rozluźniła się; była o sobie minimalnie lepszego zdania i знаła się odrobinę lepiej niż przed godziną.

- Chciałam cię ukarać za twoje dość protekcyjne wyśiłki, by przejąć kontrolę nad moją garderobą, koafiurą, moim życiem. Chciałam ci dać do zrozumienia, nie pozostawiając miejsca na żadne wątpliwości, milordzie, że zgodziłam się na to małżeństwo, lecz nie zdałam się na ciebie całkowicie, że pozostanę sobą. Odnoszę jednak wrażenie, że swoje już powiedziałam, i wolno mi chyba wdzięcznie przystać na rozsądny kompromis.

- Wdzięczny kompromis? Tak, teraz widzę to wyraźnie. Nikt nie wygrał, nikt nie przegrał. Po prostu zmieniałaś zdanie. Sama z siebie, mam rozumieć? Kwestia rozsądku?

- Czyżbyś zamierzał sobie przypisywać zasługę także za mój rozsądek, milordzie?

Jej uśmiech był słodki jak miód, tak słodki, że niemal czuł jego smak. Ta nobliwa „niania” o niczym nie wyróżniających się rysach twarzy miała uśmiech kokietki.

Niezwykle denerwujące.

- Poczytywać sobie zasługę za to, co dzieje się w twojej głowie? Nigdy w życiu, moja droga. Ale rzeczywiście swoje już powiedziałaś, pani. Mam potrącić honorarium monsieur Parfaita z twojej pierwszej kwartalnej pensji? Bo ten człowiek chyba nadal tu jest, mam szczerą nadzieję?

-Jest. Zabrał się za przycinanie włosów Sallyann, bo pomstował, że nie zamierza stać beczynnie i że nie pozwoli się przestawiać z kąta w kąt. I nie, niczego nie potrącis z mojej pensji, bo postanowiłam z wdzięcznością przyjąć wszystko od ciebie w prezencie ślubnym.

- Kamień spadł mi z serca - mruknął Kipp i podszedł do drzwi łączących sypialnie. - Pobraliśmy się, pocałowaliśmy i posprzecaliśmy po raz pierwszy. Spór zakończył się remisem, ponieważ ty po prostu zmieniałaś zdanie. Dużo materiału przerobiliśmy w ciągu kilku krótkich godzin, kilku krótkich dni. A ja przyłapuję się na myśli, że coraz bardziej podoba mi się nasz układ. Mam nadzieję, że i tobie?

Na wzmiankę o pocałunku Abby potknęła się o skraj

własnej halki, zatrzymała się, nabrała powietrza do płuc i spojrzała na męża.

- Póki co nie narzekam, milordzie, owszem. A jeśli pytasz, czy podobał mi się tamten pocałunek, a jestem pewna, że tak - bez wątpienia w nadziei, że mnie tym zbijesz z tropu - pozwól, iż powiem, że podobał mi się bardzo. W istocie rzeczy przypuszczam nawet, że okażesz się całym interesujący jako kochanek.

Powiedziała to i uśmiechnęła się, sugerując Kippowi, że zamierza odwzajemnić się tym samym. Twarz oblekła mu się ognistym szkarłatem, co ogromnie ją ucieszyło, skoro bowiem miała już być wygadana i szczerą, równie dobrze mogła cieszyć się wrażeniem, jakie wywierała na nim jej postawa.

Nie zapytała nawet, czy tamten pocałunek sprawił przyjemność jemu, jak gdyby po prostu zakładała, że tak. Teraz to Kipp miał poczuć się niezręcznie i wiedział, że było to zgodne z jej życzeniami. Cóż za dziełne drobne stworzonko. Zupełnie jakby czerpała przyjemność z wygłaszania skandalicznych stwierdzeń, lubowała się w przypominaniu mu bez końca o warunkach, na których zawarli małżeństwo... i o tym, że była przygotowana na nie wszystkie.

- Podobał ci się, moja droga? Niebywałe to satysfakcjonujące, pani - wymruczał, otwierając drzwi między sypialniami. Ten jej irytujący niewzruszony spokój w obliczu podobnie intymnej dyskusji skłonił go do zadania kolejnego bulwersującego pytania: - Czyżbyś zatem chciała powiedzieć, jeśli jeden pocałunek pozwala wyciągnąć jakiegolwiek wnioski, że mógłbym dorównać twojemu zmarłemu mężowi w sztuce kochania?

- Wszystko się okaże, milordzie - odpowiedziała i z przechyloną lekko głową badała wyraz jego twarzy. Zaczynała go poznawać, odczytywać jego myśli, rozumieć go - i uczyła się, jak wytrącać go z równowagi. Wiedziała, że zawsze kiedy czymś szczególnie się dręczył, silił się na wesołkowatość, która zresztą doprowadzała ją do szalu. Myśl, że mo-

głaby mieć bodaj odrobinę władzy nad nim, że była zdolna do tego, by poruszyć go na swój skromny sposób, jeśli nawet budziła w nim emocje, które o miłość nawet się nie otarły, uderzała jej do głowy jak stare wino.

Przynajmniej, przypuszczała, nie będzie teraz musiała dzielić łoża z kimś zupełnie obcym.

- Widzisz - zaczęła, stojąc w progu już w bezpiecznej odległości - od kilku dni myślałam o Harrym, porównywałam go z tobą, jak to sam przed chwilą zasugerowałeś. I, szczerze powiedziawszy, liczę na to, że przewyższysz Harry'ego w tym polu. Wierzę bowiem, milordzie, że po prostu lubisz kobiety, Harry natomiast raczej chyba nie, jeśli lepiej się nad tym zastanowić. Zatem tak, pocałunek z popołudnia był zdecydowanie satysfakcjonujący.

Zatrzasnęła za sobą ciemne drewniane drzwi i została sam, zapatrzony w przejście, w którym zniknęła, w myślach jak echo powtarzając końcówkę jej wypowiedzi.

Kpiarskiej.

Rzucającej mu wyzwanie.

Zaledwie pomyślał, że już ją rozumie, zmieniła się w inną osobę. Czasem skromna i cicha. Czasem błyskotliwa i spostrzegawcza. Niekiedy pruderyjna. Skora do gniewu, ale równie szybko na powrót spokojna. Czasem prowokująca, bardzo, do cholery, kusicielska, jak na kobietę o aparycji polnej myszy.

Niedawno sądził, że znalazł sobie wzór stateczności. A teraz zastanawiał się, czy na własne życzenie nie przykuł się obrączką do niezwykle irytującego chodzącego paradoksu. Kobiety, której nastrój, a nawet osobowość zmieniały się o wiele częściej niż kapelusze na głowach dam z wielkiego świata.

Ponownie napełnił kieliszek i zasiadł na fotelu. Długie nogi wyciągnął na podnóżku.

Zaśmiał się z cicha, gdy przypomniał sobie minę Abby, pełną zachwyty, potem znękaną w chwili, gdy wspomniął

o rodowej biżuterii Willoughbych: zareagowała zupełnie jak dziecko, któremu ktoś nagle proponuje jakiś wspaniały smakołyk, ale dopiero wtedy, gdy najpierw zje całą obrzydłą owsiankę.

Ze zmarszczonym czołem przyjrzał się zawartości kieliszka, zastanawiając się, jaki w łóżku był Harry Backworth-Maldon,

I długo wpatrywał się w buzujący w kominku ogień, a w duszy zadawał sobie dwa kluczowe pytania: kim jest ta kobieta, którą poślubił z tak egoistycznych pobudek, i dlaczego nagle uznał, że warto zadać sobie trud poszukania odpowiedzi na to pierwsze pytanie.

14

Abby nie zeszła na kolację.

Kipp zastukał do drzwi jej sypialni, gdy rozległ się drugi gong. Ujrzał zasapanego Francuza, który gwałtownie otworzył drzwi na oścież i łypnął na niego dość nieżyczliwie, nim opanował się trochę i zaprezentował pokłon dość elegancki jak na kogoś, kto w jednej ręce dzierży nożyczki, w drugiej zaś węzeł złotych włosów.

Fryzjer był wysokim mężczyzną pod czterdziestkę, chudym jak wiór i odzianym od stóp do głów w dość krzykliwą błękitną satynę, jakby spodziewał się, że może w każdej chwili zostać wezwany na dwór francuski. Koronki pieniły się mu wokół szyi i nadgarstków. Wąski brązowy pas, nafaszerowany nożyczkami i grzebieniami, zsunął mu się do połowy bioder.

Prezentował się śmiesznie, ale najwyraźniej o tym nie wiedział.

- Milord - odezwał się w końcu Parfait; mówił z silnym francuskim akcentem - czy takie przeriwniki są konieczni? To ja tu jestem konieczni, miszłę sobie.

Kipp niespodzianie przypałał się na myśli, że czuje się lekko onieśmielony, a był to czysty idiotyzm, bo w końcu był baronem, do cholery, a wszystko, czym dysponowała ta szczapa, to monstrualna ilość włosów jego żony.

Niemniej zwyczajnie ekstrawaganckich artystów typu Parfaita stanowiły dla Kippa zagadkę i wołał, żeby tak zostało. Postanowił opanować złość i przywołać nie oburzoną, a zatroskaną minę. Co do jednego nie miał wątpliwości: nie korciło go, by wejść do sypialni i zobaczyć, co ta grochowa tyka wyprawia z głową jego żony!

- Chciałem jedynie zapytać, czy milady jest gotowa, by zejść na kolację. - Gestem wskazał nożyczki i dodał: - Ale przypuszczam, że nie.

- Najsupełniej słuźni pszipuszczenie, milord - odparł majestatycznie Parfait i zamknął Kippowi drzwi przed nosem.

Co uprzytomniło temu drugiemu, że władza nad własnym domostwem na dłuższy już czas wymknęła mu się z rąk, od kiedy Abby po raz pierwszy przekroczyła progi rezydencji i nawyczyniała tych swoich sztuczek, na czymkolwiek one polegały, tak że we własnym domu czuł się jak intruz?

Prawda. Abby Backworth-Maldon - nie, Abby Rutland, baronowa Willoughby - nie przebywała tu nawet od pięciu godzin, a już domowe porządki, które, jak wcześniej wierzył, miały jeszcze zbliżyć się do doskonałości, zostały całkowicie wywrócone do góry nogami.

Jakże to się stało? To nie powinno było się stać.

Odesłany z kwitkiem spod drzwi własnej żony. Odprawiony przez fryzjera.

Płakać się chce.

W korytarzu Kipp natknął się na nadchodzącą z przeciwnego kierunku Sallyann z ciężką, srebrną tacą w rękach.

Na jego widok dygnęła, usiłując nie uronić niczego z jej zawartości.

Kipp uniósł jedną z dwóch identycznych srebrnych przykrywek i ujrzał to, co, jak mętnie sobie przypominał, stanowiło drugie z dań planowanych na kolację. Cienkie plastry znakomitej, krwistej wołowiny i kilka prostych dodatków.

- A druga porcja? - spytał pokojówkę, wiedząc już, że co usłyszy. To by do Abby pasowało, zadbać o to, by monsieur Parfait został należycie nakarmiony - po czym zastanowił się, skąd to wie.

- To dla mesjera, milordzie. Są bardzo zajęci, milordzie - wyjaśniła Sallyann zdenerwowana, ze wzrokiem wbitym w jego buty. Następnie zerknęła na niego i zachichotała. - Ależ mamy przy tym przednią zabawę, milordzie, jeśli wolno mi to powiedzieć. Nie ma miśszej pani od naszej jaśnie pani. Dobrze jaśnie pan trafił, co to, to na pewno.

- To ogromna radość słyszeć, że mam twoją akceptację - odrzekł Kipp, następnie uśmiechnął się tak dobrodusznie, jak tylko zdołał, pokojówka bowiem zaczerwieniła się jak burak, z czym nie było jej szczególnie do twarzy, a jej mina sprawiła, że zaczął się obawiać o nieskazitelny wygląd swoich wyglansowanych butów. - Nie zatrzymuję cię. Poinformuj jaśnie panią, że życzę sobie ujrzeć ją na dole za godzinę. Dobrze?

Sallyann z trudem przełknęła ślinę, jakby zrobiło się jej niedobrze, i dygnęła ponownie, omal nie upuszczając tacy, którą Kipp wolał na chwilę wyjąć jej z rąk i poczekać, aż dziewczyna się wyprostuje.

- Przepraszam, milordzie. Tak mi przykro, milordzie. Muszę biec, milordzie - wymamrotała tak szybko, że słowa zlały się w jedno, złapała tacę i pomknęła dalej.

- Nieuciążliwa, nieskomplikowana. Każde sobie, nikt nikomu nie utrudnia życia. Rozsądne, sensowne rozwiązanie, optymalny układ dla każdej ze stron. - Zatopił palce we włosach. Skręcił właśnie do dużego holu wejściowego, kierując

się do bawialni, by zabrać Brady'ego i do wszystkich czortów zjeść coś, nim zaczniesz z głodu podgryzać meble. - Ha!

Gillett machnięciem ręki odprawił z bawialni służących, ledwie podali danie główne, następnie zajął swoje stanowisko po lewej stronie komody na wypadek, gdyby okazał się potrzebny. Kipp niejedną raz zastanawiał się, czy Gillett byłby skłonny nakarmić go łyżką, gdyby zaszła taka potrzeba, choć to, dlaczego karmienie miałoby okazać się niezbędne, nadal pozostawało dla niego zagadką.

- Zamknęła się na klucz w swoich komnatach, co? - odezwał się Brady po dłuższej ciszy, a w brązowych oczach coś mu zamigotało. Kilkakrotnie usiłował sprowadzić rozmowę na temat Abby, za każdym razem spotykał się z ostrą odprawą, ale był z natury nieustępliwy i ustąpić nie zamierzał. - Ciekawostka. Coś ty zrobił, przyjacielu, śmiertelnie ją wystraszyłeś mężowskimi zapędami? Wstydz się.

- Grzecznie zjedz swój groszek, Brady, bo nie dostaniesz deseru - rozkazał pół żartem, pół serio Kipp, udając, że nie słyszy zdławionego chichotu Gilletta. Kolejny wróg za bramami! - Jak już ci mówiłem, toaleta zabiera milady o wiele więcej czasu, niż przewidywała. Chociaż przyznam ci się, że czekam na jej wejście z pewnym drżeniem, biorąc pod uwagę błędny wzrok jej fryzjera.

- Parfait? Chyba to jego ściągnąłeś, prawda? Naturalnie, że tak, bo jest najlepszy. Błędny wzrok, powiadasz? U Parfaita? Cóż, to Francuz, nieprawdaż, choć słyszałem, że nożyczkami operuje jak artysta. Myślisz, że Abby mogła go nimi dźgnąć?

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Dlatego, że to ty go przysłałeś, Kippie - odparował Brady, biorąc do ust mały kawałek chleba posmarowanego masłem. Nie umiał sobie przypomnieć, kiedy ostatnio równie dobrze bawił się podczas posiłku. - Posiałeś jej również suknie, a obaj wiemy, że Abby przyjęła je tylko dlatego, że znalazła się pod przymusem. Odnoszę wrażenie, że twoja świeżo upieczona małżonka, jeśli moje obserwa-

cje są trafne, nie przepada za dobroczynnością. Czy też za myślą - dokończył z uśmiechem - że mógłbyś być zdania, że potrzebna jej „renowacja”.

- Aleś ty przenikliwy - warknął Kipp, odpychając od siebie talerz z prawie nietkniętym posiłkiem. - Może powinienś się był z nią ożenić, skoro ją znasz tak dobrze, jak mi się zdaje.

- Och, ale to nie ja jestem w niej zakochany po uszy i nie ja mam ogłosić ten fakt całemu światu już za kilka minut, czyż nie tak?

- Dlaczego ja zaprosiłem cię na kolację? - Kipp mierzył przyjaciela spokojnym wzrokiem.

- Dlatego, że potrzebny ci sprzymierzeniec, zgaduję. Buffer między tobą a twoją połówicą, gdy będziecie spędzać pierwszy wieczór jako mąż i żona. Swoisty wspornik, dzięki któremu przejdziesz przez ten wieczór tak gładko, jak to możliwe. Przyjaciel, który ci przypomni, jeśliśbyś nie pamiętał, bardzo ważne powody, dla których obrałeś tę właśnie drogę, jeśli prowadzącą nie ku szczęściu, to przynajmniej ku jakiejś harmonii i - jeśli wolno mi zaryzykować to stwierdzenie - bezpieczeństwu.

- Doprawdy? Aż tyle? - Kipp odchylił się, gdy Gillett własnoręcznie zabrał się za ponowne napełnianie jego kieliszka. - Szczerozłoty z ciebie człowiek, Brady.

- A tak, święta prawda, co? Po prostu szczerozłoty. Jestem choć trochę pomocny?

- Nie, Brady, ani trochę.

Brady odchylił do tyłu głowę i zaniósł się gromkim śmiechem. Śmiał się, dopóki wyraz twarzy Kippa nie zmienił się, alarmując, że przyjaciel przeżywa właśnie swoisty szok.

- Kipp? - spytał z niepokojem, następnie obrócił się w krzesło, by sprawdzić, co przykuło uwagę Kippa i odpowiada za jego zdumioną minę.

- Na miły Bóg! - Brady zerwał się na nogi, przeklinając się w duchu za ten mimowolny okrzyk zaskoczenia. Później

zaś, jako że był sobą, człowiekiem, który w chwilach poruszenia nigdy nie lękał się popełnić *faux pas*, a serce nosił nie tyle na dłoni, co na języku, dodał: - Abby? To ty? Wyglądasz cudownie. Kippie, czyż ona nie wygląda cudownie?

- Wyglądam *lepiej*, co nie jest wielkim osiągnięciem, zważywszy, jak prezentowałam się w moich starych sukniach i fryzurze, która była przekleństwem mojego życia. Trudniej byłoby sprawić, żebym wyglądała *gorzej* - odezwała się Abby, bo Kipp zaniemówił i przez chwilę wierzył, że mowy już nie odzyska. - Monsieur Parfait ślubuje, że zrobię furorę. Ale łatwo ponoszą go emocje, a w dodatku sądzę, że mnie lubi, nie mogę więc wierzyć jego słowom, nie zaprawiając ich dla zdrowia paroma łyżkami soli. Nawiasem mówiąc, czy wiecie, że robił kiedyś peruki dla Marii Antoniny, czy też raczej pomagał przy nich ojcu?

Kippowi szumiało w uszach, tak że ledwie ją rozumiał.

- Gdzie się podziały twoje włosy?

Wzdrygnął się, słysząc, jak to zabrzmiało, a słowa te zdawały się wisieć w powietrzu. Brady spojrział na niego, ze smutkiem pokręcił głową, jakby wysoce nim rozczarowany. Z drugiej strony, jak wiedział Kipp, Brady prawdopodobnie nie zastanawiał się, jak długie, jasne włosy Abby wyglądałyby rozsypane na jego poduszce. Bo Kipp się nad tym zastanawiał. A teraz nie dowie się już nigdy.

- To znaczy - poprawił się szybko, obchodząc stół, by wziąć Abby za rękę - nie przypuszczałem, że Parfait obecninie aż tyle.

- Ostrzygł mnie jak owcę, prawda? Nie potrafię powiedzieć, jakie to wyzwajające uczucie nie mieć takiej góry włosów leżących na głowie jak kamień - odpowiedziała Abby, zabierając dłoń, i usiadła na krześle, które Gillett dla niej odsunął. - Spóźniłam się na deser? Sallyann mówiła, że będą truskawki. Nigdy nie jadłam truskawek.

Abby dużo wysiłku wkładała w to, by wydawać się spokojna i naturalna - jakby siadanie do stołu ze świeżo upie-

czonym mężem i człowiekiem, który spiskował, by do tego małżeństwa w ogóle doszło, było czymś najzupełniej naturalnym.

Niemniej wiedziała, jak wygląda, i na pewno nie wyglądała ani nawet nie czuła się jak ta sama kobieta, której jego lordowska mość się oświadczył, której zaproponował małżeństwo z rozsądku zaledwie przed kilku dniami.

Tamta kobieta nosiła brzydką suknię. Włosy miała odgarnięte z twarzy i zwinięte w brzydki, przylizany kok.

Oblubienica barona tonęła dziś w najdelikatniejszych jedwabiach różanej barwy, współgrającej z bielą jej skóry, a na szyi i w uszach migotały diamenty.

Włosy jego żony okalały dziś jej twarz, nie dłuższe niż na dwa cale i przechodzące w finezyjnie wycieniowane loczki przy odsłoniętych uszach, nad czołem, jej kark zaś pieśczośliwie muskały anglezy.

Dzisiaj jego żona czuła się tak, jakby naprawdę istniała szansa, że będzie dzielnie się trzymać, gdy on przedstawi ją towarzystwu jako swoją panią.

Szkoda tylko, że przy mężu czuła się tak zdenerwowana.

I jakże to miło, że wydawał się nie mniej zdenerwowany niż ona.

- Naprawdę wyglądasz znakomicie, Abby - powiedział Kipp, gdy Gillett rzucił się postawić przed nią czarkę z truskawkami w śmietanie. - Naprawdę.

Ugryzł się w język. Boże, nie lepiej od razu pójść do gabinetu i palnąć sobie w łeb? Co się z nim działo? Mógł nie być największym mówcą świata, ale zawsze dość zręcznie radził sobie z komplementami, szczerymi czy po prostu grzecznościowymi.

Dlaczego więc nie potrafił powiedzieć Abby niczego, co byłoby choć połowicznie do przyjęcia?

Na dodatek mimo że z pewnością wyglądała lepiej niż dotychczas - jak sama z humorem zauważyła, innej możliwości nie było - nie mógł szczerze stwierdzić, że jego mał-

żonka w przedziwny sposób zmieniła się w oszałamiającą piękność. A wystarczająco wiele oszałamiających piękności widział, wystarczająco wiele przewinięło się przez jego łóżce.

Dlaczego zatem nie mógł oderwać od niej oczu?

Łamał sobie głowę nad odpowiedziami na pytania, na które odpowiedzieć nie sposób, i nawet nie zauważył, kiedy jej fiołkowe oczy stały się tak ogromne, iż tylko one zdawały się pozostać z jej twarzy.

Kipp uniósł kielich i wychylił całą jego zawartość.

- Dziękuję, milordzie. Miałaś rację, że nalegałeś. Monsieur Parfait to dokładnie to, czego mi było trzeba - zwróciła się do niego Abby, następnie przymknęła oczy i po raz pierwszy skosztowała truskawek. Bezwiednie jęknęła z rozkoszy, następnie nieśmiało zlizła z wargi kropelkę śmietany. - Och, jakie to dobre.

Kipp z hukiem odstawił kieliszek.

Brady, który stał w milczeniu, obserwując wzajemne zachowanie małżonków z całym zainteresowaniem widza na pierwszorzędnym przedstawieniu, zakasłał, kryjąc usta dłonią, i pod byle pretekstem szybko się oddalił.

- Sophie cię pozdrawia za pośrednictwem Brama i moim - powiedział Brady, spacerując z Abby po obrzeżach sali balowej chwilę po tym, gdy nowa lady Willoughby powitała u boku małżonka ostatniego z niekończącego się, *jak się zdawało*, strumienia gości. *Kippa do rozmowy o wierzchowcach wciągnął jakiś czerwony na twarzy człowieczyna*, którego, pamiętała to jak przez mgłę, przedstawiono jej jako księcia czegoś tam.

Uśmiechnęła się, myśląc o przemiłej księżnej Selbourne.

- Tak? Cóż za urocza kobieta. Taka ciepła i troskliwa. Posłałam jej liścik z gratulacjami z okazji narodzin syna, a ona mi odpisała, że jego lordowską mość spotkało wielkie szczęście, że w końcu ma kogoś, kto będzie się o niego troszczył. Zakładam, że powiedziałaś jej o słu-

bie? Jest niezwykle opiekuńcza wobec przyjaciół, prawda?

- Niektórzy powiedzieliby, że Wścibska czy nawet natrętna - odparł Brady z uśmiechem - ale „opiekuńcza” to o wiele miłsze słowo. Mam nie spuszczać z ciebie oka przez cały wieczór, a następnie z samego rana złożyć Sophie sprawozdanie, opowiedzieć jej, co działo się na balu, minuta po minucie. Bram byłby tutaj jej oczami, naturalnie gdyby zdołała postawić na swoim, ale nie zgodził się odstąpić jej na krok, dopóki sama nie będzie mogła znowu bywać. Zdaniem Sophie, nastąpi to lada dzień. Dziewczyna rwie się do tego, jak powiada Bram, powtarza, że jest matką, nie inwalidką, i że jedynie mężczyzna byłby zdania, że musi przeleżeć w łóżku cały miesiąc, gdyby urodził dziecko, bodajże tak to brzmiało. To Sophie kazała przekazać tobie. Mówi dokładnie to, co myśli. Nie trzeba chyba dodawać - potrząsnął głową i znów się uśmiechnął - że Bram wygląda, jakby sam był na ostatnich nogach.

Abby uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz uśmiech zamarł jej na wargach, ujrzała bowiem, jak uderzająco piękna rudowłosa kobieta podchodzi właśnie do Kippa, opiera dłoń na jego ramieniu i zalotnie spogląda mu w twarz. Widziała ją wcześniej tamtego dnia na pikniku, w dniu gdy Kipp się jej oświadczył.

- Brady? - spytała cicho, nieznacznym skinieniem głowy prosząc, by spojrzął w głąb sali balowej we wskazanym przez nią kierunku. - Kto to, jeśliś tak miły.

Brady udawał, że wyteża wzrok, by zobaczyć cokolwiek z takiej odległości, choć zobaczył już dość, by znać odpowiedź na pytanie Abby.

- Lady Skelton, moja droga - poinformował ją - nikt, kto by się liczył. Już była w pół drogi do drzwi, zanim ty weszłaś.

- A czy *ona* o tym wie? - rzuciła półgłosem Abby, gdy Kipp uśmiechnął się do niej i poklepał ją po ręce. - Albo *on*?

- Och, nie przejmuj się tym, Abby. Kipp ma flirt we

krwi. Wątpię, czy umiałby się powstrzymać. Ale na tym koniec. Jeśli ci coś obiecał, to obiecał i obietnicy dotrzyma. Bo złożył ci obietnicę?

- Składaliśmy je oboje - poprawiła i z rozmysłem odwróciła się tyłem do męża, śmiechem witającego wyszeptaną mu do ucha przez lady Skelton uwagę. - A jeśli zastanawiasz się, czy w grę wchodzi tu moje serce, to przyjmij moje zapewnienie, że tak nie jest. Niemniej duma mi nie pozwoli tolerować tego, by mój mąż flirtował ze swoją kochanką w dniu naszego ślubu. Dość zachodu mnie kosztuje to, by wypaść na tyle przekonująco w mojej nowej roli, by socjeta uwierzyła, że nasze małżeństwo nie jest najwykolejszym oszustwem. Och, tak, i jeśli nie mówiłam ci tego ostatnimi czasy, to dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Naprawdę to doceniam, nawet jeśli na to nie wygląda. A teraz bądź łaskaw podejść tam i przypomnieć mojemu małżonkowi, że jest człowiekiem żonatym, dobrze? Przynajmniej dzisiejszego wieczoru.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, Abby - odparł Brady i skłonił się dwornie. - Jesteś pewna, że chcesz zostać sama? Wody dziś roją się od rekinów, krążących w nadziei, że zwierzą krew.

- Nic mi nie będzie, Brady, poza tym widzę Edwardine, o tam, a naprawdę chcę z nią porozmawiać, upewnić się, czy doszła do siebie po południowym napadzie hysterii.

Przyglądała się, jak Brady się oddala, po czym westchnęła z ulgą i wymknęła się na balkon w przekonaniu, że zaślubiła sobie na chwilę samotności.

Doprawdy, w głowie się jej kręciło i wątpiła, czy przypomni sobie choćby jedno nazwisko, gdyby ktoś ją o nie zapytał.

Od pięciu minut swędziało ją ramię, ale walczyła z pokusą, by się podrapać, aż do teraz. Wiedziała, że wszyscy w sali balowej wlepiali w nią oczy, próbując rozgryźć, dlaczego to jego lordowska mość ją poślubił. Na litość boską, dlaczego poślubił właśnie ją?

Nie, nie była to właściwa pora, żeby się drapać, choć to może i zdrowo - chyba żeby życzyła sobie sprowokować plotki, jakoby prowincjonalna żonka barona miała pchły.

Pozostawała też jej rodzina, cała banda Backworth-Maldonów, z niegasnącym zapałem kursujących od jednej grupki arystokratycznych gości do drugiej, rozpowiadając każdemu, kto tylko zechciał słuchać, że owszem, tak, istotnie są najbliższymi krewnymi pani baronowej, a czego życzyliby państwo się o niej dowiedzieć?

Przymuszenie tej zgrai do złożenia przysięgi milczenia na tyle by się zdało, co próba nałapania deszczówki do sita.

Abby oparła się biodrami o balustradę, napawając się chłodnym dotykiem kamienia. I jakkolwiek gorąco marzyła, by bal już się skończył, lękała się myśli o pozostałej części wieczoru, chwili, w której baron otworzy drzwi dzielące ich sypialnie i upomni się o swoje prawa.

Pocałunek z popołudnia wstrząsnął nią do głębi jej jestestwa. Całowano ją wcześniej, i to setki razy, lecz widocznie Harry nie był w tej czynności tak wprawny, jak dotychczas mniemała.

Lub też może zbyt długo była wdową i czuła się teraz jak marynarz, który tak wiele czasu spędził na morzu, że pierwszy port, do którego zawija, zdaje mu się rajem.

Wiedziała - od Hermione, od zmarłej matki - że kobiety aspirujące do tego, by uchodzić za damy, nie powinny czerpać przyjemności z aktu małżeńskiego, a ona bez ogródek, beztrąsko wyznała baronowi, że jej osobiście sprawiał on przyjemność, i to wielką.

Ale sprawiał i nie widziała w tym powodu do wstydu, nie marzyła o tym, by resztę życia spędzić w czystości jak zakonnica. Zwłaszcza jeśli to życie miało okazać się bardzo długie...

Był młody i przystojny, i schludny, i dość miły na swój arogancki sposób, mogła więc jedynie sądzić, że okaże się bardzo przyjemnym kochankiem. Niesamolubnym.

Niemniej jak to się działo, że potrafił wyzwalać w niej tak nieoczekiwaną namiętność jednym pocałunkiem?

Najwyraźniej do tej pory pokładała w nim zbyt mało nadziei.

Jeszcze jedna kwestia nurtowała Abby, świadomość, że jak na razie niewiele uczyniła, by ułatwić mężowi życie. On prosił, a ona się zgodziła, by nie wtrącali się w swoje sprawy więcej niż to konieczne, by w miarę możliwości każde z nich szło własną drogą.

Problem polegał na tym, że nie potrafiła czuć się swobodnie, jedynie mieszkając z nim pod tym samym dachem i okazjonalnie ogrzewając mu łóżko. No chyba że lubiłaby czuć się jak utrzymanka, dobrze opłacana dziwka. Musiała sprawić, by jego dom stał się również jej domem, lecz poufałość ze służącymi, proszenie ich o pomoc, wydawały się z niezrozumiałych powodów wywoływać wzbурzenie jego lordowskiej mości.

Zupełnie tak, jak jego ingerencja w sprawy jej stroju i fryzury wzbурzały ją.

Dotychczas żywiła nadzieję, że jakoś się dotrą. Teraz zastanawiała się, czy nie posypią się iskry, nie wybuchną kłótnie, do których nie powinno dochodzić, skoro dla żadnego z nich ich wzajemny stosunek nie miał większego znaczenia.

Zamknęła oczy i poprzysięgła sobie w duchu, że będzie w przyszłości mniej natrętna, że zajmie się swoimi sprawami i nie będzie wchodzić mu w drogę. Tylko o to prosił w zamian za swoje nazwisko, opiekę.

- Jeśli kontemplujesz, czy skoczyć, pozwól, że pomogę ci wejść na poręcz.

Abby odwróciła się gwałtownie, słysząc kobiecy głos, dość chropawy, nienaturalnie melodyjny pomimo sarkastycznego tonu, zabarwiony jadem i czymś aż nazbyt zbliżonym do szczerej nienawiści.

- Lady Skelton - odezwała się, natychmiast poznając tę kobietę. - Jakiś problem?

- Problem? - powtórzyła Roxanne. Cienkie, wyskubane brwi uniosły się niemal *do* linii włosów w szyderczej imitacji udawanego zaskoczenia Abby.

Roxanne zbliżyła się do niej, a Abby odsunęła się od balustrady. Następnie kobieta obeszała ją dookoła, taksując oczami, wzgardliwym uśmiechem kwitując jej suknię i jawnym już śmiechem jej krótką fryzurę.

Abby odpowiedziała jej takimi samymi oględzinami, by ocenić, jak groźna może okazać się jej rywalka.

Były bowiem rywalkami.

Każda rozpoznała w drugiej wroga w sposób, w jaki potrafią tylko kobiety: bez jednego słowa, nie wiedząc o sobie nic prócz nazwiska. Instynktownie czuły, że się nie lubią i nie polubią nigdy, jedną mierzył głos drugiej, jej wygląd, fakt, że cokolwiek je łączy.

Niczym para kogutów na posypanym trocinami ringu, gotowych dziobać się i drzeć pazurami, aż poleje się krew.

- Ach, tak, problem. Może coś, czemu mógłby zaradzić talerzyk suszonych śliwek? - spytała niewinnie Abby, wciąż jeszcze starając się, by słodycz nie znikła całkiem z jej głosu. Pozwoliła, by wysączała się z niego swobodnie, w powietrzu krystalizując w jad.

- Posłużył się tobą, wiesz - mówiła Roxanne, ignorując obraźliwą aluzję Abby. - Wykorzystuje cię, żeby bronić się przed wszystkimi tymi dziewczátkami, którym zdawało się, że tytuł baronowej mają w kieszeni.

- I przed wszystkimi mężátkami, które patrzą na niego w ten sam sposób? - spytała Abby w przebłysku kobiecej intuicji, która poraziła jej umysł jak błyskawica. Patrzyła, jak rumieniec gniewu obleka dekolt i szyję lady Skelton, a następnie wpełza na jej policzki.

Boże miłosierny, ta kobieta naprawdę hołubiła w głębi duszy nadzieje, że pewnego dnia zostanie żoną Kippa? Brała pod uwagę skandal, jaki wybuchłby w razie rozwodu, i wcale jej to nie zrażało? I spodziewała się, że on na to pójdzie?

Najwyraźniej lady Skelton nie znała męża Abby tak dobrze, jak znała go Abby, a Abby nie znała go najlepiej.

Możliwe, że baron nie wiedział, jakie plany powzięła wobec niego lady Skelton, co od niego miała nadzieję uzyskać. Czy lady Skelton stanowiła kolejny cichy powód, dla którego Kipp zdecydował się na małżeństwo z rozsądku, bo chciał się jej pozbyć? Może chęć pokazania się Merry i Jackowi Coltrane'om w roli szczęśliwego żonkosia nie była wszystkim, co skłoniło go do oświadczeń. Nic dziwnego, że tak gorliwie poszukiwał najmniej uciążliwego rozwiązania swoich rozlicznych dylematów, a następnie rozwiązanie to poślubił.

Ojej, bo też faktycznie rozwiązała chmurę jego problemów, prawda? A on tymczasem dorzucił jej kolejny problem na głowę w postaci odtrąconej kochanki!

Abby nagle ujrzała siebie jako jedną z osaczonych bohaterki Araminthy Zane, uwięzłą w sieci intryg nie przez siebie uknutych, i nie mogła uwierzyć, że rzeczywistość dorównała romantycznej fikcji.

Niemniej jednak, skoro już miała grać jakąś rolę, postać bohaterki z romansu nie była zbyt przykra.

Lady Skelton milczała, lecz Abby nie zamierzała pozostawić jej żadnych złudzeń:

- Tak właśnie widziałas samą siebie, nieprawdaż, lady Skelton? Piastującą tytuł, który przypadł mnie? Co za wstyd. Marzenia kolejnej matrony walą się w gruzy. Musisz czuć się zdruzgotana, nie mówiąc już o tym, jak zdegustowana. Zostać zastąpioną, to jedno. Ale zostać zastąpioną przeze *mnie*, takie małe, nieciekawe zero? Tak, to zdecydowanie zgroza.

- Nigdy nie będziesz go miała tylko dla siebie.

Abby zawezwała w sukurs cały wrodzony tupet, po czym odważyła się na grubą nieprzyzwoitość. Wszystkie najlepsze bohaterki z książek Araminthy Zane umiały, gdy wystarczająco sprowokował je do tego Zły Potwór, zdobywać się na cudownie nieprzyzwoite tony.

- Nie będę? Jeszcze go nie miałam, owszem, ale noc jest jeszcze młoda, prawda? Może zechciałybyś ponownie to ze mną skonsultować jutro z samego rana?

- Dziwka! Mój Boże, prowincjonalny strach na wróble okazuje się zwykłą dziwką. - Roxanne uniosła rękę z zamiarem wymierzenia rywalce policzka i zorientowała się nagle, że jest odwrócona, a prawą rękę ma przyspiloną do pleców. Poczuciła, że coś popycha ją na balustradę, i usłyszała szept Abby:

- Jeśli kontemplujesz, czy skoczyć, pozwól, że pomogę ci wejść na poręcz. Czyż nie tak się wyraziłaś, czy nie tak mi groziłaś?

Abby puściła jej rękę i cofnęła się, uśmiechnięta. Boże miły, nie uciekała się do przemocy fizycznej od tamtej nocy, gdy Harry wrócił do domu pijany i usiłował wepchnąć ją do łóżka. Miło było się przekonać, że nie wyszła z wprawy.

Roxanne uczyniła krok w jej kierunku, masując ramię, bardziej już powściągliwa.

- Nie wiem, dlaczego się z tobą ożenił, ale się dowiem. A wtedy, *milady*, dopilnuję, żebyś została starta w proch.

Abby poczuła się nagle znużona, znużona do szpiku kości. Czy naprawdę wyobrażała sobie, że to małżeństwo będzie dla niej wygodne? Jak na razie było zdecydowanie niewygodne, a trwała w nim zaledwie jeden dzień.

- Skoro tak pani twierdzi, lady Skelton. Z pewnością wolno pani próbować.

Wróciła do sali balowej na czas, by zobaczyć, jak Iggy oddała się pośpiesznie niby człowiek, który usilnie stara się pozostać niezauważony.

- Cholera - mruknęła pod nosem.

A wierzyła, że to małżeństwo da jej spokój ducha, trochę niezależności... Na razie wszystkim, co zyskała, były dodatkowe powody do zmartwień i kolejna osoba pod jej opieką.

Czy urodziła się po to, by wszystkimi się opiekować?

A czy urodził się ktoś, kogo powołaniem było opiekować się nią?

15

Zatańczył z nią trzy razy. Dwa bezosobowe tańce.

I jeden walc.

Abby wirowała dookoła sypialni, ledwie dotykając stopami ziemi, z zamkniętymi oczami i uniesionymi rękami, jakby nadal trzymał ją w ramionach, a Sallyann uganiała się za nią, usiłując rozpiąć guziczki u jej sukni, przekonać milady, że jest już późno, bardzo późno, i że naprawdę powinna się już położyć.

- Żałuj, że mnie nie widziałaś, Sallyann - rozmarzyła się Abby, gdy zatrzymała się w końcu przed łóżem i opłótła ramionami jedną z czterech drewnianych biało-złotych podpór, na których opierał się baldachim. - Och, na początku czułam się dość niepewnie, ale jego lordowska mość znakomicie znalazł kroki i po kilku chwilach całe zdenerwowanie uleciało mi z głowy.

- Tak, psze pani - wybąkała pokojówka, rozpinając ostatni guzik, po czym zaczęła namawiać Abby, by puściła podporę, tak by różowa suknia z jedwabiu zsunęła się na ziemię. - A teraz gdyby milady raczyła zrobić krok i stanęła obok sukni? Najpierw jedna nóżka, potem druga. O tak, dobra dziewczynka.

Uwolniona od sukni Abby zaczęła znów tańczyć, niepomna westchnień Sallyann i jej dość bałwochwalczego uśmiechu.

- W kółko, i w kółko, i w kółko - powtarzała, niemalże unosząc się nad podłogą. Energicznym wymachem najpierw jednej, potem drugiej nogi pozbyła się wieczoro-

wych pantofli i jak fryga kręciła się dookoła w samych hal-
kach, w uszach wciąż jeszcze słysząc muzykę skrzypiec.

- Jaśnie państwo baron Willoughby z małżonką. Wszy-
scy patrzą, wszyscy szepczą, wszyscy są pod wrażeniem,
mimo woli pełni podziwu. Teraz jestem damą, Sallyann,
damą - trajkotała do pokojówki, raz jeszcze wyhamowu-
jąc przy łożu, i dla równowagi oparła dłoń o podporę, by
dosłownie rzucić się na materac, po czym przewróciła się
na plecy i uśmiechnęła, spoglądając na draperie.

Ręce i nogi rozłożyła na śliskiej satynowej kapie, co
chwila przesuając je jak wówczas, gdy jako dziecko od-
ciskała na śniegu „orzełka”. Zaśmiewała się radośnie.

Ale w jednej chwili oprzytomniała.

- Sallyann! - wykrzyknęła, przesuając szczupłe ciało ku
krawędzi materaca. - Jego lordowska mość. Jego lordowska
mość może tu być w każdej chwili, a ja, proszę, w samej
bieliźnie. Szybko, pomóż mi znaleźć koszulę nocną.

- Otóż i myśl, która mnie samej nigdy by nie przyszła
do głowy - zażartowała nieśmiało Sallyann, zawstydzona
jak dziecko, i pomachała najładniejszą z koszul, które Ab-
by przywiozła z domu, choć nie było to wiele, jako że
o nocnej bieliźnie Abby nie można było powiedzieć nic po-
nad to, że jest praktyczna.

Abby przyglądała się temu szkaradzieństwu przez dłuż-
szy czas, następnie wzruszyła ramionami.

- Będzie musiała wystarczyć, jak przypuszczam. Ale
obiecuję ci, Sallyann, że jutro we dwie przypuścimy istną
szarżę na Bond Street. Mam teraz pensję, wiesz, bo wiel-
kodusznie postanowiłam w końcu pogodzić się ze szczo-
drością jego lordowskiej mości.

- Ale ani o chwilę za wcześniej - odezwał się jej mąż, wcho-
dząc do sypialni, skutkiem czego rozchichotana, czerwona
jak piwonია Sallyann czmychnęła pośpiesznie do holu.

Abby spojrzała za swoją koszulą, która zniknęła właśnie
w holu wraz z pokojówką, następnie na swoją nową bieliznę

- sięgającą do łydki halkę bez ramiączek, ledwie zakrywającą piersi - cóż, przynajmniej ich połowę - i drugą, jeszcze cieńszą, narzuconą na wierzch i mocno ściągniętą w talii.

Wzruszyła ramionami, bo przyszło jej do głowy, że pewnie lepiej wygląda tak jak teraz, i uśmiechnęła się do męża, nagle żywo zainteresowana wciągnięciem go w rozmowę.

- To był nad wyraz przyjemny wieczór, milordzie. Mam wielką nadzieję, że oceniasz mój występ za udany. No i ty, z takim uwielbieniem spoglądający mi w oczy, gdy tańczyliśmy walca? Chociaż wiele osób zapewne uważa mnie teraz za czarownicę, która chyłkiem zaprawiła ci wino eliksirem miłości, myślę sobie, że przynajmniej drugie tyle mogło ci się udać przekonać, że kochamy się jak dwa gołąbki.

- Taki był chyba cel naszego przedsięwzięcia - stwierdził Kipp, wiele wysiłku wkładając w to, by patrzeć jej w oczy, a nie zachować się jak prostak i dokonać oględzin jej szczupłego ciała, którego nie starała się nawet okryć. Naturalnie nie sądził, że jest wstydliva. Wiele argumentów przemawiało za małżeństwem z wdową, z kobietą, która znała mężczyznę i wiedziała, co to przyjemność.

A potem poczuł, jak krew zaczyna tętnić mu w skroniach - postanowił sobie właśnie, że, do ciężkiej cholery, nauczy dziś tę kobietę, która do szału doprowadzała go swym spokojem, jak wygląda *prawdziwa* przyjemność, nawet jeśli do samego rana nie zajmowałby się niczym innym.

- Miałabyś ochotę na łyk wina? - spytał w połowie obrotu w kierunku swojej sypialni.

- Hmm? - Abby nie zwracała na niego uwagi. O wiele za bardzo pochłaniała ją godzenie się z faktem, że jej mąż stoi w jej sypialni, odziany w ten sam szlafrok, w którym go wcześniej widziała. Tym razem jednak był boso, łydki także miał gołe, co pozwalało wnioskować, że z resztą jego ciała zapewne miało się podobnie. Rój motyli, które, jak miała wrażenie, zadomowiły się w jej brzuchu i niedawno położyły się spać, obudził się i zaczął latać z trzepotem skrzydełek.

- Pytałem, czy napiłabyś się wina?

- Nie, milordzie - pokręciła głową - nie potrzebuję wina. Ale jeśli tobie...

- Mnie także nie jest ono potrzebne - przerwał jej Kipp, nim zdążyłaby doprowadzić go do szewskiej pasji. Jak ona śmie uspokajać *jego*? Najpewniej mogłaby zebrać wszystkie swoje doświadczenia z żalonym Harrym i wepchnąć je do naparstka, a nadal zostałoby w nim dość miejsca na pięciotomowe wydanie „Zmierzchu cesarstwa rzymskiego” Gibbona. - I kiedy przestaniesz tytułować mnie milordem? Wobec Brady'ego jesteś mniej oficjalna, co można by poczytać za obrazę, skoro się już nad tym zastanawiam.

- Przepraszam, milordzie... Kippie. To dlatego, że tak naprawdę to nie znamy się najlepiej, nie uważasz?

- Czyli Brady'ego znasz *lepiej*?

Abby zastanawiała się przez moment. Ze zmarszczonymi brwiami usiadła na brzegu łóżka - nieświadoma tego, co robi.

- Brady, cóż, Brady'ego nie jest zbyt trudno zrozumieć.

- A mnie tak? - Kipp podszedł do łóżka i usiadł obok. Zauważył, nie pierwszy raz owego wieczoru zresztą, że subtelnie pachniała fiołkami. - Mam potraktować to jako komplement, że jestem od Brady'ego *głębszy*?

- Nie, nie głębszy. - Potrząsnęła głową. - Brady nosi w sobie zagadki, tak myślę, sekrety, które skrywa za tym swoim uśmiechem. Twoje są chyba po prostu staranniej ukryte.

Abby obróciła się ku niemu, spojrzała wprost w te przepastne brązowe oczy i postanowiła spróbować, czy uda się jej wyciągnąć z niego jeden sekret czy dwa.

- Chociaż niełatwo mi uwierzyć w to, że powody, które skłoniły cię do małżeństwa ze mną, nie sięgają głębiej niż te, o których mi mówiłeś, jestem niezmiernie wdzięczna, że to mnie wybrałeś, bo jestem przekonana, że będę lubiła być baronową. W gruncie rzeczy jestem na razie jedyną osobą, która na tym małżeństwie skorzystała, a wiem, że tak być nie powinno.

Opuściła wzrok i spostrzegła, że dotykają się biodrami. Zdziwiająca, jak łatwo godziła się na fizyczną bliskość tego mężczyzny. Zastanawiała się, dlaczego.

- Być może to właśnie przyczyna, dla której jeszcze nie czuję się przy tobie w pełni odprężona.

Kipp oparł jej rękę na kolanie; nie drgnęła.

- Mnie wydajesz się całkiem odprężona.

- Dawno już nauczyłam się godzić z tym, co nieuniknione, milor... Kippie. - Po prostu nie zdawała sobie dotychczas sprawy z tego, jak niecierpliwie czekała na nieuniknioną kulminację dzisiejszego wieczora. Niemniej rozumiała świetnie, że znowu się z nią droczył, co powstrzymało ją od zwierzenia się z nieprzyjemnego epizodu z lady Skelton.

- To właśnie dlatego tu jesteśmy, Abby? Ponieważ to nieuniknione? Jakież to cywilizowane. Dobrze wiesz, żono, bierzemy się do rzeczy. - Kipp wziął ją za rękę i lekko przyciągnął do siebie, żeby wstała, po czym niżej zsunął kapek i gestem zaprosił ją z powrotem, by się do niej przyłączyć. Rzucił jej wyzwanie, by przyszła do łóżka, dotrzymała swojej z nim umowy, dowiodła prawdziwości swej deklaracji, że „sam akt” sprawia jej wielką przyjemność.

Niech ją diabli, jeśli nie zachowa się dokładnie tak, jak tego chciał, nie wgramoli się na ogromne łożo, najpierw jednak rozwiąże troczki wierzchniej halki i pozwoli, by osunęła się na ziemię. Czyniąc to wszystko, opierała się o jego ramię, także wtedy, gdy wdrapywała się na materac, odsłaniając jego oczom niebywale interesujący widok kształtnych pośladków pod przylegającym białym muślinem.

Dobrnęła na środek łoża, wsunęła nogi pod nakrycie, ręce skrzyżowała na talii i czekała. Czekwała, by do niej dołączył. By *odważył się* do niej dołączyć. Całą siłą woli nakazywała sobie patrzeć na niego bez drżenia, bez jakiegokolwiek oznaki zdenerwowania. Czy niecierpliwości. Bo, jak Bóg miły, nie mogła się doczekać.

Kipp sapnął głośno przez nos i potrząsnął głową.

- Ja chyba oszalałem - odezwał się bardziej do siebie niż do niej. Zostawił ją i obszedł pokój, gasząc kolejne świece, aż tylko dwie nadal paliły się na lichtarzu, nie licząc pełgających na kominku płomieni.

A ona nadal siedziała w tej samej pozie, oparta o poduszki, czekając na niego w półmroku.

Nie pożałował jej. Naprawdę nie. Nie umiał przeboleć jej chłodu, jej kamiennego spokoju, biernego pogodzenia się z tą najintymniejszą częścią ich umowy.

I nie podobała mu się wizja tego, że miałyby być oceniani za swoje wyczyny, porównywani do tego cholernego Harry'ego i że mógłby w czymś mu ustępować. Urażony tą możliwością, przeprosił w duchu każdą kobietę, z jaką mu się przez te lata zdarzyło sypiać, wszystkie, którym zarzucał jakiś niedostatek, na których miejscu pragnął widzieć Merry.

A zmieniał kobiety jak rękawiczki, tęsknił za kimś, kogo mógłby pokochać, za kimś, kto kochałby go dla niego samego, a nie za tytuł czy majątek, czy nawet za jego umiejętności jako kochanka.

Bo owszem, w łóżku był świetny, wiedział, jak zadowolić kobietę. Był to przyrodzony talent, który, miał nadzieję, nie zawiedzie go i teraz. Doszedł do tego wniosku, zdjął szlafrok i nagi wsunął się pod nakrycie.

I wtedy Abby go zaskoczyła.

- Gdybyś pomógł mi z tymi koronkami - odezwała się, siadając i odwracając się do niego plecami - myślę, że powinnam wykaraskać się z tego bez dalszej pomocy.

Powstrzymała westchnienie, które cisnęło się jej na usta. Wygłoszenie tego stwierdzenia kosztowało ją całą odwagę, na jaką potrafiła się zdobyć, gdy zmieniona w jeden wielki kłębek nerwów czekała na dotknięcie jego palców. Poczuła na skórze ich ciepło, gdy kolejno rozwiązywał koronkowe troczki. Obronnym gestem przycisnęła do piersi uwolnioną z ryzów halkę. Zastanowiła się przelotnie, czy kiedykolwiek zbierze się na odwagę, by rozluźnić kurczowy chwyt, zsu-

nać cieniutką materię przez biodra i zostać całkiem naga, odsłonięta, i nagle wyzuta z wszelkich emocji prócz obawy, jakiej nie doświadczała od czasów nocy poślubnej.

Mimo to jeszcze gorzej byłoby pozwolić, żeby to on ją rozebrał.

Kipp przygryzł wargę, żeby się nie rozeźmiać, gdy Abby dosłownie zanurkowała pod nakrycie. Z rozbawieniem przyglądał się, jak cienka satynowa kołdra wzdyma się i opada, a spod niej ukazuje się to kolano, to łokieć. Później jednak już bez uśmiechu patrzył, jak Abby wylania się ponownie, niezwykle starannie nakrywając piersi kołdrą, wydobywa spod niej białe zawiniątko, po czym ciska je na podłogę.

Ręce skrzyżowała na nakryciu, zadarła brodę i spojrzała mu prosto w oczy. Smukła, niemalże nazbyt szczupła kobieta o kształtnych ramionach i nieskazitelnej kremowobiałej skórze; z intrygującym cieniem między piersiami, szopą potarganych włosów i fiołkowymi oczami, które były szeroko otwarte i pełne paniki, choć dumny podbródek uniósł się odrobinę wyżej.

Wzruszyła ramionami. Czubkiem języka zwilżyła suche usta. Mrugnęła, a następnie powiedziała nobliwym tonem:

- Jestem gotowa.

I przepadło. Kipp nie mógł się dłużej powstrzymywać. Z głową zatopioną w poduszkach wybuchnął śmiechem i śmiał się... i śmiał... i śmiał.

Do chwili, rzecz jasna, w której mu przyłożyła.

Wymierzyła mu cios, dokładniej rzecz ujmując, w sam środek klatki piersiowej.

- To nie jest zabawne - ostrzegła bliska łez. Uderzyła go znowu. - To bardzo, ale to bardzo poważne. Mamy tu skonsumować małżeństwo, pamiętasz? Przypieczętować umowę. Boże, ależ ty jesteś nieznośny!

Chwycił ją za rękę - czy raczej pięść - i przyciągnął do siebie. Przygarnął mocniej, nie przestając zanosić się śmiechem, choć nadal trzęsła się ze złości, a jej fiołkowe oczy

stały się niemal zupełnie czarne pod wpływem targających nią emocji.

Jaka szkoda, że te emocje, jak się zdawało, ukierunkowane były zwykle na to, by go zranić, może nawet okaleczyć na całe życie.

Kręciła się w jego uścisku, nie zważając na swoją i jego nagość, byle tylko się wyrwać, uwolnić ręce - nie wiadomo kiedy złapał obydwie - i stłuc go na kwaśne jabłko.

A potem stało się coś osobliwego.

Zauważyła jego uśmiech. Małe zmarszczki wokół kąci ków oczu.

On zastanawiał się, czy jej oczy załśniłyby jak najpiękniejsze ametysty, gdyby wezbrało w niej uczucie inne niż gniew.

Oboje przesunęli się nieznacznie. Żadne z nich nie było w stanie dłużej udawać, iż nie dostrzega, jak mocno przyciśnięte do siebie są ich ciała.

Powędrował wzrokiem w dół, ku miejscu, gdzie się stykały, oplątane połyskliwą materią. Dwa jasne, miękkie wzniesienia napierały na jego tors, dwa skrawki różu mignęły mu przed oczami i natychmiast znowu się skryły, gdy Abby złapała następny krótki, płytki oddech.

Przestała się szamotać z mężem, pięści rozluźniały się powoli, ale nie puścił jej nadgarstków. Zdradzał ją jedynie urywany oddech, który jeszcze bardziej przyspieszył jego.

Spojrzał jej w twarz, już bez cienia uśmiechu, czując lekki zawrót głowy, z której, jak się zdawało, cała krew umyśliła sobie odpłynąć ku bardziej południowym regionom.

Odwzajemniła jego spojrzenie. Powieki jej znieruchomiały, źrenice miała czarne i ogromne, a oddech rwał się na lekko rozchyłonych wargach.

Nic nie mówiła. O niczym nie myślała.

Czuła wszystko.

Kipp puścił w końcu jej nadgarstki i zanurzył dłoń w buzy krótkich jasnych włosów. Pociągnął ją w dół, przycisnął do siebie. Nie opierała się.

Nie odrywając od niej wzroku, bez jednego słowa delikatnie uniósł jej głowę i nakrył jej usta swoimi.

I było zupełnie tak, jakby w mroku nad baldachimem eksplodowały sztuczne ognie, nagle rozjarzyło się oślepiające światło, sypiąc na nich deszczem migotliwych iskier, rozpalając ich oboje, wzniecając w ich ciałach żar i zapoczątkowując mniejsze eksplozje, które wstrząsały nimi do głębi.

Wszelkie zahamowania, o jakie się Abby podejrzewała, wszystkie bezimienne lęki, które wcześniej ją dręczyły, rozwiały się jak dym, gdy Kipp przywarł do jej ust wygłodniałymi wargami, dłoń wsunął pod jej pośladki i przycisnął ją do siebie, aż poczuła, jak bardzo jej pragnął.

Odsunął się na chwilę i spojrzał jej w twarz z ciekawością, której nie rozumiała. Potem przewrócił ją na plecy i pocałował znowu, tym razem wsuwając język do jej ust.

Uniosła się lekko i oplótła rękami jego ramiona, palcami uciskając gorącą skórę, równie spragniona jego bliskości, jak on wydawał się być spragniony jej ciała.

Pocałunek za odurzającym pocałunkiem. Błądzące dłonie, dwa oddechy złane w jeden, dwa ciała zwarte w uścisku rozdzieliły się na chwilę, by Kipp mógł nakreślić pocałunkami szlak w dół jej szyi ku piersiom. Zawładnąc nimi - dłońmi, wargami, językiem.

Abby wygięła plecy w łuk, poddając się jego pieszczotom. Objęła go za głowę, a jej dłonie ponaglały, domagały się większej śmiałości. Poczowała, jak pod dotykiem prężnieją jej sutki. Fala przyjemności zarem oblała jej ciało, promieniując ku dołowi. **Skan Anula43**, przerobienie pona.

Kipp nieznacznie poprawił pozycję. Dłoni pozwolił pobłąkać się niżej, wiodąc palcami po jej płaskim brzuchu, między uda, aż jej dotknął.

Nie wierzył we własną reakcję, nie wierzył w jej. Pod opuszkami palców poczuł jednak, że jest wilgotna. Płonęła, domagała się, ale też dawała, dawała, dawała.

Jej szczupłe ciało było bardziej kanciaste, niż do tego

nawykł, lecz te kanty go intrygowały. Twardy kontur miednicy, wąskość bioder. Ale była też miękka, taka miękka. Zafascynowała go jej szczupła talia, podłużne pęknięcie pępka, więc zsunął się niżej i musnął go językiem, ona zaś zdołała jakoś usiąść, by dalej tulić go do siebie, orać jego skórę krótkimi, zaokrąglonymi paznokciami, jakby chciała go napiętnować.

W sposobie, w jaki ta kobieta mu się oddawała, w jaki przyjmowała jego pieśczoty, nie było nic z wyrachowania. Cienia fałszywej skromności, oporów wobec bliskości, której był spragniony. Dłonie szukały i znajdowały. Żadnych póz, żadnych gierek, słów miłości, przez które nie mogła przemawiać prawda.

Jedynie pośpiech, ta jakże nagła i wszechogarniająca namiętność, spopielający żar, który trawił ich oboje.

J wtedy właśnie odepchnęła go, w chwili w której zupełnie się tego nie spodziewał. Upadł na bok, a ona wpatrywała się w niego tymi bezdennymi oczami barwy fiołków, sięgnęła po niego, objęła palcami, ważąc w dłoni jego ciężar.

Bez słowa przyciągnęła Kippa do siebie. Bez słowa rozchyliła uda. Jęknęła tylko raz, miękko, cicho, gdy w nią wszedł, wypełnił ją, zaczął się w niej poruszać.

Zawrzał, bardziej jeszcze rozpalony jej pośpiechem, ośmielony sposobem, w jaki podała mu szczupłutkie biodra, oplótła nogami jego biodra.

I miała rację. Eony upłynęły od chwili, w której któremuś z nich mogło marzyć się niespieszne uwodzenie. Ale nie dziś. Nie teraz, gdy połączyła ich namiętność równie gorąca, co niecierpliwa.

Dwoje nieznanomych, których połączył rozsądek, cieszących się sobą nawzajem bez cienia skrupułów.

Jedno wspólne ciało, jeśli nie życie.

Poruszał się w niej. Cofał się i napierał. Coraz szybciej i mocniej, a jej ciało zdawało się coraz bardziej rozluźnione, choć nadal ściśle oplatała go rękami i nogami.

Pozwalając mu na wszystko.

Trzymał ją w ramionach, trzymał z całej siły, niezdolny przestać, a ona odpowiadała na każde jego poruszenie, napierając na niego biodrami w wyznaczonym przez niego tempie, a po chwili zaczęła dyktować je sama.

Poczuł, że paznokcie wbijają się mu w plecy, i uniósł głowę; oczy znów miała otwarte. Otwarte i pełne niedowierzania. Świadomości zbliżającego się spełnienia. Zaskoczenia szczerze okraszone przyjemnością.

Uśmiechnął się i wpił w jej usta. I tak rozpoczął się pojedynk na języki, wtórujący innemu, pchnięcie i odparowanie ciosu, który porwał ich oboje i uniósł, jakby razem wazyli mniej niż piórko. Wznosili się i opadali, coraz szybciej i szybciej, zmierzając ku spełnieniu, które do każdego z nich zbliżało się równie wielkimi krokami.

I co ty na to, Harry, staruszku, pomyślał Kipp, gdy Abby zeszytniała w jego ramionach. Całe jej ciało znieruchomiało na chwilę, gdy niepewnie balansowała na krawędzi rozkoszy, pojękując, po czym poczuł, jak pulsuje pod nim, opanowana rytmicznym skurczem, który zdawał się nie mieć końca.

Nagle zaczęła wiercić się w jego ramionach jak oszalała. Przyciągnęła go do siebie, nogami oplótła go jeszcze ciśniej, kręcąc się pod nim, ponaglając i ponaglając w nieskończoność. Wyczuwała, że jej potrzebuje, by samemu wspiać się na szczyt i skoczyć z jego krawędzi, nim wir przyjemności niespiesznie zniesie go na sam dół. Odpowiadała mu tą samą monetą, pozwalała mu brać, poruszała się w tym samym rytmie, napierała na niego, a on zapamiętywał się we własnych doznaniach. Brał ją szybko, mocno, teraz myśląc tylko o własnej rozkoszy.

A potem było już po wszystkim. Leżeli oboje, oddychali z trudem, wciąż jeszcze opanowani drżeniem, a to, co się stało i jak się stało, powoli docierało do ich świadomości.

Oboje, jak na niewidoczny znak, przewrócili się na bok,

dalej od siebie, i znowu na plecy, po czym zapatrzyli w jedwabny baldachim.

- Cóż - odezwał się w końcu Kipp, choć głos wciąż jeszcze odmawiał mu posłuszeństwa - z całą pewnością było to... *interesujące*.

Z drugiej strony odpowiedział mu jedynie szelest satynowej kołdry, którą Abby podciągnęła sobie pod samą brodę, zsuwając się nieco ku nogom łóżka.

Dobrze. Żadnych wymówek, żadnych wyrzutów, żadnych - Bogu dzięki - idiotycznych próśb, by powiedział coś miłego, łzawych deklaracji rzucanych jednym tchem, że ojej, sama nie wiedziała, że jest w nim zakochana, ale teraz już wie.

Niemniej gdy nadal milczała, zaczął się zastanawiać, czy jednak nie byłoby lepiej usłyszeć, że się w nim zakochała.

- Nie zamierzasz tutaj spać? - spytała, choć było to raczej stwierdzenie niż pytanie, a ściślej biorąc, bardziej rozkaz niż prośba.

Prawdę mówiąc, to owszem, zamierzał. Myśl, by obudzić się u boku żony i przekonać się, czy rano jest równie namiętna jak po zmroku, istotnie przemknęła mu przez głowę.

- Nie. Oczywiście, że nie - odparł szybko, odrzucił nakrycie i wymknął się z łóżka, przyglądając się jej, gdy z rozmyślną powolnością schylał się po szlafrok. - Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała, patrząc, jak wychodzi, wysoki i silny, męczyzna, który doprowadził ją na nieznanie wcześniej szczyty fizycznej rozkoszy, jakiej istnienia nawet nie podejrzewała.

Czy jednak przyjemność odmieniła jej uczucia wobec niego? Czy w ogóle *darzyła* go jakimś uczuciem?

Jakimże to zdeprawowanym stworzeniem musiałyby być, gdyby potrafiła przyjmować od niego przyjemność i odpowiadać, ofiarowując przyjemność, nic do niego nie czując?

Owszem, czuła. Pragnęła go. Bez wątpienia. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Od samego początku wiedziała, że

nie będzie jej trudno leżeć w jego ramionach, czuć na ciele jego dłonie. Ale pożądanie to nie miłość. Co jest dobrą rzeczą, najpewniej bowiem uciekłby od niej z krzykiem, gdyby sprzeniewierzyła się ich porozumieniu i zakochała się w nim. Gdyby zaczęła domagać się od niego uczucia - od mężczyzny, który nadal był zakochany w żonie innego.

Nie. Będzie dla niego „wygodną” żoną. Będzie udawać, że wierzy, iż ożenił się z nią, ponieważ łatwiej jest trwać w małżeństwie z rozsądku niż bodaj minutę dłużej obracać się na małżeńskim targowisku, jakim była londyńska socjeta. Dopomagać mu w spełnieniu niewypowiedzianego jeszcze pragnienia, by jego przyjaciele uwierzyli, że jest szczęśliwy, zakochany w swojej żonie.

I więcej. Da mu dzieci, by mógł dotrzymać obietnicy złożonej przy matczynym łożu śmierci.

Będzie te dzieci kochać całym sercem i modlić się, by dane jej było kilkoro.

Zadba, by krewni po raz pierwszy w życiu mieli zabezpieczoną przyszłość.

I będzie cieszyć się tym, że jest baronową. Bardzo, ale to bardzo.

Zrobi wszystkie te rzeczy.

Ale też będzie chronić siebie. Nie zakocha się w nim.

Kipp spał jak kłoda, fakt, którym był szczerze zadziwiony, gdy obudził się nieco po dziewiątej i zobaczył służącego dzierżącego w dłoniach tacę ze śniadaniem.

Ubrał się raczej szybko niż starannie. Spieszno mu było zejść na dół i zobaczyć, jak zachowa się żona, która, jak poinformował go służący, była na nogach od bladego światła i zjadła swoje śniadanie na dole dobrą godzinę temu.

Poinstruowawszy służącego, że sam także będzie w przyszłości schodzić na śniadanie, Kipp udał się w kierunku schodów. Po drodze obciągnął rękawy surduta, zastanawiając się, jak Abby zareaguje na jego widok. Czy bę-

dzie onieśmielona, zawstydzona swoim wczorajszym wybuchem namiętności? Przypuszczał, że tak. Niemal miał nadzieję, że tak.

Ale czekało go srogie rozczarowanie.

- Dzień dobry - powitała go Abby wesoło, gdy spotkali się w holu wejściowym; oboje zmierzali do głównej bawialni. Ożywiona, jak się wydawało, i ubrana w suknię, w której się pobrali. Jej jasna kremowa skóra była na policzkach o odcień bardziej różowa niż zwykle, lecz oczy miała jasne i błyszczące. - Mam nadzieję, że dobrze spałeś. Bo ja tak. Cudowny materac, ani trochę nie zbity, niebo w porównaniu z tym, na którym sypiałam na Half Moon Street czy też w Syston, jeśli idzie o ścisłość.

A niech ją diabli! Naprawdę zamierzała zachowywać się tak, jakby do niczego między nimi nie doszło? Udawać, że nie wydobył z niej jęków przyjemności, że nie dotykała go, nie ponaglała - że nie rozbudził jej, aż niemal oszalała z pożądania, a potem to pożądanie zaspokoił?

Owszem, dokładnie to, jak odnosił wrażenie, było jej zamiarem.

On jednak nie zamierzał pozwolić, by zbyła go, jakby nie był niczym więcej niż tylko narzędziem.

Złapał ją za rękę chwilę wcześniej, niż zdążyła wejść do bawialni, obrócił ją gwałtownie i przyciągnął do siebie.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia, Abby? Nowy materac to jedyny powód, dla którego tak dobrze ci się spało?

- Co ty wyprawiasz? - wyszeptła przez zaciśnięte zęby. - Nie możesz sobie wybrać lepszego momentu, żeby dręczyć mnie dlatego, że nie padłam ci do stóp, dziękując za to, za cokolwiek powinnam ci twoim zdaniem dziękować? Za tobą stoi trzech lokajów, wiesz o tym? W dodatku Edwardine...

- Jesteśmy teraz małżeństwem, Abby. Lokaje mogą się iść obwiesić - rzucił czy raczej warknął na nią. Ręką podtrzymał jej głowę i przyciągnął ją bliżej, by pocałować.

Kolana ugięły się pod Abby, jakby były z wosku. Wo-

sku tak miękkiego, że musiała złapać się klap jego surduta i trzymać się ich, jakby od tego zależało jej życie, inaczej bowiem haniebnie osunęłyby się na podłogę, co zapewne niesłychanie by go uradowało, tego była pewna.

Jego usta miały tak słodki smak. Ciało, które czuła przy swoim, było tak jędrne, udo, które wciskało się między jej uda, tak silne.

Tak bardzo chciała, by porwał ją w ramiona, poniosł na górę.

Tak bardzo chciała go udusić.

- Abby...? *Abbb-eeee!*

Kipp drgnął, zaskoczony, żony jednak nie puścił.

- Co do czorta? Co to za skrzeczenie? Masz papugę, o której nic mi nie mówiłaś? Sophie ma papugę, samca, ale to przebrzydłe ptaszyczo zostało zesłane na wieś za używanie języka, którego nie godzi się słuchać w grzecznym towarzystwie. Abby?

Abby zrobiła głęboki wdech, całą siłą woli nakazała sobie powrót na ziemię i zdołała jakoś wyplatać się z ramion Kippa.

- To Edwardine. Próbowałam ci powiedzieć.

- Powiedzcie mi co? - zaniepokoił się i, popatrując ponad jej głową, zajrzał do bawialni. - Że ukłuła się szpilką do kapelusza? A w ogóle to co ona tutaj robi?

- Głównie płacze - odpowiedziała Abby z westchnieniem. Nieznośna dziewczyna przyjechała przed godziną i od tej pory nieustannie zanosiła się szlochem - z wyjątkiem połowy tuzina krótkich przerw, by przypomnieć Abby, że obiecała służyć pomocą, gdyby kiedykolwiek okazała się potrzebna. *Obiecała!*

- Płacze? To ma być płacz? Boże miłosierny. - Kipp natychmiast poczuł się nieswojo jak większość mężczyzn w pobliżu płaczącej kobiety.

- Płacze i rozpacza, Kipp. To zdecydowanie głośniejsze.

- Cóż, wybac mi, proszę. Jestem niezmiernie wdzięcz-

ny za twoje wyjaśnienie. W swojej zwykłej męskiej tępcie przypuszczałem, że płacze, bo jest zachwycona. Dlaczego do wszystkich diabłów płacze i rozpacza?

- Abbb-eeee? Mówiłaś, że *zaraz* wrócisz! Słyszę czyjeś głosy. Jesteś tam? Na pewno tam jesteś! Już tam idę, i to w tej chwili, sama zobaczysz!

Rozległ się głuchy łoskot, jakby coś się przewróciło, i brzęk tłukącego się szkła, chwilę później bawialnię rozdarł kolejny histeryczny szloch.

Abby wzdrygnęła się.

- To chyba porcelanowa pasterka ze stolika, najbliższe którego ostatnio siedziała, bibelot, do którego, mam nadzieję, nie byłeś szczególnie przywiązany. Edwardine widzi nie dalej niż na odległość pięciu stóp przed sobą, a i to nie zawsze, rozumiesz...

Kipp zmełł w ustach przekleństwo. Naprawdę schodził z nadzieją na przyjemny poranek?

- Teraz, kiedy z jej oczu płyną strumienie łez - kontynuowała niewzruszenie Abby - szczerze dziwię się temu, że nie wzięła za mnie któregoś z portretów na ścianach i do niego nie kieruje swojej tyrady. Po namyśle taki wariant mógłby okazać się lepszy. Wykrzyczałaby się do woli, a ja mogłabym przejść do pokoju dziennego, oprzeć wygodnie nogi i wypić jeszcze jedną filiżankę herbaty.

- Cieszę się, widząc, że miałem rację. Niełatwo wyprowadzić cię z równowagi. Jednak, jeśli mogę powtórzyć pytanie, z góry lękając się odpowiedzi, dlaczego twoja bratanica płacze? A uściślając, dlaczego płacze tutaj?;

Abby westchnęła. Wiedziała, że na niezmaconej tafli jeziorka, do którego Kipp w wyobraźni porównywał swoją przyszłość, wywoła zaraz niemąłą falę.

- Dlaczego płacze, Kippie? Płacze, czy też raczej łka, i rozpacza, bo ma szesnaście lat. Szloch i rozpacz to coś, w czym szesnastolatki są najlepsze. Chociaż przyznaję, że to pierwszy raz, jeśli dobrze pamiętam, kiedy Edwardine

tak otwarcie uzewnętrznia swoją melancholię. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałabym już iść do niej, zanim zrzuci na ziemię ten piękny błękitny wazon, który stoi na stoliku obok fotela z satynową tapicerką.

- Och, Abby, mogłabym *umrzeć*. *Zginać* marnie! I nikt by się tym *nie przejął!*

- Znowu zaczyna - jęknął Kipp i wzdrygnął się, bo histeria w głosie Edwardine zaczynała grozić roztrzaskaniem wszystkich okien w budynku. - Też byłaś taka, jak miałaś szesnaście lat?

Abby pokręciła głową, przypominając sobie przez chwilę, jaka była jako szesnastolatka.

W jakiej była sytuacji. Zaślubiona mężczyźnie, który śniadanie, obiad i kolację wypijał, zamiast jeść, i przepuścił cały jej posag pojedynczym rzutem kośćmi. Uczyła się, że młoda miłość łatwo obraca się w pył w zetknięciu z rzeczywistością. Dowiadywała się, że trzeba przyjmować te okruchy, które człowiekowi dają. Dawno już osierocona przez jednego z rodziców, drugiego pochowała w kilka miesięcy po ślubie i uparcie borykała się z życiem, by jak najlepiej odnaleźć się w trudnej sytuacji.

Abby uśmiechnęła się do swojego nowego małżonka, by nie spostrzegł, jak bolesne było dla niej to pytanie.

- Nie, ani trochę. Myślę, że byłam wyjątkowo zrównoważona, bez krzty hysterii. Przypuszczam, że jestem wyjątkiem, który potwierdza regułę.

- *Tu* cię mam! - Edwardine jakimś cudem dotarła do drzwi i teraz opierała się o framugę, celując oskarżycielskim palcem w pół drogi między Abby a Kippem.

Ubrana była w najjaśniejszy odcień błękitu, włosy miała w malowniczym nieładzie, a jej oczy wyglądały jak dwa skąpane w deszczu bławatki. Mężczyzna o kilka lat młodszy i o wiele mniej od Kippa rozsądny zostałby natychmiast rażony w samo serce i nieba by jej przychylił, byle poczuła się szczęśliwa. Kipp jednak był zły, że na drodze

wyrosła mu taka przeszkoda, choć nie odczuwał palącej potrzeby, by mieć Abby tylko dla siebie, jak jakiś stęskniony żonkoś czy ktoś w tym rodzaju.

Edwardine spoglądała przez chwilę w stronę Kippa, nie fatygując się nawet z nim przywitać, następnie, wydymając usta, zwróciła się do Abby.

- Teraz już nie mam *nikogo*, skoro ty mnie opuściłaś, Abby. *Nikogo*. Wujowie troszczą się tylko o siebie i swoje plany, Iggy jest samolubnym brutalem bez serca, a mamę obchodzi tylko Pieszczuś. Bardziej ode mnie kocha się nawet... nawet psa.

- Biedactwo - szepnęła do Kippa Abby. - Jest w tym trochę racji.

- Sporo racji, wyobrażam sobie - odpowiedział Kipp, zastanawiając się, czy wyszedłby na ostatniego łajdaka, gdyby odwrócił się na pięcie i nie wracał do domu, dopóki Abby nie zapanuje nad sytuacją.

Edwardine, która w hysterii wyglądała równie pięknie jak wówczas, gdy na swój krótkowzroczny sposób z uśmiechem brnęła przez swoje zazwyczaj szczęśliwe życie, wpadła Abby w ramiona.

- Obiecałaś mi, Abby. *Obiecałaś*.

- Abby - spytał ze znużeniem Kipp - co dokładnie jej obiecałaś?

- A Iggy... Iggy przysiągł mi, że pozwolisz mi się do siebie wprowadzić. Powiedział, że słowo to słowo i że na pewno nie złamiesz obietnicy, jaką mi dałaś. Och, Abby, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła!

- Co jej brat powiedział?

- Iggy wbił ci ten pomysł do głowy, Edwardine? Och, czyż to nie cały on, złośliwy i przebiegły od czubka głowy po same pięty. Ale ma rację, niech go licha. Faktycznie obiecałam, że ci pomogę, jeśli będziesz mnie potrzebować.

- Nie myślisz chyba... - Kipp nerwowo przegarniał palcami włosy. - A jednak myślisz, prawda? Och, Boże słodki! Abby...

- Zostaw nas, Kippie. Ja się tym zajmę.

- Jak? Pozwalając, żeby się tu wprowadziła?

Abby rzuciła mu spojrzenie znad złocistych loczków bratanicy, które łaskotały ją w nos tak bardzo, że czuła, że zaraz kichnie. W rzeczywistości wcześniej nie rozważyła tego rozwiązania, ale przeprowadzka Edwardine na Grosvenor Square, oczywiście na krótko, mogłaby się okazać nie najgorszym pomysłem. Przynajmniej nie musiałyby być sama ze swoim nowym mężem. - Nie wiem, możliwe, ale tylko na kilka dni, dopóki ona i Hermione nie dojadą do względnego porozumienia.

- Nigdy! - krzyknęła przenikliwie Edwardine prosto w i tak mocno już obolałe ucho Abby. - Ona grozi, że nie pójdzie nigdzie, dokąd nie będzie zaproszony Pieszczuś. Nie będę mogła nigdzie bywać, Abby. Nigdzie! Już nigdy! I umrę jako *stara panna*

- Nie może być - zdziwił się jadowicie Kipp; nie był to komentarz wobec ponurych przepowiedni Edwardine, lecz pomysłu Abby, by sprowadzić pod ich dach to pustogłowie, tę małą rozełkaną fontannę. - A jeśli zabronię, posłuchasz?

- Co? - spytała Abby, tknięta niejasnym wrażeniem, że chyba coś powiedział. - Co mówiłeś?

Pojawił się Gillett, znikąd, jakby się wydawało, dzierżąc kapelusz, laskę i rękawiczki Kippa.

- O, znakomicie. Dziękuję, Gilletcie. Może będzie najlepiej, by jego lordowska mość nie musiał się temu przyglądać, dopóki czegoś nie postanowię.

- A tak, znakomita robota, Gillett - mamrotał pod nosem Kipp, zamaszycie zakładając cylinder, i już maszerował ku drzwiom. - Od razu widać, że najlepiej mi zrobi, jak odszukam hrabiego Singleton i położę go trupem.

- Skoro musisz - zawołała za nim Abby tak pogodnie, jak tylko umiała, nie słysząc tak naprawdę ani jednego jego słowa.

16

Wszystkie zegary, a było ich w rezydencji niemało, wybiły dziesiątą, niebo nad Londynem pociemniało, a baron wciąż jeszcze nie wrócił na Grosvenor Square. Posłał do domu liścik, zaadresowany do Abby, w którym informował, iż „sprawa nie cierpiąca zwłoki” zatrzyma go do wieczora, i prosił, by nie czekała z kolacją.

Abby przeczytała liścik, zastanawiając się, nawet jeśli nie dłużej niż przez chwilę, czy jej mąż aby nie uciekł z domu. Czy ona go z niego nie przegnała.

Była to, w gruncie rzeczy, upojna myśl dopóty, dopóki nie zdała sobie sprawy, że by go jej brakowało.

Edwardine leżała już opatulona w łóżku w jednej z komnat gościnnych - jednej z tych, które mieściły się na innym piętrze niż sypialnie Kippa i Abby - i spała snem zadowolonych i sytych.

Została pocieszona. Zabrana na Bond Street i obdarowana nowym kapelusikiem, jak również parasolką, którą mieć musiała, bo inaczej *uschłaby ze zgrzyoty i umarła*.

Do kolacji przesiadywała w bawialni, błogim uśmiechem witając powrót lokajów, uprzednio wysłanych do domu przy Half Moon Street, z niewielką stertą bagaży oraz liścikiem do Edwardine - i tylko do niej - od matki, czyniącej aluzję do pewnej biednej, skrzywdzonej kobiety, która nieświadomie wyhodowała na piersi żmiję. Liścik opatrzony był postscriptum, w którym Hermione zapytywała córkę, czy nie widziała przypadkiem ulubionej zabawki Pieszczusia, a mianowicie jednego z porzuconych rannych pantofli

Baileya. Ten dopisek, oznajmiła Edwardine z uczuciem, dowodził jedynie jej racji. Gdyby nauczyła się chodzić na czworaka, szczeakać, ślinić się i może nawet „zabrudziła” kilka dywanów, *wtedy* matka by ją pokochała.

W każdym razie mała przestała płakać. A to bez wątpienia był dobry znak. Pozostawało jedynie obmyślić, jak wyekspediować przesadzoną i błyskawicznie na nowo ukorzenioną Edwardine z rezydencji. Mogło to trochę potrwać, ale Abby była pewna, że coś wymyśli.

Jak na razie, niestety, owo „coś” wymagało pojawienia się kolejnego stosu bagaży i kolejnego przedstawiciela rodziny Backworth-Maldon na Grosvenor Square. Ale Abby nie chciała się nad tym zastanawiać akurat w tej chwili.

Abby i Sallyann skończyły wreszcie rozpakowywać dość kosztowne zakupy przywiezione z miasta, między innymi niezwykle wdzięczną koszulę nocną, prawdziwe cudo, zarzekała się Sallyann, które powali jego lordowską mość na kolana i sprawi, że będzie dziękował Panu za to, że stworzył także krawcowe z drygiem do igły.

Oto jak miały się sprawy między Abby i Sallyann. Zaprzyjaźniły się, Abby bowiem nie za bardzo wiedziała, jak zachowuje się pani domu i, szczerze powiedziawszy, dowiedzieć się nie chciała. Potrzebowała przyjaciół, sprzymierzeńców. Poza tym Sallyann wypełniła pustkę, której istnienia w swoim życiu Abby nie podejrzewała - stała się powiernicą swej pani i, sądząc po jej zachowaniu, istotnie rozumiała fakt, że świeżo upieczona małżonka w obcym domu może bardzo przyjaciół potrzebować.

Sallyann asystowała Abby przy kąpieli, następnie wybrała dla niej koszulę i peniuar, który szczególnie się jej podobał, przezroczystą białą kreację o bufiastych rękawach, wokół dekoltu i u dołu ozdobioną malutkimi pączkami z różowego jedwabiu. Zmięta w kulkę ostatnią bibułę, którą wyściełane były pudła, i zostawiła panią siedzącą przy ogniu, ze stopami w eleganckich wsuwanych panto-

flach opartymi na haftowanym podnóżku i filiżanką herbaty na stoliku pod ręką.

Abby siedziała tak kilka minut, delektując się herbatą i dumając, czy Kipp w ogóle wróci do domu i czy po powrocie zajrzy do jej sypialni.

Czy tak byłoby najlepiej - pozwolić, by zastał ją tutaj, zupełnie jakby na niego czekała, może nawet zamierzała zażądać wyjaśnień, dlaczego na cały dzień porzucił swoją świeżo upieczoną małżonkę.

Nie. Raczej nie.

Mądrzej postąpi, jeśli położy się do łóżka i będzie udawać, że śpi. Wówczas gdyby rzeczywiście wszedł do jej sypialni, miałby dylemat. Zachowałby się jak dżentelmen i cicho wymknął na palcach, zamknął za sobą drzwi? Czy jak gbur i lubieżnik obudziłby żonę i domagał się swoich męzkowskich praw?

Tak. Myśl o jego konsternacji, frustracji nawet, wydawała się jej pocieszająca.

Poza tym to, co miała mu do powiedzenia, mogło spokojnie poczekać do rana. Tym bardziej że wiedziała już, iż to, co od niej usłyszy, wcale mu się nie spodoba. Ani trochę.

Przełknęła ostatni łyk herbaty, wstała i ruszyła w stronę łóżka, zdmuchując po drodze świeczki i rozwiązując satynowe troczki przy peniuarze.

Ale nim zdążyła wskoczyć do łóżka, usłyszała, że ktoś puka do drzwi łączących ich sypialnie. Zawahała się w do połowy zdjętym peniuarze, czy szybko nie wsunąć się pod kapy i nie udawać śpiącej.

Nie potrafiła. Zawarli umowę i jeśli chciał się z nią kochać, cóż, to także stanowiło część porozumienia. Nawet jeśli przez cały dzień nie zamienili słowa. Nawet jeśli tamten poranny pocałunek zawstydził ją równie mocno, jak nią wstrząsnął. Nawet jeśli chciał z nią spać po to tylko, by spłodzić dziecko, a później zapewne obnosić się z nią i jej wielkim brzuchem przed wszystkimi przyjaciółmi, by

pokazać, że ależ tak, jest bardzo, ale to bardzo szczęśliwym człowiekiem.

Pomimo że od przeszło godziny czekała na jego powrót do domu, na to, by zastukał do drzwi, by chciał z nią spędzić noc. Obejmować ją, całować, zabrać znów na szczyty doznań, których wspomnienie nie odstępowało jej od rana, by mogła znowu uśmiechać się bez powodu, pograżona w myślach, które niewiele miały wspólnego z Edwardine i jej problemami.

Szybko poprawiła peniuar, zwróciła się twarzą ku drzwiom i zawołała:

- Proszę.

Chwilę później drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Kipp w tym samym stroju, w którym wyszedł z rana.

- Witaj, żono - odezwał się, otwarcie podziwiając jej nową wdzianko. Doprawdy porządnie się ogarnęła, zmieniła fryzurę, ubrała się przyzwoicie. Spodobał mu się też wyraz nieśmiałości, jaki zagościł w jej spojrzeniu, nieśmiałości i oczekiwania. Tak, z godziny na godzinę stawała się bardziej ludzka i to go cieszyło. Cieszyło go bardzo. - Ślicznie wyglądasz.

- No chyba - odpowiedziała, uciekając wzrokiem, i poszła do pary foteli stojących po obu stronach kominka. Usiadła i opatuliła nogi cienkim materiałem. A potem jej fiołkowe oczy zabłyśły i przypomniał sobie, jak wyglądała wczorajszego wieczoru. Zapatrzył się w nie i dostrzegł w nich namiętność. - Sądzę, że za moją przyczyną popadłeś dziś w poważne długi.

- Ale ani jeden pens nie poszedł w błoto, jestem tego pewien - skonstatował uprzejmie Kipp i zniknął na moment w swoich pokojach. Gdy wrócił, zajął drugi fotel, naprzeciw tego, na którym siedziała Abby. Na kolanach położył sobie spore pudło. Czuł się jak głupi dzieciak, który ma nadzieję, że uwielbiany rodzic ucieszy się z lichego prezentu, który pochłonął całe kieszonkowe.

Ta myśl nieco wyprowadziła go z równowagi, powiedział więc pośpiesznie:

- Ja także wydałem dziś trochę grosza. Chciałabyś zobaczyć, co ci kupiłem? Proszę o szybką odpowiedź, bo to bardzo ciężkie.

Abby spojrzała na pudło przewiązane szeroką niebieską wstążką. Było tak okazałych rozmiarów, że ledwie widziała znad przykrywki jego błyszczące oczy. Rozluźniła się. Zaczynało ją to bawić.

- Dlaczego?

- Dlaczego jest ciężkie? Nie, nie wiem czemu, ale wątpię, czy o to chciałaś zapytać. Dlaczego przynoszę ci prezent? Dlatego, że zwyczaj nakazuje, by pan młody wręczył pannie młodej upominek, oto dlaczego. Większą część dnia zmarnowałem z Bradym, który usiłował namówić mnie na coś z biżuterii, futer czy nawet na twoją własną kariolkę. Choć istotnie spędziliśmy kilka interesujących godzin u Tattersalla, nim odrzuciłem tę ostatnią propozycję. Finałnie odesłałem go precz i sam dokonałem wyboru. Nie chcesz obejrzeć, czy po prostu wolisz, żebyśmy siedzieli tu oboje, aż mi się z trzaskiem załamia kolana?

Zaciekawiona wbrew sobie Abby gestem poprosiła, by postawił pudło na podłodze między fotelami, po czym uklękła i rozwiązała wstążkę. Gdy uniosła pokrywkę, luźne boki pudła rozchyliły się, ukazując dużą mahoniową skrzynkę, zdobną w finezyjny orientalny wzór inkrustowany w drewnie kością słoniową.

- Co to jest? - spytała, obiema rękami głaszcząc wieko, wodząc palcami po wzorze. - To piękne, ale nie mam blądęgo pojęcia...

Kipp poddał się własnemu podekscytowaniu. Nigdy nie sprawił podobnego prezentu żadnej kobiecie, z pewnością już nie takiej, która przewinęła się przez jego łóżko. Ale taki właśnie podarunek wydawał się odpowiedni dla Abby. Nie wiedział, skąd to wie, nie chciał śledzić toku swojego

rozumowania, ale był z siebie zadowolony od chwili, w której jego wzrok po raz pierwszy padł na tę szkatułę.

Usiadł przy Abby na dywaniku przed kominkiem, bez troski jak dziecko w swojskim przedszkolu, z jedną nogą podwinętą pod siebie, wyciągając drugą, lekko zgiętą w kolanie, niepomny na swój majątek, tytuł. Ileż to czasu upłynęło, od kiedy ostatnio widział w oczach kobiety cokolwiek prócz chciwości? Ileż to czasu minęło, od kiedy tak wielką przyjemność sprawiało mu ofiarowanie komuś prezentu?

Krawatka mu się rozwiązała, jak zauważyła Abby, starając się nie patrzeć na jego uśmiech, najzupełniej otwarty, chłopięcy uśmiech. Święta Anielko, ależ on wydawał się z siebie zadowolony!

- Poczekaj, podniosę wieko. - Jak powiedział, tak zrobił, nie spuszczać wzroku z jej twarzy, czekając na jej reakcję. Nikt nie miał równie wyrazistej, ekspresyjnej twarzy.

Jeśli nawet zdarzało mu się czasem dumać, czy aby nie poślubił zarazem kilku kobiet - a wszystkie one ukryte w ciele tego smukłego, szczuplutkiego stworzenia, którego nigdy nie można by nazwać pięknnością, lecz którego twarz i postać intrygowały go, przyciągały jak magnes, ponieważ chciał poznać jej myśli, uczucia. Chciał wiedzieć, co mogła zaraz sobie postanowić albo kim się stać.

Kipp uniósł zamocowane za zawiasach wieczko i zauważyła, że bok szkatuły, który zwrócony był w jej stronę, w rzeczywistości składał się z dwojga drzwiczek, za którymi kryło się pół tuzina szufladek pełnych najrozmaitszych drobiazgów.

Szeroki uśmiech natychmiast wypłynął jej na usta. Sięgnęła do wnętrza szkatuły i odsunęła górną szufladkę, zawierającą sześć małych ołowianych koników z dżokejami na grzbiecie, które, jak szybko wyjaśnił Kipp, używane były do czegoś o nazwie gry w wyścigi.

Wyjęła do ręki dwie figurki, oczarowana precyzją detali, żywymi kolorami.

- Nie widzę kluczyka do nakręcania. Jak one się ścigają?

- Nie ścigają się - sprostował Kipp i, kolebiąc się na boki, szybko przesunął się po podłodze, aż znalazł się obok Abby. Sięgnął do szufladki i wyjął z niej potrzebne do tej gry kości. - Sama przesuwasz je po planszy po każdym rzucie. Pamiętam, że jako dziecko grałem w to z ojcem, w towarzystwie nadal się w to gra, czasem na idiotycznie wysokie sumy pieniędzy.

Abby jednak wcale go nie słuchała. Była zbyt pochłonięta otwieraniem pozostałych szufladek i oglądaniem ich zawartości. Zestaw do schimella włącznie z kompletem ośmiu kości. Fascynujący zestaw domino zrobionych z kości słoniowej. Tabliczka obliczeniowa do cribbage. Bezik oraz dwie tarcze z pokrętłem do prowadzenia punktacji w wiście. Kilka pięknie ilustrowanych talii kart.

I wtedy uniosła drugie, wewnętrzne wieczko - widząc już, że na spodzie pierwszego skórzanymi pasami umocowana jest szachownica.

- Och... och, są piękne! - wykrzyknęła, gdy jej oczom ukazały się figurki szachowe. Wyrzeźbione w kości słoniowej i jaspis, były bardziej dziełkami sztuki niż zwykłymi pionkami do gry. Delikatnie ujęła palcami wyczelowaną figurkę konia szachowego, wyobrażonego z rycerzem na grzbiecie, całość zaś spoczywała na mającej kształt dzwonka podstawie i liczyła sobie przynajmniej osiem cali wysokości.

Chętniej wyjęłaby którąś z większych jeszcze figurek królów czy królowych, zbytnio jednak zatrzymała ją ich kruche piękno, by odważyła się którejkolwiek dotknąć.

- I wszystko to dla mnie? - spytała w końcu, mrugając powiekami, by odegnąć cisnące się do oczu łzy. - Wszystko to dla mnie?

Kipp wyjął figurkę z jej zmartwiałych palców i odłożył ją do wyściełanej aksamitem przegródki.

- Oczywiście, chyba że Brady ma rację i wolałabyś biżuterię?

- Brady nie mógłby bardziej się mylić - zapewniła go Abby, odkładając na miejsce ołowiane koniki z dżokejami, zasunęła szufladki, zamknęła drzwiczki i opuściła górne wieko. Ponownie oparła na nim dłonie i wodziła palcami, czule je gładząc. - Dziękuję ci, Kipp, z głębi serca. Zachowam to jak największy skarb do końca życia.

Pomógł jej wstać.

- Ale nie będziesz trzymać go pod kluczem, żeby był bezpieczny? Bo myślałem sobie, że moglibyśmy spędzić razem trochę czasu, pograć w coś, poznać się trochę lepiej. Umiesz grać w szachy? Mógłbym cię nauczyć.

Abby przechyliła głowę i pogłaskała Kippa po twarzy. Jakie to było cudowne uczucie, móc tak swobodnie go dotknąć.

- Naprawdę miły z ciebie człowiek, prawda? - spytała, zadziwiona, jak wielkie miała szczęście. - I tak, umiem grać w szachy - dokończyła, żartobliwie poklepując opuszkami palców jego policzek - i wielką przyjemność sprawi mi ogranie ciebie do nitki.

- Ha! Wyzwanie. A może wolałabyś coś ciekawszego, milady? - spytał Kipp, owładnięty nagłą sympatią wobec tej kobiety, która mogła stać się jego dobrą przyjaciółką. - Może mały zakładzik?

Abby cofnęła się i pogroziła mu palcem.

- Nie, nie będziesz mógł wyrzucić Edwardine na jej śliczniutki mały nosek, jeśli mnie pokonasz. Bo *to* właśnie miałeś na myśli, prawda?

Uśmiech Kippa zbladł, podobnie zresztą jak myśl, że mogliby do łóżka przenieść partię szachów i wymyślać improwizowane kary za utratę każdego pionka.

Psiakrew, że też zapomniał o jej bratanicy.

- Czyli ona jest tutaj? Myślałem, że uda ci się załatwić sprawę bez uciekania się do tej konkretnej ostateczności.

- Ja również - odparła Abby dość, choć niezupełnie, szczerze. - To znaczy wiem, że chcesz, żeby twoje życie w jak największym stopniu pozostało takie, jak przed na-

szym ślubem, i wiem, że ja chciałam, by moi krewni żyli w dostatku i zdecydowanie z dała od moich oczu, przynajmniej przez większą część roku...

- Ale ani moje, ani twoje życzenie się nie spełni. To próbujesz powiedzieć?

- Nie, nie to próbuję powiedzieć - zaprotestowała Abby, nagle czując się nieswojo w obecności człowieka, który przed chwilą tak ucieszył ją swoim cudownym podarunkiem. - Ty będziesz robił to, co zawsze, żył tak, jakbyś nie był żonaty. Na tym polega nasza umowa, prawda? Tak 'właśnie zachowałeś się dzisiaj, sam powiedz. Zniknąłeś z Bradym, nawet jednej myśli nie poświęcając połowie tuzina zaproszeń, jakie mogliśmy otrzymać na wieczór. A ja właśnie uświadomiłam sobie, że nie pozbędę się ukochanej rodzinki, dopóki nie zrobię czegoś więcej niż obrzucanie ich twoimi pieniędzmi w nadziei, że to rozwiąże wszystkie ich problemy.

Kipp wyszczerzył zęby w uśmiechu, ubawiony jej zgryzotą. Dlatego, że choć nigdy nie dalby jej tego poznać, wcale nie był taki pewny, czy dostał wszystko, czego spodziewał się po ich umowie. Być może dostał *więcej*, niż chciał wytargować... i cieszył się z tego, choć nie za bardzo wiedział, jak się teraz zachować.

- Zatem nie wszystko w twoim nowym życiu jest usłane różami, droga moja baronowo? Wielka szkoda.

- Po tej uwadze przypuszczam, że bezowocnie będzie apelować do ciebie o jakąkolwiek pomoc?

Kipp kiwnął głową raz czy dwa z dziwnym uśmiechem.

- Każde z nas idzie swoją drogą, czyż nie tak się umówiliśmy? Zatem nie, myślę, że ci nie pomogę. Gdybyśmy mieli po raz kolejny omawiać moje pobudki, jedna z nich, jak mi się zdaje, miała wiele wspólnego z twoim niezależnym umysłem i pozorną umiejętnością kierowania równie trudną zgrają, jaką stanowią twoi krewni. Wydawałaś się kimś, kto mógł mi obiecać niewzruszoną egzystencję.

- Czyli ja byłabym zmuszona rozwiązywać wszelkie mo-

je problemy samodzielnie, w swoim czasie, na swój sposób?

Udał, że rozważa te słowa przez parę chwil, świadom, że nie potrafi należycie się skoncentrować - nie wtedy, gdy przypomniał sobie, że do jej łóżka, z którego kapy już były zsunięte przed nocą, dzieli go zaledwie kilka kroków.

- W swoim czasie, na swój sposób? Dobrze. Brzmi to wykonalnie.

Abby zmrużyła oczy i dosłownie zmroziła go wzrokiem. Przypomniała sobie jeszcze jedną wiadomość, którą nie zdążyła się z nim podzielić.

- Tak długo, jak długo nie będę komplikować ci życia.

Kiwnął ponownie głową. Oczy mu się świeciły, na twarzy miał uśmiezek, za który najchętniej by go udusiła albo wyczałowała.

- Bezwzględnie tak.

- Znakomicie - odezwała się w końcu Abby, rozwiązując szarfę, którą przepasana była w talii. Wzruszeniem ramion pozbyła się peniuaru, który spłynął do jej stóp, odsłaniając koszulę - i zarys jej szczupłego ciała, stała bowiem przed kominkiem. - A więc, jeśli to załatwione?

Wyciągnął po nią ręce i objął jej drobną talię.

- Wydaje mi się, żono, że mamy podobne apetyty.

- Możliwe - odpowiedziała, gdy porwał ją w ramiona i zaniósł do łóżka. - Albo to - zdobyła się na śmiałość, by się z nim podroczyć - albo mam wystarczająco dużo zmar-twień, nie dając ci najmniejszych powodów do tego, żebyś narobił mi wstydu, znajdując sobie kochankę w ciągu tygodnia od naszego ślubu.

Kipp delikatnie opuścił ją na łóżko i położył się obok.

- Kłamczucha - wyszeptał jej do ucha. - Wcale by cię nie obeszło, gdybym wziął sobie kochankę, jeśli tylko dalej pokazywał się tutaj kilka nocy w tygodniu. Przyznaj się, Abby, po prostu ci się to podoba - mruzczał, całując ją po szyi, dłonią nakrywając pierś. - I to - powtórzył i leciutko ucisnął jej sutek przez cienki materiał koszuli. - I to - szep-

nał, po czym wpił się wargami w jej usta w mocnym, odurzającym pocałunku.

Odsunął się i uśmiechnął, widząc w ciemnych fioleto- wych oczach odblask własnego pożądania, którego nie pró- bowała wcale ukrywać.

- Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo cieszy mnie twój szczery zapach.

Stopniała w jego ramionach. Żar, którego źródło znajdo- wało się gdzieś w dole jej brzucha, w jednej chwili rozbu- dził fizyczne potrzeby, przesycał tęsknotą za zaspokojeniem.

- Lubisz być dotykana - mówił cicho, dłonią wiodąc w dół jej ciała, ugniatając biodro, czując pod palcami jedwabistą skórę, a ona drżała pod nim konwulsyjnie. - Lubisz dotykać. Zapewne zgodziłaś się na to małżeństwo, żeby ktoś cię do- tykał. Obejmował. Dawał przyjemność. Nie dla pieniędzy, pozycji. Niczego takiego. A ja myślałem, że zdobyłem ciebie majątkiem, tytułem. A ty zgodziłaś się dla *tego*. Prawda?

Abby nie mogła mu odpowiedzieć. Nie chciała mu od- powiedzieć. Ponieważ miał rację. Miał rację, a zarazem tak bardzo się mylił. Bo nie poślubiłaby każdego, kto by się jej oświadczył. Dostrzegła w Kippie jego dobroć, jego uprzej- mość, wrażliwość.

Współczuła mu, czuła też z nim jakąś więź, bo miał złama- ne serce, tak jak złamane serce miała ona sama, choć po- ciągało ją także jego fizyczne piękno, wypełniało jej głowę marzeniami niegodnymi damy.

Wyobrażała sobie, co stałoby się, gdyby się w nim za- kochała, i jak wyglądałoby ich życie, gdyby kiedykolwiek tę miłość odwzajemnił.

Ale gdyby mu cokolwiek o tym wspomniała, znienawi- dziłby ją, wołała więc ukryć się za fasadą kpiny.

- Naprawdę zamierzasz zostać w butach? - spytała, gdy uniósł jej koszulę i powiodł palcami po wewnętrznej stro- nie jej uda. - W butach z cholewami, jakże to oryginalnie.

- Cholera - zaklął Kipp, odsuwając się. Koszula powę-

drowała w dół, ponownie zakrywając jej kształtne biodra. Dał się ponieść tak bardzo, że zapomniał, że nadal jest ubrany? - Oczywiście nie przyszedłem tu dzisiaj w innym celu, jak po to, by wręczyć ci mój prezent. Jeśli wybaczysz mi na chwilę?

Abby przygryzła wargę, powstrzymując śmiech.

- Oczywiście.

Podniósł się, ściągnął surdut, krawatkę i zaczął rozpinać koszulę.

- A buty? - zapytała przekornym tonem Abby, zsuwając się z łóżka i gestem pokazując, by podszedł do fotela. - Myślę, że bez pomocy się przy nich nie obejdziesz, prawda?

- Aa, żona i służący w jednym. Ubiłem wyśmienity interes. - Usiadł. Na ustach błąkał mu się uśmiech.

Zanim Abby zdążyła pomyśleć, co robi, pokazała mu, żeby uniósł prawą nogę, stanęła nad nią okrakiem, plecami do niego, wiedząc - dzięki nocom, gdy zmuszona była pijanemu Harry'emu pomagać w ściągnięciu buciorów - że za moment poczuje na pośladkach lewy but Kippa i pomocne pchnięcie, gdy ona będzie szarpać za prawy.

Kipp zawahał się z uniesioną lewą nogą; wrodzone dobre maniery walczyły w nim o lepsze z podnieceniem, podniecenie z kolei walczyło z chęcią psoty. Następnie oparł but równiutko na środku siedzenia Abby, poczekał na szarpnięcie i wyprostował nogę.

Wylądowała na dywanie dobre sześć stóp od niego z bezgłośnym: uff! i prawym butem wciąż jeszcze w rękach. Ciśnęła nim za siebie z taką siłą, że upadł z łoskotem.

- Niebywała dystynkcja - oświadczyła, gramoląc się z podłogi, otrzepała ręce i kiwnęła, żeby uniósł lewą nogę. - Próbujemy jeszcze raz?

- Naprawdę? - Uniósł nogę i uśmiechnął się szeroko. - 2 chęcią, jeśli i ty masz ochotę.

- Och, mam - mruknęła Abby, podchodząc. Załapała but za czubek i piętę, po czym szarpnęła gwałtownie, tak

że Kipp, i tak lekko już wytracony z równowagi, zsunął się z fotela i klapnął siedzeniem na podłogę z oczami okrągłymi jak talerze.

- Pewnie na to zasłużyłem - odezwał się, zezując na Abby. Stała nad nim z rękami wspartymi na biodrach, zaśmiewając się, rozbawiona do łez. Krótkie jasne włosy i ogromne fiołkowe oczy nadawały jej wygląd leśnego duszka czy może raczej figlarniej leśnej nimfy. Niezwykle uwodzicielskiej nimfy spowitej w materię cienką jak pajęczna sieć, pod którą rysowały się małe, sterczące piersi i kontur ud, między którymi widać było niebywale interesujący cień. Tych jędrnych, białych ud, długich, mocnych i kształtnych nóg, których silny ucisk i swój własny zachwyt, gdy go nimi objęła, tak dobrze wciąż pamiętał.

Przesunął się do tyłu i oparł się plecami o przód fotela. Strząsnął z siebie koszulę i wyciągnął do Abby ramiona.

- Chodź tu, żono.

Potrząsnęła głową. Kosmyki włosów uderzyły o jej policzki, po czym ułożyły się w gładką fryzurę, która niezwykle korzystnie podkreślała jej regularne, jeśli nawet dość zwyczajne rysy.

- Aha - mruknęła. Cofnęła się o krok, drugi. Rozchichotana jak mała dziewczynka, lecz z błyskiem w oczach, który zdradzał doświadczenie kobiety.

- Mam cię w swej mocy i musisz wypełniać każdy mój rozkaz - powiedział Kipp, starając się, by zabrzmiało to jak najsrożej.

Abby przekrzywiła głowę, powtarzając w myślach te słowa.

- Wiesz, chyba czytałam coś bardzo podobnego. Och! Przypomniałam sobie. *W Mocy Korsarza, czyli Ambaras, w jakim się znalazła pewna brzemienna Angielka.* Wyobraź sobie, że dopiero po kilku rozdziałach zdałam sobie sprawę, że *Ambaras* nie jest jakimś egzotycznym krajem. Prawda, jakie to niemądre?

- Dość - przyznał Kipp, z całej siły ciągnąc za drugi but. W końcu udało mu się go zdjąć. Powinien być ostrożniejszy, pamiętać, że lepiej nie cytować własnych słów w obecności odczytanej żony. Aramintha Zane była jego tajemnicą, jego słabostką i jeszcze nie dojrzał tego, by powiedzieć Abby o jej istnieniu. Wstał, za cały strój mając pantalonek do kolan i długie skarpety, nagi tors... i zadał sobie pytanie, czy choć trochę przypomina pirata.

- Tak - powiedziała Abby, nie przestając się czołgać. Nie była w stanie oderwać oczu od szerokiej piersi Kippa i bliska podziwu przyglądała się jego dłoniom zawadiacko wspartym o biodra, gdy stał na szeroko rozstawionych nogach, z odchyłoną do tyłu głową, wpatrując się w nią. Śmiejąc się do niej. Podchodząc.

- To... to była panna Aramintha Zane - kontynuowała, pragnąc, by jej głos nie brzmiał tak nerwowo, defensywnie. - Wiesz, ta pisarka? Pamiętam, że trafiłam na dokładnie taką samą kwestię, albo coś bardzo zbliżonego, w powieści o kobiecie nazwiskiem Lucinda Pomeroy. Głupiutka książka, naciągana i romantyczna, ale niczego innego nie miałam pod ręką, więc ją przeczytałam. To... to była książka Hermione, rozumiesz, wcale nie moja.

Tym razem Kipp nie zapomniał o ostrożności i pracował nad tym, by jego mina była możliwie bez wyrazu, choć, parafrazując poetę, odnosił wrażenie, że ta dama zarzeka się zbyt gorąco*. Czy tak bardzo krępowała ją myśl, że mógłby uznać ją za romantyczkę? Tak, oczywiście, że tak.

Zbliżył się do niej o kolejny krok, tak by musiała znowu się cofnąć, a zarazem znaleźć bliżej łóżka.

- Wyznam, że ja także nie czytam powieści. To raczej dla kobiet, nie uważasz? Wyłączając ciebie, oczywiście, bo

*„Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka zbyt wiele”, „Hamlet” Williama Szekspira, akt III, scena 2, tłum. Józef Paszkowski.

ty przecież romantyczką nie jesteś. Przyznaję się jednak, że trochę mnie to ciekawi. Powiedz mi, ta panna Pomeroy wpadła w ręce korsarzy? To musiało być dla niej okropne przeżycie, nie wątpię.

- Tak - odparła Abby, kiwając głową. - Bo było. Tyle że niemal natychmiast uratował ją Korsarz, bo pod takim był znany imieniem, po prostu Korsarz.

- Aha, zatem z pewnością było to dla niej cudowne przeżycie. A może nie było? Proszę, powiedz mi więcej.

Abby objęła ręką rzeźbiony wspornik na rogu łóżka i uwiesiła się go, jakby od tego zależało jej życie. Zwilżyła językiem spierzchnięte wargi.

- On... ten Korsarz wiele... *żądał*- mówiła, zamykając ze wstydu oczy. Trzeba by się było sporo nacytać między wierszami, by wysnuć taką teorię, lecz nie stanowiło to problemu dla kogoś o tak żywej wyobraźni jak Abby. - On... hmm... oczekiwał *wdzięczności* za swój czyn.

- Wdzięczności. - Uśmiech Kippa stał się zdecydowanie lubieżny, choć i to zbyt mało powiedziane. - I jak postąpił? Przetrzył ją dla okupu? Linami przywiązał do masztu i kazał wychłostać?

- Nie. Nie chciał tego, bo w głębi serca był dobrym człowiekiem. Wręcz bohaterem, ponieważ pokonał okrutnych piratów.

Kipp wyciągnął rękę i dotknął policzka Abby. Opuszką palca powiódł w dół, aż do nasady szyi i zatrzymał się w miejscu, w którym wyczuwał przyśpieszony puls.

- Aa, bohater pośród piratów. W dodatku dobry pirat. Obrońca spraw straconych, pogromca złoczyńców, oswobodziciel naszej drogiej panny Pomeroy. Nuda.

- Ale potem uprowadził ją do swojego zamczyska na wyspie jako swoją brankę - odparowała Abby w obronie fikcyjnego Korsarza, który nie raz i nie dwa gościł w jej marzeniach, nawet tych, w których teraz ukazywał się z twarzą Kippa.

Kipp bawił się ramiączkiem jej koszuli. Gra. Rozpocznie grę, którą rozegrają we dwoje, po tysiackroć bardziej ekscytującą od partii szachów.

- Aha, a potem ją *zbecześcił* Tak? - wyszeptał z ustami tuż przy jej uchu, leciutko skubiąc je zębami. - *Jak* ją zbecześcił? Opowiedz mi, Abby. Jak ją zbecześcił?

- Ja... - Abby nie mogła się ruszyć, z trudem dobywała głosu - ja nie wiem. Panna... panna Zane nie wdawała się w szczegóły. Były... były pewne sugestie, oczywiście, ale...

Kipp muskał wargami jej szyję, dobrze owe sugestie pamiętając, sformułowania, w które ubrał je dla najlepszego efektu. Wsunął nogę między uda Abby i własnym udem naparł na najintymniejszy skrawek jej ciała.

- Czego Korsarz zażądał od swojej branki? Powiedz choć tyle, ile pamiętasz.

Poczuła na biodrach jego dłonie. Ocierał się o nią tak długo, aż szerzej rozchyliła nogi i zaparła rękami o jego ciepły, nagi tors.

W uszach jej szumiało. W ustach wyszło. Serce tłukło się, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Była Lucindą, Kipp jej przystojnym, zuchwałym Korsarzem. Prócz nich nie było nikogo. Spoczywali za zawartymi na klucz wrotami jego zamczyska, by za chwilę zewrzeć się w uścisku. Przywiezieni w to miejsce, by, jak niejasno, ale też jakże kusząco ujęła to panna Zane, „zakosztować ekstazy, majestatycznej i pełnej chwały, której przeznaczeniem jest stać się udziałem zuchwałych dżentelmenów i uległych dam; ziemskiego zadziwienia, w którym mieli niebawem poznać największy i najwspanialszy dar dobrośliwych bogów”.

Abby poczyniła ostatni słaby wysiłek, by się uspokoić.

- To... to niepoważne. Szalone.

- Może i szalone. Ale przyniosłem ci dzisiaj gry, Abby. Bo myślałem, że możesz je lubić. Bo lubisz, prawda? To co takiego zrobił Korsarz?

- On... - zaczęła, zamykając oczy, oddając się fantazji. - On... *mówił* różne rzeczy.

- *Mówił* różne rzeczy? - Kipp ścisnął jej pośladki, na przemian ugniatał je palcami i cofał rękę. - Jakie rzeczy?

Abby była zawstydzona, podniecona i niemal przerażona tym, że ją to podnieca. Palcami buszowała w gęstych, zmierzwionych włosach na jego piersi, aż natrafiła na sutki. Nie opierała się ochocze, by ich dotykać, ścisnąć je lekko.

Gdy zareagował i poczuła, jak twardnieją, pochyliła się i odważyła się trącić je językiem. Dreszcz, jaki przeszył go w tej samej chwili, dodał jej odwagi, uczynił ją bardziej zuchwiałą. Chętniejszą do udziału w grze.

- *Rzeczy* - powtórzyła; w głowie miała pustkę, za to jej ciało nie radziło sobie z natłokiem wrażeń, niecierpliwością, jaka oblewała ją falami na zmianę gorąca i zimna.

- Niech sam zgadnę. - Dłonie Kippa znów zaczęły się poruszać. Tym razem podciągnęły jej koszulę do samej talii, po czym zajęły się guziczkami u jego spodni. - Basta, kobieto. Pakujże się do mojego wyrka i niechże cię wezmę, moja ty śliczna dzierlatko.

- Och, mężczyźni! - fuknęła Abby, najpierw jednak szturchnęła go, czy też raczej wymierzyła mu dwa energiczne razy. - Cienia pojęcia o romantyzmie!

Śmiejąc się, choć w uszach mu dzwoniło - jego żona, odnosił wrażenie, nie opanowała sztuki markowania ciosu - porwał ją w ramiona i ostrożnie przerzucił sobie przez ramię w możliwie piracki sposób, po czym cisnął ją na środek szerokiego łóża. Była jego branką, on jej prześladowcą. Obchodził się z nią ostrożnie, lecz nie delikatnie. Zupełnie tak, jak traktował Lucinę Korsarz we wszystkich wymyślonych przez niego, choć nie spisanych scenach. Nie mógł tego uczynić, jeśli chciał ujrzeć powieść w druku.

Abby upadła na plecy. Podrzuciło ją dwukrotnie na sprężystym materacu.

Po paru chwilach Kipp znalazł się obok niej. Zatrzyma-

ły go rozpięte spodnie, które zaczęły zsuwać mu się z bioder, grożąc upadkiem. Milcząco przeklinając rzeczywistość, mniej dogodną od świata fantazji, rozebrał się pośpiesznie, nie odrywając spojrzenia od Abby, zastygłej w wyczekującej pozie.

Własnym ciałem przyszpilił jej biodra do materaca, złapał ją za nadgarstki i przycisnął je do poduszek, wysoko nad jej głową. Poprawił chwyt i oba trzymał już jedną ręką, by drugą mieć wolną i móc poddawać swoją brankę torturom, prowokować ją, dawać przyjemność.

Z uśmiechem, jak miał nadzieję, na tyle heroicznym, by się nie przełękła, wcisnął dłoń w dekolt jej koszuli i rozewał ją na piersiach i niżej.

Abby zapragnęła nagle rozładować narastające między nimi dwójgim napięcie.

- Dwadzieścia funtów wyrzucone za okno, mój panie Korsarzu - powiedziała dość sarkastycznie, gdy szarpał cienki materiał, rozrywając go do samego dołu.

Kipp pochylił głowę i parsknął śmiechem z ustami przy jej obnażonych piersiach. Potem zaś, ponownie wchodząc w rolę, wydał niski, gardłowy pomruk, z jakiego bez wątpienia znani byli korsarze.

- Nie waż się choćby pisać, milady. Jesteś teraz moją branką, całkowicie zdana na mój kaprys, w mojej tylko władzy - pouczył ją groźnie, a ona szamotała się pod nim, czy to dlatego, by się uwolnić, czy też raczej dlatego, że dobrowolnie wcieliła się w rolę, którą dla niej stworzył. Nie wiedział, ale zaryzykował. Wsunął jej rękę między nogi.

Urywany oddech Abby przerodził się w jęk. Leżała pod nim, unieruchomiona, nie mogąc go objąć. Z koszuli pozostały tylko strzępy i całe jej ciało, obnażone w blasku świec, wystawione było na dotyk jego rąk. A one błądziły. Poznawały. Dopominały się uległości, a Abby spieszo było ulec.

- Jesteś moją jasnoskórą angielską pięknoscią, moją słodką niewolnicą - mówił, ścisząc glos do zmysłowego

pomruku - i będziesz ogrzewać moje łoże dopóty, dopóki ja, Korsarz, będę ciebie pożądał.

- Mój ojciec dopilnuje, żebyś zawisł na szubienicy ' ostrzegła go Aby, wciąż jeszcze się z nim zmagając. Świetnie wiedziała, że każde jej poruszenie wyliczone było, by bardziej go podniecić. Tak jak jego słowa miały podniecić ją.

- Umarłbym szczęśliwy, zabierając ze sobą wspomnienie tej nocy jako swoją największą nagrodę. Nie ma ucieczki, panno Pomeroy, ani dla mnie, ani dla ciebie. Należysz do mnie.

Palce dotarły do zwieńczenia ud. Szukały, aż znalazły i wślizgnęły się do środka. Uniosła biodra i naparła na niego.

Pragnęła tego. Pragnęła tego tak strasznie. Potrzebowała tych słów, nawet jeśli nie były jej własne. Jeśli nawet ona sama nie była teraz Abigail Rutland, a Lucindą Pomeroy, której kwieciste kwestie powstały w wyobraźni Araminthy Zane.

- Tak. Tak, mój Korsarzu. Nie zdołam dłużej z tobą walczyć mym wątłym kobiecym ciałem. Rób ze mną, co zechcesz. Jestem twoja.

Kipp pochylił głowę, całkowicie zaabsorbowany grą, wszystkimi gierkami, które rozgrywały się między nimi. Nie chciał jedynie zastanawiać się nad powodami, dla których oboje próbowali się za nimi ukryć, ukryć w nich. Następne słowa wyszeptał z ustami na jej ustach, stanowczo rozsuwając jej uda. Uniósł się nad nią i wszedł. Wypełnił ją. Wpatrzył głęboko w te cudne fiołkowe oczy.

- Dopóki nie wyparują wszystkie morza, dopóki wszystkie gwiazdy nie runą z nieba... jestem twój.

17

Poranne słońce wlewało się przez wysokie okna bawialni, Abby zaś drobnymi kroczkami przechadzała się po dywanie w taki sposób, by stawiać stopy w środku kwadratów, nie następując na ukwiecone obrzeże każdej delikatnej kratki, trochę tak jak w grze w klasy.

Gra.

Gierki. Oboje dali się wciągnąć w jakieś gierki, ona i Kipp. Nieszkodliwe fantazje, wcielanie się w inne postaci, odgrywanie ról. Ona jako Lucinda Pomeroy. Kipp jako nieustraszony Korsarz.

Głupie gierki. Niebezpieczne gierki.

Dlaczego? Dlaczego wyszli z własnych ról? Dlaczego uciekali się do uników? Dlatego, że wydawało się to jedynym sposobem, by mogli zjednoczyć się bez poczucia winy, tak by żadnego z nich nie nękał wstyd czy żal? Wyrzuty sumienia?

Ponieważ myśl, że mąż i żona mieliby darzyć się tak niespodziewaną namiętnością, bez słowa o miłości, a wszystkie więzi między nimi wynikać z pragmatycznego małżeństwa z rozsądku, każdemu z nich musiałyby być obmierzła?

Żeby Kipp nie czuł się tak, jakby kupował jej względy? Żeby ona nie czuła się jak kupiona i sownie wynagradzana metresa?

Wszystko to było możliwe.

Tak jak wierę, że mogliby rzeczywiście darzyć się jakimś uczuciem, można było jedynie uznać za absurd, nieprawdopodobieństwo, wręcz niemożliwość. Może nawet niemiłe widzianą ostateczność.

W dodatku, gdyby uczucie to było nieodwzajemnione, za niewątpliwą niedogodność dla nich obojga.

Dwoje nieznanym, którzy wiedzieli o sobie tyle, co nic i pobrali się nie z takich powodów, z jakich powinni. Wciąż mieli przed sobą tajemnice.

I poza łóżkiem nie tak już dopasowani, jak w nim.

Abby co prawda zgodziła się, by każde z nich żyło własnym życiem, nie wtykając nosa w życie drugiego. Niemniej mógł przynajmniej zaoferować swoją pomoc w obmyśleniu planu, jak pozbyć się jej rodziny, prawda?

Nie, raczej się tego nie spodziewała. Backworth-Maldonowie to jej problem i to ona będzie musiała wymyślić, co zrobić, by mieć go - i ich - z głowy. Chociaż jak ten cel osiągnąć, nie dusząc Iggy'ego i nie zakopując jego ciała w ogrodzie, jeszcze nie miała pojęcia.

Dumała, spacerując po bawialni z nisko opuszczoną głową i pieczołowicie stawiając stopy w kolejnych kwadratach, gdy nagle wzdygnęła się i nastąpiła na krawędź w chwili, gdy do pomieszczenia wszedł Kipp ze słowami:

- Dzień dobry, żono. Zgubiłaś coś?

- Zgubiłam? Och. Och, skądże znowu. Po prostu byłam skoncentrowana, to wszystko - sprostowała. Usiłowała nie zauważyć, jak ładnie wyglądał w surducie koloru butelkowej zieleni i bufiastych pantalonach, a jego wyglansowane wysokie buty przypominały jej o... cóż, o czymś, o czym lepiej dla niej byłoby zapewne zapomnieć.

A potem oczy się jej rozszerzyły, gdy za Kippem spostrzegła stojącego w holu Iggy'ego, suszącego radośnie Zęby i przebierającego w powietrzu palcami w geście powitania.

Wynosz się, wynosz - rozkazała mu bezgłośnie, nieznaczonym ruchem obu rąk pokazując, żeby sobie poszedł.

To, rzecz jasna, było błędem, uśmiezek na jego twarzy bowiem urósł wyraźnie, a sam Iggy wparadował do bawialni, życząc cioteczce i „wujaszкови” kapitalnego ranka.

- Dzień dobry - odpowiedział Kipp z automatyczną

uprzejmością, choć w głowie nie mu się nie mieściło, by ten chłopaczyna mógł sobie ubrdać, że ma prawo uważać go za wuja. Do czego, jak Bóg miły, ten pozer i idiota miał zapewne jakieś podstawy, jeśli nawet brakowało mu instynktu samozachowawczego.

Tak czy inaczej - Ignatius Backworth-Maldon? Na dodatek w *jego* domu? Jakże to się z stało? Kipp przyjrzał się młodzieńcowi, aż nazbyt przystojnemu, w stroju nieco zbyt frymuśnym, by nie zasługiwać na miano krzykliwego. W koszuli, której wykrochmalony żabot dotykał uszu, krawatce zawiązanej z finezją graniczącą z absurdem i płaszczu, którego krój aż nazbyt wiele zawdzięczał przesadnie wywatowanym ramionom, które miały stwarzać wrażenie talii wąskiej jak pień młodego drzewa.

Następnie spojrział na Abby, która stała nieruchomo z dłońmi splecionymi przed sobą, z wyrazem twarzy gdzieś w pół drogi między minami skazańca wiedzonego na ścieżce i srogiego kaznodziei gotowego wygłosić grmiące kazanie pełne ogni piekielnych i oparów siarki, poświęcone występkom Grzechu.

- Niech zgadnę. Twój bratanek przyjechał wcześniej, jest na nogach od samego rana, bo roznosi go młodzieńcza werwa, i wpadł z wizytą do ulubionej cioteczki i swojej jedynnej siostry? - zasugerował Kipp, by choć w ten sposób Abby dopomóc, gdy czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Co? Tylko z wizytą? Jeszcze ci nie powiedziała, wujaszku? Droga cioteczka, zbyt zakochana, by pamiętać o sprawach tak przyziemnych, jak jej łaskawe zaproszenie, bym spędził resztę sezonu pod waszym dachem.

Iggy, drobiąc krocзки, minął Kippa, by rozsiaść się na jednej z kanap. Lewą nogę założył na prawą, błyskając długimi butami na idiotycznie wysokim obcasie i obrzeżoną koronką chustką do nosa, którą uniósł, by wystudiowanym gestem musnąć kąciki ust.

- Niezgorzej mi się spało, na śniadanie, biorąc z grub-

sza, także nie narzekam. Prosiłbym jednak, cioteczko, byś dopilnowała, aby bekon był w przyszłości bardziej chrupiący. Niezmiernie ci dziękuję.

W Kippie krew zawrzała.

- Jeszcze raz nazwie mnie „wujaszkiem”, Abby, i wyrzucę twojego drogiego, uroczonego bratanka na jego wypomadowany łeb - ostrzegł życzliwie, równocześnie piorunując wzrokiem tę nadętą purchawkę, którą, niech Bóg go ma w opiece, musiał teraz wliczyć w poczet krewniaków.

- Lepiej sobie idź - poradziła młodzieńcowi Abby, którego zadziorny uśmiech przybladł nieco pod srogim spojrzeniem Kippa. - Mieliliśmy umowę, a ty grubo przesadziłeś, nie oczekuj więc, że będę ciebie bronić przed jego lordowską mością, jeśli jeszcze raz otworzysz usta i palniesz kolejne głupstwo. Naprawdę nie będziesz już tak ślicznie wyglądał z rozkwaszonym nosem, sam rozumiesz.

- Pogadamy później, cioteczko. - Iggy dość ochoczo skoczył na równe nogi i wyszedł z bawialni. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły zaledwie kilka chwil później.

A Abby została z mężem całkiem sama.

- Istnieje, jak przypuszczam, jakieś wyjaśnienie? Zastanawiam się tylko, czy chcę je usłyszeć.

Abby nie była obeznana z kobiecymi sztuczkami. Znakomicie wiedziała też, że nie należy do typu kobiet, które mdleją. Wysiłki, by zaprezentować święte oburzenie, zaprowadziłyby ją donikąd, nie wątpiła bowiem, że wina spoczywa po jej stronie.

Zatem pozostawała jedynie szczerłość, która w ogóle nie wchodziła w rachubę, i robienie uników, co obdarzone było pewnym powabem.

- Wczoraj wieczorem powiedziałeś mi, milordzie, że bym rozwiązywała swoje problemy wedle mojego uznania i bez uciekania się do twojej pomocy.

- Powiedziałem tak? Powiedziałem to wszystko? - Kipp przykrył dłonią usta i starał się zebrać myśli. - Mogę być

zmuszony do zmiany stanowiska, jeśli jedyny sposób, w jaki zamierzasz *rozwiązywać* swoje problemy, to puszczanie luzem po moim domu dwojga Backworth-Maldonów w ciągu doby od naszego ślubu.

- Długo tu miejsca nie zagrzeją - obiecała mu Abby. Miała nadzieję, że to prawda, że znajdzie sposób, by ukarać Iggy'ego za jego podły szantaż. - Edwardine przebaczy matce, a Iggy... cóż, przyrzekłam sobie, że się za niego wezmę, w taki czy inny sposób.

Kipp uniósł brew. Boże, ależ podobała mu się ta kobieta.

- To brzmi złowroźnie. Powiniennem współczuć chłopakowi czy po prostu dziękować szczęśliwym gwiazdom, że nigdy nie ślubowałaś *wziąć się* ze mnie? Niemniej szczególnie pozostawię tobie, pod warunkiem, że obiecasz nie nękać kucharki prośbami, by przypalała bekon na skwarce.

- Pomyślałam sobie, że odrobina surowego bekonu byłaby jak znalazł, bo nie sądzę, bym była zdolna denerwować żywego prosiaka, upychając go pod srebrną przykrywkę, żeby Iggy miał niespodziankę - odpowiedziała Abby i odprężyła się, gdy Kipp śmiechem nagroził jej żart. - A teraz, skoro już to sobie wyjaśniliśmy, i po moim zapewnieniu, że będę w miarę możliwości trzymać bratanicę i bratanka z dala od twoich oczu, myślisz, że moglibyśmy omówić stertę zaproszeń, które leżą na półce nad kominkiem? Wydaje mi się, że zostaliśmy na dzisiejszy wieczór zaproszeni we wszystkie możliwe miejsca, a ponieważ nie orientuję się, które zaproszenia są ważne, a które powinno się odrzucić, pomyślałam, że mógłbyś mnie poinstruować, co i jak.

Kipp skłonił się jej ceremonialnie, godząc się na wejście w rolę sekretarza towarzyskiego, i przyniósł zaproszenia, których uzbierał się dobry tuzin. Abby tymczasem usiadła przy niewielkim sekretarzyku w rogu bawialni. Przyniósł sobie krzesło, usiadł i ułożył na blacie bilety wizytowe w kształt wachlarza.

Przypomniał sobie, jak wyglądała ubiegłej nocy, jaka była w dotyku, jak smakowała. Fantazje o północy.

Otrząsnął się z tej wizji, odsunął wspomnienie w najdalsze zakamarki umysłu. Słońce bowiem wzeszło, a nocne godziny stanowiły zupełnie inny świat.

- To zaproszenia tylko na dzisiejszy wieczór - poinformowała Abby. - W biurku są stopy innych, ale kiedy już posortowałam je według daty, nie wiedziałam, co dalej.

- Zatem słusznie postąpiłaś, zwracając się do mnie. Dobrze. Jest kilka sposobów, na jakie można się do tego zabrać, wiesz? - zaczął i uśmiechnął się, gdy ich kolana zetknęły się pod blatem, a Abby drgnęła, lecz nie odsunęła nóg. Być może także dla niej noc nie skończyła się z nastaniem dnia?

- Po pierwsze - kontynuował - można zamknąć oczy, przetasować ten bałagan kilka razy, a następnie wylosować trzy. Ja tak robię, i to często. Po drugie, najzwyczajniej w świecie wybieramy wszystkie bilety tej samej wielkości lub te, które mają ten sam kolor.

Abby kiwnęła głową; oczy jej się śmiały, choć minę miała śmiertelnie poważną.

- Albo też moglibyśmy zdjąć ze ściany miecz, który wiśi w twoim gabinecie, i rzucić wszystkie zaproszenia w powietrze, a potem sprawdzić, które udało ci się nadziać na ostrze, nim opadły na podłogę.

- Tak, istnieje i taka możliwość - zgodził się Kipp, przeglądając bilety wizytowe i zastanawiając się, dlaczego każdy bal, każdy raut, każda proszona kolacja, wszystkie wydawały się tak cholernie nudne wobec wizji spędzenia wieczoru w domu z żoną, oboje pochyleni nad szachownicą - odnosił wrażenie, że żonine strategie mogłyby okazać się niezwykle interesujące.

Nad wyraz interesujące.

- Ach, a co ty na to? - spytał w końcu, układając bilety na kupkę, a potem skrupulatnie drąc je na pół, jeden po drugim.

Abby wpatrywała się w niego, a oczy miała okrągłe jak spodki. Przejrzała wcześniej zaproszenia i znalazła dwa od hrabich, jedno od księcia i jedno od samej lady Jersey. Mo-

gła nie wiedzieć zbyt wiele o londyńskiej socjocie, była jednak świadoma tego, iż lady Jersey nie należała do osób, które można bezkarnie lekceważyć.

- Możemy tak zrobić?

Kipp pomógł Abby wstać, po czym popychając ją, żeby obeszła sekretarzyk, a on sam mógł położyć ręce na jej talii, pokierował ją w stronę holu.

- Możemy i właśnie tak zrobiliśmy. A skoro mamy taki piękny dzień, co byś powiedziała na propozycję męża, by towarzyszył ci podczas spaceru na świeżym powietrzu? Będziemy trzymać się z dala od Hyde Parku, jako że nie jestem w odpowiednim nastroju ku temu, żeby przez cały czas uchylać kapelusza i wysłuchiwać głupawych gratulacji z okazji naszego ślubu.

Abby walczyła ze sobą, by nie przytulić się do jego boku, nie stopnieć jak wosk, bezpieczna w swobodnym, acz nie bezosobowym uścisku.

- Myślę, że bardzo by mi się to spodobało, Kippie - odparła półgłosem, gdy Gillett, który wydawał się zawsze uprzedzać następne życzenie pana, ukazał się w holu z ich okryciami przewieszonymi przez ramię. - Daleko stąd do Covent Garden? Na wsi pokonywałam spacerem całe mile, ale może tu w mieście nie jest to przyjęte? - spytała, zakładając krótkie bolerko z niebieskiego aksamitu, które tak ładnie kontrastowało z jasnoniebieską muślinową suknią od madame Lucille - jedną z połowy tuzina, które dostarczono już na Grosvenor Square, a następne dwa tuziny, jeśli nie więcej, miały nadejść w ciągu kilku najbliższych dni lub tygodni.

Zawiązała bladoniebieską wstążkę pod jedwabnym pikowanym czepkiem, którego koronkowe falbanki okoliły jej twarz, nie wchodząc jednak w oczy, jak to miało się z tak wieloma czepkami.

- Ale i tak bardzo chciałabym zobaczyć Covent Garden. Kucharka mówi, że można tam dostać absolutnie najlepsze owoce i warzywa, jak również piękne kwiaty.

- Nie mówiąc o innych delikatesach i innych widokach mniej już zachwycających - odpowiedział Kipp, gdy Gillett zmarszczył czoło na znak dezaprobaty. - A zatem do Covent Garden. - Kiwnął na Gilletta, by otworzył drzwi, co ten niechętnie uczynił, i podał Abby ramię. - Ruszamy? Gilletcie? Gdybyśmy nie wrócili w porze kolacji, sugerowałbym przeczesanie wód Tamizy.

Wyszli na ganek i zatrzymali się, oddychając głęboko rześkim wiosennym powietrzem. Kipp zatknął sobie laskę pod jedno ramię, drugie podał żonie.

- Zdecydowanie śliczny dzień na przechadzkę. Być może nawet zdrową, a w takiej sytuacji nasz wspólny znajomy, Brady, z płaczem dopominałby się o swoją kariolkę - zażartował, gdy ruszyli trotuarem. Następnie skierowali się ku Oxford Street, Kipp bowiem doszedł do wniosku, iż najlepiej będzie udać się dłuższą, lecz bezpieczniejszą trasą z Oxford Street, przez Charing Cross Road, a następnie do katedry świętego Pawia w Covent Garden.

Jakakolwiek byłaby ostateczna trasa, w głowie nigdy Kippowi by nie powstało, żeby przemierzać ją nocą, chyba że powozem, a i to zdecydowanie tylko wówczas, gdyby był uzbrojony.

- A skoro o Bradym mowa, to podesłał dziś z rana liścik, w którym uprasza o wybaczenie, że nie przyszedł pożegnać się osobiście. Zdaje się, że został z takiego czy innego powodu wezwany do którejś z posiadłości - szczegóły są tu zbyt nudne, jak się zarzekał, by warto je było powtarzać.

- Och, to fatalnie. Będzie go nam brakowało. - Abby odczuwała szczery żal z powodu wyjazdu świeżo zdobytego przyjaciela, szybko jednak doszła do wniosku, że dość miała zmartwień, jakich nastęrczali jej krewni, bez Brady'ego płaczącego się pod nogami, tajemniczo uśmiechniętego i radującego się w duchu powodzeniem swojego planu. Nie sądziła, by ją kiedykolwiek zdradził, tak jak w mgnieniu oka uczyniłby to Iggy - na byle zawołanie - lecz jego nie-

obecność sprawiała, że tego pięknego ranka miała o jedno zmartwienie mniej.

- Nic się nie bój, Abby. Wróci, nim się obejrzysz, w dodatku przywiezie pewnie dobry tuzin niemądrych historyjek do opowiedzenia. A teraz, co wiesz o katedrze świętego Pawła, mieszczącej się w Covent Garden? - zapytał ją Kipp i uśmiechnął się, widząc, że bez cienia żenady wcieliła się w rolę turystki; przyglądała się niektórym budynkom, uśmiechała do innych i jawnie już chichotała, gdy małośni czyściciel „pomagał” im przejść przez ulicę, usuwając przed nimi końskie odchody i śmiecie.

- Ach, to łatwe - odparła i poklepała się po kieszeni. - Przygotowałam się, studiując przewodnik, który znalazłam u ciebie w bibliotece.

- U *nas* w bibliotece - poprawił i zastanowił się, dlaczego to sprostowanie wydaje mu się istotne.

- No dobrze, u *nas* w bibliotece. Dziękuję. Pozwoliłam sobie również przynieść *naszą* książkę na spacer, żebym mogła sprawdzić wszystko, czego ty mógłbyś nie być tak pewny, jak bym sobie tego życzyła. Katedra świętego Pawła, na przykład, to ostatni projekt Inigo Jonesa, ulubionego architekta króla Karola I. Jones przebudował tę budowlę w zgodzie z nowymi podówczas koncepcjami renesansu - stanowiącymi jedynie, rzecz jasna, odrodzenie klasycznych kultur świata antycznego. Niektórzy uważają ją za najświetniejszą z jego prac, choć Horacy Walpole uznał ją za szkaradzieństwo, jako że był rozkochany we wszystkim, co narodziło się w Anglii, i tylko w tym.

Kipp był pod wrażeniem wiedzy Abby i jej zainteresowania tematem.

- Coś jeszcze?

Abby zaczynała się rozgrzewać.

- Tylko to, że Jones pozostał wierny porządkowi architektonicznemu ustanowionemu przez starożytnych Greków i Rzymian i że w tym właśnie duchu wzniesiony jest

między innymi duży kamienny portyk o frontonie podtrzymywanym przez kolumny, gdzie każda kolumna mierzyła jedną trzecią szerokości katedry, było także wiele innych pomiarów, które wydawały się imponujące, kiedy o tym czytałam. Nie powierzyłam ich jednak pamięci.

Kipp parsknął śmiechem.

- A więc twój skromny rozmówca ma za co być wdzięczny. Z tym że ja mam dla ciebie historię, historię z rodzaju tych, które przemawiają do mojej romantycznej niekiedy duszy. Chciałabyś jej posłuchać?

Szli energicznie, tak że trudno było to nazwać przechadzką, Abby miała pewne problemy z dotrzymaniem mężowi kroku, chociaż raczej padłaby trupem, niż by się do tego przyznała. Mimo to gdyby udało się jej sprawić, żeby nie przestawał mówić, możliwie, iż musiałby zwolnić, by samemu nie stracić tchu.

- Z największą chęcią wysłucham tej historii. Jest prawdziwa?

- Och, niewątpliwie - zapewnił ją Kipp. - Mroczniejsza część naszej opowieści, łącznie z niezbędnym bohaterem, jakim Johnem Rivettem, skromnym kotlarzem. Widzisz, posąg biednego zdekapitowanego Karola I mieścił się wówczas w katedrze świętego Pawła i parlament zlecił panu Rivettowi przetopienie go na złom. Posągi monarchów w takich czasach, sama rozumiesz. Jednak dzielny pan Rivett zamiast stopić, posąg ukrył. Sprzedawał niewielkie wazoniki i figurki z mosiądzu, który, jak twierdził, w ten sposób uzyskał, później zaś posąg podarował Karolowi II, gdy monarchia została przywrócona. Pomnik stoi obecnie na Charing Cross; będziemy go mijać za kilka minut. Zawsze uważałem, że król powinien zlecić panu Rivettowi wykonanie własnego posągu w brązie, by wystawić go gdzieś w Covent Garden, lecz tak się stać nie miało, a pan Rivett zbladł w ludzkiej pamięci, kolejny bezimienny bohater.

- No cóż, teraz czuję się głupio - wyznała Abby, na któ-

rej wiedza Kippa wywarła wielkie wrażenie. - Proszę, ja tu strzelam faktami i liczbami, a ty dotarłeś do sedna sprawy jedną opowieścią. Widać, że bardzo kochasz historię.

- Tylko co dziwniejsze fakty - poprawił Kipp i uśmiechnął się do niej. Myślał, jak ładnie wyglądała w tym czepku. Rześkie powietrze namalowało na jej policzkach urocze kolorki, w jej oczach zaś i uśmiechu zdawało się przegłądać słońce.

Dziwił się, że tak ładnie się prezentowała jak na kobietę, której nie można było nazwać pięknnością. Jak na niezwykłą zwyczajną kobietę.

Próbował sobie wyobrazić taką radość z długiego na miłą spaceru po Londynie - nie zawsze najmiłszymi jego ulicami - na twarzy którejkolwiek ze swoich znajomych, ale poddał się. Tylko Merry cieszyłaby się z takiej pieszej wycieczki, widząc w niej wielką przygodę.

Czekał na ukłucie żalu, które odzywało się w jego piersi za każdym razem, gdy nieoczekiwanie pomyślał o Merry, ilekroć wspomnienia o Merry i życiu, do jakiego tęsknił, opadały go w chwili, gdy miał opuszczoną gardę, i zalewały jego serce, niweczając dobry nastrój.

Nic takiego się nie stało. Żadnego ukłucia. Cienia żalu. Jedyne lekki uśmiech, gdy przypomniał sobie dziecko, dziewczynkę i kobietę, którą się stała, a on patrzył, jak mu się wymyka z rąk - ku Jackowi i własnemu szczęściu.

Kipp nakrył dłoń Abby, wczepioną w jego rękaw, swoją i nieznacznie ścisnął jej palce.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Może udałoby się nam znaleźć budkę, w której wciąż jeszcze sprzedają lemoniadę. Miałabyś ochotę?

- Tak, dziękuję, z chęcią. - Abby spojrzała na męża i zobaczyła, że się uśmiecha, że jego oczy nabrały nowego, pełnego łagodności wyrazu, i omal nie potknęła się o wystającą kostkę brukową. Kipp podtrzymał ją natychmiast i szli dalej, lecz teraz już obejmował ją w tali ramieniem.

Jakże naturalnie wpadli w nawyk bezwiednego dotyka-

nia się. Zapewne to nocne zażyłości pomogły im czuć się dobrze z fizyczną bliskością, której, Abby była tego pewna, inaczej unikaliby jak zarazy.

Pozwoliła sobie na słabość i przytuliła się do niego. Rozkoszowała się ciepłem jego dłoni na swoich plecach, wyczuwając nagłe, że są ze sobą zestrojeni pod względami bardziej doniosłymi od miarowego, zharmonizowanego rytmu ich kroków. Co się wydarzyło? Bo coś wydarzyło się na pewno. Wyczuwała, że w Kippie zaszła jakaś zmiana, zmiana tak niewielka, że wątpiła, czy ktokolwiek prócz niej cokolwiek by zauważył.

Zadowolony. Ot to. Nagle wydawał się zadowolony.

Abby ponownie skupiła uwagę na nierównym trotuarze, wzięła głęboki wdech, by uspokoić skołatane nerwy, i uśmiechnęła się ukradkiem, patrząc na bruk pod stopami. Czuła, że kocha każdą kostkę brukową jak Londyn długi i szeroki.

W milczeniu pokonali kilka przecznic. W pewnym momencie Abby zauważyła szyld na ścianie jednego z wysokich, wąskich budynków, anonsujący *Księgarnię Antyczną Waterfielda, specjalność pamflety.*

- Moglibyśmy się zatrzymać i zajrzeć przez okno? - spytała Kippa i podbiegła do budynku, nim zdążył odpowiedzieć.

W brudnym, małym oknie wystawowym leżały księgi o rozpadających się grzbietach i sterty pożółkłych pamfletów, tak wysokie, iż groziły runięciem, a wszystkie wyglądały na stare od kilkudziesięcioleci. Abby podniosła do oczu rękę i ułożyła je w kształt lornetki, starając się odczytać wyblakłe litery na tym, który leżał na samym wierzchu.

- Ojej - powiedziała cicho parę chwil później, odsuwając się od szyby. Popatrzyła na Kippa, który wcześniej zerkał sponad jej ramienia. - Czy to to, co myślę?

- To by zależało, Abby - odparł. -*Ja* mógłbym uważać, że to interesujący epizod w historii, godny utrwalenia ze względu na swój związek z dziejami Covent Garden. Rozprawa czysto intelektualna, wartościowa wedle mojej wy-

krzywionej, jak sam przyznam, oceny tego, co czyni naszą historię interesującą.

- Och, phi - mruknęła Abby i przewróciła oczami. - Ten pamflet wnosi równie znaczący wkład w historię, jak należąca do wuja Dagwooda kolekcja końskich odchodów o osobliwych kształtach.

- Końskich odchodów? Żartujesz sobie, prawda?

Abby zmarszczyła nos.

- Tylko żeby nie przyszło ci do głowy *jego zapytać*, czy żartuję - ostrzegła pół żartem, pół serio. Raz jeszcze podeszła do okna i wyteżyła wzrok z nosem przyklepionym do szyby: *Dam z Covent Garden lista sporządzona ręką Harrisa: czyli Kalendarz Męskich Przyjemności, na rok 1773. Dokładny opis szczególnie znanych kobiet swawolnych do Covent Garden jako i do innych zakątków naszej metropolii uczęszczających.*

Odwróciła się, zerknęła na Kippa, który próbował zachować możliwie neutralny wyraz twarzy.

- W dodatku to drugie wydanie, możemy więc zakładać, że pożyteczna lista pana Harrisa cieszyła się dużym wzięciem. A teraz, mężu, skoro usłyszałam już, czego *twoim* zdaniem ten pamflet dotyczy, czy chciałbyś się dowiedzieć co *ja*, twoja niewykształcona żona z prowincji, sądzę na temat tego, co kryje się na tych stronicach?

- Chyba bym się bał - zażartował Kipp, równocześnie przeklinając w duchu swój brak rozsądku, że nie przekonał Abby do wyprawy kariolką. - A już ledwie żyję ze strachu.

- Akurat - odparowała Abby ze śmiechem, po czym spojrzała przed siebie, gdzie ulica zdawała się wyraźnie rozszerzać. Rozpoznała katedrę świętego Pawła: skąpiana w jasnych promieniach słońca wyglądała niemal zupełnie tak, jak na ilustracji w przewodniku. - Och, przepięknie tu! - A potem zmarszczyła brwi. - Ale jaki bałagan!

- Jedno nierzadko idzie w *parze* z drugim - stwierdził filozoficznie Kipp, gdy wkroczyli do centralnej części Co-

vent Garden, czyli „piazza”, olbrzymiego placu, na którym, prócz tego, że między obskurnymi budkami z jedzeniem walały się gnijące warzywa i owoce oraz zwiędłe kwiaty, panował taki zgiełk i ścisk, jakich Abby nigdy w jednym miejscu nie widziała. Psy tak chude, że żebra sterczały im przez skórę, grzebały w odpadach w poszukiwaniu resztek, ponadto, jako że poranny handel na targowisku dobiegł już końca, na placu boju pozostali niemal sami żebracy i śmieciarze. - Rozczarowana?

- Straszliwie - odpowiedziała Abby cicho, potrząsając głową, i przycisnęła do nosa chusteczkę, żeby obronić się przed fetorem, którym wisiał nad targowiskiem jak ołowiana chmura.

Nic natomiast nie mogło obronić jej przed głośnym po-krzykiwaniem straganiarzy.

- Wstażki po czworaka za metr!

- Figi tureckie, dojrzałe! Knedle będą paluszki lizać!

Przed nawoływaniem mężczyzny, który jak maczugą wymachiwał baraním udźcem:

- Komu dwa razy do gara za śmieszne grosze? Atrakcja gratis!

- Nie rozumiem. O czym on mówi? - spytała Abby, gdy ich minął; w brzuchu się jej przewracało, zdążyła bowiem rozeznac się w gatunku tego mięsa.

- Zwołuje gospodynie z domów przy tej ulicy, żeby wyszły na dwór z wiadrami wrzątku - wyjaśnił Kipp. - Za drobną opłatą kilka razy zanurzy ten udziec w wodzie, co ma rzekomo zmienić ją w bulion.

Abby przyglądała się, jak dwie kobiety objuczone wiadrami wyłaniają się z jednego z pięknych niegdyś domów, które Inigo Jones zbudował w nadziei na uczynienie z Covent Garden najpiękniejszego zakątka Londynu.

- Myślałam, że wiem, co to bieda - powiedziała ze smutkiem - ale widzę, że się myliłam. Taki cudowny pomysł: kościół, domy projektu Jonesa, sklepione arkady, teatry.

Myśl, że oni cokolwiek zauważają? I co znaczyłoby dla nich piękno, skoro wiodą takie straszne życie?

Kipp otworzył już usta, by odpowiedzieć, pomstując w duchu na księcia Bedford, który dopuścił, by marzenia jego przodków obróciły się w taką ruinę dla tych marnych groszy, jakie pobierał od straganiarzy za dzierżawę, gdy poczuł, że ktoś szarpie go za brzeg surduta.

- Kupi jaśnie pan lalczkę dla swojej pani? Takom maktkom?

Kipp sięgał już do kieszeni po monetę, gdy zza dzieckiem ukazała się nagle ogorzała kobieta o wydatnym brzuchu i na odlew uderzyła je w tył głowy.

- Hola, Gina. Co to ja ci mówiłam o takich aliganckich waszmościach? Małom? Uszów nie umyłaś, dzieciaku?

Wyszarpnęła szmacianą lalkę z odrażająco brudnych rącek dziecka i wcisnęła w nie o wiele większą, wyjętą z wiklinowego kosza, który nosiła na przedramieniu.

- I żadnej jałomożny. Za akajowd, tyż coś. Żeliwna Gerta dla ciebie naraża się na tych niebezpiecznych ulicach, a ty jak mi dziękujesz? Po co se urabiam ręce po łokcie, żeby szybko szyć? Pokaż mu tom, Gina. Powiedz mu, że starczy ahcyd. I tak jom kupi dla swojej lafiryndy.

Abby stała i przysłuchiwała się temu, a oczy robiły się jej coraz większe.

Biedne dziecko, nie więcej niż dziesięcio- czy dwunastoletnie, chyba że smutne życie zahamowało jej wzrost, tak jak zdeformowało jej drobne ciało. Taka smutna twarzyczka, taka smutna mała dusza. Dziewczynka nawet nie drgnęła, gdy kobieta wymierzyła jej cios, jakby dostatecznie nawykła do złego traktowania, by jeszcze reagować. Mierzwa rudawobrązowych włosów, które nie oglądały grzebienia i szczotki - ani wody, ani mydła - od nazbyt dawna, jeśli w ogóle.

Ciało dziewczynki, zgarbione i zastygłe w wykrzywionej pozie, na którą przykro było patrzeć, było za szczupłe i spowite w łachmany, nie zakrywające szpiczastych łokci

i kolan. Wychudła, wynędzniała twarzyczka, oczy o stałym odcieniu nieba w burzowy poranek, których spojrzenie wydawało się dziwnie niezogniskowane, wodziły to w jedną, to drugą stronę, gdy mała przekrzywiła głowę pod dziwacznymi kątami jakby...

- O Boże, Kipp - wyszeptała Abby. - Czy ona jest niewidoma? Czy to jej matka? I co ona mówi?

- Za chwilę, Abby - poprosił Kipp. - A póki co, chcesz tę lalkę? Mały błazen kosztuje dwa pensy, ale ta większa jest o wiele droższa, całe dziesięć pensów.

- Skąd ty to wiesz? - spytała zdumiona.

- To język targowiska - wyjaśnił, nie śpiesząc się z informacją, że studiował ten żargon do jednej z powieści Araminthy Zane. Nie zamierzał również mówić jej, że Żeliwna Gerta uważała ją za jego metresę, jego utrzymankę. - Niektóre słowa wypowiadają wspaniale, sądząc, że nikt nie zrozumie. Za akajowd, Abby, czyli za dwojaka. Dwa pensy. Ahcyd. Dziesięć pensów. Rozumiesz? Chociaż w literowaniu w przód nie są zbyt biegli, zdarza się więc słyszeć prawdziwe perełki.

Abby jednak już go nie słuchała. Żeliwna Gerta doszła najwyraźniej do wniosku, że mała Gina nie przykłada się do żebrania i przyłożyła jej kolejny raz, tak mocno, że dziewczynka zatoczyła się na przygiętych nogach.

- Jak ci nie wstyd, kobieto! Jeszcze raz dotknij tego biednego, niewinnego dziecka, a dopilnuję, żebyś znalazła się w areszcie! - krzyknęła Abby tak głośno, że więcej niż tylko kilka głów obejrzało się w jej stronę, więcej niż kilka osób kręcących się w pobliżu wtopiło w cienie pod arkadami na wypadek, gdyby *ajcylop* (*policja*, rzecz jasna) uznała za słuszne sprawdzić, co powoduje taki raban.

„Policja” nigdy ruszyłaby palcem w bucie, żeby pomóc małej Ginie ani też nie spróbowałaby odholować Żeliwnej Gerty do aresztu. Kobieta zdobyła sobie ten przydomek z racji tego, iż przeżyła miazdzące uderzenie w głowę żeliwnym garnkiem, po czym podniosła się na nogi

i dosłownie wypatroszyła rywalkę zepsutymi nożycami.

Żeliwna Gerta, najwyraźniej świadoma swojej reputacji, wydała niski, gardłowy pomruk i uczyniła jeden groźny krok w kierunku Abby, nim malezyjska laska Kippa błysnęła w powietrzu, a jej szpic zrobił dość pokaźny dołek w tłustym brzuchu kobiety.

- Ani kroku dalej, jeśli łaska. W istocie rzeczy poczytałbym sobie za prawdziwe błogosławieństwo, gdybyś się, pani, cofnęła, och, czy ja wiem, o sześć kroków. Twoje... perfumy są raczej męczące - wycedził Kipp ze słodyczą, podrywając laskę do góry i wyćwiczonym gestem wywinął nią koło, po czym ponownie zatknął ją pod ramię. - Och, tak jest nieco lepiej. A zatem odnoszę wrażenie, że omawialiśmy kwestię zakupu jednej z pani lalek?

- Nie. Nic podobnego - zaprotestowała zdecydowanie Abby, szperając w głębi małej niebieskiej torebki, którą nosiła zawieszoną na nadgarstku. - Omawialiśmy kupno tego biednego, kalekiego, niewidomego dziecka. Mam dwanaście funtów. *Aktsanuwd*, jako że na razie nie przedyskutowaliśmy wysokości mojej pensji. Wystarczy?

- Abby - rzucił Kipp ostrzegawczym tonem, przygotowując się do tego, by wyłożyć żonie kilka podstawowych faktów życia. Ale gwałtowne uniesienie podbródka ostrzegło go, by tego nie robił. Powstrzymał go wyraz jej twarzy. Łzy w jej oczach sprawiły, że pękało mu serce. Wtedy właśnie ponownie otworzył usta i powiedział coś, co zdumiało nawet jego samego:

- Och, niech będzie. Ale pozwolisz, żebym to ja odtąd prowadził negocjacje, jeśliś tak miła.

Żeliwna Gerta oblizywała opuchnięte wargi, a jej budyńcowate ciało podrygiwało i przelewało się. Zwęszyła już fortunę, która miała za chwilę wpaść jej w ręce.

- Toż to nie sprzedaje się rodzzonego dziecka, wielmożny panie. Nie mojom Ginę. Słabiutkom, ślepom bidule.

- Dość już tego dobrego, serdecznie dziękuję. - Ton gło-

su Kippa nabrał stalowych nut, zdradzając skrajne obrzydzenie. Inaczej się nie dawało, jeśli chciał wyrwać się z tego obscurnego miejsca możliwie szybko, a istotnie ogromnie mu na tym zależało. Będzie musiał obnażyć przed Abby kilka prawd o Londynie, o jakim nie pisuje się w podręcznikach.

- Po pierwsze, dobra kobieto, to dziecko nie jest ślepe ani kalekie. Po drugie, szczerze wątpię, czy to twoje dziecko, raczej nieszczęsna sierota, którą zatrudniłaś, żeby sprzedawała twój towar damom o wrażliwych sercach, takim jak moja żona. Albo też dobrowolnie uczestniczy w tym oszustwie, choć wzdragam się na tę myśl. A po trzecie, ponieważ moja pani sobie tego życzy, weźmiesz za nią dziesięć funtów, a na dodatek dostaniemy te lalki. No i co, dobiliśmy targu? Masz pięć sekund na podjęcie decyzji.

- Nie jest kaleka? Ani... ani niewidoma? - wyszeptała Abby, po czym ujrzała, jak odchylona do tyłu głowa dziewczynki pochyła się nisko, a jej szare oczy, wbite w niebo, nagle ogniskują się i patrzą wprost na nią. Dziewczynka wyprostowała przygięte ciało, zyskując tym samym dodatkową stopę wzrostu, a wyraz twarzy, który zaczął nagle zdradzać inteligencję, w czarodziejski sposób dodał jej co najmniej trzy lata, może nawet więcej. Mrugnęła do Abby i uśmiechnęła się krzywo.

Zdumiona tym raptownym „ozdrowieniem”, tą niebywałą metamorfozą, Abby zwróciła się do Kippa zaniepokojonym tonem:

- Na miły Bóg, skąd ty to wszystko wiedziałeś? Nie, nie, to nieważne. Porozmawiamy o tym później.

- Owszem, porozmawiamy. Nadal chcesz kupić to... to biedne małe dziecko?

- A ty porzuciłbyś ją na pastwę takiego życia? Oczywiście, że chcę ją wykupić, uwolnić z tej niewoli.

- Niech będzie, przez wzgląd na ciebie - skapitulowała Kipp, gdy Abby podała pieniądze i wzięła podany w zamian kosz z lalkami. - Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że

nie możemy jej zatrzymać. Ten babsztyl może i traktował ją jak zwierzątko domowe, ale ona nim nie jest.

- Oczywiście, że nie - fuknęła Abby, gdy Kipp machnięciem ręki zatrzymał dorożkę z myślą o podróży powrotnej na Grosvenor Square. - Po prostu zawieziemy ją do domu, wykapiemy ją, znajdziemy jakieś ubranie zamiast tych szmat. Pusty brzuch wypełnimy dobrym gorącym posiłkiem, obandażujemy jej stopy. Tak, to na początek wystarczy. Potem możemy...

- Powiedziałaś „oczywiście, że nie” - przypomniał jej Kipp, gdy Gina wdrapała się do dorożki, po czym pomógł Abby wsiąść. - Ale nawet gdybym wymienił dobre dwa tuziny powodów, dla których nie możemy jej zatrzymać, nie będziesz mnie słuchać, Abby. Czy tak?

Abby uśmiechnęła się do niego, gdy usiadł obok i gestem kazał dorożkarzowi ruszać w drogę.

- Oczywiście, że nie - odparła i mrugnęła do Giny.

18

Abby się myliła. Ginie nie była potrzebna kąpiel. Były jej potrzebne dwie.

I wcale nie współpracowała.

Trzeba było Abby, Sallyann, pani Harris, chichoczącej Tweeny oraz groźby użycia sznurów i knebla, nim Gina dała się wreszcie uprosić i w ogóle weszła do wanny. Walczyła z myjką i mydłem. Wyła, gdy piana spłynęła jej z włosów i dostała się do oczu, że „szczypie i do imentu je wypali”, następnie umiejętnie skłęta Abby od stóp do głów i z powrotem, że jest gorsza od Żeliwnej Gerty i bardziej jeszcze podła.

Ale koniec końców to Abby była góra. Nim wyszoro-

wały wannę i ponownie ją napełniły na drugą kąpiel dla Giny, dziewczynka albo pogodziła się z losem, albo ablucje zaczęły sprawiać jej przyjemność. Baraszkowała w pianie, dmuchała nią na Abby i wydawała się oczarowana słodko pachnącym olejkiem, którym Sallyann ją natarła przed owinięciem ogrzanym ręcznikiem.

Abby odpoczywała teraz w ciepłym patchworkowym szlafroku, sama również świeżo wykąpana. Sączyła gorącą herbatę i przyglądała się Ginie, którą posadziły przed kominkiem, by Sallyann mogła wyszczotkować jej mokrą miedzianą czuprynę.

Dziecko - nie, raczej dziewczyna, sądząc po tym, co widziały, gdy była rozebrana do kąpieli - niewątpliwie zachowywała się o wiele spokojniej, w czym pomógł talerz kanapek oraz kilka wyczarowanych przez panią Harris ciepłych drożdżówek z masłem, które w mig znikły w przepastnym brzuchu Giny.

Miała na sobie jedną z brunatnych sukni Abby, o kilka cali za długą - dziewczyna nie mogła mieć więcej niż pięć stóp wzrostu. Pod innymi względami ubranie pasowało całkiem nieźle i wyglądało na niej o wiele lepiej niż kiedykolwiek na Abby.

Nie skarżyła się, kiedy Sallyann ciągnęła ją za włosy, zirytowana, że pomimo próśb dziewczyna ciągle kręci głową, a jej szare oczy o żywym, inteligentnym spojrzeniu były rozbiegane, przyglądając się wszystkiemu, chłonąc otoczenie. Najprawdopodobniej, jak sugerowała pokojówka, szacowały wartość każdego przedmiotu, który spróbuje podwędzić, nim ucieknie.

Abby podobnych obaw nie żywiła. Czuła się zadowolona ze swoich osiągnięć jak na jedno popołudnie. Uratowała niewinną istotę przed spustoszeniami, jakie czyni nędza, i dowiedziała się, że jej mąż pod uśmiechami i żartobliwością ukrywa duszę prawdziwego dżentelmena. Troskliwe serce.

A Gina, ku jej niemałemu zaskoczeniu, okazała się wca-

le niebrzydką dziewczyną, zapewne piętnasto- czy szesnastoletnią, o gęstych, straszliwie skołtunionych włosach, które lekko się kręciły, niebywale szlachetnych rysach pod warstwą brudu i sztucznych owrzodzeń, które odlepiły jej z czoła i policzków. Miała zdrowe zęby, proste i kształtne kończyny, można się też było spodziewać, że przy odrobinie troski rany na jej biednych, zmaltretowanych stopach, małych i wąskich stopach damy, niebawem się wygoją.

W kominku nadpalony pniak osunął się na kratę z dźwiękiem, który przerwał panującą od ponad trzech kwadransów ciszę, wszyscy bowiem próbowali dojść do siebie po wcześniejszej batalii.

- A paniusia to pewnie mama? - spytała w końcu Gina, wbijając wzrok w Abby.

- Mama? - Abby potrząsnęła głową. - Przepraszam, nie rozumiem.

Gina przewróciła oczami, pełna obrzydzenia, i mruknęła coś pod nosem.

- *Burdelmama* - powtórzyła, tym razem głośniej, jakby Abby miała problemy ze słuchem. - Madam. Szefowa tego bajzlu. A tamten typek dla paniusi rajfurzy, co nie?

Sallyann wydała zdławiony okrzyk, upuściła szczotkę i stojąc za plecami dziewczyny, obydwoma rękami zasłoniła jej usta.

- No, no, wstydziłabyś się! - skarciła ją ostro. - To lady Willoughby, a jego lordowska mość to baron Willoughby. Bajzelmama i stręczyciel? Jestem już w połowie zdecydowana, żeby przynieść mydło i wyszorować ci ten twój niewyparzony język!

Gina zdjęła z siebie ręce Sallyann z wprawą kogoś, kto od dawna troszczy się sam o siebie, skoczyła na równe nogi i posłała pokojówce rozjuszone spojrzenie.

- Dotknij mnie jeszcze raz, a owinę ci uszy twoimi własnymi flakami i udrapuję z nich prześliczną kokardę! - wycedziła ostrzegawczo.

Następnie zwróciła się ku Abby, która usilnie starała się pojąć, o czym mówiły tak Gina, jak i Sallyann, i zaczynała w końcu wierzyć, że trafnie rozszyfrowała ich słowa... równocześnie dziwiąc się nagłej zmianie na lepsze, jaka zaszła w wypowiedziach Giny, niezależnie od ich treści.

- Ty myślisz, że to dom publiczny? - spytała Ginę, która właśnie zadzierała spódnicę, niemalże załamana jej długością. - Och, Gino, tak mi przykro. W głowie mi nie powstało... nigdy nie sądziłam... po prostu chciałam uratować cię przed tamtą straszną kobietą.

Przerzuciwszy sobie fałdy spódnicy przez ramię, Gina zbyła jej słowa machnięciem ręki i zaczęła kursować od ściany do ściany, pogrążona, jak się wydawało, w wewnętrznej rozmowie. Raz czy dwa odwróciła się, by spojrzeć na Abby, po czym szła dalej, nie zważając na swoje obandażowane stopy.

Wreszcie podjęła decyzję, cofnęła się i stanęła przed Abby. Dygnęła niezręcznie. Powiedziała:

- Proszę, niech milady mi wybaczy. Nie stawiałabym oporu, gdybym wiedziała, że nie szykujecie mnie dla jakiegoś... jakiegoś klienta. Ja... ja myślałam, że dam radę. Myślałam: dziewczyno, dzięki temu przez jakiś czas nie będziesz na ulicy. Broniałam się przed tym tak długo, że wydawało się to wiecznością, przed staniem się jedną z *nich*, ale jeszcze jeden dzień tych dziwnych póż i udawania ślepego półgłówka u Gerty i rzuciłabym się do Tamizy, dziękując wodom, że są takie głębokie.

- Och, psze pani - jęknęła Sallyann, a jej wrażliwe serce zmiękło. Zerwała się, podeszła do Giny i poklepała ją po plecach. - Dopilnuję, żeby przygotowano ci jeden z pokoi na strychu, dobrze?

Gdy Sallyann wyszła, Abby gestem zaprosiła Ginę na fotel naprzeciwko tego, na którym siedziała, przez dłuższy czas patrzyła na nią, po czym spytała:

- Jak to jest, że teraz mówisz tak dobrze, Gino?

- Regino - poprawiła dziewczyna z westchnieniem, ponownie rozglądając się po pokoju. - To kolejny z moich snów, prawda? Obudzę się za chwilę, czując na plecach kopniaka Gerty jeszcze przed świtem, choć pół nocy szyłam znowu te szmaciane lalki, a ona powie mi, że pora wcisnąć klientom nasz towar. Ale to ładny sen. - Uśmiechnęła się do Abby. - Przynajmniej jestem w nim czysta.

Abby odstawiła filiżankę i złożyła ręce na podolku. Wbrew niej samej ogarnęło ją współczucie jak wtedy, w Covent Garden, i wiedziała, że mogłaby serdecznie polubić tę młodą nieznaną kobietę.

- Opowiesz mi, jak doszło do tego, że znalazłaś się u Gerty? Tylko jeśli sama tego chcesz, oczywiście.

- Dobrze. Będę udawała, że to mi się nie śni. Miło jest nie musieć ukrywać się za tym okropnym złodziejskim żargonem. Gdyby ktokolwiek pomyślał, że próbuję być lepsza, niż jestem, czy choćby zachowywać się zgodnie z moim wiekiem, nie przeżyłabym w Seven Dials nawet jednego dnia, milady sama rozumie. A było tak, że pierwszego dnia zabrali mi cały bagaż, jaki miałam, nawet buty. Włosy obcięłam sama, zanim ktoś dla nich by mnie zabił. Milady może nie wierzyć, ale Żeliwna Gerta była moją wybawicielką. Z nią nikt nie śmie zadzierać.

A potem zerknęła na talerz z kanapkami, stojący na półce nad kominkiem, i ponownie odezwał się w niej głód. Wzięła parę kanapek z mięsem, jakie jeszcze na nim pozostały, i wróciła na fotel. Opowiadała między kęsami.

- Wychowywałam się u ciotki i wuja, oni mnie uczyli. Na południe od Londynu, w Little Woodcote, w tamtejszej parafii, na jednej z włości rodziny Kenwardów, oby zgnili w... o przepraszam, milady. Jak niechybnie zauważyłby mój wuj, gdyby był tutaj z nami, popadłam w złe nawyki przez ostatnie miesiące.

- Kenwardowie? - spytał Kipp wchodząc do pokoju i kłaniając się żonie. - Wybacz, moja droga, ale drzwi mię-

dzy pokojami były otwarte i muszę przyznać się do niewinnego podsłuchiwania. - Skinął głową w kierunku Reginy, która zerwała się z fotela i dygnęła, po czym upewnił się jeszcze: - Mówisz o tych Kenwardach? Może o George'u Kenwardzie, hrabim Allerton?

Regina przytaknęła, o wiele bardziej onieśmielona w obecności barona Willoughby niż wcześniej, gdy miała go za dobrze ubranego rajfura.

- No to wspaniale - powiedział Kipp, stając za fotelem żony, i oparł jej dłoń na ramieniu. - I jakże romantycznie, nie uważasz? Moja ślubna żona ratuje siostrzenicę pastora z czeluści londyńskiej nędzy. Aramintha Zane byłaby z ciebie ogromnie dumna, moja droga, po czym natychmiast podkradłaby tę historię i wyrzuciła ją do góry nogami, tak że Regina stałaby się uprowadzoną księżniczką niebawem przywróconą na właściwe jej miejsce. Jesteś uprowadzoną księżniczką, panno?

- Bliss - wymamrotała Regina, wciąż jeszcze nie śmiać spojrzeć Kippowi w oczy. - Regina Bliss. I nie, milordzie, żadna ze mnie uprowadzona księżniczka. Jestem po prostu kimś, kto został bez dachu nad głową, gdy wujostwo zginęło w strasznym wypadku podczas jazdy powozem, kimś, kto głupio uważał, że może przyjechać do Londynu i zatrudnić się jako bona u jakiejś rodziny kupieckiej. Ciotka była dobrą nauczycielką, świetnie radzę sobie z igłą. - Usta jej zadrgały. - Ale nikt mnie nie chciał. Nikt oprócz Gerry. Więc szylałam dla niej szmaciane lalki, a potem pomagałam je sprzedawać.

Uniosła twarz. Śliczne szare oczy miała pełne łez, gdy patrzyła na Abby, na Kippa:

- Pół roku w Londynie, milordzie, milady, a ledwie uszłam cało. Gerta to był awans w porównaniu z pierwszymi straszliwymi tygodniami. Pro... prostytuowanie się stanowiłoby kolejny szczebel w górę. Milordzie, milady, zawdzięczam wam życie.

- Czujesz się jak bohaterka dnia, przyznaj się? - spytał Kipp, bijąc jej pionka koniem.

Abby westchnęła, wstała i sięgnęła pod suknię. Ostrożnie wyjęła podwiązki, następnie wygładziła suknię i ponownie usiadła.

- Uważam, że jesteś bardzo miłym człowiekiem, że pozwoliłeś mi zabrać Reginę do domu, i nigdy ci się za to nie odpłacę. A teraz, proszę, usiłuję się skupić, żeby cię pokonać, aż zostanie z ciebie rozełkany, jęczący cień człowieka.

Kipp przez kilka chwil zachowywał milczenie, napawając się świadomością, iż jego żona siedzi przy stoliku naprzeciwko niego, mając na sobie niewiele ponad halkę i suknię. Uśmieł się jedynie wówczas, gdy przegrała buty, śmiech bowiem nie był mu już w głowie, gdy została zmuszona do zdjęcia pończoch. Naprawdę uważała za konieczne, by unieść jedną nogę, potem drugą, a następnie powoli zsunąć jedwabną pończochę, 'wiedząc, że ją obserwował?

Co chciała w ten sposób zdobyć? Wygraną? Czy jego?

A teraz, niech ją diabli, Kipp doświadczał pewnych nieznacznych trudności z oddychaniem, a głowę zamiast grą miał zajętą obmyśleniem manewrów, by Abby jak najszybciej przeniosła się z fotela na łóżko.

- Tak, wiem, jakie to musi być trudne, koncentrowanie się na tym, żeby mnie zniszczyć, znaczy się. Co to ja mówiłem? A tak. Prawdziwa bohaterka, ta moja żona. Pod wspólny dach sprowadza nie dziecko, ale prawie już dojrzłą kobietę. Dziewczyna ładnie się wysławia, ergo musi być wolna od grzechu, bez ciągłot do przywłaszczania sobie cudzej własności. A już na pewno niemożliwością jest, by kłamała, nieprawdą? Chociaż nie omieszkać czym prędzej posłać umyślnego do Little Woodcote już jutro, żeby sprawdził jej historyjkę. Póki co, czy ostrzegłaś Gilletta, by trzymał srebra pod kluczem? Mniejsza o to, i tak jestem pewny, że w całym domu poprzybijają już gwoździami wszystko, co ewentualnie dałoby się wynieść.

- Ty jej nie wierzysz, Kippie? Bo ja jak najbardziej, podobnie Sallyann i pani Harris. Więcej nawet, pani Harris na dobre już wzięła Reginę pod swoje skrzydła i będzie pilnować, żeby dziewczyna miała robotę, czy to przy igle, czy to przy innych zajęciach, jakie chodzą pani Harris po głowie. Cieszy się, że ma podopieczną. My mamy nową pokojówkę, Kippie. Przecież to nie tak, jak byśmy ją adoptowali, chociaż istotnie przyznam, że nie mogę nacieszyć się moim przedsięwzięciem. Laufer bije twojego konia.

Kipp posłał szachownicy chmurne spojrzenie.

- A niech to diabli, faktycznie. Widzę, że będę musiał przestać się z tobą cackać i zacząć uważać - powiedział, ścigając koszulę, surdut bowiem zdjął trzy bicia wcześniej. - Mężowska uprzejmość ma swoje granice, rozumiesz chyba.

Abby uniosła kieliszek z winem i pociągnęła kolejny łyk.

- Ha! Nie próbuj mi wmawiać, sir, że nie uważałeś, ani mi się śni w to wierzyć. Po prostu jestem w rym lepsza, i tyle.

Uśmiechnęła się szeroko i zabawnie poruszyła brwiami.

- Jest ci wystarczająco ciepło, milordzie? A może mam wezwać kogoś, żeby rozniecił ogień? Och, nie. To mogłoby okazać się dla ciebie nieco krępujące, nieprawdaż?

Mówiąc to, uciekła spojrzeniem. Wiedziała, że trudno byłoby jej zachować spokój, gdyby zbyt długo przyglądała się nagiej piersi Kippa, przypominała sobie, jak tuliła do niej głowę, jak ogarniał ją ramionami, przyciągał do siebie. Nie wolno jej było zapominać, że toczyła się między nimi gra... Zupełnie nowa i inna gra co noc...

- Możliwe, że Edwardine jutro się wyprowadzi z powrotem na Half Moon Street - powiedziała mu, chcąc zacząć rozmowę, która nie miała nic wspólnego ze stawkami, jakie ustalili: fragment garderoby za utraconego pionka lub figurę.

- Naprawdę? Cóż, to dobra wiadomość. Zabierze ze sobą twojego bratanka z piekła rodem? Nie, nie odpowiadaj. Ta obmierzła mała pijawka nie zwolniłaby swoich kwater,

choćby dom stał w ogniu, a płomień lizały go po uszach. Dlaczego Edwardine się wyprowadza?

Abby ukryła grymas, który wypełził na jej twarz na wzmiankę o Iggy, i odpowiedziała na ostatnie pytanie Kippa.

- Przebąkiwała coś o Reginie i o nas wszystkich, wymordowanych w łóżkach. W gruncie rzeczy mówiła dość obrazowo, o nożach i wyprutych flakach, i głowach turlających się po schodach, podczas gdy Regina i jej przyjaciele bandyci plądrują dom. Och, i o zgwałconych kobietach, oczywiście. Czyż to nie urocze? I bez wątpienia wszystkimi tymi bajeczkami karmił ją Iggy, który nigdy nie przepuści okazji, by zdenerwować to biedne łatwowieczne dziecko. Ach, piękny ruch, milordzie. Odnoszę jednak wrażenie, że moja wieża bije twojego laufra. Pozwolę sobie zasugerować, że być może twoim pantalonom byłoby o wiele wygodniej na podłodze, w towarzystwie koszuli, butów i skarpet? I surduta, i kamizelki, i krawatki, i... cóż, to chyba wszystko. Na razie.

Kipp wstał i zaczął rozpinać guziki u spodni, ciekaw, czy Abby odwróci wzrok, czy też odważy się przyglądać, jak będzie się rozbierał. Spojrzał jej prosto w oczy i zobaczył plamy szkarłatu wykwitające na jej policzkach. Uśmiechnął się lubieżnie. Boże, ależ podobała mu się ta kobieta. Naprawdę mu się podobała.

- Zdaje mi się, że ta dama bawi się zbyt dobrze - powiedział przekornie, po czym odrzucił zdjęte spodnie i ponownie usiadł, świadom, że tylko jeden fragment odzieży dzieli go od ukazania niezbitego dowodu jego podniecenia.

Nie zamierzał pozwolić, by pokonała go w prostej partycie szachów. Zmrużył oczy i studiował szachownicę, wytyczając głowę i obmyślając następny ruch. Uprzytomnił sobie, że - jeśli tylko Abby to dostrzeże - miał przed sobą jeszcze trzy posunięcia, nim żona zbije jego króla.

Jak się jej udało ustawić go w defensywie? Przecież był skoncentrowany na grze, tego był pewny. Jeśli tylko nie

wyobrażał sobie widoku Abby, siedzącej naprzeciw niego z obnażonymi piersiami, silącej się na nonszalancję, udającej, że gra nie podnieca jej tak bardzo, jak jego... jak bez wątpienia podniecała jego.

To nie ulegało wątpiwości. Już go miała. Niemniej mógł przynajmniej zbić jej pionka, którego rozmyślnie poświęciła, i tak właśnie zrobił. Nie po to, by odwlec nieuniknione, lecz dla samej przyjemności patrzenia, jak zzuwa z siebie suknię.

- Łajdak. Niektórzy, jak słyszałam, grywają na słomki - fuknęła Abby, świetnie wiedząc, jakie myśli chodzą mu po głowie. - Och, no trudno - westchnęła, podchodząc do niego i odwracając się plecami, a jego oczom ukazał rząddek guzików, których rozpięcie wymagało pomocy. - Bądź tak miły...

Oto i dylemat gotowy. Gdyby wstał...

Zawahał się, a Abby ugięła lekko nogi w kolanach, żeby łatwiej mu było sięgnąć. Raz czy dwa razy wyprostował i zgiął palce, zadziwiony, że nagle stały się takie niezdarne, zupełnie jakby miał dwie lewe ręce.

Nie poddał się jednak i zaczął powoli rozpinać guzik po guziku, odsłaniając coraz większy fragment jasnych pleców Abby, i odkrył niewielki pieprzyk pod jej lewą łopatką, który wcześniej uszedł jego uwagi.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, rozwiązał ramiączka jej halki, zawiązane na ramionach na kokardkę; niespiesznie pociągnął za wolne końce jednej wstążki, potem drugiej, obnażając całą długość prostych, kształtnych pleców, aż oczom jego ukazała się para dołeczków tuż poniżej jej talii, a wówczas Abby wyprostowała się i posłała mu kpiący uśmieszek.

- Prawdziwy z ciebie optymista, co? - zadrwiła i wzruszeniem ramion uwolniła się z sukni. Zamierzała pozwolić, by się zsunęła, przytrzymując halkę. W teorii manewr ten wydawał się dość rozsądny, tyle że nie wzięła pod uwagę ciężaru spodu sukni, składającego się z wielu warstw materiału, w związku z czym suknia pociągnęła za sobą hal-

kę i w mgnieniu oka Abby stała już przed mężem jak najzupełniej *au naturel*.

Pisnęła rozpaczliwie i zakryła się rękami, jedną wysoko, drugą niżej, po czym odwróciła głowę, jakby to, że sama Kippa nie widziała, oznaczało, że on z kolei nie widzi jej. - Och, do ciężkiego diabła, kobieto, gra się skończyła - zaklął półgłosem Kipp i zerwał się na nogi, omal nie wywracając przy tym stolika, uniósł Abby w ramionach i popędził w stronę łóżka.

Minał tydzień. Dni upłynęły Abby w atmosferze odprężenia, choć pracowicie, jako że wspólnie z panią Harris łączyły sobie głowy nad ustaleniem menu i zaplanowaniem drugiego przyjęcia wydawanego corocznie przez barona. Tym razem miało to być niewielki raut - dla nie więcej niż dwustu gości.

Spędzała czas z Reginą, która okazała się pożytecznym domownikiem: robiła zakupy, w olbrzymich zresztą ilościach, i wszędzie, dokądkolwiek się udawała, zabierała ze sobą Edwardine, na dobre już u ciotki zadomowioną, a przy okazji odkryła, że o względy bratanicy Abby, wcześniej już popularnej, ubiegali się teraz prawie wszyscy niezamężni dżentelmeni w Londynie.

Ten nowy sukces, wyjaśnił jej Kipp, miał trochę wspólnego z urodą Edwardine, niemniej więcej zawdzięczał temu, że jej nowy wujaszek na lewo i prawo rozpowiadał o swojej decyzji przyznania dziewczynie dziesięciu tysięcy funtów po jej ślubie.

Wszystko, byle pozbyć się Backworth-Maldonów z domu!

Wieczory Abby również miała wypełnione, Kipp bowiem uznał, że powinni jako para przypuścić atak na towarzystwo, widując się z ludźmi i będąc widzianymi, wejść w rolę, na których odgrywanie się zgodzili.

To oznaczało, że Kipp nadal flirtował dość często, tańczył z innymi kobietami, słał im uśmiechy, a one wdzięczyły się do niego i szeptały mu do ucha swoje tajemnice.

Ze swojej strony Abby wydawała się bardzo dobrze radzić

sobie z pozycją baronowej, zwłaszcza że Sophie, księżna Selbourne, wymusiła na mężu, by przystał na jej powrót do towarzystwa zaledwie w kilka tygodni po narodzinach syna.

Sophie, zdaniem Abby, piastowała pozazdrosczenia godną pozycję najpopularniejszej kobiety w Londynie. A że Abby widywano nieodmiennie u jej boku, przyniosło to taki skutek, iż niebawem sama stała się niesłychanie ważną personą, którą trzeba było znać, pozyskać jej względy, mienić swoją przyjaciółką.

Pozwalała zatem, by prawiono jej komplementy, sama także oddawała się flirtowaniu, co przychodziło jej z łatwością dzięki pięknym nowym sukniom oraz przyrodzonej pewności siebie i przyjaznemu usposobieniu. Ponura wdowa, której dni spełzały na doglądaniu stadka krewniaków, noce zaś na zamartwianiu się dramatycznym stanem rodzinnych finansów, została dzięki małżeństwu z Kippem wyzwolona, urosły jej skrzydła.

Wzleciała.

Przez cały długi dzień, przez całe wieczory bawiła się w najlepsze, podśmiewając się z Kippa i przyymkając oko na jego flirty. Podobnie on nigdy nie wypytywał jej o najnowsze osiągnięcia w dziedzinie ripost i trzepotania wachlarzem, spacerów na balkon z pełnymi atencji młodymi dżentelmenami, którzy ze skóry wychodzili, by się jej przypodobać.

Ileć się w towarzystwie, Kipp szczególnie dbał o to, by wszystkie walce przetańczyć z nią, by z roztarżeniem całować ją w rękę, gdy stali obok siebie, rozmawiając z przyjaciółmi. I nawet wówczas, gdy pozwalał, by flirtowała, nawet wtedy, gdy tańczył w parze z jakąś rozchichotaną debiutantką, pilnował się, by często spoglądać na żonę, i przybywał z odsieczą, gdy jakiś nudziarz uparcie raczył ją wywodami na temat struktury parlamentu.

Była szczęśliwa, gdy okazywał jej uwagę. Z całego serca marzyła, by nie była to tylko część ich gry.

Na przyjęciach zawsze pojawiali się razem. Razem wy-

chodzili. Każdy by uwierzył, że są w sobie bardzo zakochani i tolerancyjni wobec swoich słabostek.

Dawali sobie z Kippem wolność, jakiej oboje oczekiwali, żadnych pytań, żadnych oskarżeń... ponieważ co noc wracali do siebie, razem kładli się do łóżka. Cieszyli się sobą.

Układ doskonały. Dogodne małżeństwo. Bez prawdziwych więzi uczuciowych, to fakt, lecz ze szczerą troską, z obopólną autentyczną sympatią, wzajemnym szacunkiem, który zdawał się każdego dnia urastać w siłę.

Gdyby tylko nie wdawał się w pogaduszki z lady Skelton.

Gdyby tylko Iggy przestał grozić, że powie lady Skelton i nowym przyjaciółom Abby, jak wyrachowana była ich matrymonialna umowa.

Gdyby tylko Abby nie wiedziała, że zakochuje się, gorąco, namiętnie i bez ratunku, we własnym mężu.

Niemniej byli sobie przyjaciółmi. Nigdy się nie kłócili.

Czy mogłaby prosić o więcej?

Kipp, pogwizdując cicho, zmierzał w kierunku schodów dla służby. Planował zejść na dół do kucharki, żeby pochwalić ją za wczorajszy posiłek - drobna uprzejmość, jakiej nauczyła go matka, i jedna z wielu przyczyn, dla których był tak bardzo przez służbę lubiany.

Zaledwie postawił stopę na pierwszym schodku, ujrzał nadchodzącego z przeciwnego kierunku szczupłego młodzieńca, cofnął się więc, by chłopak, który dosłownie ugiął się pod ciężarem srebrnej tacy, mógł wejść na górę.

Nie dość że szczupły, młodzieniec był także niezwykle drobnej postury; o mało nie spadł ze schodów, gdy taca przesunęła mu się w dłoniach. Ubrany był w skromny brązowy komplet, którego mankiety strzępiły się, jakby były najzwyczajniej obcięte, a który mimo to nadal wydawał się dla niego za duży - co oznaczałoby, że chłopak kurczył się zamiast rosnać albo też że nabył ten strój z drugiej ręki, chociażby w sklepie z używaną odzieżą.

Włosy młodzieńca miały przyjemny jasnobrązowy od-

cień, a na karku przewiązane były czarną wstążką. Na twarzy nie widać było nawet cienia zarostu, a więc zapewne nie wszedł jeszcze w wiek, w którym można pokusić się o zapuszczenie brody. Kipp dawał mu nie więcej niż siedemnaście lat, raczej mało jak na służącego, jeśli rzeczywiście taką właśnie funkcję tutaj pełnił.

Kipp zatrzymał chłopaka, nim ten zdążył dojść do połowy holu. Wpatrzył się w niego z wyteżoną uwagą, wydało mu się bowiem, że chłopak chciał dygnąć, nim zdecydował się na osobliwy pokłon i zaczął szybko wycofywać się, omal nie upuszczając przy tym tacy.

- Jesteś z młodym Backworth-Maldonem, tak? - spytał, a chłopiec rozdygotał się tak gwałtownie, że na tacy zaczęły podskakiwać naczynia. - Słuchasz u niego? Jak, do czorta, tego małego półgłówka stać na służącego? Nieważne, zaczynam przypuszczać, że znam odpowiedź na to pytanie. Jak ci na imię, chłopcze?

Do holu wpadła Regina Bliss, objuczona naręczami prześcieradeł do pocerowania, i omal nie zderzyła się ze służącym. Stojąc plecami do Kippa i nieświadoma jego obecności, wytrajkotała:

- Och, Skowronku, przepraszam. Zawsze dokądś pędzę, prawda? Nie zauważyłam cię. Niesiesz panu śniadanie, co? Do jajecznicy trafiło kilka ostrych kości, mam nadzieję? Zajrzyj do mnie później, to popracujemy jeszcze nad tym twoim ściegiem. Naprawdę zauważyłam u ciebie duży postęp. Co? Co ci jest, Skowronku? Co cię tak przeraziło?

Skowronek raz czy dwa razy zerknął w bok, pokazując Reginie, żeby się obejrzała. Następnie czmychnął ku schodom, potrącając Kippa, i czym prędzej pognał na górę, Regina zaś głośno przełknęła ślinę i dygnęła, dostrzegając wreszcie pana domu.

- Dzień dobry, Regino - odezwał się, patrząc, jak bledną jej policzki, a dłonie zaczynają drżeć. - Chyba się już trochę zadomowiłaś, prawda?

- Tak, milordzie, dziękuję, milordzie - wykrztusiła pół-przytomna ze zdenerwowania. - Czy mogę coś zrobić dla waszej lordowskiej mości?

Pokręcił głową.

- Dość już zrobiłaś, Regino, dziękuję. Wróc do swoich zajęć - powiedział, a plan prawienia komplementów kucharce w jednej chwili wywietrzył mu z głowy. Zawrócił na pięcie i ruszył w kierunku głównych schodów.

Dotarł do holu wejściowego i z jedną nogą wciąż jeszcze na schodach zagrzmiał:

- Abby!

Pojawiła się w holu od strony pokoju dziennego, ze zmarszczonym czołem i zaniepokojonym wyrazem twarzy.

- Kipp? Stało się coś złego?

Zagotowało się w nim. Dosłownie czuł, że krew wrze mu w żyłach.

- Złego? Czy stało się coś złego? Jak mi Bóg miły, skądże taka myśl, Abby? Jakoś się zdradziłem? Może to przez ten dym, co puścił mi się z uszu? Pozwól do bawialni, jeśli łaska.

Abby nigdy wcześniej nie widziała go naprawdę rozgniewanego. Kiedy był wzburzony, podenerwowany lub czuł się w najmniejszej mierze zagrożony, ukrywał się za żartobliwymi uwagami, niepoważną atmosferą, która miała rozładowywać gniew, izolować go od bólu.

Lecz teraz był zły. Naprawdę, naprawdę zły. Opanowany. Zimny. Sarkastyczny. Przeróżający.

- Kippie? - spytała, stojąc przed jedną z kanap w bawialni; uznała, że łatwiej jej będzie zachować trzeźwość umysłu, jeśli zostanie na nogach. - Jest jakiś problem? Z pewnością nie Regina. Pani Harris powiada, że jest z niej najzupełniej zadowolona.

Kipp nerwowo przechadzał się po dywanie i zastanawiał się, gdzie nauczył się tak wielkiej samokontroli. Zbył słowa Abby machnięciem ręki, by warknąć:

-- Możliwe, że byłoby lepiej, gdybyś to ty odbyła rozmo-

wę z naszą nową pokojówką. Odnoszę wrażenie, że wiele byś się od niej nauczyła. Och, a przy okazji... twój bratanek ukrywa w swoich pokojach kobietę, doskonale przebraną za służącego.

Zawiesił dla większego efektu głos, po czym kontynuował:

- Owszem, tak. Wprowadził się sam i ściągnął tu sobie swoją podfruwajkę. Zapewne uwił sobie wcale przytulne gniazdko. Ten cholerny bufon każe jej podawać sobie śniadanie, jeśli mieści ci się to w głowie. Mnie tak, bo widziałem, jak niosła tacę na górę. Na imię jej Skowronek. Pasuje do niej, bardzo pasuje. A ja za to płacę, prawda, przynajmniej pośrednio? Inne żony wydają pensje na stroje, Abby, nie widząc najmniejszej potrzeby, by cokolwiek oddawać bratan-
kom, żeby mogli sobie pozwolić na prywatne lafiryndy.

Abby nie wiedziała, czego się spodziewać, ale z pewnością nie oczekiwała tego.

- Iggy ukrywa... Iggy ma *co?*! - Zrobiło się jej niedobrze i osunęła się na kanapę, dosłownie runęłaby na podłogę, gdyby nie bliskość pożytecznego mebla. - Żałosny niewdzięcznik. Zamorduję go... - rzuciła cicho.

Kipp zaprotestował teatralnym rozłożeniem ramion.

- O nie. Nie, nie... nie, proszę cię. Nie mógłbym ci na to pozwolić. Doprawdy. To ja go ukatrupię.

W panice skoczyła na równe nogi.

- Nie! Nie wolno ci... znaczy... ee... znaczy, to mój bratanek, Kippie. I ja się tym zajmę.

- Tak, jak zajmowałaś się do tej pory? Jak? Z chęcią bym się dowiedział. Szczerze. Może nie dasz mu deseru, odeślesz do jego pokojów bez kolacji? Nie, to nie byłaby szczególnie skuteczna kara, prawda? Tam przecież czeka na niego Skowronek, zajęta pastowaniem mu butów.

Abby zaczęła nerwowo dreptać po pokoju. Próbowwała zebrać myśli, postanowić, jak postąpić z bratankiem męża - szantażystą, żeby samej nie trafić do aresztu.

- Och, bądźże cicho, Kipp - palnęła bez zastanowienia. - Powiedziałam, że się tym zajmę, i tak właśnie będzie.

Zrobiła jeszcze trzy kroki, nim usłyszała własne słowa. Słowa, które wróciły echem w zapadłej nagle zimnej ciszy.

Pomyślała dwie rzeczy. Po pierwsze, istotnie udało się jej uciszyć Kippa, co nie mogło być takie złe, ponieważ wcześniej wyraźnie nabrał wiatru w skrzydła i mógłby słać obelgi pod adresem Iggy'ego bez końca, gdyby tylko dała mu bodaj ćwierć szansy. A po drugie, prawdopodobnie powiedziała najgorszą rzecz, jaką tylko mogła powiedzieć.

A potem pojawiła się trzecia myśl. Był zły, owszem, ale nawet w połowie nie znał sytuacji - być może nawet w jednej czwartej. Gdyby jednak skonfrontował się z Iggyem, przyparł go do muru, zagroził mu, gdyby przestraszył tego żałośniego, tchórzliwego gada, dowiedziałyby się o wszystkim.

A wszystkiego wiedzieć po prostu nie mógł.

Zatem Abby, nie widząc przed sobą innej drogi, postanowiła być równie zła jak Kipp. Co nie było znowu takie trudne, zważywszy że w całej tej sytuacji zachowywał się jak skończona świnia. Ją winić za grzechy Iggy'ego. Że też ma czelność?!

- Mówię poważnie, Kippie - wycedziła, obracając się jak fryga, i wbiła pałający wzrok w powietrze tuż obok jego twarzy. Nie potrafiła spojrzeć mu prosto w oczy. Nie w tej chwili. - Iggy jest *moim* krewnym. *Moim* problemem. Jeśli myślisz, że nie poradzę sobie z tym małym idiotą bez twojego wtrącania się we wszystko, to radziłabym jeszcze raz się zastanowić. A poza tym, zgodziliśmy się nie wchodzić sobie w paradę, myślę się? Czyż nie na tym zasadzała się nasza umowa?

Kipp oddychał głęboko przez nos, jak byk na sekundę przed przypuszczeniem szarży.

- Twój krewny sprowadza sobie kobietę pod mój dach, pani!

- Twój dach? Och, czyżby? A więc tak się rzeczy mają,

milordzie? Robisz raban wokół tego, jak to się wszystkim dzielimy, jacyśmy ze sobą zaprzyjaźnieni, jak wszystko, co twoje, należy także do mnie... wokół wszystkich miłych drobiazgów, jakie wynikają z naszej umowy. Ale kiedy jeden drobiazg nie spotyka się z twoją aprobatą...

- Drobiazg? Jezus, Maryja, kobieto, czy ty siebie nie słyszysz? Nie słuchałaś mnie? - Kipp potarł usta i zaczął powoli liczyć do dziesięciu, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Zawsze nad sobą panował. Dopóki w jego życie nie wtargnęła Abby, niech ją diabli. Teraz był... był... cóż, był cholernie pewny tego, że daleko mu do szczęścia.

Jak się okazało, Abby istotnie go *nie* słuchała. Popatrywała w stronę wejścia, na Gilletta, który stał, potrząsając głową i załamując ręce. Gillett wyglądał jak zmartwiona stara kobieta o posturze generała - dziwne połączenie, które ostrzegło Abby, że coś jeszcze się wydarzyło.

- Gilletcie? - spytała i skuliła się, gdyż Kipp z impetem opadł na fotel, przy czym wymknęło mu się kilka niezbyt parlamentarnych wyrażań.

- Milordzie, milady - zaczął powoli Gillett, po czym resztę mowy wyrzucił z siebie jednym tchem: - Pan Dagwood Backworth-Maldon czeka w holu wejściowym, oświadczył, że wydziedziczył brata i nie zamierza ani jednej chwili dłużej przebywać w jego towarzystwie. Najchętniej, jak mi przed chwilą powiedział, zdarłby sobie własną twarz, gdyby to było możliwe, żeby nigdy więcej nic nie przypominała mu brata, gdy przypadkowo zerknie w lustro.

Gillett błagalnie spojrział na Kippa, który usiłował właśnie zamknąć usta.

- Przywiózł bagaż, milordzie.

- Oczywiście. Oczywiście, że tak - wycedził Kipp, gdy udało mu się dobyć głosu. Podniósł się z fotela i podszedł do Abby z rękami założonymi na plecach. Obszedł ją dookoła, wpatrując się w nią, po czym zatrzymał się, a jego oczy ciskały pioruny:

- I mam rozumieć, że tym także sama się zajmiesz? Bez mojej pomocy, tak jak to kazałem ci rozwiązywać twoje problemy? Pamiętasz, o czym mówię, prawda? O problemach, które, jak twierdziłaś, nigdy nie wpłyną na moje życie? O tych, które nie będą na mojej głowie?

- Och, chrzań się, Willoughby - Abby niemal wypluła z siebie te słowa i chciała przejść obok męża, byle tylko nie patrzeć na niego ani sekundy dłużej. Zakochana w nim? Naprawdę zaczynała wierzyć, że mogłaby się w nim zakochać? Zawsze musiał postawić na swoim, tak jak jemu było wygodnie.

Czy kiedykolwiek zastanowił się chociaż, że mogłaby potrzebować jego pomocy, że mógłby sam ją zaproponować? Bez wątpienia i tak by odmówiła, właściwie już to zrobiła. Ale mógł przynajmniej powstrzymać się od napawania się faktem, iż osuwała się coraz niżej i niżej w głąb przepaści, mógł przestać rozwodzić się nad swoim zdenerwowaniem. Przecież to chyba niemożliwe, aby uważał, że ona cieszy się z rozwoju wypadków?

- Chrzań się? - powtórzył Kipp i, z zębami wyszczerzonymi w krzywym uśmiechu, złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. Dobry Boże, jakże bardzo chciał ją pocałować. Całować, aż oboje zapomną o całym bożym świecie. Zanieść ją na górę i rzucić na łóżko, zobaczyć, jak jej gniewne oczy zmieniają się w głębokie ametystowe jeziora pełne namiętności, o jakiej Aramintha Zane mogłaby napisać tomy, nie powtarzając ani jednego słowa. Zatopiliby się w tym nastroju.

Tak, chciał zabrać ją do łóżka.

Natychmiast po tym, jak całą jej rodzinę wyprawi statkiem do Ameryki.

Pewnie stanął na nogach, dosłownie i w przenośni, gdy przypomniał sobie, że to tylko umowa, że kocha Merry, że wszystkim, czego chciał od Abby, było przyjemne życie bez uczuciowych komplikacji i ochrona przed litością Merry. By mu była przyjaciółką, jeśli to możliwe.

- Pozwolisz mi się tu wprowadzić, prawda? - spytał, gdy w końcu odwzajemniła jego spojrzenie, gdy jej rozszerzone fiołkowe oczy wpatrzyły się w niego z niesłabnącą furią. - Wszystkich ich tutaj sprowadzisz, prędzej czy później. Bo mnie nienawidzisz, tak? Nie wiem dlaczego, ale mnie nienawidzisz. Chcesz mnie pokarać za jakiś grzeszek czy niedociągnięcie, które mi przypisujesz, czy tak?

- Tobie? Naprawdę wierzysz, że wszystko się kręci wokół ciebie, ciebie dotyczy? Oczywiście, że tak! Jesteś najbardziej płytkim, śmiesznym, niezdolnym człowiekiem, jakiego w życiu poznałam - oświadczyła Abby z żarem. - A znając moją rodzinę, rozumiesz chyba, jak wiele to znaczy!

Kipp gapił się na nią przed dłuższy czas. Czy to możliwe, że tak niedawno uważał ją za osobę spokojną, w gruncie rzeczy nieuczuciową, która nigdy nie traciła nad sobą kontroli, osobę, która potrafiła wyjątkowo chłodno i racjonalnie uporać się z każdą sytuacją? Podziwiał ją za jej opanowanie, wyważony charakter.

Ale dosłownie uwielbiał ją za to, że czasem je traciła, urywała się z krótkiej smyczy samokontroli, którą wcześniej poluźniała tylko w łóżku, bo tylko tam nie miała się na baczności, tylko tam pozwalała, by górę wzięło pożądanie. W łóżku zawsze wydawała się mu *prawdziwsza*. Teraz zaś uświadomił sobie, choć był to dla niego wstrząs, że narreszcie ujrzał prawdziwą Abby poza pościelową scenerią, w jej prawdziwym życiu. Nie opanowaną. Nie odgrywającą ról. Nie wdająca się w gierki.

Nawet seks był dotychczas grą, w której uczestniczyli oboje.

Aż do teraz.

Od tej kłótni, od tego siarczystego policzka, jaki wymierzyło mu życie, wszystko się dla Kippa zmieniło i zachodził w głowę, dlaczego to się stało i jak.

Nie była już jego nieuciążliwą żoną. Była Abby. Całą Abby. Wykroczyli poza wzajemne uprzejmości, pożąda-

nie. Zachowywali się zupełnie jak małżeństwo. Tak, tak. Dokładnie tak. Zachowywali się jak mąż i żona. *Prawdziwi mąż i żona*. Widząc, robiąc i czując wszystko - to, co dobre, oraz to, co złe.

Co zatem miał teraz z nią zrobić? Co ma w ogóle robić?

- W takim razie zniknę ci z oczu, pani. Nie spodziewaj się mnie do bardzo późna, jeśli w ogóle.

- Och, wypisz wymaluj cały ty. Ma być miło, ma być przyjemnie i niezobowiązująco. Dlaczego miałabym oczekiwac od ciebie czegokolwiek innego, skoro nie patrzysz dalej niż na czubek swego nosa? Cóż, nie pędź do domu przez wzgląd na mnie, milordzie, bo mnie także niespieszno ponownie cię oglądać.

Następnie wyrwała się z jego chwytu i ciężkim krokiem wypadła z bawialni, nim zdążyłaby uwiesić mu się na szyi i błagać, by jej, na miłość boską, pomógł. Żeby, na miłość boską, ją pokochał.

19

W rezydencji na Grosvenor Square zapanował wyraźny chłód, kładąc się cieniutką warstewką lodu na każdej wymianie zdań między Kippem a Abby w ciągu długiego, smutnego tygodnia, dwóch dni, sześciu godzin i, jako że zegar nad kominkiem melodyjnie ogłosił właśnie, iż minęło następne pół godziny, dokładnie trzydziestu minut.

Nadal bywali na tych samych przyjęciach, przychodzili i wychodzili razem. Nadal uśmiechali się i flirtowali. Nadal rezerwowali dla siebie wszystkie walce. Jak dotąd wzywiali się z warunków umowy.

Publicznie.

Spali jednak w osobnych łóżkach.

I przestali się śmiać.

Czwartego dnia do rezydencji przy Grosvenor Square w porze kolacji zawitał Bailey Backworth-Maldon, za pośrednictwem Gilletta oświadczył, iż nie widzi powodu, by jego brat miał stołować się lepiej od niego, i oznajmił, że zamierza tu zostać.

Na dodatek, jak ujął to Gillett w odniesieniu do Dagwooda, wujaszek Bailey przywiózł bagaże.

Kipp nie odezwał się słowem, bo szczęki miał zaciśnięte tak mocno, że z wysiłku rozboleły go zęby.

Hermione przybyła następnego popołudnia - tak, z bagażami - by ogłosić, że cała rodzina stołuje się lepiej niż ona (Backworth-Maldonowie wiele życiowych decyzji podejmowali, kierując się rozkoszami stołu, w ten czy inny sposób) i że osobiście nie widzi najmniejszego powodu, by się do nich nie przyłączyć.

Zrezygnowała już z wynajmu domu przy Half Moon Street, jak na wstępie wyjaśniła oniemiałej Abby, nie dostrzegała bowiem sensu w trwonieniu świeżo przyznanej pensji, czekając, aż jej niewdzięczne dzieci przypomną sobie o osobie, która cieszyła się, choć jej biedne ciało zostało dosłownie rozerwane na dwoje, że daje im życie.

Kolejna lodowata rozmowa odbyła się po przyjeździe Hermione:

- Ona też? Na tym koniec, pani, czy też zamierzasz niebawem importować Backworth-Maldonów z zamorskich krain?

- Nie sądzę, niemniej poważnie się zastanawiam, czy nie zacząć spacerować po ulicach i proponować zupełnie obcym ludziom, żeby wprowadzili się do rezydencji.

- Zastanawiasz się? Ha! Już zaczęłaś spraszać Bóg wie kogo, a może zapomniałaś o Reginie Bliss?

- W tym domu są czterdzieści dwa pokoje, Kippie, przynajmniej były, kiedy ostatnio sprawdzałam, nie wliczając w to pokojów dla służby. Nawet nie będziesz wiedział, że

tu są. I nie martw się. Jestem o krok od znalezienia rozwiązania, chociażby tylko w kwestii Iggy'ego, który niewątpliwie wyleci stąd pierwszy. Wystarczająco już nadużył mojej cierpliwości. Z wujkami natomiast może być odrobinę trudniej, bo wciąż jeszcze nie zdołali wykoncypować, jak odzyskają swoją fortunę.

- Fortunę? Jaka fortunę?

- O nie. Nie myśl, że ci o tym opowiem, żebyś *móc* wysłuchiwać kolejnej płomiennej tyrady o tym, jak to ściągam swoje problemy z Backworth-Maldonami do twojego domu. Nie chcesz niczego wiedzieć, pamiętasz? Nie chcesz, by cię w cokolwiek wciągnano. Chcesz, żebym sama rozwiązywała swoje problemy i nie interesowała się twoimi. Taką mamy umowę.

- W ten sposób naszą umowę pojmuję ja, ulegam jednak wrażeniu, że ty interpretujesz ją inaczej, pani. Jak na kogoś, kto obiecywał mi monotonne życie, życie niezmiennione pomimo naszego ślubu, dosłownie przechodzisz samą siebie, by jak najskuteczniej to życie skomplikować. W każdym kącie, w każdym zakamarku natykam się na ciebie, ilekroć się tylko ruszę. Wyobrażam sobie, że to kwestia tygodni, zanim ogołocisz moją salę bilardową i zmienisz ją... w... nieważne, pal to licho!

- Jesteś nieznośny! I raczej śmieszny, to na wypadek, gdyby tak bardzo pochłaniały cię te twoje głupie fochy, że przesłaniają ci cały świat. Powiedziałam, że wszystko załatwię, zajmę się wszystkimi, i tak zrobię. Po prostu potrzebuję trochę więcej czasu.

- Czasu, żeby zająć się wszystkimi Backworth-Maldonami, pani, pokuszę się o uściślenie. Ja Backworth-Maldonem nie jestem i nie potrzebuję, by się mną zajmowano. I szczególnie mam na to ochotę, dodam.

- Oczywiście, że nie.

- Ha! Znów ta sama śpiewka. Oczywiście, że nie, oczywiście, że nie. Cóż, nie łudź się, że nie wiem, co to ozna-

cza, moja miła. Wybacz zatem, pani, że sprawię sobie przyjemność i odrobinę się powtórzę. Mną nie musisz się zajmować, wcale mi tego nie potrzeba.

- Nie, rzeczywiście ci nie potrzeba, fakt. Po prostu zawsze musisz dostać to, czego chcesz i tak jak chcesz. Wszyscy mają robić to, na co ci przyjdzie ochota, zachowywać się wedle twojego widzimisień. Gillett nie może wyjechać do Walii, bo nie możesz znieść myśli, że miałbyś się z nim rozstać - bo przecież jego życie znaczy tylko tyle, ile wnosi w twoje. Dziwię się, że nie zachowałeś wszystkich zabawek z dzieciństwa, że nie kazałeś wypchać swojego pierwszego kuca i postawić na postumencie. Nie potrafisz się uwolnić od przeszłości, a zamykasz się na wszystko, co nowe.

- To jakaś bzdura.

- Czyżby? A czy nie właśnie dlatego ożeniłeś się ze mną? Żebyś mógł dalej być taki, jaki byłeś, być tym, kim byłeś - kurczowo trzymając się tego, co już minęło, zamiast spojrzeć przed siebie i zobaczyć, co może przynieść przyszłość?

- A to już kłamstwo.

- Nie, Kippie. W tym także się mylisz. My jesteśmy kłamstwem. Sam jeszcze do tego nie doszedłeś?

Zapadło chwilowe milczenie, Kipp bowiem obserwował, jak do bawialni wmaszerowuje Pieszczuś, spokojnie podchodzi do zastół i zadziera nogę. Lepiej skoncentrować się na psie, na swoim gniewie, niż zastanawiać się nad tym, co Abby powiedziała, jak go dotknęła, dlaczego obudziło się w nim poczucie winy. Na pewno nie dlatego, że mogła mieć rację. Racji mieć po prostu nie mogła.

- Chcę, żeby ten stwór znalazł się pod kluczem.

Do pomieszczenia drobnym, sprężystym kroczkiem wszedł właśnie Ignatius Backworth-Maldon w swoich długich butach na czerwonym obcasie, porywając po drodze talerz z kandyzowanymi owocami, żeby zabrać go ze sobą na górę.

- Kto? Iggy? Czy ty aby odrobinę się nie ośmieszasz? Zdążyłam już pozbawić go Skowronka, której jest o wiele

lepiej u Sophie. Czy też było, dopóki nie ukradła dwóch srebrnych lichtarzy i zniknęła bez śladu, zapewne w celu znalezienia nowego protektora. Sophie dała mi słowo, że się tym nie przejęła, jako że nie każdy wielkoduszny czyn musi przynosić taki sukces, jak w przypadku Reginy.

- Nie, nie mówię o tym bufonie. Tam. Szczuś.

- Pies Hermione? Wabi się Pieszczuś.

- Może ty tak uważasz. Ja jednak wierzę w nazywanie rzeczy po imieniu.

Abby wyszła z pokoju, nim zdradziłyby ją uśmiech.

Kipp naprawdę był dobrym człowiekiem, pomimo wszystkich swoich wad, gdy szło o chorobliwe przywiązanie do przeszłości i nieumiejętność przyjmowania czegokolwiek - lub kogokolwiek - nowego. Zacnym człowiekiem. Serdecznym i współczującym, i na wskroś cudownym. Po prostu sam o tym nie wiedział.

Kippowi nie dane było doświadczyć prywatnego objawienia, dzięki któremu zrozumiałby, że jest dobry, zacny i serdeczny - cóż, taki, za jakiego miała go Abby. Przynajmniej nie tego ranka, to było pewne.

Humor nieznacznie mu się poprawił, gdy Brady James, hrabia Singleton, sprawił mu niespodziankę, pojawiając się w mieście pełne dwa tygodnie, jeśli nie więcej, wcześniej niż się go spodziewano. Dość przyjemnie spędzili godzinę na grze w bilard, po której Brady był Kippowi winny dwie swoje posiadłości i pierwotnego, nim służący jakiś czas temu wysłany do Little Woodcote wrócił na Grosvenor Square.

- Spotkałeś się z pastorem i jego żoną? - spytał mężczyzną Kipp, retorycznie, bo tyle właśnie przed chwilą się od niego dowiedział.

Brady, który, korzystając z nieuwagi Kippa, wyhamował białą bilę, nim wpadła do narożnej łuzi, zainteresował się nagle:

- Jakim pastorem i jego żoną? Coś mnie tu ominęło?

- Cicho, Brady - rzucił protekcyjnym tonem Kipp. -

Usiłuję coś zrozumieć. Walterze, wybacz ten wtręt. Mów dalej, proszę.

- Tak, milordzie - rzucił słuźbiście Walter, a jego wydatne jabłko Adama zadrgało, gdy wyprostował się jak długi, mając na końcu języka raport obejmujący najmniejszy szczegół podróży do Little Woodcote. Skrupulatny był człęk z tego Waltera Beama i było dla niego najzupełniej jasne, że jego lordowska mość spodziewa się nie mniej niż wyczerpującego raportu.

- Wsiadłem do dyliżansu, milordzie, w samiuśkim White Horse, i całe mile jechałem jako pasażer wewnętrzny, znaczy się, we środku, a nie obok woźnicy na koźle - i dziękuję jego lordowskiej mości, że dał pieniądze na opłatę, bo trochę se popadało, jakeśmy wyjechali za miasto, i jako pasażer zewnętrzny mógłbym się na śmierć zaziębić. Zatrzymaliśmy się w „Pod Koroną i Winogronami” na posiłek, i królik był zdeczko żyłasty, ale czego można się spodziewać po zajeździe pocztowym, zawsze to powtarzam. Kiedy już se ulżyłem, po jakiejś godzinie ruszyliśmy dalej i...

Kipp, który zastanawiał się, czy pomasaować się po bolącej głowie, czy też kijem bilardowym pomacać głowę Waltera, zamachał rękami, uciszając go na moment.

- O pastorze, Walter, jeśli łaska.

Brady wyczuł, że poukładane życie przyjaciela pod jego nieobecność jeszcze bardziej się skomplikowało. Oparł się biodrem o krawędź stołu i powiedział:

- Och, czy ja wiem, Kipp. Osobiście chętnie bym się jeszcze czegoś dowiedział o tym króliku.

- Zamknij... się... - wycodził Kipp i Brady opadł ciężko na fotel i zajął się swoim kieliszkiem wina. - A więc, Walterze, mówisz, że widziałeś się z pastorem?

- Tak, milordzie, pewnie, zem się widział. Z nim i z jego żonką, i siódemką dzieciaków. Pasturuje w Little Woodcote od kilkunastu lat, powiada, ku zadowoleniu hrabiego Allertona, i nigdy o żadnej Reginie Bliss nie słyszał.

- Psiakrew.

Brady pytająco uniósł jedną brew.

- Psiakrew? Dlaczego *psiakrew*, Kippie? I kim, do diabła, jest Regina Bliss? Dla mnie brzmi to jak fałszywe nazwisko, z rodzaju tych, w których gustują ulicznice, albo jeszcze gorzej.

Kipp przegarnął włosy, w duchu śląc Brady'ego dokądkolwiek, byle nie tam, gdzie teraz był.

- Dziękuję ci, Walterze. Możesz odejść.

- Tak, doprawdy, Walter, teraz możesz już odejść - zawtórował Brady, po czym poczekał, aż drzwi zamkną się za mężczyzną, i dodał: - a teraz możesz mi opowiedzieć, co się tutaj wyprawia i jaka w tym rola Abby, bo jeśli żadnej nie odgrywa, to będę potężnie zdziwiony. Jednakże, zanim zaczniemy, pozwól, że powiem, jak cieszy mnie to, że *znakomicie wyglądasz*, widać, że *dobrze się tobą zajmowano*. Życie w stadle małżeńskim dobrze ci robi, stary przyjacielu. Tego właśnie najbardziej ci było trzeba, spokojnej, poukładanej egzystencji, nieuciążliwej, uległej żony ścielącej ci życie różami, pozoru domowej sielanki, ponad którą nie mogłeś niczego pragnąć, nie myślę się, prawda?

- Wiesz, Brady, od dobrych kilku tygodni walczę ze swoją podejrzliwością, ale po prostu nie potrafię otrząsnąć się z wrażenia, że swoim zrządzeniem wmanewrowałeś mnie w to małżeństwo, łącznie z wyborem panny młodej. Nie wiem, jakim cudem, ponieważ byłem przekonany, że ślub z Abby to tylko i wyłącznie mój pomysł, ale jesteś zdecydowanie zbyt zadowolony z siebie, żebym miał spokojną głowę. Chcesz mi wmówić, że się mylę?

- Raczej nie - przyznał Brady i błysnął zębami w uśmiechu. - Ale sam przyznaj, Kippie, kiedy ostatnio pomyślałeś o Merry albo o Jacku?

- To nie ma nic do rzeczy - zacietrzewił się Kipp, po czym warknął: - Czego? - ktoś bowiem zapukał właśnie do drzwi, czy też raczej zaczął w nie łomotać.

Drzwi uchyliły się lekko i w szparze między framugą ukazała się głowa wuja Bailey'a, w ślad za którą wpełzła się po chwili reszta jego ciała... oraz ciało bliźniacze w osobie, rzecz jasna, wuja Dagwooda.

- Przeszkodził ci w czymś, chłopcze? Nie, gdzie tam. Tym bardziej, że mamy do omówienia coś ważnego...

- ... krytycznej wagi, żeby nie skłamać. Krytycznej. Prawda, Bailey?

Brady dyskretnie pociągnął nosem i doszedł do wniosku, iż bliźniacy Backworth-Maldon wydają zapaszek do złudzenia przypominający woń gnijącego ogródka, następnie wygodnie oparł się w fotelu i skrzyżował nogi w kolanach, z zadowoleniem przyglądając się przedstawieniu. Bo tego, że będzie świadkiem przedstawienia, był równie pewny jak faktu, że wieczorem w domu czeka na niego gorąca kolacja.

Wujowie Backworth-Maldon wymienili konspiracyjne spojrzenia, po czym wuj Bailey posłał Kippowi szeroki uśmiech i raz czy dwa klepnął go w ramię, jakby dodając mu otuchy.

- Kippie? - wtrącił Brady, widząc, że bracia woleli zachować podniosłość, jak bez wątpienia mniemali, milczenie. - Waham się, czy o tym wspomnieć, ale ci dwaj zaci panowie mają na sobie kapcie. Czyżby to znaczyło... czy to możliwe?

- Owszem, Brady, mieszkają tutaj - wycedził Kipp przez zaciśnięte zęby. - Przejsiowo.

- Dobry człek, ten nasz milord. Wszystkich nas przygarnął...

- ... i Edwardine, i Iggy'ego...

- ... Hermione i nawet Pieszczusia.

- Pieszczusia? - przerwał Brady, spoglądając na Kippa, któremu ze złości poczerwieniał kark. - Och, a niech mnie, przyjacielu. Pieszczuś?

- Pies, Brady. Pies. - Gniewna odpowiedź i mordercze spojrzenie Kippa uciszyły Brady'ego, nie licząc cichego chichotu, którego nawet najsrozsze spojrzenie nie zdołałoby powstrzymać.

Wuj Dagwood niestrudzenie paplał dalej:

- Wszystkich nas sprowadził, jedno po drugim. Tak dobrze nie jadałem od lat. Abby mówi, że to przez to wielkie serce milorda...

- ... i dlatego właśnie tu jesteśmy, żeby pogadać o tym twoim wielkim sercu, chłopcze luby. Widzisz... - wyjaśnił wuj Bailey, ponownie poklepując Kippa po ramieniu - właśnieśmy wyniuchały że Longhope zamierza dać Backworth's Prize na rozplód, i to tutaj, w Londynie...

- Jak nic brakuje mu forsy, skoro sprowadza Prize do miasta, żeby móc wszystkim wykluwać nim oczy, puszyć się i takie tam.

- ... no tośmy ruszyli głowami. Jakbyś złożył Longhope'owi wizytę, powiedział, że chcesz, żeby nasz ogier pokrył twoje klacze...

- ... mógłbyś go wypożyczyć na jakiś tydzień...

- ... a potem oddać mu zupełnie innego konia. Longhope to kiep...

- ...nawet się nie pozna. To plan doskonały, luby chłopcze. Sam się dziwię, że nie wpadliśmy na to wcześniej.

- Doskonały.

Kipp stał w milczeniu, przysłuchując się gorączkowej wymianie zdań pomiędzy wujami, nie ulegało bowiem wątpliwości, że ani on, ani Brady nie mieli w niej uczestniczyć. W końcu, przekonany, że już się wygadali, wpatrzył się w nich złym wzrokiem i spytał, choć rozsądek podpowiadał, by tego nie robić:

- Co wy, do ciężkiej cholery, wygadujecie?

Zarówno Bailey, jak i Dagwood rozdziawili usta, by odpowiedzieć, co natychmiast uświadomiło Kippowi jego błąd.

- Mniejsza z tym, panowie. Jestem pewny, że Abby wszystko mi wyjaśni, prawda? - zasugerował pośpiesznie i jowialnym gestem objął każdego z braci ramieniem, machnięciem ręki dając Brady'emu znak, by zeskoczył z fotela i otworzył drzwi do holu. Chwilę później bracia

znikli im z oczu, a Kipp ciężko zaparł się plecami o drzwi, starannie wcześniej je zamknawszy. Na ustach błąkał mu się nieznaczny uśmiech, gdy szukał spojrzeniem Brady'ego.

- Są nieco ekscentryczni - wyjaśnił przyjacielowi.

- A Prinny jest odrobinę pucołowaty - odpowiedział z uśmiechem Brady. - Masz jakiegokolwiek pojęcie, o czym tak zaciekle trajkotali?

- To niewłaściwe pytanie, Brady. Powinieneś zapytać, czy ja w ogóle chcę wiedzieć, o czym trajkotali? Nie wydaje mi się. Poza tym obiecałem Abby, że nie będę się wtrącać w jej sprawy, tak jak ona obiecywała mi, że poradzi sobie ze swoją rodziną bez mojej asysty. Wszystko to należy do naszej umowy małżeńskiej, rozumiesz.

- I nie jesteś ani trochę ciekawy?

- Och, jestem ciekaw, Brady. Ale skoro ostatnimi czasy nie odzywamy się z Abby do siebie, podejrzewam, że będę musiał trwać w stanie błogiej ignorancji. A zresztą, sam się nad tym zastanów, Brady. A może ty chciałbyś się dowiedzieć, o czym, do diabła, mówili ci dwaj?

Brady pokręcił głową.

- Myślę, prawdę powiedziawszy, że wolałbym posłuchać o tej całej Reginie Bliss i pastorce Little Woodcote.

- Święta prawda. - Kipp targnął za sznur, który uruchamiał dzwonek w kwaterach służby. Niemal natychmiast pojawił się służący, któremu Kipp polecił powiadomienie Reginy, że proszona jest na rozmowę z panem. Gdy z Bradyem czekali na przyjscie nowej pokojowej, Kipp zreferował mu pokrótce wydarzenia, które zaszły w Covent Garden i później, w sypialni Abby.

- Żadne z niej dziecko? Ma szesnaście lat albo i więcej, jak twierdzi Abby? - zdziwił się Brady dokładnie w chwili, w której od strony drzwi dobiegi ciche skrobanie zapowiadające, jak spodziewał się Kipp, pojawienie się Reginy Bliss, czekającej, aż zostanie zaproszona do środka. - A jej historyjka to jedno wielkie kłamstwo?

- Seria kłamstw, to chyba trafniejsze - odrzekł Kipp i zmarszczył brwi. - A teraz czeka mnie zaszczytne zadanie odsiania fałszu od prawdy, żeby potem najpewniej złać Abby serce, odsyłając tę dziewczynę precz, nim, jak obawiała się Edwardine, wymorduje nas w łóżkach.

- Jak na razie nieboszczykiem nie jesteś - powiedział z naciskiem Brady i wydał językiem policzek. - Och, otwórz wreszcie te drzwi, Kipp. Coś mi się zdaje, że powinienem osobiście się przyjrzeć tej pannie Bliss.

Jednak zamiast kłamliwej pokojowej w drzwiach ukazała się Abby, cierpliwie czekająca na zaproszenie do środka - wiedziała, że ten pokój stanowił prywatne sanktuarium Kippa i w równym stopniu nęciło ją, by zakłócać jego spokój, co pośpieszyć z wyznaniem, że tęskniła za nim, samotnie kładąc się do łóżka. Choć tęskniła straszliwie.

- Brady! - wykrzyknęła, gdy tylko Kipp otworzył i pomknęła przez pokój, by go uściskać. - Och, Brady, jak dobrze cię znowu widzieć! - Obejmując go, szybko szepnęła mu do ucha: - On nadal o niczym nie wie, więc jeśli masz dla mnie bodaj odrobinę sympatii, staniem na głowie, żeby nigdy nie dowiedział się o twoim udziale w całej sprawie. Rozumiesz?

- Piękniejesz z dnia na dzień, Abby. Szczęściarz z tego Kippa. - Brady żartobliwie cmoknął ją w ucho, powoli, by szepnąć: - Jesteś bezpieczna jak w skarbcu, moja droga. Zwłaszcza że cenię sobie własną skórę.

Kipp stał nieruchomo jak głaz, patrząc, jak Abby obejmuje Brady'ego. Patrząc, jak Brady obejmuje Abby.

Kipp naprawdę był dobrym człowiekiem. Zaczynającym człowiekiem. Troskliwym i współczującym, i na wskroś cudownym.

Gdyby jednak Brady nie zabrał niebawem łap od jego żony, byłby rozdarł serdecznego przyjaciela na sztuki.

Abby nie zamierzała pozwolić, by Brady sobie poszedł, wiedząc, że stanowi on jedyny bufor między nią a Kippem, nawet wtedy, gdy Kipp złapał ją za rękę i pociągnął za sobą do bawialni, zapowiadając, że muszą odbyć „rozmowę”.

- A spodoba mi się ta „rozmowa”? - odważyła się spytać Abby. Miała nadzieję, że zobaczy uśmiech na twarzy Kippa, ta jednak dosłownie stężała. - Nie, chyba raczej nie.

- To by zależało, pani - wycedził Kipp, sadowiac się na kanapie naprzeciw niej, i oparł dłonie na kolanach. - Widzisz, muszę ci powiedzieć, że twoje małe znalezisko z zeszłego tygodnia, twoja nowa szwaczka, nie jest tym, za kogo się podaje.

- O, to świetnie, Kipp, czyli porozmawiamy o tym, co to za jedna ta Regina Bliss - ucieszył się Brady, nalewając wszystkim po kieliszku wina. - Szwaczka, powiadasz? A ty uznałeś za konieczne, by wywiadywać się o zwykłą szwaczkę? Zastanawiam się dlaczego. Niemniej jestem niezmiernie wdzięczny, że dopuszczacie mnie do swoich domowych spraw. To wykładnik waszych uczuć dla mnie, otóż co o tym sądzę. Albo też, po pewnym namyśle, mam tu być kimś w rodzaju rozjemcy?

Abby na moment zamarło serce, niemniej usiłowała zachować możliwie najspokojniejszy wyraz twarzy, a równocześnie ignorować promienne uśmiechy Brady'ego, który nieoczekiwanie wydal się jej nagle najzupełniej zbędny.

- Nie? No to kim ona jest?

Kipp zapadł się plecami w poduszki i popatrzył na Abby, szacował jej reakcję.

- Kim? Kłamała, a to czyni z niej oszustkę, to po pierwsze. Czy jest kimś gorszym, to nie zostało jeszcze ustalone.

Wstał i zaczął maszerować po pokoju, nie był bowiem w stanie usiedzieć na miejscu, dalej spoglądać na Abby, nie wówczas, gdy patrzeć na nią znaczyło tyle, co jej pragnąć.

- Wiem, że uzgodniliśmy - cóż, ty uzgodniłaś, bo przyznam, że dla mnie szczegóły wciąż jeszcze rysują się mgli-

ście - że zajmiesz się wszystkim, co w twoim przekonaniu nie dotyczy mojej osoby. Niemniej uważam, że powinienem być obecny przy twojej rozmowie z Regina, po to chociażby, by uspokoić się, że nie zaprosiliśmy pod nasz dach zwykłej przestępczyni. Gillett wysłał po nią kogoś, dodam tytułem sprostowania, mogłabyś więc zastanowić się, jakie pytania dobrze byłoby jej zadać.

- Ja mam dobry tuzin - wtrącił Brady, po czym szybko zajął się swoim winem, nim Kipp zdąży wyrzucić go na złamaną twarz.

- Przestępczyni? Och, Kipp, doprawdy! Jak mogłeś w ogóle coś podobnego pomyśleć? Regina ma takie dobre maniery... chciałam powiedzieć, że z pewnością nie dała mi najmniejszych powodów do... ojej. Nie rozumiem. Dlaczego miałyby nas okłamywać, Kippie?

- Możliwe, że prawda nie okazałaby się taka miłutka i przyjemna, jak opowiadki o tym, jaka to z niej porządna dziewczyna, wypędzona z posiadłości Allertona po śmierci wuja i ciotki. Wuja pastora, jeśli pamiętasz. Och, a otóż i ona sama. Wejdz, Regino - powiedział sucho i skinieniem głowy zasygnalizował żonie, że do niej należy pierwsza salwa.

- Milordzie, milady, panie hrabio... - przywitała się Regina i dygnęła z szacunkiem pod adresem całej trójki. Jej szare oczy omiotły duże pomieszczenie, niepewnie zatrzymując się na Bradym, nim po dłuższej chwili wbiły się w dywan pod jej stopami. - Państwo mnie wzywali?

Abby patrzyła na dziewczynę, którą ocaliła, zabrała do własnego domu. Do domu Kippa. Taka ładna panna, teraz, kiedy zjadła kilka porządnych posiłków, i ubrana była w granatową sukienkę i białe fartuszek. Młoda, inteligentna, schludna. Ale kłamliwa?

- Tak, Regino, wzywaliśmy. Ehm... wydaje się... to znaczy, nie uszło naszej uwagi, że... ehm... jego lordowska mość poinformował mnie...

- O nie, tak to do niczego nie dojdziemy - przerwał jej

Kipp, wydawało się bowiem, że Abby nie zdoła nigdy powiedzieć tego, co zostać powiedziane musiało. - Regino, okłamałaś nas. Posłałem kogoś do Little Woodcote i ten ktoś spotkał się z pastorem i jego małżonką, którzy jak najbardziej nadal są pośród żywych i nigdy o Reginie Bliss nie słyszeli. A więc, masz nam cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie?

- Przypuszczam - odezwała się w końcu Regina - że nie uwierzą państwo, że pomyliła mi się nazwa miasteczka? Ze nie brzmi ona Little Woodcote?

- Och, podoba mi się ta mała szelma! - zawołał Brady, siadając na drugiej sofie, i uśmiechnął się do Reginy, która przechyliła głowę i bezwiednie odpowiedziała mu uśmiechem, nim szybko oprzytomniała, a jej wyrazista twarz oblekła się w wyraz wielkiego żalu i skruchy.

- Brady, zachowuj się. Nie, Regino, nie uwierzylibyśmy w to - odparła Abby, dokładając wszelkich starań, by irytacja, która ją ogarnęła, nie dała się słyszeć w jej głosie. Jak Regina mogła to jej zrobić, ją okłamać? Czy prawda była aż tak okropna?

- Tak mi przykro, psze pani - westchnęła Regina, pochylając głowę. - Ale czy przyjęłaby mnie pani, gdybym powiedziała prawdę? O ileż lepiej zmyślić pastora i jego żonę, o ileż lepiej być niewinną sierotą, niż pasierbicą, która uciekła z nieszczęśliwego domu po śmierci matki. Nie mogłam przecie ryzykować, że milady mnie tam odeśle, bo umarłabym, dosłownie padłabym trupem, gdybym musiała wrócić do tego okropnego człowieka i jego okropnej przędzalni wełny. On... on chciał, żebym tam pracowała, pani, szesnaście godzin dziennie, jak gdyby polowa przędzalni nie była moją prawowitą własnością, tak jak wcześniej należała do mojego ojca. Nie zostałabym tam ani dnia dłużej, kiedy zabrakło mamy.

Pojedyncza łza spłynęła po policzku Reginy i kapnęła na biały fartuszek.

- U... uciekłaś z domu? Od niegodziwego ojczyrna? - spy-

tała, a serce znów się w niej ścisnęło. - A twoja matka nie żyje? Och, ty małe biedactwo. Kipp, czy ty się nie wstydzisz?

- To ty wierzysz w te oczywiste androny? - zachnął się Kipp, bliższy osłupienia niż kiedykolwiek dotychczas. - Abby, na litość boską...

- Ja jej wierzę - wpadł mu w słowo Brady, gdyż oczy Abby, skierowane ku mężowi, zdawały się krzesać ametystowe iskry. - A może nie. Ale co to ma za znaczenie? To jasne, że dobra z niej dziewczyna. Chyba nawet ty to dostrzegasz, prawda, Kippie?

- Ale ja patrzę oczami, Brady - zagrzmiął Kipp z naciskiem, wiedząc, że uroda Reginy wywarła na Bradym piorunujące wrażenie. - Na marginesie, ona nie ma więcej niż szesnaście lat.

- Auć - syknął Brady i skulił się. - Tak czy siak, wierzę jej. Niegodziwy ojczym bywa gorszy niż sam diabeł. Pewnie nawet ma rogi i całą resztę.

- Możesz już odejść, Regino - rzucił Kipp, skrajnie zirytowany, nie zamierzał jednak wdawać się w spór z żoną i przyjacielem z powodu wierutnych kłamstw dziewczyny - ale jeszcze do tego wrócimy.

- Tak, milordzie - rzuciła Regina i, dygnawszy, dosłownie wybiegła z pokoju.

- Nadal nie mówi prawdy, chyba wiesz o tym - dodał Kipp pod adresem Abby, która właśnie uświadomiła sobie, że kolejna cegiełka wylądowała na stosie problemów, jakie już dźwigała na swoich barkach.

- Wiem - odrzekła z westchnieniem. - Zajmę się tym.

- Oczywiście. - W głośnym śmiechu Kippa nie wyczuwało się wesołości.

- A wiecie co - zaczął Brady tonem namysłu i odstawił pusty kieliszek - gdybym nie był mądrzejszy, powiedziałbym, że ta cała Regina to ktoś żywcem wyjęty z tych niepoważnych powieści Araminthy Zane, za którymi tak przepadają wszystkie panie, co ty na to, Kippie? Tajemni-

cza piękność, nieznana przeszłość, niebezpieczeństwo tuż? Abby? Czytujesz pannę Zane, prawda? I co myślisz? Powiedziałbym, że czai się tu przygoda. Wszystko, czego panie Bliss potrzeba, to odpowiedni bohater. Kippie, jakiego bohatera ty życzyłybyś sobie dla panny Bliss?

- Czy ty aby nie jesteś umówiony z krawcem? - warknął Kipp, doszedł bowiem do wniosku, że przyjaciel bawi się aż nadto dobrze, w dodatku jego kosztem. - Tak, jestem tego zupełnie pewny, podobnie jak tego, że obiecałem ci towarzyszyć, żeby nie skończyło się to dla ciebie kolęną krawiecką katastrofą. Idziemy?

Abby nie ruszyła się z fotela, gdy obaj pokłonili się jej i pożegnali uprzejmie, po czym opuścili pokój, pochłonięta roztrząsaniem problemu, jaki stanowiła osoba panny Bliss... i osoby wujów, wiecznie mamroczących pod nosem o odzyskaniu Backworth's Prize... i Hermione, która z samego rana wyraziła pogląd, że spodziewa się, iż wszyscy przeniosą się do Willoughby Hall po końcu sezonu... i Edwardine, która zapalała uczuciem do młodego lorda Wilkinsa, drugiego do schedy po ojcu i bez grosza przy duszy... i Iggy'ego, za którego sprawą nad jej głową wisiał - w przenośni - miecz Damoklesa... oraz osoba Kippa, który nie wiedział, że się w nim zakochała i zapewne znieawdziłby ją, gdyby o tym się dowiedział.

Jaka szkoda, że nie była katoliczką. Nagle bowiem poczuła, że z największą ochotą wstąpiłaby do klasztoru.

20

Kipp zostawił Brady'ego u krawca, po czym resztę dnia spędził, włócząc się po Londynie i obrzucając się w duchu najróżniejszymi wyzwiskami, wśród których nieodmien-

nie figurowało słowo „idiota”. Głupi idiota. Uparty idiota. Niepoprawny idiota. Zdziecinniały, rozmarudzony idiota. Idiota z tych, co to jak rzep uczepili się przeszłości i ignorują każdą myśl o przyszłości. Z tych głupszych nawet niż but z lewej nogi.

Z tych, którzy ciągle się czegoś boją.

Dużo też rozmyślał na temat wszystkiego, co powiedziała mu Abby od czasów pierwszej prawdziwej kłótni, o co go oskarżyła, i wiedział, że ani razu nie minęła się z prawdą.

Problem w tym, że lubił Abby. Szczerze ją lubił. Bardzo. Bardziej niż bardzo.

Na dodatek nie wiedział, co, do diabła, z tym począć.

Szukał nieuciążliwej żony, tarczy, za którą chciał się ukrywać po powrocie Merry i Jacka z Ameryki.

Znalazł jednak przyjaciółkę. Dobrą przyjaciółkę.

Bardzo dobrą przyjaciółkę.

Więcej nawet niż przyjaciółkę?

Kipp odesłał powóz do domu i na Grosvenor Square wrócił z Bond Street na piechotę, usiłując w jakiś sposób poukładać sobie wszystko w głowie. Nie zwracał szczególnej uwagi na to, co działo się wokół niego, jako że pochłonięty był rozważaniami, czy Abby uciekłyby od niego, gdyby zasugerował - napomknął tylko - że mogliby stać się kimś więcej niż bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Ta myśl natychmiast starła się z inną: bądź co bądź Merry także była jego bardzo dobrą przyjaciółką - i wystarczy spojrzeć, czym się to skończyło.

Miłość nieodwzajemniona nie mogła przetrwać, Kipp teraz o tym wiedział, podpisywał się pod tym całym sercem. Lecz czy pomimo tej wiedzy umiałyby to serce po raz drugi narazić na szwank? W chwili obecnej nie wydawało mu się, by Abby chciała czegokolwiek prócz jego głowy podanej na srebrnej tacy, choć wcale jej o to nie winił.

Ponieważ był idiotą.

Całą gamą rozmaitych idiotów w jednym.

Uzgodnili, że każde z nich będzie żyło swoim życiem, olśnią socjetę pokazem małżeńskiego przywiązania, spotkają się w łóżku, a pod innymi względami wzajemnie dadzą sobie święty spokój. Durny, durny plan.

Przez pewien czas dość zabawnie było przyglądać się, jak Abby usiłuje zapanować nad stadkiem krewniaków, nadszedł jednak czas, by się wtrącił, dowiedział, co w trawie piszczy - nawet jeśli miałyby go to zabić - by później zaproponować żonie swoją pomoc. Być bohaterem jak Korsarz, rozwiązać kilka problemów, okryć się chwałą, przyjąć płynące z głębi serca podziękowania Abby i poczekać, aż wpadnie mu w ramiona i padną, już oboje, prosto do łóżka.

Psiakrew, ależ pragnął znowu znaleźć się w łóżku Abby. Jakże za nią tęsknił. Za jej śmiechem. Jej nierozwagą. Namiętnością.

Raptem uwagę jego zwróciła para idąca po drugiej stronie trotuaru. Roxanne i Iggy, razem, co też, u nieba? Kippowi nie przychodziła do głowy gorzej dobrana para... kochanków? Śmieszne! Lecz co w takim razie pozostawało? Przyjaźń? Też nie do pomyślenia.

Usta Kippa ściągnęły się, gdy tknęła go inna myśl. Spisek. Para spiskowców.

Tak. To brzmiało sensownie, w ten sam pokretny sposób, w jaki Aramintha Zane natychmiast uznałaby to za najzupełniej logiczne, wręcz nieuniknione. Spiskowali. Ale spiskowali nad czym? Przeciwno komu?

Nie, nie, to już było głupie pytanie. Znał ich cel, tylko jeden bowiem wchodził w rachubę. Jego żona. Jego żona, która ewidentnie wbrew logice pozwoliła Iggy'emu pozostać pod ich dachem po incydencie ze Skowronkiem.

Psiakrew! Jakiż był z niego dureń, że wcześniej tego nie zauważył. Abby kochała swoją rodzinę, nie należała jednak do osób, które dają sobie wchodzić na głowę. Iggy w mgnieniu oka znalazłby się na bruku, chyba że czymś jej zagrażał, być może nawet w jakiś sposób zagrażał sa-

memu Kippowi, skoro Abby tak usilnie dbała o to, by w nic męża nie angażować, wolała się z nim kłócić, niż pozwolić, by jej pomógł.

Co prawda nie oferował jej pomocy ze szczerego serca, jeżeli w ogóle z serca.

Idiota. Psiakrew, ależ był z niego idiota.

Postanowił, że zacznie dosyć skromnie, najpierw upora się z najłatwiejszymi do pokonania przeszkodami, potem zabierze się za Iggy'ego... i Abby.

- Panowie? - odezwał się kordialnie, gdy wujowie, zapukawszy, weszli do pokoju. - Jakże to uprzejmie z waszej strony, że tak szybko zeszliście na dół. Jeśli tylko zechce libyście spocząć, o tam, będziemy mogli przejść do sedna sprawy, dobrze?

Wuj Dagwood łyptał na Kippa podejrzliwym wzrokiem jak stary puchacz, wuj Bailey natomiast dokonywał oględzin gabinetu Kippa, jednego z niewielu pomieszczeń, do których bracia nie zdążyli jeszcze wtargnąć od czasu obłędzenia rezydencji.

- Jakiej to sprawy, luby chłopcze?

- Nie zachowuj się jak osioł, Dagwoodzie - prychnął wuj Bailey, szturchając bliźniaka łokciem w żebra. - Chłopak nam pomoże, oczywista. Przecież już go prosiliśmy. To przez tę twoją dietę, wiesz. Ani jedna myśli nie usiedzi ci w łepetynie dłużej niż do następnego posiłku. I to widać, bracie, widać - dokończył, tym razem za cel kuksańca obierając wydatny brzuch Dagwooda, po czym usiadł i skrzyżował ręce na piesi, zasłaniając przy okazji płamę po zupie z marchwi. - Wal śmiało, młodzianku, jak zamierzasz nam pomóc?

Kipp przysiadł na rogu biurka, dziwiąc się, nie po raz pierwszy zresztą, jak udało się Abby nie oszaleć wśród tych niezwykle *interesujących* ludzi. Przyglądał się, jak bliźniacy walczą o miejsce na małej kanapie, poszturchując się ni- by para sztubaków, którzy uciekli z lekcji, w końcu jed-

nak usadowili się jakoś, przyglądali zszarzałe aureolki cienkich włosów i przywołali wyraz oczekiwania na wykrzywione w uśmiechach twarze.

- A więc, po pierwsze, panowie, powiem wam, co udało mi się wyciągnąć od Gilletta, który wydaje się lepiej orientować w waszym... hm, problemie niż ja.

- Co? - Wuj Bailey wychylił się do przodu, nie wstając z kanapy, za to niemal wyskakując ze skóry. - Abby ci nie mówiła? Nie powiedziała ci, jak...

- ... ten psubrat Harry upił się do imentu...

- ... przepuścił Backworth's Prize...

- ... nasz majątek. Nie zapominaj o tym, bracie. Nasz majątek. A wszystko przez tego parszywego Longhope'a.

- Już ja wiem, czemu Abby mu nie powiedziała, bracie. Przecież to przez nią Harry nas załatwił, wdeptał nas w ziemię. Biedna dziewczyna od tamtej pory stara się jakoś nam to wynagrodzić, choć nie robi tego w miły sposób, dusi każdy grosz, zanim komukolwiek go odda.

- Prawda, prawda. Ale teraz jego lordowska mość już tak zrobi, żebyśmy odzyskali Backworth's Prize. Kapitałnie, no nie?

Kipp przysłuchiwał się wymianie uwag między bliźniakami, czując się jak widz dość dziwnej rozgrywki, jakby słownej gry w zośkę, by przerwać w chwili, w której, jak miał nadzieję, zdążyli powiedzieć swoje i dojrzeli do tego, by posłuchać. **Skan Anula43, przerobienie pona.**

- Po pierwsze, nie mieszajmy do tej dyskusji mojej żony, dobrze? Przeszła już dość dużo, ani z waszą zasługą, ani moją. Po drugie, wujowie, *nie* poproszę Longhope'a o waszego ogiera, żeby odesłać mu innego. Nie wiem, dlaczego. Plan jest dobry, jest sensowny. Przypuszczam, że to tylko kwestia tego, że nie widzę siebie w roli kandydata do zawiśnięcia na szubienicy, gdyby coś się mimo wszystko powiodło. Wybaczycie mi, mam nadzieję.

- Wybaczycie mi? Jak myślisz, bracie?

- A to tak można? Wybaczyć komuś coś, czego *nie* zrobił?

Kipp wbił palce we włosy i przegarnął je, rozumiejąc w końcu, dlaczego Abby nie oszalała przy „wujaszkach”. Udało się dzięki jej cudownemu poczuciu humoru, upodobaniu do absurdu... a rzadko kiedy zdarzało mu się widywać coś bardziej absurdalnego niż bliźniacy Backworth-Maldon.

- Panowie, jeśli pozwolicie, żebym mówił dalej? Powiedziałem, że wam pomogę, i to właśnie uczynię. Więcej nawet, mój plan jest już w toku - mój plan, którym dzielić się z wami nie widzę potrzeby - i, jak mam nadzieję, Backworth's Prize znajdzie się w waszych stajniach w Syston w przeciągu tygodnia.

- Doskonale! - wykrzyknął wuj Dagwood, zrywając się na nogi.

- Pierwsza klasa! - zawołał ze wzruszeniem wuj Bailey, wydobywając dużą białą chustkę do nosa i ocierając nią oczy. - Wielki z ciebie człowiek, chłopcze. Wielki, wielki człowiek.

- Tak, wiem - odparł Kipp nieskromnie, następnie przeszył braci płonącym spojrzeniem. - Lecz, niestety, moje serce nie jest tak czyste, jak mniemacie. Powiedziałem, że mam nadzieję na powrót waszego konia do Syston. Nie mówiłem, że znajdzie się tam na pewno, nieprawdaż? Nie, wcale tak nie mówiłem. Ponieważ, mili panowie, istnieje kilka warunków, kilka przysług, o które chciałbym was poprosić w zamian za moją pomoc. Nielicho wstydzę się, że taki ze mnie okrutnik, ale jest, jak jest.

- Warunki? - spytał wuj Dagwood i klapnął na kanapę. - Czego sobie życzysz? Mamy za darmo dopuścić naszego ogiera do twoich klaczek?

Kipp zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Zgoda, brzmi to dość uczciwie. Ale nie o to chciałem was prosić, nie tego potrzebuję.

Wuj Bailey na powrót upchnął chustkę do kieszeni.

• - No to czego ci trzeba?

- Zastanówmy się - powiedział Kipp lekkim tonem, po-

pukując się palcem w brodę. - Jak wyrazić to delikatnie? A co tam, może lepiej po prostu powiem to szybko. Chcę, żebyście się wynieśli, panowie. Najchętniej z samego rana, żebyście bladym świtem jechali już do Syston. Myślicie, że dalibyście radę?

Bracia wymienili spojrzenia.

- Elgin Marbles już widzieliśmy...

- ... farsę w Covent Garden zaliczyliśmy wczoraj wieczorem...

- ... dałoby się wytrzymać bez Hermione i tej kulki sierści przez jakiś czas, bez zbytniego problemu.

- Och, czyżbym zapomniał wspomnieć, że wasza szwagierka i bratanica będą podróżować z wami? Oraz ten przebrzydły mały kundel? Ogromnie się wstydę.

- Zabrać ze sobą panie? W zamian za Backworth's Prize? Myślę, że jakoś byśmy sobie poradzili, dla Backworth's Prize... Ale nie będzie to miła podróż, tyle mogę ci powiedzieć, luby chłopcze.

- Czy będziemy nadal dostawać naszą pensję? - zainteresował się wuj Dagwood, przymrużył podejrzliwie oczy i ze współczuciem poklepał pojękującego Bailey'a po plecach.

- Tylko wówczas, jeśli będziecie w Syston, żeby ją odebrać, gdy będzie pojawiać się z końcem każdego kwartału - uściślił Kipp i rozmowa dobiegła końca, bliźniacy bowiem pędzili już pakować bagaże.

- Gillett? - odezwał się dziesięć minut później Kipp, odnalazwszy kamerdynera w jego prywatnym saloniku przy kuchniach. Zastał go siedzącego w swobodnej pozie na fotelu, moczącego stopę z haluksem w naczyniu z gorącą wodą. - Nie, nie, nie wstawaj, człowieku, miejże litość. Gillettecie, mam do ciebie pytanie. Nadal chcesz mnie opuścić, wyjechać do Walii?

Gillett, który od nazbyt wielu lat zachowywał się zbyt ceremonialnie, by nie postąpić tak samo i teraz, wytarł

szybko stopę i podniósł się z fotela, by z uwagą przyjrzeć się chlebowdawcy:

- Opuścić pana, sir? Zamyślałem opuścić moją posadę.

Kipp uśmiechnął się, lecz jego uśmiech był pełen smutku. Kolejny raz uświadomił sobie, że Abby miała słuszność. Postrzegał emeryturę Gilletta jako dezercję, co oczywiście było dość śmieszne.

- Tak, tak, oczywiście, Gilletcie. Kiepsko dobrałem słowa, prawda? Ale odpowiesz na moje pytanie? Wiem, że zgodziłeś się zostać, żeby pomóc mojej żonie w ciągu pierwszych tygodni po ślubie, sam to zaproponowałeś i dziękuję ci za to. Tylko powiedz, czy nadal życzysz sobie odejść... z posady u mnie?

Ramiona Gilletta jakby obwisły, czy też raczej w całej jego postawie zaszła nieznaczna zmiana, lecz to starczyło, by Kipp w jednej chwili uprzytomnił sobie, jak bardzo Gillett posunął się w latach, jaki musiał być zmęczony, jak chętnie usiadłby przed własnym kominkiem we własnym domu. Oparł dłoń na ramieniu Gilletta i uściśnął je.

- Poczekajmy z tym do końca sezonu, stary przyjacielu? Jeszcze tylko kilka tygodni, a potem wszyscy wybieremy się do Willoughby Hall po twoje rzeczy i będziesz mógł ruszać do Walii. Zgadzasz się?

- Tak, milordzie, dziękuję panu - powiedział Gillett, a jego podbródek, choć uniósł się odrobinę wyżej, zadrgał, w oczach zabłyśły tamowane łzy. - I... sir? Dobry z pana chłopiec, milordzie, zawsze pan taki był. Bardzo się cieszę szczęściem pańskim i milady.

- Dziękuję ci, Gilletcie - odparł Kipp szczerze, po czym pośpiesznie wyszedł z pokoju, żeby dobry, stary sługa nie czuł się zakłopotany, a jego pan nie zachował się w sposób, którego twardy mężczyzna musiałby się wstydzić.

Drzwi dzielące sypialnie Kippa i Abby otworzyły się gwałtownie i natychmiast zatrzasnęły z hukiem.

- Tu jesteś! Co ty, do diabła, sobie wyobrażasz, że tak się zachowujesz?

Kipp spojrzął sponad książki, którą czytał, czy też raczej udawał, że czyta, i uśmiechnął się do żony.

- Czytam? - odpowiedział usłużnie. Zastanawiał się przy tym, czy to możliwe, by reszta świata wiedziała, jak pięknie wygląda jego zwyczajna zdawałoby się żona, kiedy wpada w złość. Choćby nawet w morderczą furję.

- On czyta - powtórzyła Abby jadownicie. - A czemuż to, Kippie? Nie masz więcej nosów, które mógłbyś wściubić w moje sprawy?

- Rozmówiłem się z twoimi wujami - oznajmił, kiwając głową.

- Tak, niech cię diabli, już z nimi rozmawiałam. Z nimi, z Hermione - która zrejterowała do łóżka, nawiasem mówiąc, nie licz więc na to, że w najbliższym czasie uda ci się ją wykurzyć z Grosvenor Square. Z Edwardine, która z rozkoszą wróci do domu, bo, jak twierdzi, socjeta jest przemiła, ale ośbiście woli poczekać jeszcze jeden rok i ewentualnie dopasować sobie okulary przed powrotem do Londynu. To kolejny z twoich pomysłów, nieprawdaż? Dopasowanie Edwardine okularów. Jakbym sama nie próbowała jej namówić!

- Być może nie miałaś do tego należytego podejścia, pani - podsumował Kipp, po czym zamknął książkę i odłożył ją na stół. - Być może gdybyś napomknęła jej, że w ubiegłym tygodniu młody Wilkins oświadczył się trzem debutantkom - i trzy razy dostał kosza - a potem wspomniała jej, że może łatwiej byłoby jej przejrzeć ludzi, gdyby w ogóle ich widziała.

- Och, aleś ty z siebie zadowolony - wycodziła Abby, puszczając się nerwowym truchtem po pokoju.

- To wada, jedna z wielu, przed którymi powinienem cię być zapewne ostrzec jeszcze przed ślubem - odparł zgodnie Kipp i podszedł, by nalać im obojgu wina. - Nie wiem, czy się zdobędę na to, by wyznać, że pozwoliłem so-

bie również zatrudnić zarządcę, który zajmie się posiadłością Backworth-Maldonów, człowieka, którego usilnie rekomendował mój własny zarządca. Powinien być na miejscu, nim twoja rodzina zdąży bardziej jeszcze zaszkodzić swoim finansom. Co do Hermione, wujom pozostawię przekonanie jej, że przenosiny do Syston jutro skoro świt leżą w jej najlepszym interesie. Pokładałam wielką wiarę w twoich wujach i ich egoizmie.

- Wcale że nie są... och, niech to licho. Owszem, to egoiści. Samolubni do szpiku kości. Wszyscy oni, chociaż bardzo ich kocham. Cóż, chociaż bardzo kocham większość z nich - dodała, gdyż przypomniał się jej zdradziecki Iggy. - Ale teraz będziesz najpewniej chciał, żebym podziękowała ci za wyрекę w rozwiązywaniu moich problemów, a muszę ci powiedzieć, że wolałabym chyba połknąć cytrynę, i to w całości.

- Nie winię cię za to - zapewnił, podając jej kieliszek, i gestem zaprosił na jeden z foteli przed kominkiem. - Ale zauważysz chyba, jak mam nadzieję, że nie próbowałem nawet rozwiązać sprawy twojego bratanka. Nie wiem dlaczego, ale odczuwam dziwną pewność, że ty zajmiesz się nim o wiele rzetelniej, niż bym kiedykolwiek zdołał.

Nie napomniał o Roxanne i swoim głębokim przekonaniu, że Abby zajmie się także jego byłą kochanką, ponieważ sam będzie obserwował, czujny, gotów wkroczyć w momencie, w którym uzna, że mógł przecenić niespożyte, jak zakładał, siły swojej żony.

Abby przygryzła wargę, żeby powstrzymać uśmiech, gdyż właśnie przypomniał się jej plan, który opracowały we dwie z Sophie: plan ukarania Iggy'ego wieczorem w dniu rautu. Poderwała głowę i spojrzała na Kippa, a jej oczach zabłysła nadzieja.

- Raut. Pozostali... wyprowadzają się przed piątkowym przyjęciem?

Kipp kiwnął głową i usta same mu się uśmiechnęły, choć starał się zapanować nad mimiką. Nie zdołał jednak zacho-

wać powagi, widząc, że Abby rozsiada się wygodnie i unosi kieliszek w geście toastu.

- Koniec z zamartwianiem się, że wujkowie będą opowiadać każdemu, kto się nawinie pod rękę, jak to Harry przepuścił ich wymyśloną fortunę. Koniec odciągania Edwardine od schodów i balkonów, nim napyta sobie biedy. Koniec z chowaniem się po kątach, ilekroć Hermione porządnie sobie podchmieli, a ten cholerny pudel obsika każdą doniczkę w sali balowej. Może teraz miałybyś ochotę mi podziękować, żono? Przychodzi mi na myśl kilka sposobów, ot tak, nawet nie muszę się zastanawiać.

Abby pokręciła głową i machnęła ręką, żeby dał sobie spokój.

- Dlaczego, Kipp? Dlaczego mi pomogłeś, i to po tym, jak byłam dla ciebie taka niemiła? Powiedziałam ci takie straszne rzeczy...

- Powiedziałaś mi samą prawdę, Abby - zapewnił ją Kipp, gdy głos się jej załamał i zamrugała powiekami, jakby coś wpadło jej do oka.

- Cóż, nie będę się z tobą spierać. - Uśmiechnęła się ponownie i podciągnęła nogę pod siebie. Była o wiele bardziej zadowolona z siebie i z życia w ogólności teraz, gdy między nią i Kippem zdawały się powracać przyjazne stosunki. - Kto ci powiedział o Backworth's Prize?

- Gillett, w dużej mierze, choć sam niewiele wiedział ponad to, że Longhope w oszukańczy sposób zawłaszczył sobie ich konia po tym, jak Harry przegrał z nim w karty. Och, i wiem także, że twoi wujowie obmyślili sobie, że bym wypożyczył Backworth's Prize jako ogiera rozplodowego, a następnie zwrócił inne zwierzę, za co, gdybym się zgodził, zawisnąłbym na stryczku, więc naturalnie się nie zgodziłem. Jest coś jeszcze?

- Och, tak, Kippie. I to dużo, dużo - wyjaśniła z uśmiechem. - Gdybyś tylko wiedział, ile planów uknuli ci dwaj z biegiem lat. Oszukać Longhope'a w karty, najzwyczajniej

wykraść konia. W zeszłym tygodniu chcieli wydać Edwardine za syna Longhope'a, dopóki nie zwróciłam ich uwagi na fakt, że chłopak nie ma więcej niż dwanaście lat. Strasznie mi ich było żal, zwłaszcza że uważam, iż mają rację i Longhope istotnie ich oszukał, ale nie wiedziałam, jak im pomóc. No to powiedz mi, jak odzyskałeś Backworth's Prize?

Uśmiezek Kippa stał się zdecydowanie chochlikowaty.

- Prawdę? Zrobiłem coś, na co Panna Dwanaście Fun-
tów, Sześć Pensów najpewniej nie wpadłaby nawet w ciągu dekady. Kupiłem go.

Zakrztusiła się winem, po czym wbiła w niego roziskrzona oczy.

- Ku... *kupiłeś?* Milordzie, Kipp, jesteś geniuszem!

- Jestem, jestem - zgodził się uprzejmie. - Jestem także dobry i zacy, nie mówiąc o kilku innych zaletach, za które co poniektórzy komplementowali mnie nieświadomie przez cały boży dzień. W istocie rzeczy mądrze byś postąpiła, gdybyś w ciągu najbliższych pięciu sekund powiedziała mi coś kąśliwego, inaczej przyzwyczajaj się do myśli, że mogę w każdej chwili pęknąć z dumy.

- Dureń - parsknęła śmiechem Abby.

- W porządku, to było niezłe - odparł Kipp i z powagą pokiwał głową. - Niezłe, jak na początek. Bo też i jestem durniem, Abby, bez dwóch zdań. A na dodatek egoistą, to taki gratisowy dodatek do tej pierwszej cechy. Samolubnym w równym stopniu, co twoi krewni, z którymi niebawem się pożegnamy. A może myślisz, że pomogłem im z mojej wielkiej miłości dla nich?

- Wielkiej miłości dla... nie, raczej nie - skapitulowała Abby. Zastanawiała się, ile jeszcze zdoła wysiedzieć na miejscu tak blisko, a przecież tak daleko od niego, nim narobi sobie wstydu i wpakuje mu się na kolana, żeby zacałować go na śmierć. - Czemu więc zadałeś sobie tyle fatygi, żeby się nimi zająć?

Kipp wstał i podał rękę Abby, by także się podniosła.

Położył sobie jej smukłą dłoń na przedramieniu i poprowadził żonę w kierunku swojej garderoby.

- Chciałem, żeby wszystkie małe problemy były rozwiązane, żono, tak by w naszym życiu zostało dość miejsca na te większe. Bo nadal mamy problemy, nieprawdaż?

Abby zatrzymała się, zerknęła na męża. Czy wiedział o Iggym? O Roxanne? Wydawał się wiedzieć wszystko oprócz tego, że się w nim zakochała. A może wiedział i to? Czyżby chciał przypomnieć jej o warunkach umowy?

- A mamy?

Kipp uniósł palcem jej podbródek, uniósł jej twarz, by na niego spojrzała.

- Owszem, żono, mamy. Nie jest to jednak nic takiego, co nie mogłoby poczekać, bo teraz mam dla ciebie prezent. Potraktuj go jako przeprosiny za moje zachowanie w ostatnim czasie.

- Prezent? - powtórzyła Abby, ponownie dając mu się przytapać w chwili, gdy nie miała się na baczności. W chwili, gdy pomyślała, że zna tego człowieka, zaskoczył ją kolejnym pomysłem, jaki zrodził się w jego nieprzeniknionym, żywym umyśle. - W twojej garderobie? - I wtedy usłyszała dźwięk. Coś jakby cichy chrobot. Cichsze jeszcze popiskiwanie. Zwróciła oczy na odprężonego teraz, roześmianego męża. - Co u nieba? Przecież nie zamknąłeś tu chyba Pieszczusia?

- Szczusia? Nie powiedziałbym!

- Ale... ale trzymasz tu jakieś zwierzę, Kippie, tak?

- Otwórz drzwi, żono, po prostu otwórz drzwi. Chyba że wolisz stać tutaj i zasypywać mnie pytaniami przez najbliższy kwadrans.

Otworzyła.

Przez drzwi wytoczyła się grubiutka, puchata i rdzawa kulka sierści na czterech krótkich łapach, merdająca ogonem, który wydawał się zbyt długi, by mogło go udźwignąć drobne ciało. Para długich, opadających uszu. Mały pyszczek kończący się aksamitnym noskiem. Dwoje du-

zych, ciemnobrązowych ślepków, które nie mogły się doczekać, by zobaczyć cały cudowny, podniecający świat.

Abby uklęknęła i wyciągnęła ręce do szczeniaka, który popędził do niej, natychmiast wpakował się jej na kolana i wyciągnął jak struna, żeby polizać ją po twarzy, uszach.

- Och, aleś ty słodka! - wykrzyknęła Abby, tuląc do siebie psiaka. - Och, Kippie, prawda, jaka ona słodka? Prawda? Bo to jest ona? Rasowa?

- Ona, jak słusznie zauważyłaś, moja droga, ale nie jest żadnym rasowcem. To pies. Prawdziwy pies. Nie jestem zbyt pewny jej genealogii, chociaż sierść podpowiadałaby, że ma w sobie trochę z setera. Widzisz, jakie ma długie łapy? Jak urośnie, będzie ważyła dwadzieścia parę kilo i sięgnie ci do pasa. Prawdziwy pies, Abby. Podoba ci się? Myślisz, że ją polubisz?

- Już ją uwielbiam - powiedziała Abby, wstając ze szczeniakiem w ramionach. Spojrzała na Kippa, a łzy płynęły jej po twarzy... by zostać natychmiast zlizane przez wiercącego się psiaka. - Jesteś taki miły, wydaje się, że zawsze wiesz, co by mnie ucieszyło, jak mnie... cóż, uszczęśliwić. Wiesz, Kipp, zdarzają się chwile, kiedy myślę, że zupełnie na ciebie nie zasługuję.

Kipp poklepał szczeniaka po łebku.

- Wiesz, Abby - odezwał się - myślę sobie, że dzisiejszy dzień był w sumie wspaniały. W gruncie rzeczy przychodzi mi do głowy tylko jedna rzecz, która uczyniłaby go w pełni wspaniałym. Chciałabyś się dowiedzieć, co to takiego?

Abby mocniej przycisnęła do siebie szczeniaka, uśmiechając się w duchu, choć wyraz twarzy miała powściągliwy - taką przynajmniej żywiła nadzieję.

- Filiżanka gorącej, aromatycznej herbatki i parę bułeczek od naszej kucharki?

Kipp udawał, że się chwilę namyśla, po czym potrząsnął głową.

- Partyjka szachów?

Uśmiechnął się.

- Ciepłej, Abby. Ciepłej.

- Wiem! - wykrzyknęła, stawiając szczeniaka na podłogę. - Jutro odsyłasz moich krewnych do Syston. Jako osoba ciekawa świata, chcesz zapewne dowiedzieć się czegoś więcej o Syston. Oczywiście. Hm, niech się zastanowię. Syston mieści się w Leicestershire, znanego w całej Anglii ze swych owiec, była rogatego...

Zachichotała, gdy Kipp warknął, zgarnął ją w ramiona i dosłownie podbiegł do łóża, żeby upuścić ją na przykryty kapą materac i samemu rzucić się obok niej.

- ... oraz myśliwych - wykrztusiła bez tchu, nim zamknął jej usta swoimi.

Przemknęła jej przez głowę myśl, że nareszcie znalazła się łóżku Kippa, i zastanowiła się przelotnie, przez jedną krótką chwilę, czy oznaczało to, że ich związek jakoś się zmieni.

Ale już w następnej wszystkie myśli ulotniły się, Kipp oderwał się od niej i unióśł głowę, by wejrzeć jej prosto w oczy, i powiedział:

- Lubię cię, Abigail Rutland. Bardzo, *bardzo* cię lubię.

Nie odpowiedziała, a Kipp skłął się w duchu za swój totalny brak elokwencji; on, który potrafił wystawiać się z tak wielką swadą, gdy pisał jako Aramintha Zane. Gdzież się ta umiejętność podziała? Dlaczego czuł się tak nieporadny, własne słowa wydawały mu się groteskowo banalne, choć niemożliwością wydawało się połączenie tych cech?

- Abby? - spytał, gdy minął kolejny moment, zdenerwowany jak nieśmiały młodzik wyjmujący zza pleców bukietik zmiętych stokrotek z nadzieją, że spodoba się jego ukochanej.

Uśmiechnęła się. Śmiały się jej usta, jej oczy, te cudowne fiołkowe oczy, gdy pogłaskała go po policzku.

- Ja też cię lubię, Kippie. Bardzo, *bardzo*.

Ciało Kippa stało się nagle lekkie jak piórko, dusza wpełniła uniesieniem, serce rozśpiewało się w piersi. Niemalże zakręciło mu się w głowie i na samą myśl, że mógłby, psiakrew, rozpłakać się z radości, szybko wtulił twarz w szyję Abby.

Była w tym i namiętność, tak jak pojawiała się zawsze od pierwszego razu, ale też coś się zmieniło. Pragnął jej, pragnął rozpaczliwie, lecz nie w taki sposób, jak dotychczas. Teraz chciał wziąć ją powoli, wziąć ją delikatnie, musiał nauczyć się na pamięć każdego cala jej ciała, każdy ucałować, poczuć na sobie jej usta, jej dłonie.

Ich ubrania zniknęły, zupełnie tak, jakby Aramintha Zane przewidziała każdy ruch w taki sposób, by najlepszy efekt przychodził minimalnym wysiłkiem. Leżeli nadzy i ciasno do siebie przytuleni na satynowej kapie, a skóra Abby lśniła mleczną bielą na tle ciemnej burgundowej czerwieni.

Pocałował ją. Czułe, łagodnie. Dostrzegł w jej oczach nieme pytanie. Uśmiechnęła się, gdy pogłaskał jej krótkie, gęste włosy, powiódł palcem po policzku i zatrzymał go na ustach, by poczuć, jak ona muska wargami jego opuszkę w nieśmiałym pocałunku.

- Jesteś piękna - powiedział, a słowa te płynęły z głębi serca. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam, jaką kiedykolwiek poznam.

Patrzył, jak jej pierś, szyja i policzki oblekają się leciutkim odcieniem różu, subtelnym jak kolor różanych płatków.

- Nie, nie jestem - zaprotestowała, nagle zawstydzona i niespodziewanie zapragnęła się okryć, gdy wstyd i zmieszanie - oraz wyraz oczu Kippa - sprawiły, że poczuła się zupełnie jak panna młoda w pierwszą w swoim życiu noc z mężczyzną.

- Nigdy nie sprzeczasz się z mężem, kobieto, nie wtedy, kiedy mówi prawdę - ostrzegł Kipp z uśmiechem, a jego dłoń powędrowała w dół jej szyi, odnalazła pierś, nakryła palcami małą, doskonałą w kształcie wypukłość. Nachylił się, by znów ją pocałować. - Piękna.

Abby westchnęła i oddała mu się tak jak nigdy dotąd, na przekór namiętności, która im obojgu nakazywała szaleńczy pośpiech. Zastygła, leżąc w bezruchu, pozwalając, by się nią zajął. By ją całował. Dotykał. Smakował.

Sama czuła, jak się pod nim zmienia. Przeistacza w nową Abby, w nową kobietę. Kobietę, która śmiałaby myśleć zarazem o mężu i miłości.

Taki był delikatny. Taki delikatny. Jakby z największą czułością oddawał cześć jej ciału.

Wyciągnęła do niego ramiona, niespiesznie, po to tylko, by go objąć, by poczuć jego bliskość, jego ciepło. Uspokajała go, szepcząc coś bez słów, i zastanawiała się, czy wiedział, co się z nią działo, że niszczył ją, dając Zarazem nowe życie, nową nadzieję.

Czy mógł pogodzić się z myślą, że owszem, ludzie kochają więcej niż jeden raz w życiu? Czy to właśnie przydarzyło się jemu, im obojgu?

Kipp wślizgnął się w nią i przycisnął się do niej na kilka chwil, odnosząc wrażenie, że zatracą część samego siebie, a częśćka jej staje się nim. Ręce mu drżały, w głowie huczało. Nigdy nie czuł się gorzej. Nigdy nie czuł się lepiej.

Czy potrafiłaby zapomnieć, jak zranił i zdradził ją ten przeklęty Harry? Czy umiałaby jemu wybaczyć zimną, bezosobową propozycję małżeństwa z rozsądku? Czy miłość może zrodzić się z namietności, wzrosnąć na przyjaźni?

Abby mocno obejmowała Kippa. Dłotami wodziła po jego plecach, a on zaczął w powolnym, niespiesznym tempie poruszać się w jej wnętrzu. Cały świat skurczył się do dwojga splecionych ciał, splecionych tak mocno, iż stały się jednością.

Pożądanie narastało w nich i, zjednoczone, wybuchło z nową siłą. Poruszali się w pełni ze sobą zestrojeni, ich ciała bowiem nie znały wątpliwości. Wiedziały już, że są dla siebie stworzone, nie potrzebowały słów, by wyrazić wszystko, co mogły chcieć, zapragnąć wyrazić.

Czy mogłaby mnie kiedykolwiek pokochać?

Czy mógłby mnie kiedykolwiek pokochać?

A potem było już po wszystkim, choć nic się nie skończyło. Żadne z nich nie poruszyło się przez jeszcze wiele

długich minut, żadne nie chciało wypuścić drugiego z ramion, odsunąć się, ponownie się rozdzielić.

Całował ją chyba tuzin razy, a ona dotykała jego twarzy, głaskała jego włosy, odgarniała mu je z czoła, uśmiechając się, rozpaczliwie szukając słów, które nie zniszczyłyby tej niezwykłej chwili, żadnych jednak nie znalazła.

W końcu Kipp, gdy już wiedział, że wiele się o sobie nauczył, choć wciąż jeszcze nie wiedział dość wiele, ucałował Abby w czubek nosa i przetoczył się z niej na bok. Chciał wstać i poszukać swojego szlafroka, żeby mogła się nim okryć, bo wieczór zrobił się chłodny.

Czy mogłaby go kiedykolwiek pokochać?

Czy mógłby ją kiedykolwiek pokochać?

- Zostaniesz na noc - powiedział Kipp. Nie pytał, nie prosił, po prostu stwierdził. - Abby uśmiechnęła się i kiwnęła głową na znak zgody.

Ich pierwsza noc w jednym łóżku. Prawdziwie pamiętny dzień.

Kipp usiadł, postawił bosc stopy na podłodze i w tej samej chwili zaklął pod nosem.

Abby natychmiast się domyśliła, co było tego przyczyną. Szczęnię, które może i wyglądem zupełnie Pieszczusia nie przypominało, także umiało postarać się o własną kałużkę.

To nic, pomyślała i roześmiana podciągnęła nakrycie pod samą brodę, moszcząc głowę na poduszkach. Nieważne. I tak jesteśmy przyjaciółmi.

21

Płynęły dni i w końcu nadszedł wieczór rautu, który miał być debiutem Abby w roli gospodyni - balu, który

odbył się w dniu ślubu, nie liczyła, była bowiem zbyt oszłamomiona, by móc uczciwie uważać się chociażby za jego pełnoprawną uczestniczkę.

Przez cały ostatni tydzień była albo bardzo zajęta, albo rozpaczliwie starała się za taką uchodzić. Bawiła się z Hero, bo takie imię nadała suczce, którą dostała od Kippa. Pomagała pani Harris i Gillettowi w kwestiach dekoracji, jedzenia, wyboru muzyków, którzy mieli grać ukryci za parawanami, jako że nie planowano tańców.

Tylko dwustu gości, którzy wleją się przez drzwi frontowe, zostaną powitani przez parę gospodarzy i pozostawieni samym sobie, by swobodnie przechadzać się po zmyślnie połączonych pokojach, raczyć się winem, pozwalając, by w ścisku ktoś ciągle deptał im po palcach i poszturchiwał łokciem, po czym oddalić się, robiąc miejsce dla czekającej na schodach nowej fali gości.

Jedynie garstka miała zabawić dłużej niż kwadrans, a przecież potrzeba było godziny, żeby stangret wymanewrował tak, aby powóz zajechał pod same drzwi, potem jeszcze pół godziny tłoczenia się na schodach i kolejne trzydzieści minut oczekiwania na dworze, aż stangret odnajdzie ich i odwiezie do domu.

Abby uznała całe to przedsięwzięcie za nieszczerólnie mądry obyczaj, ale wątpiła teŝ, czy ktokolwiek przyjrzał się kiedyś londyńskiej socjecie i odwaŝył się określić ją jakimkolwiek innym mianem niŝ „cudowna”.

Przyjęcie było najmniejszym z jej problemów. Zamierzała je jednak wykorzystać, by rozwiązać problem znacznie większy, a jeŝliby wszystko dobrze poszło, to moŝe nawet i dwa.

Owe „większe problemy”, jak wyraził się Kipp, nadal bowiem czekały na rozwiązanie. Było to oczywiste, biorąc pod uwagę fakt, że i ona, i Kipp zachowywali się w swojej obecności tak nerwowo, by zacytować wujaszków, jak mysz, która właśnie znalazła stojącą na podłodze stajni miseczkę z mlekiem.

Abby mniej skrępowana czuła się tylko w sypialni. Spędzała noce w łóżku męża, albo on spędzał je u niej i często kochali się, gdy nad miastem budził się świt.

Przyłapywała go na tym, że za dnia często przyglądał się jej ukradkiem, i wiedziała, że sama patrzy na niego aż nazbyt często. Razem jadali każdy posiłek, grywali po kolacji w szachy i przez cały tydzień stronili od towarzystwa. Woleli zostawać w domu, sporadycznie zapraszając na wieczór Brady'ego czy kilku innych przyjaciół, dbając jednak o to, by wizyta szybko się kończyła, a noc należała już tylko do nich.

Dlatego że długie nocne godziny wydawały się jedyną porą, która nie wymagała słów.

Tak więc, chociaż życie Abby o wiele się uprościło, gdy Kipp relegował jej krewnych, równocześnie stało się dwukrotnie dla niej trudniejsze. Zabrakło buforu między nią a mężem. Zostali tylko we dwoje (bo Iggy'ego nie liczyła). Tylko dzięki Brady'emu, zdaniem Abby, nie zmieniła się w rozdygotany cień dawnej siebie, tym bardziej że zaczęła podejrzewać, iż pewnej pięknej nocy poprosi Kippa, aby dolał jej wina, a potem nie wytrzyma i jednym tchem powie, jak bardzo go kocha, i spyta, czy on także kocha ją.

Tego wieczoru Brady był ich jedynym gościem na kolacji, ponieważ Sophie wcześniej wysłała im liścik, w którym z żalem wyjaśniała, że w grę wchodzi albo kolacja, albo przyjęcie, bo nie może tak wielu godzin spędzać z dala od dziecka. Sophie nie najęła mamki. Postanowiła sama karmić synka, tak jak wcześniej karmiła córkę, a jeśli nawet takie zachowanie nie było przyjęte w wypadku kogoś z książęcym tytułem, to na taką głupotę Sophie najzwyczajniej kicha.

Abby rozpromieniła się na myśl o Sophie i podziękowała dobremu Bogu za to, że obdarzył ją taką przyjaciółką, kobietą, która chętnie się śmiała, czerpała z życia garściami oraz, co stanowiło już kropkę nad i, miała wszystkie atrybuty pierwszorzędnego spiskowca.

- Co cię tak rozweseliło, żono? - spytał Kipp z drugie-

go końca idiotycznie długiego stołu. - Przecież chyba, nie truskawki?

Abby spojrzała na swój deser, na swój ulubiony deser, i pokręciła głową.

- Nie, po prostu myślałam o Sophie, to wszystko. Obiecała przyjść wśród ostatnich gości, żebyśmy mogły sobie usiąść i porozmawiać dłużej niż minutę.

Brady kiwnął głową.

- To samo mówił mi Bram dziś po południu. Bardzo podkreślał, żebym też się nie śpieszył z wyjściem, a miał przy tym niepokojący uśmieszek na twarzy. Powinienem się o czymś dowiedzieć, Abby? Bram wspomniał o jakiejś niespodziance.

- Nie, Brady, nie chciałybyś zepsuć przygotowanej przez Abby niespodzianki, prawda? - spytał Kipp, gdy Abby umilkła, gdyż właśnie dotarło do niej, że Sophie, oczywiście, wprowadziła w plan swojego męża. Sophie prawdopodobnie wszystkim się dzieliła ze swym małżonkiem.

Czy będzie kiedykolwiek czuła się równie swobodnie w stosunku do Kippa? Miała taką nadzieję całym swoim sercem, pomimo iż rozumiała, że w tej nowej zażyłości między nimi, w uczeniu się, jak dostrzegać potrzeby drugiej strony, brakowało najważniejszego elementu - szczerości.

Straciła apetyt na truskawki i odsunęła od siebie talerz.

- Wybacz, Abby - bąknął Brady, wymieniając spojrzenia z Kippem, który nagle wydawał się równie posępny jak jego małżonka. A jako dobry przyjaciel, w dodatku świadom, że napięcie, jakie wyczuwało się w pomieszczeniu, miało najpewniej dużo wspólnego z jego znakomitym, acz najwyraźniej chybionym pomysłem, by Abby i Kippa ze sobą wyswatać, chciał poprawić atmosferę, spytał więc: - No a jak się ma nasza mała panna Bliss? Wciąż tu jest, mam nadzieję?

- I wciąż pozostaje zagadką - odpowiedziała Abby, uszczęśliwiona tą zmianą tematu. - Kipp się tym gryzie, ale osobiście nie widzę niczego, na co można by się skarżyć. Robi wszystko, o co ją poproszę, łącznie z wyprowadza-

niem Hero, kiedy po prostu brak mi na to czasu. Szyje jak anioł, zaczęła uczyć część służących czytania i uważa, że mój bratanek Ignatius najprawdopodobniej ma wśród swoich przodków szakala. Zatem tak, nie najgorzej się nam układa, nawet jeśli nie zaufała mi dotąd w wystarczającym stopniu, żeby opowiedzieć mi swoją historię.

- Choć naturalnie raczy nas całym mnóstwem historyjek - wtrącił Kipp, sięgając po kieliszek. - Możesz wierzyć, albo nie, Brady, ale ta dziewczyna cytuje Szekspira.

Brady przypatrywał się chwilę najpierw przyjaciółce, potem przyjacielowi.

- I nie jesteś ciekawy? Nie korci cię, żeby się dowiedzieć, kim, u diabła, ona jest? Mój Boże, ludzie, musicie mieć mnóstwo spraw na głowie, skoro nie zaintrygowała was panna Bliss i jej tajemnice.

- Ha! - wykrzyknął Kipp i podniósł się, widząc, że Abby wstaje. Zbliżał się czas, by zająć pozycje i przygotować się na przyjęcie pierwszych gości. Jadalnia znajdowała się na tyłach rezydencji, a mimo to słyszał turkot powozów przed domem i wiedział, że wieczorny wyścig od przyjęcia do przyjęcia niebawem rozpocznie się na dobre. - Ciebie zaintrygowały szare oczy Reginy i jej idiotyczne kędzioriki. Już ja cię znam, Brady, pamiętasz?

- Kogo, mnie? - Brady wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A tak, znasz mnie bardzo dobrze, przyjacielu. A teraz zmykajcie bawić się w pana i panią domu, dobrze? Pomyślałem, że na trochę schronię się do sali bilardowej, poćwiczę rękę. Bo to pomieszczenie jest chyba wyłączane z przyjęcia, prawda?

- Tak, Brady - uspokoiła go Abby i przechylając głowę, ucałowała go w policzek. Brady tak łatwo dawał się odczytać, taki był z niego niepoprawny flirtiarz, taki dobry przyjaciel. - Masz moje pozwolenie, żeby się tam ukryć, przynajmniej na najbliższe trzy godziny. Ale z wybiciem jedenastej spodziewam się zobaczyć cię w bawialni. Było nie było nie chcesz chyba przegapić mojej niespodzianki, prawda?

- Poza tym - odezwał się Kipp, biorąc Abby za rękę i kładąc ją sobie na przedramieniu - rzeczywiście przydałoby się mu trochę ćwiczeń. Z tego, co słyszałem, jest teraz Henry'emu dłużny klejnoty z korony królewskiej, jeśli tylko wymyśli jakiś sposób, żeby wydostać je z Tower.

Kipp zdawał sobie sprawę, że puszy się jak paw, stojąc u boku Abby, patrząc, jak wita gości. Z dumą obserwował, jak dba o to, by każdemu z nowo przybyłych poświęcić parę chwil, a to komplementując czyjaś piękną suknię, a to chwalać urodę córki czy też pytając o zdrowie młodszego syna, dochodzącego do siebie po niefortunnym upadku z konia.

Wydawała się wszystkim znać ta mała szara myszka z prowincji, która zmieniła się w lwicę salonową, baronową, kobietę mającą własne zdanie, panią swojego serca, o niepowtarzalnej umiejętności zjednywania sobie ludzi, bycia z nimi za pan brat.

Kilka tygodni wcześniej wtapiała się w tło w tych swoich burych strojach, z włosami ściągniętymi w kok, a jej dowcip odzywał się jedynie pod przymusem. A teraz brylowała, promieniała. Jej uśmiech sprawiał, że robiło mu się ciepło na sercu, a dusza topniała w nim jak wosk.

Nigdy się nie dowiedzą wszyscy ci ludzie, którzy dygali i bili pokłony, przychodzili tu i znikali. Nigdy się nie dowiedzą, ile w niej ognia, ile żaru, jaka jest nieujarzmiona i cudowna.

Ponieważ należała do niego. Z rozsądku, poprzez oszustwo, w następstwie podyktowanej wyrachowaniem decyzji, która oferowała jej wiele, choć odbierała więcej, była jego.

I nie jego.

- Jeśli mogę prosić was o uwagę - zaczęła Abby, stojąc w bawialni, gdy muzycy odegrali już fanfarę, tak jak ich o to prosiła, co natychmiast uciszyło te trzy tuziny gości, jeśli nie więcej, którzy znajdowali się w rezydencji w momencie, w którym zegar wybił jedenastą.

Sophie trzymała się blisko, by nie przegapić ani szczegółu wymierzanej przez przyjaciółkę zemsty, Abby zaś zwróciła się do bratanka, by stanął obok niej przed białym, zdobnym w sztukaterię kominkiem.

- A to pysznie - wyszeptała Sophie do Kippa i Brama, który stał obok niej, dostrzegła też, że Brady przedziera się przez tłum w ich kierunku. - Mówiłam Abby, że może liczyć na to, że wśród najbardziej opieszających gości znajdują się najznamienitsze figury spośród londyńskiego bractwa, bo nie będzie im się chciało wystawać w tym ścisku na schodach w oczekiwaniu, aż zostaną wpuszczeni. Trudno o lepszą widownię, prawda?

- To zależy - odmruknął Kipp; patrzył, jak Iggy kieruje się ku ciotce, rozptylając się w uśmiechu. - Jest tu zdecydowanie zbyt wielu świadków, jeśli planuje go zamordować.

Sophie uderzyła go w *ramię wachlarzem*, po czym przytuliła się do boku męża, a ten otoczył ją ramionami.

- Bratanek twej małżonki musiał być bardzo, ale to bardzo niegrzecznym chłopczykiem, Kippie - skostatowała Bram, upierając się brodą o czubek żoninej głowy. - Ponieważ dobrze przyjrzawszy się temu małemu bufonowi oraz, ufam, trafnie go oceniwszy, powiedziałbym, że czeka go wyjątkowo paskudna niespodzianka. Jedno wiem ponad wszelką wątpliwość - przenigdy nie chciałbym wypaść z łask mojej żony albo twojej.

Kipp rozejrzał się i stwierdził, że Roxanne nadal tkwiła w sali, jakby zapuściła w niej korzenie, pomimo tego, że przybyła - nieproszona - w pierwszej fali gości bite dwie godziny wcześniej. Nie odstępował Abby na krok przez cały ten czas, pewny, że wzgardzona kochanka nie spróbuje żadnych sztuczek tak długo, jak on będzie trzymał się wystarczająco blisko, by w razie czego złapać ją za ucho i zawlec na dół do jej powozu. To, że została tak długo i że towarzyszyła Iggy'emu, dopóki Abby go nie wezwała, mówiło mu, że Roxanne wyraźnie się do czegoś szykuje. Do jakiegoś niemiłego figła, bez wątplenia.

Teraz jednak Abby ponownie zabrała głos, otoczywszy ramieniem plecy Iggy'ego, spoglądając na niego z taką matczyną miłością w oczach, że Kipp zaczynał poważnie obawiać się o bezpieczeństwo tego młodocianego idioty.

- Dziś, panowie i panie, mam przyjemność ogłosić, iż bratanek mój, Ignatius Backworth-Maldon, skończył dwadzieścia jeden lat i stał się mężczyzną. Wszystkiego najlepszego, mój drogi - zwróciła się do Iggy'ego i ucałowała go w policzek, a znudzony tłumek udawał grzecznościowe oklaski i gratulacje, jakby nie mieli gdzieś faktu, że jakiś towarzyski „nikt” osiąga właśnie pełnoletność.

- Mówiłam już Iggy'emu, że dzisiejszego wieczoru będę miała dla niego niespodziankę, prezent, o którym marzył od czasów, gdy biegał w krótkich porciętach, prezent, który uważałam za leżący poza zasięgiem moich, kochającej ciotki, możliwości - zawahała się i posłała Kippowi uśmiech - dopóki mój najdroższy mąż nie sprawił, że każde moje życzenie stało się możliwe.

- Zaczyna się - zaszeptła Sophie, wierząc się z przejęciem. - Kretynek spodziewa się brylantowej szpilki do krawata i spinek. No i faktycznie będzie *spięty* aż miło, i to przez dłuższy czas. A teraz proszę, bądźcie cicho, bo nie chcę przegapić ani słowa.

- To nie my cały czas trajkoczymy, kiciu - podkreślił Bram, a Brady zaniósł się cichym chichotem.

- Tak więc, drodzy moi przyjaciele, jestem zachwycona, że jesteście tu dzisiejszego wieczoru, by dzielić z Iggyem radość w chwili, w której spełnia się marzenie jego życia. - Wpatrzyła się z dumą w bratanka i ponownie go ucałowała, a on zamrugał oczami w nagłym oszołomieniu i nie bez cienia lęku, bezgłośnie mnąc w ustach słowa: „marzenie życia”?

Uśmiech Abby stał się zgoła anielski i widząc to, Kipp mruknął:

- O Panie, już ja znam ten wyraz twarzy. Zaraz przypuści atak. Zapamiętajcie sobie, co teraz powiem: jej na-

stępne słowo będzie brzmiało „oczywiście”. To, *oczywiście*, oznacza ni mniej, ni więcej, jak tyle, że za moment zrobi dokładnie to, na co ma ochotę, i że diabli z tymi, którzy są odmiennego zdania, bo guzik ją to obchodzi. Dokładnie przez tę strategię wylądowałem z Reginą na karku, Brady, możesz mi więc zaufać, że wiem, o czym mówię.

Abby, która zrobiła właśnie dramatyczną pauzę, oznajmiła donośnie:

- Wy, oczywiście, musicie wszyscy zachodzić w głowę, cóż to podarunek, o czymże młody człowiek może marzyć przez całe swoje życie. Drogi bratanku, dokonałam tego. Kupiłam ci stanowisko w armii królewskiej, tak jak zawsze tego pragnąłeś. Dziękuję Bogu, że z większą częścią świata żyjemy dziś w pokoju, choć wiem, jak spieszno ci wykazać się na polu bitwy. Ale wyobrażam sobie, że w niedługim czasie ojczyznę ktoś zagniewa i twoje życzenie będzie mogło się dopełnić. Wyjeżdżasz z samego rana, by dołączyć do twojego regimentu. Czyż to nie cudownie?

- O Boże - wykrztusił Kipp, z trudem łapiąc oddech, z takim trudem przychodziło mu ukrycie iście szatańskiej wesołości. - Iggy *żołnierzem*? Równie łatwo mogę sobie ciebie wyobrazić w kościele, Brady.

- Wypraszam to sobie - zastrzegł się Brady i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Głowę daje, że byłby ze mnie pastor jak ta lala. I z pewnością prawilibym piekielnie dobre kazania, pełne ognia i czego tam jeszcze.

Kipp obserwował, jak Iggy, którego przystojna twarz pobladła tak, że zlewała się z białym marmurowym kominem, usiłuje wyrwać się z objęć Abby, równocześnie zaś podchodzi do niego kilku dżentelmenów - wśród których nie zabrakło wojennych weteranów - by pogratulować i uścisnąć mu dłoń, potrząsając nią tak długo, że musiał się zapewne czuć, jakby miała wypaść z zawiasów.

- Musi pojechać, wiecie sami. Jeśli będzie się uchylał, zostanie napiętnowany jako tchórz i nigdy nie będzie mógł

pokazać się w towarzystwie. Biorąc pod uwagę wszystko, do czego się posunął, by *wcisnąć się* do bon tonu, nie ma innego wyjścia, jak zgrywać bohatera i odmaszerować ze swoim regimentem co najmniej na rok. Jak zauważyła Abby, Bogu dzięki mamy pokój. Nie sądzę, żebym zdołał zdzierżyć myśl, że od tego idioty miałby zależeć los iluś żołnierzy, gdyby było inaczej.

- Z ust mi to wyjąłeś - zawtórowała dźwięcznie Sophie, ocierając z policzków łzy rozbawienia. - Nie ma innego wyjścia, jak przyjąć cudowny dar Abby i udawać, że nie posiada się z radości, prawda? Spójrz na niego, Bram. Zdaje mi się, że za chwilę cała jego kolacja wyląduje na tej jego ohydnej kamizelce. Czułabym dla niego litość, gdyby nie był z niego taki nieskończenie wredny chłopak.

Kipp zamarudził chwilę z przyjaciółmi. Zaśmiewał się, gdy Bram z Bradym zastanawiali się głośno, jak dobrze będzie się Iggy'emu maszerowało w jego długich butach na obcasie, dopóki nie spojrział przypadkiem w kierunku Abby i nie przekonał się, że rozglądała się po tłumie z bojowym błyskiem w oczach.

Natychmiast domyślił się, kogo szukała spojrzeniem, i zaczął przedzierać się przez tłum składających gratulacje jak najbliższej żony. Ruszyła w przeciwnym kierunku i wkrótce znikła mu z oczu.

Abby podeszła do lady Skelton i nim ta zorientowała się, co się święci, złapała ją za łokieć i bezceremonialnie pociągnęła w kierunku wyjścia do opustoszałego holu.

- Wszystko w porządku, Gilletcie - zapewniła wyraźnie zaniepokojonego kamerdynera. - Lady Skelton będzie potrzebowała swojego okrycia już za chwilę, najpierw jednak zamienimy słówko na osobności. Będziemy w sali bilardowej.

- Niedoczekanie twoje - syknęła Roxanne, nie stanowiła jednak godnej przeciwniczki dla zdeterminowanej Abby i niebawem stała już oparta o krawędź stołu bilardowego, Abby zaś przekręcała klucz w zamku.

- W tej chwili, lady Skelton - zaczęła Abby, starając się stać jak najbardziej wyprostowana, jak najbardziej nieruchomo, z dłońmi swobodnie splecionymi przed sobą - zastanawiasz się zapewne, dlaczego wysłałam ci zaproszenie na dzisiejszą uroczystość. Odpowiedź jest prosta, oczywiście. Nie uszło mej uwagi, że ty, pani, i mój bratanek od tygodni zachowujecie się niczym papużki nierozłączki. A że znam Iggy'ego i wiem, iż tak już jest skonstruowany, że kochać go nie sposób, nabrałam pewności, że pani nim zainteresowanie nie jest romantycznej natury.

Lady Skelton opanowała się po chwilowej utracie pewności siebie, przyćmionej chaotycznymi rozważaniami, czy aby nie zbagatelizowała tej małej wiejskiej wdówki i czy nie okaże się to błędem, który stanie jej kością w gardle.

- Twój irytujący bratanek nie budzi mojego zainteresowania ani romantycznej natury, ani żadnej innej.

- A fe, milady - ofuknęła ją Abby z uśmiechem - znowu kłamstewka? Na nic się to nie zda, zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy zamknięte w tym pokoju, a ja mam jedyny klucz. Najwyższy czas na prawdę, moja pani. Dlaczego ty i Iggy trzymacie ze sobą? Niemożliwe chyba, żebyś nadal hołubiła w sercu cień nadziei, że Iggy przybiegnie do ciebie, wołając, że moje małżeństwo legło w gruzach i niebawem się rozpadnie, tak żebyś ty mogła wkroczyć i złożyć mojemu mężowi serdeczne kondolencje?

Piękne zielone oczy Roxanne zwięziły się w szparki. Kobieta wychyliła się całym ciałem do przodu i wbiła w Abby bazyliiskowy wzrok.

- Nigdy nie zdołasz go zatrzymać - wycodziła, zgrzytając zębami. - Był mój, nim zawarliście to skandaliczne małżeństwo, i jeszcze będzie. Bo ja wiem, dlaczego się z tobą ożenił. Wiem wszystko co do joty dzięki twemu niezwykle rozmownemu małemu bratankowi.

- Mojemu niezwykle rozmownemu małemu bratankowi, który niebawem nas opuszcza - uściśliła swobodnym

tonem Abby. - Nie Zapominałabym o tym na twoim miejscu, milady. Powiadasz, że Iggy powiedział ci, jak to było? *Wszystko, co do joty?* Mogę zatem zakładać, iż wspomniał także o tym, że nie jestem szczególnie miłą osobą, gdy ktoś, kogo kocham, jest w moim poczuciu zagrożony? Że nigdy nie rejteruję z placu boju i że niekonieczne przestrzegam reguł, gdy wytaczam działa przeciwko komuś, kogo uważam za wroga? Jest w Syston taki handlarz warzywami, chociażby, który oszukiwał klientów, a który jeszcze teraz zapewne wzdyga się na samo moje imię.

Roxanne cofnęła się o krok i ponownie oparła o stół białardowy.

- Ktoś, kogo kochasz? Czy nie tak powiedziałaś? - Szyderczy grymas ją zesześcił, postarzył o lata. - A może chcesz mi wmówić, że i Kipp ciebie kocha? Matko Boska, czy on wie, że jego z rozsądku poślubiona żona cierpi na halucynacje?

Abby zadbała o to, by zwątpienie, które nagle ją ogarnęło, nie odbiło się na jej twarzy, niemniej przytyk Roxanne trafił w dziesiątkę. Dała się ponieść złości, stąd ta beztronska wzmianka o miłości, która bezwiednie się jej wyrwała.

- Lepiej skoncentruj się na tym, co *wiesz*, milady - rzuciła te słowa jak wyzwanie, prosto w twarz wykrzywioną w nienawistnym uśmiešku. - A wiesz tyle, że nieobce mi są twoje nadzieje, twoje plany, i jeśli nie lubisz krwawych wojen, zejdziesz teraz z placu boju.

- On jest mój - warknęła Roxanne, a uśmiech splełzł jej z twarzy. Zaczęła zbliżać się do Abby, która zastanowiła się, czy rywalka aby nie zrozumiała jej opacznie, czy dosłownie nie odebrała jej słów i nie ustąpi bez bijatyki, z gryzieniem, kopaniem i szarpaniem za włosy, bijatyki, która w Kippie wzbudziłaby obrzydzenie do nich obu.

- *Twój?* - Abby pokręciła głową. - To ja z nim żyję. Ja z nim śpię. I to ja budzę się w jego ramionach. Jakimże więc sposobem twój, pani?

Roxanne zamaskowała mimowolny dreszcz względnie

eleganckim wzruszeniem ramion. Piękna z niej była kobieta, tego nie sposób jej było odmówić. Abby zdumiała się, nie po raz pierwszy, że Kipp nazwał piękną ją samą. Nie była głupia. Wiedziała, że gdy szło o piękno fizyczne, nie dorastała lady Skelton do pięt. Ale że wierzyła w szczerłość komplementów, którymi ostatnimi czasy obsypywał ją Kipp, nadeszła kolejna, pełna nadziei myśl, że całkiem możliwe, owszem, by ten mężczyzna rzeczywiście zaczął zakochiwać się w swojej żonie.

- A więc, pani - nalegała Abby wobec milczenia Roxanne - czym to tłumaczysz?

Roxanne dotknęła diamentowej kolii, jakby ten gest sprawiał jej olbrzymią przyjemność.

- Zawsze był człowiekiem pożądanym. Przypuszczam, że dosiadłby każdej klaczy, która nie zrzuciłaby go z grzbietu. Ale poznałam go pierwsza. Miałam go pierwsza - podkreśliła Roxanne, oddychając z coraz większym trudem, z każdą chwilą bardziej rozwścieczona. - Był mój, dopóki ty się nie napatoczyłaś. Dopóki nie popełniłam błędu, małej omyłki w ocenie, i nie wystraszyłam go tak, że wpakował się w to żalosne małżeństwo. Teraz jestem mądrzejsza i skłonna czekać na właściwy moment, ale on wróci. Potrzebuje mieć w łóżku kobietę, a nie nic znaczące, przasne stworzenie takie jak ty. Zobaczysz, jeszcze jeden miesiąc, nie dłużej, i znowu będzie obsypywał mnie klejnotami, tak jak to robił wcześniej. Takimi jak te Śliczności.

Na twarzy Abby wykwitł mimowolny uśmiech. Nie chciała tego, lecz dosłownie rozpułynęła się w uśmiechu. A potem roześmiała się i dokończyła dzieła teraz, gdy rywalka tak uczynnie sama otworzyła przed nią furtkę:

- Klejnoty? To takie prezenty Kipp ci sprawiał? Och, biedaczko, tak cię wykorzystywał, prawda? Mężczyźni potrafią być gorsi od dzikich bestii, kiedy nic nie czują.

- Och, czyżby? - Roxanne podeszła tak blisko, że Abby poczuła jej tchnący winem oddech. - A jakież to wiel-

kie dary złożył tobie, aż zyskałaś pewność, że ciebie nie wykorzystuje?

Abby potrząsnęła głową, westchnęła i podniosła na Roxanne oczy, w których malowała się szczerą litość. Wiedziała, że nie ma kobiety tak gruboskórnej, by zdołała jakoś wypaczyć sens słów, które zaraz padną.

- Dał mi szczeniaka, milady. Szczeniaka, tylko dla mnie. Przykro mi, lecz jeśli wiesz cokolwiek o moim mężu, zrozumiesz, że twój dar pochodził z jego skarbcza, mój zaś to dar mężczyzny, który w swych wyborach kieruje się głosem serca. Teraz jednak, jak jestem głęboko przekonana, czeka już na ciebie, pani, powóz wezwany przez Gilletta.

Roxanne, pobladła na twarzy i z rozdziawionymi ustami, gapiła się na nią, Abby zaś wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła drzwi. Patrzyła, jak Roxanne podchodzi do nich powoli, powłócząc nogami jak staruszka.

Lady Skelton zatrzymała się jeszcze i przez dłuższą chwilę spozierała na nią bez słowa.

- Pies. To zupełnie do Kippa niepodobne, zupełnie niepodobne.

- I tu się mylisz, milady. To cały on. Po prostu nigdy tak naprawdę go nie znałaś, prawda?

- Dlaczego? Dlaczego się z tobą ożenił? Iggy nie miał racji, teraz to widzę, pewnie zwodził mnie, bo jest przebiegły jak wy wszyscy, wy obrzydliwi Backworth-Maldonowie, i cieszyły go te drobne upominki ode mnie. Iggy w wojsku? Koń by się uśmieł, ale dobrze, że dostał za swoje. Ale nadal nie rozumiem. Nigdy nie zrozumieć, jak mógł wybrać ciebie.

Wyprostowała zgarbione plecy i odzyskawszy poczucie godności, okryła się nim jak jedwabną peleryną.

- Nigdy go nie kochałam, wiedz to. A teraz będzie pewnie co rok robił ci brzucha, a sam zmieni się w największego nudziarza i smętka pod słońcem. Lituję się nad wami obojgiem.

Następnie lady Skelton opuściła pokój. Rezydencję. Życie Abby.

Pozostawiając ją w samotności, by mogła zamartwiać się „większymi problemami”, jak określił je Kipp, choć pewnie sama znała je lepiej od niego.

Odczekała kilka minut, żeby wziąć się w garść, po czym wyszła z sali bilardowej i zderzyła się z Iggym - dosłownie, jako że od ostatnich pięciu minut uganiał się po rezydencji z zamiarem uduszenia jej na miejscu.

Uciekł się do kolejnej groźby.

- Jak mogłaś mi to zrobić? Czego miałbym szukać w wojску? Niech cię diabli! Teraz muszę się zaciągnąć, bo przylepią mi etykietkę cykora. A mama będzie pewnie dziergała mi na drutach skarpetki i słała pudła zgniecionego ciasta z zakalcem, powtarzając wszystkim wokół, że jej syn stał się mężczyzną. Niech cię diabli, niech cię diabli, niech cię diabli! Wszystkim powiem, cioteczko. Po prostu chciałem cię uprzedzić, nim wrócę do bawialni, i wszystkim, co do jednego, powtórzę co słyszałem tamtego dnia nad strumieniem.

Abby uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Zrobisz, jak zechcesz, Iggy. Zupełnie mnie to nie obchodzi.

Iggy'ego wbiło w ziemię.

- Nie... nie obchodzi?

Uśmiezek na ustach Abby przerodził się w szeroki, najprawdziwszy uśmiech szczęścia.

- E tam. Ani trochę. Och, i właśnie minąłeś się z lady Skelton, która uznała za konieczne nagle wyjść. Biedna kobieta, wydawała się roztrzęsiona.

Ze zbiegającymi wargami zaciśniętymi w linijkę, oczami okrągłymi jak talerze, Iggy nie wyglądał nawet w połowie tak przystojnie jak zwykle. Miał minę kogoś, kto spodziewa się cukierka, a przez omyłkę wgrzyza się w wyjątkowo cierpką cytrynę.

- Rozgromiłaś ją? Jak?

- Czy to ważne, Iggy? To, że już wiesz, nie wystarczy, żebyś zaczął zastanawiać się, co mogę planować dla ciebie? - spytała Abby, poklepując go po ramieniu. - A teraz, jak sądzę, przyszedł już pora, żebyś pomyślał o spakowaniu twojej znakomitej nowej garderoby zakupionej na mój koszt i odesłaniu większej jej części do Syston. Pomyśl tylko, jutrzejszy wieczór zastanie cię już z twoimi... jak się to nazywa, *towarzyszami broni*? Nim miną dwa tygodnie, będziesz miał już nowiutkie mundury, to także część mojego prezentu. Przypuszczam, że w mundurze będziesz wyglądał na bohatera pełną gębą, bo przystojny z ciebie potworek. Tak, tak, mundury i nie najgorsza kwartalna pensja, póki będziesz się przyzwocić sprawował. Jednostka w Indiach i ani złamanego szeląga, jeśli sprawować się nie będziesz. Moja przyjaciółka, księżna Selbourne, twierdzi, że załatwienie ci przeniesienia to dla niej pestka. Słówko szepnięte do odpowiedniego ucha i...

Iggy przysunął się i pochylił się nad nią jak człowiek doprowadzony niemal do użycia przemocy fizycznej, wiedzący jednak, że tego progu przekraczać nie warto.

- Prezencik pożegnalny, cioteczko - wyszeptał ochryple, widząc, że Kipp wchodzi do holu i rzuca się w ich stronę. - Zajrzyj do biurka swojego męża, cioteczko. Do tego w jego prywatnym gabinecie. Myślisz, że znasz tego człowieka? Wątpię.

Potem roześmiał się głośno, objął Abby z siłą, która wykraczała poza granice serdeczności, a graniczyła z chęcią zadania bólu, potrząsnął ręką lekko oszołomionego Kippa i w paru susach znalazł się na schodach.

Zanim Kipp doprowadził Abby z powrotem do bawialni, większość gości zdążyła już wyjść, by powtórzyć cały cykl oczekiwania, stania, rozmawiania, oczekiwania w innej rezydencji na innym placu.

Sophie i Abby uściślały się gorąco, Sophie wciąż w ekstazie po sukcesie z Iggyem, Abby zdecydowanie bardziej

przygaszona, w uszach bowiem wciąż rozbrzmiewały jej pożegnalne słowa bratanka. Było z niego wredne chłopaczysko. Zawsze to wiedziała. Nie oznaczało to jednak, że był głupi. Jeśli rzeczywiście szperał w biurku Kippa i znalazł tam coś, co mogło ją zdenerwować, dziwił tylko fakt, że tak długo czekał, by jej dokuczyć.

By jej zagrozić.

Na pewno nie był na tyle głupi, żeby grozić Kippowi. Nawet Backworth-Maldon płci męskiej, który pokrewieństwo z Harrym miał wypisane na czole - i nie tylko - musiał mieć więcej rozumu.

Toteż kiedy przyjęła już od wszystkich gratulacje i póki jeszcze umiała cieszyć się, że tak łatwo przyszło jej „rozgromienie” lady Skelton, złożyła ostatnim gościom życzenia dobrej nocy i poszła na górę objęta ramieniem Kippa... starając się nie myśleć, że mogłaby później cicho zejść na dół i rzucić okiem na zawartość męzowskiego biurka.

- Jesteś raczej cicha jak na kobietę, która rozgromiła wroga, nie oddając nawet jednego strzału - zauważył Kipp, wchodząc za nią do jej pokoju, po czym gestem przegnał Sallyann, by móc samemu odegrać rolę pokojówki. Stanął i rozpiął zapięcie diamentowego naszyjnika żony, po czym pocałował ją w kark. - Jak bohaterka z powieści Araminthy Zane.

Abby zamknęła oczy i osunęła się mu w ramiona.

- Jaka tam bohaterka, Kippie - zaprotestowała. - Możliwe, że posłałam krewniaka na śmierć, wiesz?

Chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

- Nic podobnego. Sophie opowiedziała mi o przydziale Iggy'ego i chłopak będzie miał szczęście, jeśli w ogóle wytknie nos z Dover. Nudno w tym Dover, że aż piszczy, niemniej z woli królewskiej musi być nieustannie pod bronią. Dużo czasu będzie gapił się na morze i jeśli choć trochę znam twojego bratanka, bogacił się, przemykając oczy na przemytników.

- Zagroził, że powie każdemu, kto się nawinie, że zawar-

liśmy małżeństwo z rozsądku - rzuciła jednym tchem Abby, niezdolna tej jednej jedynej tajemnicy zachować ani chwili dłużej. - Widział, jak odchodzimy w kierunku strumienia tamtego dnia, poszedł za nami i słyszał każde słowo.

Przechyliła głowę i wbiła wzrok w podłogę.

- Szczególnie utkwiło mu w pamięci, jak to mówiłam o tym, że nie jestem dziewicą.

Palce Kippa zacisnęły się na jej ramionach, on zaś zastanawiał się, czy nie zostawić żony, jak tu stała, nie wbiec po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i nie wyrzucić Iggy'ego przez okno jego sypialni. Potem się jednak rozluźnił. Przypomniał sobie, że Abby w końcu się przed nim otworzyła, i przygarnął ją do siebie, mówiąc:

- Już po wszystkim, żono. Żałuję, że wcześniej mi nie powiedziałaś, bo cały miesiąc łożyłem na tego małego bękartka, ale z pewnością odpłaciłaś mu się za sprowadzenie do naszego domu kochanki, za to, że ci groził. Tak jak groziła ci lady Skelton? - dokończył i poczuł, że Abby sztywnieje w jego ramionach.

Odepchnęła się od niego i podniosła zaskoczone oczy:

- To ty wiedziałaś? Skąd?

Uznał, że dość już prawd jak na jeden wieczór.

- Skąd? Pani, pozwolił sobie przypomnieć? Jam jest Korsarz. Wiem wszystko.

Abby uśmiechnęła się słabo. Naprawdę starała się otrząsnąć z irracjonalnie posępnego nastroju. Pomimo tego, że dziś wieczorem odstłonili przed sobą skrawek prawdy, nadal bawili się w gierki. Nadal kryli się za gierkami.

- A jam ci Lucinda Pomeroy, bohaterka ekstreordynaryjna - odpowiedziała i roześmiała się, gdy zgarnął ją w ramiona i popędził do łóżka.

Kipp budził się powoli. Wyciągnął rękę, by przytulić do siebie Abby, bez słów wyrazić to, co wciąż lękał się powiedzieć, czego przez pół życia nie spodziewał się powiedzieć nigdy. Wyprostował ramię na szerokość materaca, powiódł nim w górę i w dół, po czym otworzył oczy i zobaczył, że druga połowa łóżka jest pusta.

To było do Abby niepodobne. Zawsze tu leżała, gdy się budził, czasem jeszcze spała, czasem była zupełnie rozbudzona i wsparta o poduszki przyglądała się, jak spał.

Usiadł, odgarnął włosy z oczu i rozejrzał się po sypialni.

- Abby? - odezwał się, gdy ją zauważył. Stała przed łóżkiem, w pełni ubrana i z marsem czole, który wydał mu się uroczy. - Która godzina? Co się stało?

- Co się stało? A co by się mogło stać?

Kipp oprzytomniał w jednej chwili. W głosie Abby brzmiała nuta, której nigdy dotąd nie słyszał, nuta, która mówiła, że jej opanowanie wisi na bardzo cienkim włosku. Wskoczył z łóżka, narzucił na siebie szlafrok, który służący zapobiegliwie wieszał zawsze na krześle w buduarze pani, i przewiązał się paskiem.

- Co to? - spytał, spoglądając na papierowy rulon, który Abby kurczowo zaciskała w dłoni. - Robiłaś listę? Matka uwielbiała robić takie listy, choćby tylko po to, by móc skreślać z niej każde swoje osiągnięcie.

- Doprawdy - rzuciła Abby, a jej głos był zimny jak woda z dna studni. - Zatem przypuszczam, że powinnam skreślić z listy jakąś pozycję, nieprawdaż? Kto jest twoim mę-

żem, Abby? Oto pytanie, na które mam już odpowiedź. Powinnam zapisać ją tuż pod pytaniem, a potem skreślić. Moim mężem jest Aramintha Zane!

Rzuciła w niego zwitkiem kartek, a on złapał je odruchowo, rozpoznając w nich pierwszy rozdział swojego najnowszego dzieła - tego, w którym zaplanował sobie małżeństwo z rozsądku, kilka brawurowych wyczynów wobec złowieszczych szpiegów obcego wywiadu i niezmiernie szczęśliwe zakończenie. Przewrócił pierwszą stronę i ujrzał własne pismo: *Długa droga miłości, czyli Awanse Angeliny Bolton, pióra pani Araminthy Zane.*

- Psiakrew - zaklął bezgłośnie i rzucił kartki na łóżko. - Abby, zamierzałem ci powiedzieć...

- Czyżby, Kipp? A kiedy to byś mi powiedział? Kiedy już całkiem skończysz obmyślanie fabuły i znajdziesz jej zakończenie? Gdy już naiwnie dostarczę ci materiału do postaci Angeliny? Kiedy uznasz, że dość długo wykorzystywałeś mnie jako... *pożywkę?*

Przegarnął palcami włosy.

- To nie tak, cholera - zaprotestował, choć świetnie wiedział, że było dokładnie tak. Od pewnego czasu pisał ich historię, w pewnym sensie notował ją, by dopisać do niej szczęśliwe zakończenie. Szczęśliwe zakończenia pisał przez całe swoje życie, szukając w tym pociechy, przekonując samego siebie, że nie ma rzeczy niemożliwych. - Abby, ja mogę to wytłumaczyć...

Zaczęła krążyć w tę i z powrotem, wymachując ramionami i kręcąc głową, jakby chciała zaprzeczyć temu, czego się dowiedziała.

- Gierki. Ciągłe te gierki. Czy wymykałeś się cichaczem na dół, kiedy ode mnie wychodziłeś, żeby zapisać sobie wszystko, co powiedziałam, co zrobiłam? I czemu do tej pory byłam ślepa? Teraz wszystko wydaje mi się takie jasne. Byłeś Korsarzem, odbijającym innemu mężczyźnie pisaną mu pannę młodą, by zatrzymać ją dla siebie? Pobożne ży-

czenia, co, Kippie? To w ten sposób zachowałeś swoją Merry - stając się Araminthą Zane? A teraz ja. Kim jestem ja, Kipp? Kolejną twoją bohaterką, jeszcze jedną kopią Merry?

Kipp, który właśnie układał w głowie pełne skruchy przeprosiny, zeszywniał nagle, a każdy jego zmysł znalazł się w stanie pogotowia.

- Coś ty powiedziała?

Abby zawróciła gwałtownie i stanęła jak wryta. Obiema rękami zakryła usta i zwróciła na Kippa rozszerzone oczy. Żołądek się w niej przewrócił, gdy uświadomiła sobie, co uczyniła, jak głupio się zdradziła.

- To ty *wiedziałaś*? - spytał oskarżycielsko Kipp. - Jak się dowiedziałas? Jak? I *kiedy*, do jasnej cholery. - Palnął się w czoło, wściekły, że dopiero teraz dostrzegł to, co oczywiste. - *Brady!*

Abby niespodziewanie *znalazła*, się w defensywie, niemniej i tak zamierzała porządnie złoić niewrażliwe siedzenie Kippa.

- To nieważne, Kippie - warknęła. - Ale owszem, wiedziałam. Przecież wysłałeś Brady'ego, żeby znalazł ci żonkę, nieprawdaż? Cóż, wybrał mnie. Ty także, jeśli pamiętasz.

Kipp tarł obolałe czoło.

- I powiedział ci. Oczywiście, że tak. Opowiedział ci o Merry, o Jacku, o moim biednym, żalonym złamanym sercu. Teraz widzę wszystko jak na dłoni. Bardzo to godne prozy romantycznej, pani, gratuluję wam obojgu. Pchał mi cię przed oczy, gdziekolwiek bym się ruszył, a ty wszystko o mnie wiedziałaś, dokładnie wiedziałaś, co zrobić, by zwrócić moją uwagę. Zabiję go!

- Dlaczego? - odparowała z furją Abby; prawda wylewała się przez jej usta szybciej, niż w myślach formowały słowa, tak spieszno było jej wyrzucić z siebie ostatnią już tajemnicę, żeby nareszcie było po wszystkim. - Nie miałam okazji zwrócić się do ciebie z propozycją małżeństwa, kiedy już zdałeś sobie sprawę, że Edwardine to chybiona kandydatka.

- Brady chciał, żebyś to *ty* mi się oświadczyła? Mój Bo-

że, to się robi coraz gorsze, prawda? Gdzie też ja, do diabła, podziałem głowę, że nie przejrzałem tej idiotycznej intrygi?

- Nigdy na poważnie nie sądziłam, że się na to zdobędę, Kippie. Poza tym ty mnie ubiegłeś, pamiętasz? Chyba że to Brady był wtedy ze mną nad strumieniem, a mnie wszystko się miesza? Ale teraz wszystko jest wyjaśnione, wyłożyliśmy kawę na ławę, by tak rzec. Wiedziałam. Tak, psiakrew, *wiedziałam*. A ty kłamałeś. Kłamałeś, podając powody, dla których chcesz się ze mną ożenić, a już z całą pewnością w sprawie Araminthy Zane. Pominiecie prawdy to też kłamstwo, oczywiście.

- *Oczywiście*. Cóż, pani, to jasno mi mówi, że nie dojdę donikąd, chyba że chciałbym kręcić się w kółko, które mi tutaj nakreślasz. Wychodzę - oznajmił beznamiętnie, idąc już w kierunku swojej sypialni.

- I dobrze - zaperzyła się Abby i energicznie kiwnęła głową. - Nie krępuj się - zawołała za nim, nim rzuciła się na łóżko i rozpłakała się, jakby miało jej pęknąć serce.

Z tym że pęknąć już nie mogło. Pękło w chwili, w której wysunęła szufladę i wyjęła z niej tamte przeklęte kartki. Roztrzaskało się na milion małych, wystrzępionych, obolałych kawałków, gdy pomyślała o wszystkich tych nocach, które spędziła w ramionach Kippa, i wielu wieczorach spędzonych na grze. Zawsze te gierki.

Ale teraz gierki się skończyły i nadszedł czas, by odeszła.

Kipp i Brady siedzieli przy ulubionym stoliku w klubie przy Bond Street, gdy Bramwell Seaton, ksiązę Selbourne, wszedł do sali i przyłączył się do nich.

- Obaj jeszcze żywi, jak widzę - odezwał się Bram, siadając, i kiwnął na jednego z kelnerów, by przyniósł mu kieliszek. - To więcej niż oczekiwałem, prawdę mówiąc, choć Sophie zarzekała się, że jesteś zbyt rozsądny, Kippie, a ty, Brady, zbyt kochany, byście mogli poważnie skoczyć sobie do gardeł. I jeśli będzie to komuś pociechą, sama Sophie też

musiała trochę się przed Abby potłumaczyć, biorąc pod uwagę fakt, że zaprosiła ją do nas na bal tylko dlatego, że prosił o to Brady, i na początku przyjaźniła się z nią po to, by nie ominęło ją nic z tej hecy. Jednakże ponownie okrzyknięty się przyjaciółkami, toteż uznałem, że można je bezpiecznie zostawić same, żeby przynieść ci ten liścik.

- Liścik? - Kipp zmierzył złożoną kartkę papieru takim wzrokiem, jakby zawierała wiadomości dotyczące metody obranej na jego egzekucję. - Od Abby?

- Nie, od mojej kucharki - zirytował się Bram i podał mu liścik, Brady zaś z całej siły starał się być niewidzialny, jako że jego rozprawa z Kippem nie należała do łatwych i mógł mieć tylko nadzieję, że Abby nie postanowiła wy-stosować do jego przyjaciela pożegnального listu.

Kipp wziął kartkę i wyprostował ją powoli. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy ogląda pismo żony. Cała ona. Litera niemalże proste, żadnej kwiecistości, kreski ciemne i śmiałe. Nie było zwyczajowych grzeczności na początku, od razu przechodziła do tego, co uważała za sedno sprawy.

Oboje okrutnie się rozczarowaliśmy. Okłamywaliśmy się, mówiąc o pewnych sprawach, a inne przemilczając. Para z nas głupców, Kippie, para skończonych głupców. Przez kilka dni będę mieszkać u Sophie, na jej zaproszenie, mówiła mi bowiem, że Constance ma niewielką gorączkę i że mogłabym być jej pomocna, później jednak wracam do Syston. Tak bardzo cię przepraszam, Kipp. Tak bardzo, bardzo przepraszam. A.

- To był pomysł Sophie, nawiasem mówiąc - wyjaśnił Bram, gdy Kipp ponownie złożył list i zatknął zwitek za kamizelkę. Dopił zawartość kieliszka, wstał i gestem zaprosił Brady'ego, by mu towarzyszył. - Constance jest zdrowa jak rybka, mój mały aniołek. Ale znasz Sophie, zawsze próbuje sterować życiem innych w ich najlepiej rozumianym interesie. Dała ci nie więcej niż trzy dni, przyjacielu. Nie sądzę, żebym musiał radzić ci, byś ich nie zmarnował.

Brady zatrzymał się przy krześle Kippa i pochylił się, by spytać cicho:

- Czy kiedykolwiek powiedziałaś jej, że ją kochasz?

Kipp pokręcił głową i westchnął.

- Nie myślisz, że już czas, stary przyjacielu?

Kipp nakrył dłoń Brady'ego, która opierała się pokrzepiająco na jego ramieniu.

- Nadszedł czas na wiele rzeczy.

Abby siedziała na podłodze w bawialni rezydencji na Portland Square, turlając jaskrawą piłkę w kierunku Constance, ta zaś zanosiła się chichotem i słała ją w odwrotnym kierunku. Ogromnie pokochała to miłe dziecko o burzy takich samych jak u Sophie loczków, z pięknymi, szlachetnymi rysami twarzy jak u matki i zastanawiała się, nie po raz pierwszy, jak wyglądałoby dziecko jej i Kippa.

Czy ich córeczka miałaby jego lekko kręcące się jasne włosy, czy jak ona gęste, proste jak pogrzebacz i ciężkie pasma? Czy miałaby urodę swojego ojca, może tylko kilka cech matki, takich jak oczy czy cera?

Abby mieszkała u Sophie od dwóch dni, choć nie potrzebowała więcej niż kilku minut, by upewnić się, że o jej dziecku można było powiedzieć wiele rzeczy - że jest słodkie, inteligentne, ładne... ale z całą pewnością nie to, że jest chore...

Uśmiechnęła się na myśl o tym, co Sophie zrobiła, jak potrafiła łącać w żywe oczy, byle tylko Abby nie wynajęła dorożki i nie kazała się zawieźć do najbliższego zajazdu pocztowego, a stamtąd do bezpiecznego Syston.

Sophie potężnie ją zbeształa podczas pierwszego wspólnego popołudnia, tłumacząc zaistniały konflikt między nią a Kippem na swój urokliwy, acz niewolny od dobrodusznej manipulacji sposób.

Kipp miał wybuchowy charakter, nawet jeśli skrywał go za uśmiechem i zabawnymi żartami. Z drugiej strony Abby też miała niezgorszy charakterek. Zatem, jak widziała to Sophie,

oboje muszą nauczyć się myśleć, nim coś powiedzą, wzajemnie zgadzać się z grubsza ze swoimi wnioskami, a potem zrobić jedną ważną rzecz... zachować spokój, chłód i niewzruszone opanowanie, jakiegokolwiek zaistniałyby okoliczności.

Wrzeszczenie na siebie, jak Sophie odważnie nazwała rzecz po imieniu, można uznać jedynie za marnotrawienie energii i Abby musiała się z nią zgodzić. Ludzie niemal zawsze przekonywali się, iż muszą się zgodzić z Sophie.

- Jesteście najlepszymi z przyjaciół, Abby, a to równie cudowne, co rzadko spotykane - podkreśliła Sophie, gdy piły herbatę w jej prywatnej bawialni.

- Z tego, co mi mówiłaś, pożądanie jest dla was swoistą grą, którą rozgrywacie między sobą, czasem frenetycznie, czasem łagodnie, lecz zawsze ku obopólnej satysfakcji - perorowała dalej, a policzki Abby oblekły się szkarłatem wobec tak bezpośrednich wywodów przyjaciółki. - I to właśnie znalazłaś w jego szufladzie. Opowieść o miłości, napisaną dla ciebie przez męża, pełną wszystkich jego nadziei, że koniec okaże się szczęśliwy - że okaże się szczęśliwym *początkiem*, powinienam chyba powiedzieć, tak? - że też oboje jesteście zbyt niemądrzy i uparci, by zrozumieć, co się wam trafiło. Mój Boże, ty wiedziałaś, co masz, już pierwszej nocy, której zabrał cię do łóżka. Ejże, nie strój mi tu niewiniątka, moja droga. Mówiłam ci, że sztukę zadowalania męża i siebie mam we krwi. Nie ma nic złego w cieszeniu się sobą nawzajem, czyż nie tak?

- Myślę, że za dużo mówię, kiedy płaczę. Nie, zdecydowanie mówię zbyt wiele, kiedy płaczę - stwierdziła smętnie Abby, a Sophie roześmiała się, lecz niemal natychmiast spoważniała ponownie.

- Problem, tak jak ja go widzę - upierała się Sophie - zasadza się w tym, że oboje zawarliście to małżeństwo z powodów, które nie miałyby znaczenia, chyba żebyście zakochali się w sobie, czy tak? Teraz jednak, gdy to się już stało, te problemy, te oszustwa, wydają się niemal nie do przezwyciężenia. Ale można je przezwyciężyć, moja ko-

chana Abby, można, jeśli tylko jest miłość. Po prostu zostań tutaj, pozwól, by złość wyparowała z Kippa, a jego duma podgoiła się, to sama zobaczysz. Będzie tu już niedługo, porozmawiacie, a potem oboje będziecie mogli być tak szczęśliwi, jak na to zasługujecie. Zaufaj mi w tej materii, Abby, ja nigdy się nie mylę. Nie w sprawach miłości.

Abby przystała więc na ten fortel, na przekór wszystkiemu nie tracąc nadziei, że Sophie ma rację, że Kipp przeczyta jej liścik i przybiegnie na Portland Square... by nakrzyczeć na nią, cisnąć jej oskarżenia prosto w twarz... i wyznać, że ją kocha.

Tak jednak się nie stało. Wczoraj nie przyszedł. Nie przyszedł i dziś, choć zegar nad kominkiem właśnie wybił trzecią. Abby podjęła niezłomną decyzję, że jeśli Kipp nie pojawi się jutro po popołudniu, wyjedzie z Londynu. Brała poprawkę na jego upór, dawała mu czas na to, by, na miłość boską, uświadomił sobie to, co ona już wiedziała, ale nie zamierzała przesiadywać tutaj, bezużyteczna jak kurzajka na nosie Prinny'ego, czekając na męża w nieskończoność.

Od strony zewnętrznego holu dobiegł ją odgłos zamieszania. Abby wyciągnęła ręce do Constance, która natychmiast poraczkowała po podłodze jak krab i umościła się wygodnie na jej kolanach.

Abby wzdrygnęła się w duchu, wiedząc, że bezwstydnie wykorzystuje dziecko jako tarczę. Ale jeśli to rzeczywiście Kippa głos przed chwilą słyszała, tak jak się jej zdawało, wołała mieć zajęte ręce, żeby nie kusiło jej, by zerwać się na równe nogi i pobiec do niego, przytulić go do siebie.

Następnie drzwi otworzyły się i do środka zamaszystym krokiem wpadł Kipp, z cylindrem i rękawiczkami wciąż jeszcze w dłoniach. Zatrzymał się tuż przed nią i musiała poluzować chwyt na nagle wiercącej się Constance, uprzedzając sobie, że widocznie obejmowała ją zbyt mocno.

- Pani - rzucił Kipp ze spokojem, który doprowadzał ją do szału, i przykląkł obok niej, by żartobliwie uszczypnąć Constance w pyzatą bródkę - kiedy wracasz do domu?

Abby nie wiedziała dokładnie, *co* takiego powie Kipp, jeśli i kiedy pojawi się na Portland Square, niemniej z pewnością nie spodziewała się tego.

- Bawię się znakomicie, przebywając tu u Sophie. Hero jest zachwycona Constance tak bardzo, że Sophie postanowiła powiększyć swoją menażerię o kilka szczeniąt. Poza tym, jak już wspomniałam ci w liście, wkrótce wyjeżdżam do Syston.

Dostrzegła, że mięsień na policzku Kippa zaczyna drgać jakby w tiku nerwowym.

- A wcale że nie. Wracasz do domu.

- Czemuż to?

- Ponieważ jesteś moją żoną, do cholery - nie wytrzymał, przeklinając w duchu swoją skrajną głupotę. Tak długo i usilnie rozmyślał, całą noc i cały dzień planował każde słowo, jakie dziś miało paść, a potem jedno spojrzenie na Abby i znowu zmienił się w żałosnego choleryka.

Abby podała mu Constance, potem wstała i podeszła do najbliższej kanapy.

- To za mało, Kippie - powiedziała, przyglądając się, jak usiadł naprzeciwko, nadal piastując w ramionach córeczkę Sophie. Tak naturalnie wyglądał z dzieckiem na ramionach...

- Nie - wykrztusił z trudem po kilku chwilach. - Masz rację, Abby, to za mało. - Pozwolił, by Constance wsadziła mu paluszki do ust, następnie ujął jej drobną rączkę i ucałował ją. - Mój ojciec zmarł, zaledwie osiągnąłem wiek, w którym zacząłem doceniać jego obecność w moim życiu - zaczął bez dalszych wstępów. - Matka zmarła tuż po tym, jak osiągnąłem pełnoletność. Na swój sposób Merry i Jack także mnie opuścili.

Potrząsnął głową i zaśmiał się, krótko, sucho.

- Nawet Gillett. Odbierałem jego odejście jako zdradę, oto kolejna osoba, którą kochałem, chce mnie porzucić. Trzymanie w tajemnicy Merry, Araminthy Zane... i innych spraw... ważne było o tyle, że gdybym wyznał ci prawdę,

kiedy zaczęło ci zależeć na tym, by ją poznać... cóż, ty też byś mnie opuściła. I opuściłaś.

Abby ukradkiem otarła mokre oczy. Całą siłą woli powstrzymywała się przed rzuceniem się przed Kippem na kolana, złożeniem na jego kolanach skołatanej głowy. Tyle prawdy. Ofiarował jej tyle prawdy, którą nigdy wcześniej z nikim się nie podzielił, prawdopodobnie nawet z samym sobą.

- Pięknie to wszystko zagmatwałem, co, Abby? Ożeniłem się z tobą z zupełnie niewłaściwych powodów. Wymusiłem na tobie zgodę na to, byśmy żyli każde własnym życiem, byśmy czuli się wolni, by żyć własnym życiem. Ale ja nie *czuję się* wolny, Abby. Czuję się spętany okowami własnego egoizmu i głupoty.

- Ja także nie wyszłam za ciebie ze szczególnie altruistycznych pobudek, Kippie - zdołała w końcu powiedzieć.

- Brady wymachiwał mi tobą przed nosem jak jakimś wspaniałym i chwalebny trofeum, wybawieniem przed okolicznościami, które stały się prawie nie do wytrzymania, a ja uchwyciłam się go, uchwyciłam się ciebie obydwiema rękami. A później, kiedy Iggy zaczął mnie dręczyć, nie miałam dość wiary w ciebie, by się do ciebie zwrócić, powiedzieć ci prawdę. By wyznać ci, że z rozmysłem zastałam na ciebie pułapkę, by skłonić cię do małżeństwa. Żadne z nas nie wyszło tu na bohatera, Kipp.

Wstał, podszedł i podał jej Constance.

- Może i masz rację. - Nachylił się, by ucałować Abby w policzek. - Jak to się stało, że mieliśmy tyle szczęścia, a zarazem mieliśmy go tak niewiele? Nie, nie odpowiadaj. Jeszcze nie teraz. Zbyt długo ci przeszkadzałem, Abby, teraz już zostawię cię samą.

Kiwnęła głową i ukryła twarz we włosach dziewczynki, by nie patrzeć, jak wychodzi, i zaniósła się płaczem.

Sophie pojawiła się niecałą minutę później. Niemal tanecznym krokiem wpadła do pokoju, by klapnąć na tę samą poduszkę, na której Kipp siedział zaledwie moment wcześniej,

a przecież zdawało się, że było to w poprzednim życiu.

- No i? Nie siedź tak, skrapiając mojej córki łzami. Powiedział, że cię kocha?

Abby podniosła wzrok, ledwie widząc przyjaciółkę przez łzy.

- Tak. Tak, Sophie, powiedział.

Zegar wybił szóstą. Kipp siedział w fotelu w sali bilardowej, wychylony do przodu, z jednym z ulubionych wachlarzy Abby w dłoniach. Rozkładał go i składał. Rozłożył kolejny raz.

Jak do tego doszło?

Jak doszło do tego, że wkroczyła w jego życie w wyniku tak na zimno ułożonego planu, a koniec końców stała się mu niezbędna do szczęścia?

Teraz *wiedział o niej o niebo więcej, spędziwszy kilka godzin z Gillettem*, by dowiedzieć się wszystkiego, co wiedział kamerdyner, a czego nie wiedział on sam. Nie pofatygował się zapytać.

Wiedział o Harrym, *wszystko* o Harrym, jak trudne było to małżeństwo, o ile trudniejsze jeszcze okazały się lata po jego niechlubnej śmierci.

I zastanawiał się, jak Abby mogłaby znaleźć w sobie coś odwagi, by znów kogoś pokochać.

Zastanawiał się, skąd on będzie czerpać odwagę, by żyć dalej, jeśli pokochać go nie zdołała.

Jak otworzyć oczy rano, wiedząc, że nie ujrzy jej obok siebie?

Mógł jej powiedzieć, że ją kocha, podczas popołudniowej wizyty, ale nie starczyło mu odwagi. Po prostu się bał. Harry niewątpliwie zapewniał ją o swojej miłości, a potem bezwstydnie ją wykorzystał i równie bezwstydnie pozbył się jej, jak wyrzuca się zbędny przedmiot, gdy przestała mu być potrzebna.

Świetnie rozumiał, do czego sprowadzał się jego pro-

blem. Jakże mogłaby mu uwierzyć, skoro napomknął o miłości dopiero wówczas, gdy od niego odeszła? Po wszystkich tych kłamstwach i niedopowiedzeniach, które ich dzieliły, nie było chyba gorszego momentu na to, by wyznać jej miłość i mieć nadzieję, że mu uwierzy.

Kipp rozejrzał się po pomieszczeniu, które tak niemiłosiernie odarł z przeszłości, usiłując uchronić się przed wspomnieniami o matce. Głupiec, głupiec, po trzykroć głupiec. Nigdy matki nie zapomni, zapomnieć nie chciał. Ale tyle w życiu stracił. Merry. Jacka. Wszystkich ich wydarł więc ze swojego życia i całym sercem rzucił się w miłą rozrywkę, jakiej dostarczał Londyn, wiecznie świadom obecności cieni w swoim życiu, nieustannie usiłując je rozproszyć.

Uśmiechnął się ze smutkiem. Mógłby puścić z dymem całe miasto, a i tak nie zdołałby zapomnieć Abby.

Tego, jak śmiały się jej oczy, gdy była szczęśliwa.

Jak ciemniały, gdy budziło się w niej pożądanie.

O jej zwyczaju odpowiadania pytaniami na jego pytania.

O jej pełnym miłości sercu, dość wielkim, by pomieścić cały klan Backworth-Maldonów, całą londyńską socjetę, każdego służącego i każdą służącą w rezydencji - nawet sprytną sprzedawczynię szmacianych lalek, którą przyjęła do własnego domu.

O jej odwadze, pomysłowości, talencie do rozwiązywania nietypowych problemów w typowy dla siebie pełen inwencji sposób.

Umiejętności stania pewne na własnych nogach, stawiania czoła światu... by potem stopnieć w jego ramionach... rozgorzeć w jego ramionach jak pochodnia... przekomarczać się, zaśmiewać i droczyć z nim, gdy tulił ją do siebie.

Złożył wachlarz i przycisnął do niego czoło.

Kochał Merry, tu nie mijał się z prawdą. Ale nie w sposób, w jaki kochał Abby, nigdy nie tak, jak kochał Abby. Merry była chłopięcym marzeniem, nierealną fantazją, może nawet elementem niewypowiedzianej rywalizacji mię-

dzy nim a jego najlepszym przyjacielem Jackiem. Teraz to widział, widział jasno jak na dłoni.

Merry była jego dzieciństwem.

Abby - całym życiem.

- Szukałam cię.

Kipp ścisnął wachlarz tak mocno, że jego rękojeść trzasnęła mu w palcach jak zapałka. Podniósł wzrok, zobaczył stojącą w progu Abby z Hero w ramionach. U jej stóp stało kartonowe pudło.

Wróciła do domu. Wróciła do niego.

- Abby? - spytał bez tchu, nie śmiąc uwierzyć własnym oczom.

Omam się nie potknął, zrywając się na nogi.

- Ja też ciebie szukałem - odparł i obszedł stół bilardowy, by zatrzymać się w bezpiecznej odległości trzech stóp od niej. - Szukałem ciebie przez całe moje życie.

Schyliła się, pozwoliła Hero zeskoczyć na ziemię i wyprostowała się ponownie, by spojrzeć na niego z uwagą:

- Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś mi powiedzieć, Kipp? Coś, czego nie powiedziałeś wcześniej?

Z trudem przełknął ślinę, lecz nadal dławiło go w gardle. Słowa wcześniej wydawały się takie niezbędne, takie zaś zbędne w tej chwili, że niemal śmieszne. Zdumiał się przelotnie, że poetom takie banały uchodziły przez wszystkie te stulecia.

- Tak - rzekł w końcu, uśmiechając się do żony. - Zastanawiam się, czy rozważyłabyś moją prośbę o przywrócenie tego pokoju do porządku, o przywrócenie mu wyglądu z czasów, gdy żyła moja matka, a potem zgodziła się, żeby należał do ciebie. Gillett na pewno ci pomoże, bo doskonale wie, jak wtedy wyglądał. - Uśmiechnął się niezbyt mądrze. - Gra Brady'ego i tak nie jest funta kłaków warta.

Usta Abby zadrgały, w jej sercu wezbrało tyle miłości, że nie ufała swojemu głosowi, powiedziała więc tylko:

- Oczywiście - i rzuciła się w jego stęsknione ramiona.

Epilog

Mam wielką nadzieję, iż będziemy
kochać się przez całe nasze życie
tak bardzo, jakbyśmy nigdy się nie pobrali.

- Lord Byron

Niecałe dwa tygodnie później Abby przyglądała się z lekkim rozbawieniem, jak bóstwo o wspaniałych rudych włosach i w sukni w kolorze morskim wbiega do bawialni w rezydencji przy Grosvenor Square i wpada w wyciągnięte ramiona jej męża.

- Kippie! - zakrzyknęła zjawa, ściskając go i pozwalając, by odpowiedział tym samym. - Och, aleśmy się za tobą stęsknili! W dodatku Gillett właśnie nam powiedział, że się ożeniłeś! To wspaniale!

Za małżonką wszedł do pokoju Jack Coltrane, potrząsając głową i z czułością patrząc, jak Kipp unosi Merry do góry i parokrotnie okręca w powietrzu, nim w końcu postawił na ziemię.

- Milady? - odezwał się, uprzejmie kłaniając się Abby. - Proszę, wybaczyć, pani, tak powściągliwe i chłodne obejście mojej żony. Bardzo stara się okazywać entuzjazm, zawsze jednak z trudem przychodzi jej uzewnętrznianie emocji.

- O tak - odparła Abby, wstała i podała rękę przyjacielowi Kippa z dziecinnych lat, usiłując nie stracić powagi. -

Widzę, że to istotnie może stanowić pewien problem. Witamy w domu, panie Coltrane. Spodziewamy się waszego przyjazdu od kilku ostatnich tygodni, a Kipp przez cały ten czas wiercił się jak na szpilkach, tak spieszo mu było znowu was zobaczyć.

- Nie panie Coltrane, a Jack, bardzo proszę - odrzekł, a Abby przyglądała się temu niezwykle wysokiemu mężczyźnie, niemal tak wysokiemu, jak Kipp. Włosy miał kruczoczarne, oczy zielone jak szmaragdy. Idealna oprawa dla urody Merry.

Kiedyś Abby czułaby się onieśmielona w obecności tylu pięknych ludzi, lecz miłość Kippa dodała jej pewności siebie i zadowolenia z własnej aparycji, jak również, chociaż sama Abby nie zdawała sobie z tego sprawy, dodała jej urody. Miłość do męża nadała jej miękkości, biła z niej łuną, której nie zauważyłby tylko ślepiec.

- Jack! - zawołał Kipp i podszedł uściskać przyjaciela. Zaczęli poklepywać się po plecach w pełen serdeczności sposób, w jaki witają się mężczyźni, zgoła piorąc się na kwaśne jabłko, gdy spotykają się po dłuższym niewidzeniu. - Nasze zaproszenie zastało was w dokach, jak rozumiem. Zatrzymacie się u nas na kilka dni przed powrotem na wieś, prawda?

- Bez wątpienia. Tym moim biednym, starym nogom wydaje się, że nadal podrygujemy w wodzie to w górę, to w dół jak jakie spławiki i sądę, że przydałoby im się parę dni spokoju, nim pojmą, że na powrót znalazły się na stałym lądzie. A że w naszej rezydencji wszystkie meble są w pokrowcach przeciw kurzowi, bylibyśmy głupi, nie korzystając z waszej gościnności, drogi przyjacielu - dał się słyszeć kolejny głos, bardzo niski i tubalny, do pokoju zaś wszedł jeszcze wyższy, potężniejszej jeszcze postury mężczyzna o ciemnej karnacji. W ramionach trzymał okryte kocem zawiniątko.

- Walter! - ucieszył się Kipp i pokręcił głową, uśmiechnięty od ucha do ucha. - Ty wspaniały dzikusie, wydajesz

się większy za każdym razem, gdy cię widzę. Abby, kochanie, to Walter, wspólnik Jacka, mentor i bardzo dobry przyjaciel. Pamiętasz, opowiadałem ci o nim?

- Pamiętam, pamiętam - odpowiedziała Abby, gdy Merry wzięła opatulone dziecko z rąk Indianina, następnie stanęła obok niego, wyglądając zupełnie tak, jakby dla ochłody schroniła się właśnie w cieniu wysokiego, opiekuńczego drzewa. - Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, Walterze. - Abby uśmiechnęła się i rozłożyła szeroko ręce. - Was wszystkich.

- Nawet nie w połowie tak bardzo, jak my - oznajmiła Merry, bezpośrednio jak zawsze. - Zaczęliśmy się już zastanawiać, czy Kipp nie stanie się aby zrzędlwym starym kawalerem, opiekującym się psami i pijącym o wiele za dużo porto po kolacji. Chciałabyś zobaczyć naszego syna, mi-lady? Na imię ma John.

- A ja jestem Abby, tak będzie prościej - zaproponowała Abby i razem z Merry podeszły do kanapy. Usiadły, a Merry odwinęła małego człowieczka, który dał znać o swojej obecności, dopominając się czegoś krzykliwie. Spojrzała na małego, pulchnego cherubinka o oczkach błękitnych jak oczy jego matki i gęstej czuprynie tak ciemnej jak włosy ojca.

- Och, jakie słodkie dziecko!

Kipp gestem zaprosił Jacka i Waltera, by przyłączyli się do niego przy barku; wino dla Jacka i siebie, szklanica lemoniady dla Indianina.

- Boże, ale się cieszę. - Podał im napoje i uśmiechnął się. - To opowiadajcie, jak się wam podobało w Filadelfii? Całą już we dwójkę wykupiliście?

Jack i Walter opowiadali na zmianę, Kipp zaś przysłuchiwał się im jednym uchem. Obserwował żonę i Merry, zachwycającymi się niemowlęciem, które spoczywało teraz w ramionach Abby, i, jak się wydawało, zadowolonymi ze swojego towarzystwa. Na pewno byłyby dobrymi przyjaciółkami i sąsiadkami. Abby bardzo szybko się przyjaźniała.

- ... a potem kupiliśmy Independence Hall i urządziliśmy tam piekarnię.

Kipp gwałtownie obrócił głowę. Zamrugał oczami.

- *Co mówiłeś?*

Jack roześmiał się serdecznie.

- Zastanawiałem się, czy cokolwiek zdoła zwrócić twoją uwagę. Jest urocza, Kipp. Jesteś szczęśliwy?

- Szczyt subtelności, Jack - skwitował to Walter sucho, sącząc lemoniadę. - Jestem niezwykle kontent, mogąc uważać się za swojego ucznia.

- Szczęśliwy? - Kipp pokręcił głową. - Szczęśliwy to mało powiedziane wobec tego, co czuję, przyjaciele, podobnie jak stwierdzenie, że szczęściarz ze mnie, nie oddaje nawet ćwierci tego, jak wielkie szczęście w końcu uśmiechnęło się do mnie. - Raz jeszcze spojrzął na Abby, wyobrażając sobie, że trzyma w ramionach ich dziecko. - Uśmiechnęło się do nas obojga.

- Wyjechali? Z samego rana, powiadasz? Cóż, a to rozczarowanie - zmartwił się Brady, całując Abby w policzek, po czym wziął podany przez Kippa kieliszek wina. - Będę miał nauczkę, żeby się nie szwendać po wsi, kiedy przyjdzie mi taki kaprys, prawda?

- Nic nie szkodzi, Brady - uspokoiła go Abby i poklepała po ramieniu. - Nadal planujesz spędzić z nami święta Bożego Narodzenia w Willoughby Hall, nieprawdaż? Wtedy ich poznasz.

- Jacka już poznałem - przypomniał sobie Brady - w czasach, gdy zakazano mu wstępu do domu rodzinnego, jak mi się zdaje. Dobry człowiek, jeśli nawet odrobinę męczący. Jego Merry jest piękna?

- Niezwykle - odparła Abby, uśmiechając się do Kippa, który odpowiedział, puszczając do niej oko. - A teraz, masz jeszcze jakieś pytania, czy możesz już zdradzić nam, gdzie to się szwendałeś przez cały ubiegły tydzień?

Brady wzruszył ramionami.

- Tu i tam. Ot, miejski dżentelmen podziwiający uroki sielskiej wsi. - Łypnął na Kippa. - Zatrzymałem się w Little Woodcote na kilka dni, przeprowadziłem niezwykle dyskretny wywiad o waszą pannę Bliss, takie tam.

- Nie może być - zdumiał się Kipp, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Zachowujesz się przy naszej pokojowej jak pies, który patrzy na kość, co? Powtarzam ci, Regina ma szesnaście lat, na pewno nie więcej niż siedemnaście. O wiele dla ciebie za młoda. Poza tym Abby wyprułaby z ciebie flaki, gdybyś spróbował zrobić z jej podopiecznej swoją kolejną kochankę.

- Kochankę? - Brady przycisnął do piersi obie dłonie, z przesadą manifestując szok, który miał ogarnąć go na słowa Kippa, - Jakby podobna myśl kiedykolwiek wpadła mi do głowy. Jestem ciekaw, nic więcej. Czy to teraz zbrodnia, być ciekawym? Poza tym mnie nie oszukasz. Aż was skręca, żeby się dowiedzieć, jakie przywiozłem informacje, prawda?

- Nieprawda - odpowiedziała stanowczo Abby.

- Wielka szkoda - oświadczył Brady z uśmiechem, który miał w zamyśle doprowadzać do obłądu - ale jakoś to przeżyję. Po prostu pokonferuję bezpośrednio z panną Bliss. Za waszym pozwoleniem, naturalnie.

- Udzielone - powiedział Kipp z westchnieniem, kręcąc głową wobec uporu przyjaciela. - Ale mam nadzieję, że opłaci cię tyłoma kłamstwami, że przez tydzień nie trafisz do domu.

Później tego samego wieczora Sallyann wyszła z sypialni w chwili, w której pojawił się Kipp, wiedząc, że jej usługi nie będą już pani potrzebne. Rzadko kiedy potrzebne bywały, jako że pan i pani przez cały czas gruchali i jedli sobie z dziobków jak para gołąbków i chcieli być sam na sam o wiele częściej, niż to w odniesieniu

do par małżeńskich w pewnych kręgach uważano za stosowne.

Abby odwróciła się plecami do Kippa, który rozpiął zapięcie przy jej naszyjniku z pereł, zsunął jej suknię z ramienia i ucałował ciepłą skórę.

- Brady bywa wprost nieznośny, prawda? - westchnęła. - Myślisz, że naprawdę pojechał do Little Woodcote, Kippie? Że naprawdę dowiedział się czegoś o Reginie? Może powinniśmy go byli wysłuchać.

- Absolutnie nie, skarbie, bo ostatnią rzeczą, jakiej chcę, jest go do czegokolwiek zachęcać - odpowiedział Kipp, wprawnie rozpinając jej suknię, zdążył się bowiem stać prawdziwym ekspertem w dziedzinie rozbierania żony na czas. - Poza tym sądzę, że na razie starczy intryg, dość mieliśmy swoich, nie uważasz? Po prostu pozwolimy mu robić, co zechce. Zobaczysz, nic groźnego z tego nie wyniknie.

Ujął ją za rękę i podprowadził do łóżka.

- O wiele chętniej porozmawiałbym o moim pomysle, by ponownie zabrać cię do Willoughby Hall i przez kilka tygodni przetrzymać cię tam jako swoją branke. W sypialni, jak myślę.

Abby odwróciła się i wpadła mu w ramiona.

- Hmm, podoba mi się to. Mów mi. Jakbyś traktował swoją branke? Przychodziłbyś do mnie co noc; usiłując skraść mi wianek, by przekonać się, że sam szaleńczo, bezpowrotnie zakochujesz się we mnie?

Uśmiech Kippa był jak samo słońce.

- Coś w tym duchu - wymruczała, zsuwając suknię z drugiego ramienia Abby, aż spłynęła falą jedwabiu do jej stóp. - Ale odnoszę wrażenie, że będę potrzebował odrobiny pomocy przy fabule, jako że nadal rysuje się dość mgliście. Może gdybyśmy przełożyli obrady do chwili, gdy znajdziemy się w łóżku...?

- Kocham cię, Aramintho Zane - powiedziała Abby, gdy wziął ją na ręce.

- A ja kocham ciebie, żono. Nie mówię ci tego dość często, wiem, ale kocham cię całym sercem i duszą.

- Mój ty głuptasie - wyszeptała cichutko, obejmując go za szyję, gdy ostrożnie kładł ją na materac. - To ty nie wiesz? Powtarzasz mi to codziennie...